

VV 653

BIBLIOTEKA
A. G. SYRKINA
= w Wilnie =

2553



WYDAWNICTWA „LEKTORA“

LWÓW, MIKOŁAJA 23 (DOM WŁASNY)

KRAKÓW, RYNEK GŁ. 22. (OBOK KSIĘGARNI
GEBETHNERA I SKI)

- „ALRAUNE“, POWIEŚĆ H. H. EWERSA, (TYSIĄC ÓSMY) W PRZE-
KŁADZIE JADWIGI PRZYBYSZEWSKIEJ, Z WSTĘPEM STANISŁAWA
PRZYBYSZEWSKIEGO
- „BANITA“, POWIEŚĆ JÓZEFA CONRADA (KORZENIOW-
SKIEGO) WYDANIE NOWE W PRZEKŁADZIE Z ANGIELSKIEGO,
Z WSTĘPEM WILI ZYGRAM-KOŚCIAŁKOWSKIEJ
- „BUNT ANIOŁÓW“, POWIEŚĆ ANATOŁA FRANCE'A, W PRZE-
KŁADZIE JANINY MARESCHOWEJ, POPRZEDZONE STUDYUM LITE-
RACKIEM DRA TADEUSZA GRABOWSKIEGO
- „DYABELSKA PRZEŁĘCZ“, POWIEŚĆ HENRYKA ZBIERZ-
CHOWSKIEGO, Z PRZEDMOWĄ DRA ADAMA FISCHERA
- „DZIEJE MEŻATEK“, POWIEŚĆ, NAPISAŁA BOHOWITYN, WY-
DANIE TRZECIE
- „EMIL, POSZUKUJĄCY PRAWDY“, POWIEŚĆ UPTONA SIN-
CLAIRA, WYDANIE NOWE, WSTĘPEM ZAOPATRYŁ DR. WŁ. WITWICKI
- „KRZYK“, POWIEŚĆ STANISŁAWA PRZYBYSZEWSKIEGO,
Z LITERACKIM AUTOPORTRETEM AUTORA
- „MAMALOI“, CYKL NAJCELNIEJSZYCH NOWEL H. H. EWERSA,
PRZEKŁAD I SŁOWO WSTĘPNE ST. PRZYBYSZEWSKIEGO
- „MIŁOŚĆ SULAMITY“, POWIEŚĆ A. KUPRINA, WYDANIE NOWE,
Z PRZEDMOWĄ WŁ. JABŁONOWSKIEGO
- „NASZE SOJUSZNICZKI“, POWIEŚĆ CLAUDE FARRÈRE'A,
WYDANIE NOWE, POPRZEDZONE SŁOWEM KRYTYCZNEM PROF. L. SKO-
CZYŁAŚA
- „PAJĄK“, NOWELA Z CYKLU „OPĘTANI“ H. H. EWERSA, W PRZE-
KŁADZIE ST. PRZYBYSZEWSKIEGO
- „RAJSKI PTAK“, POWIEŚĆ GABRYELI ZAPOLSKIEJ, WYDANIE
NOWE Z PRZEDMOWĄ PROF. J. RYBARSKIEGO
- „RUSKI MIESIĄC“, BARWNY, BOGATO ILUSTROWANY OPIS WALK
LIŚTOPADOWYCH WE LWOWIE, NAPISANY PRZECZ JANĄ GELLĘ
- „TUNEL“ POWIEŚĆ B. KELLERMANN, WYDANIE NOWE W PRZE-
KŁADZIE JANA BOHOSZEWICZA
- „UCZEN CZARNOKSIĘSKI“, POWIEŚĆ H. H. EWERSA, Z WSTĘ-
PEM ST. PRZYBYSZEWSKIEGO
- „VAE VICTIS“, POWIEŚĆ HENRYKA BOJANOWSKIEGO,
WYDANIE NOWE, Z WSTĘPEM JÓZEFA TREPKI

Witno, 11. Pilsaia 1910
GABRYELA ZAPOLSKA

RAJSKI PTAK

POWIEŚĆ

W CZTERECH CZĘŚCIACH

BIBLIOTEKA
A. G. SYRKINA
= w Wilnie =

WYDANIE NOWE, ZAOPATRZONE WSTĘPEM

oo PROF. JANA RYBARSKIEGO oo

Zugelassen — Leista
Zezwolono
1942 RUGP 11.



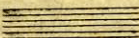
99023
SZÓSTY TYSIĄC

WYDAŁ INSTYTUT WYDAWNICZY „LEKTOR”
LWÓW - WARSZAWA - 1919

WSZELKIE PRAWA AUTORSKIE ZASTRZEŻONE



268954

Nr. 

EGZEMPLARZE NIENUMEROWANE BĘDĄ PRAWNIE ŚCIGANE

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0145761

W/162/03 

OKŁADKA WEDŁUG RYSUNKU ROPSA
ODBITO W ZAKŁADZIE DRUKARSKIM „GRAFIA” WE LWOWIE

BIBLIOTEKA
A. G. SYRKINA
= w Włocławku =

Zugelassen — Leista
Zezwolono

PRZEDMOWA

1942 RUGP 11.

Gabryela Zapolska... Nazwisko to, znane dziś w Polsce całej, jak długa i szeroka, znane i za naszego kraju granicami, we Francji a zwłaszcza w Niemczech, reklamy dziś już chyba nie potrzebuje zupełnie. Niepospolitej miary artystka, świetna publicystka („Przez moje okno“), autorka, której twory dramatyczne stanowią bogatą i bezsprzecznie najlepszą część dramatu naszego obyczajowego ostatniej doby, a której powieści w realizm i w ich założeniu i przeprowadzeniu w niczem nie ustępują Zoli, a w wielu wypadkach go przewyższają — zdobyła tą całą tak wszechstronną swą działalnością imię i rozgłos taki, jak mało kto w Polsce. Jak Heine może o sobie powiedzieć:

„Nennt man die besten Namen,
So wird auch der meine genannt...”

Nie z tych więc względów słów kilka wstępu do nowego wydania jednej z powieści Zapolskiej kreślimy. Ale choć w kilku przynajmniej słowach chcielibyśmy się pokusić o scharakteryzowanie momentów, dających tej właśnie powieści wartość wyższą, odmienną.

Nie na biegu akcji się wartość owa w danym wypadku opiera: stworzyła Zapolska powieści inne, o akcji bardziej rozwiniętej, żywej, nieraz wprost żywiołowej...

I dalej także nie na specjalnie powiązanym lub mister-
nie powikłanym węźle dramatycznym: i tego tu brak!

Wartość leżącej przed czytelnikiem powieści na
czemś wyższem polega nieskończenie, na walorach głę-
bszych, ważniejszych i cenniejszych — walorach psycho-
logii i etyki...

Feldmann Wilhelm, znakomity piśmiennictwa na-
szego krytyk, mówiąc o pierwszych Zapolskiej two-
rach, powiada, iż długi czas widziano w nich szczyt
naturalizmu polskiego, a następnie, omawiając tło tych
powieści, tak się wyraża: „Nie z pól i lasów świeżych
i naiwnych wyrosła jej twórczość, lecz z bruku wielko-
miejskiego, rozpalonego ogniem namiętności, zbrodni i po-
kus, z salonów i buduarów, których perfumy łączą się
z powiewem wyrafinowanych żądz, nadużyć, z całej tej
atmosfery wielkich ognisk nowoczesnej kultury, której
miazmaty podsycają newrozę chorych... wytwarzają po-
wszechną gorączkę zmysłów, podsycają bezustanną walką
interesów, płci, idei, maniactw... Atmosfera to stolic,
Lwowa, Warszawy, Paryża!...”

Nieco dalej już jednak powiada: „Pogłębiła się ta
twórczość z czasem i znacznie wyszlachetniała; mężczy-
zna przestał być tylko płcią — stał się reprezentantem
wielkich idei, zwiastunem i apostołem...”

Taką właśnie postać „reprezentanta idei”, idei dobra,
odtworzyła Zapolska w omawianej książce. Wyczarowała
obraz człowieka na wskrósł dobrego i w każdym serca
swego drgnieniu szlachetnego, altruisty, człowieka zdol-
nego do rezygnacji z szczęścia własnego dla etycz-
nego podniesienia osoby drugiej. Dała typ Słowianina —
Weneda, marzyciela, o którym sama powiada, że lepiej
by mu było, miast żyć z ludźmi, barci pilnować pszczel-
nych, w szmery i brzęczenie pszczoł lotu się wsłuchiwać
lub kosić otawy i woń pól kwietnych chłonać w swą du-
szę... A obok tego człowieka dała autorka postać inną,
pozornie kontrastową, ale pozornie tylko, bo w rzeczy-
wistości to wzór nie złego osobnika, lecz tylko człowieka

pierwotnego. Do najtajniejszych źródeł duszy zajrzała w tej
postaci Zapolska, do dna jej samego, do głębin, w których
złe i dobre obok siebie drzemą instynkty. I są w tej duszy
chwile drgnięć, etycznego samokrytycyzmu pełne, kiedy
złą swej istoty połowę zniszczyłyby chciała choćby przez
śmierć nawet...

I oto dwie takie osoby na ważkiej życia zeszły się
ścieżce i są dla autorki w powieści punktem wyjścia
i jej główną osią.

A dalej do figur ważniejszych należy oficjalista,
którego kaprys pani-arystokratki wyniósł do godności jej
męża. I oto tragedia druga, tragedia wypływająca z ze-
tknięcia się nierównych światów, sfer niejednakich, struna,
którą mimochodem i Wyspiański potrafił w „Weselu”.
Ale nie ten dramat stanowi część ważną: jest nią tylko
tragedya, odgrywająca się w duszy jednego z danych
osobników, mianowicie męża. Cierpienia jego, ból zniwe-
czonych marzeń, całą jego duszę prostą, w podstawach
swych szlachetną, a szorsiką i małostkową nieraz jedynie
z powodu złości drugih, pokazuje nam niedościgniona
w realizmie autorka jak pod szkłem mikroskopu. Każde
jej drgnienie i nerw jej każdy znamy i rozumiemy.

Bo jako pomoc, jako środek do takiego barwnego
przedstawienia szczegółów służy autorce jej język, język
poety, pełen obrazów, uwag, analogii, wzięty z życia i do
życia danych osób przystosowany, język pełen błysko-
tliwości i jędrności zarazem, a czasami znów niedomówio-
nych poszeptów pełen. A tło maluje autorka tak, jakby
farby i oczy miała mistrza-malarza, tak iż jak na jawie, na-
wet długo po przeczytaniu książki, przed oczyma nam
majaczy parkan, dzidami złotymi zbrojny; a na tle jego,
osnuta poświatą jesiennych błysków miesiąca, kobieta
o dwu twarzach i dwu duszach, kobieta z rodzaju pół-
dziewic, dziewczyna z obrazu Fra Filippo Lippi...

Jan Rybarski.

CZEŚĆ PIERWSZA.

(...dla duszy największa pociecha
Gdy zdola drugiej duszy odjąć smutku trochę...)
Verlaine.

I.

Adam kawałkiem papieru założył przeczytaną stronicę i Chirurgię Rydigiera zamknął i odłożył na bok.

Ciemnica nocna o szyby biła.

Ścinało mu się serce uczuciem samotności.

— Pójdę trochę... — pomyślał — świeca nie starczy mi na cały wieczór. Gdy tak siedzę w ciemności, fantazyja zanadto pracuje...

— A to nie dla mnie.

— Nie.

Bo są już takie dzieci, są tacy młodzieńcy, są tacy ludzie dojrzały, którzy o fantazyji nic wiedzieć nie mogą. Idą więc przez życie równo, prosto, za włosy zwłóczą się na to „prosto“, jeśli coś się zamajaczy.

Dopiero nad grobem, gdy są już bardzo starzy — do niczego niezdatni, dla nikogo nieprzydatni — dopiero wtedy...

Ot — nawet i lepiej, gdy taki stary cichutko w kącie siedzi, wsłucha się w wicher albo w trzask drzewa w piecu — ręce przy piersiach skuli, oczy powiekami przysłoni.

Mówi się wtedy...

— Stary zasnął.

— A „stary“ nie śpi! On czuwa, duszę swą zbudzoną na wywiady wysłał po drogach życia, przeczuwa to, czego przez swe istnienie przeżyć nie mógł, garnie się do tego, czego dotknąć nie śmiał.

Zgarniają go ku sobie wielkie idee, tłumy jakieś

pełne goryczy otaczają go, on z nimi podnosi pięście, woła — pieni się. Czyny jakieś wielkie mieczami o tarcze biją... to znów łąka zielona szemrze falą traw posianych, bielą mleczków drżących. I jak jakiś wiosenny i tęskny śpiew — jakaś harfa srebrna drży w przestrzeni — ręka biała o różowych palcach tych strun dotyka...

I potem olbrzymie wnętrza cichych świątyń — stłumiony głos zakonnic z poza krat, adorujących purpurową gwiazdę kaplicy...

I jeden wielki, rozpaczny głos — za nim, za pozostałym z drugiej strony krat... Głos, który wstrząsa wspomnieniem niedawnych chwil, w których usta przy ustach sączą rozkosz w nerwy, i duszę przejmuje lęk...

O tem marzy starzec, „donaszający“ swą odzież człowieka dojrzałego i siedzący tak cicho koło ciepłego pieca, złożwszy ręce na piersi.

A dokoła niego mówią.

— Stary zasnął...

Ramionami wzruszają.

— Ot... stary!...

A on tymczasem szybuje płomiennie po przestworach dotąd dlań zakrytych...

Choć teraz...

Adam idzie z falą ludzi.

Nie umie jednak iść.

Potrącają go, popychają, jak zwykle każde drobne istnienie.

Grzecznie się usuwa, nie pokornie — ale grzecznie...

Pelerynę ma z krajowego wyrobu, a więc wiatrem podszytą.

Ale za to ma ogromne, czarne oczy, bladą drobną twarz, smukłe ciało i te prześliczne proste rysy twarzy, które zniewalają od pierwszego wejrzenia.

Nie mówi się o takim człowieku „to piękny chłopiec“ — ale — „to dobry chłopiec“.

Dobry chłopiec idzie i myśli. Chciał unormować swój budżet, a nie mógł tego dokazać w ściankach swego pokoiku, gdzie za dużo było wielkiej wiedzy i przeogromnych przyszłych czynów dla ludzkości. Szło o marne cyfry codzienne. Należało je zbierać i rzucać w tłum nieznanego i na grunt neutralny. Wywoływały natychmiast wizję wuja, wiecznie stroskanego i snującego się po plebanijce nędznej galicyjskiej wioski.

Te trzydzieści guldenów, przysyłanych z pod serca — starczyły na cały miesiąc. Starczyły z trudem.

Należało, aby starczyły bez trudu — bo ten trud przeskądzał często w pracy.

Czyż tylko trud o te guldeny!...

Idzie Adam ulicą w swej pelerynce i ciągle występuje na jaw jego blada twarzyczka, gdy wejdzie w smugę światła, bijącego z okien sklepowych.

— Mieszkanie osiem guldenów, opał — dwa — obiady w taniej kuchni akademickiej siedem i pół...

Minęły go dwie kobiety. Obie były jasno, pomimo zbliżającej się jesieni, ubrane. Donaszały letnie stroje. Zarzuciły tylko boa na szyję. Spotkały się oczy młodszej z oczami Adama. Roześmiała się.

On — natomiast spowaźniał.

Jasno ubrana kobieta rozstoleczyła się uśmiechem na widok smukłego mężczyzny. A on się jakby cofnął w głąb swej istoty i na twarz jego wypłynął cień melancholii.

Nie obejrzał się.

Szedł dalej prosto — ale myśli jego gzygzakiem pofrunęły w bok...

Gdzie są łąki zielone, wiosenne czarem, a na nich śnieg mleczków białych się kołysze.

I na te łąki wizyjne spływają korowody dziewcząt, owianych bladymi draperiami fałd drobnych, o twarzach, jakby je Fra Filippo Lippi pędzłem swoim rzeźbił.

Są to śliczne, przerzeczne dziewczyny, które zdają się spływać w życiu i przepajać sobą atmosferę.

Dziwią się złemu — nie gardzą niem. Do tego, co dobre, wyciągają ręce, jak do kwiatu, i tulą ku sobie smutki sennych bratków. Białe ómy delikatne i puszyste, tańczą dokoła nich gwiazdziste desenie. — One idą w błękitnym blasku księżycy, pod deszczem gwiazd, nie mając na ustach nigdy takiego uśmiechu, jaki rozjaśnił wargi przechodzącej kobiety na widok ciemnych oczu chłopca.

Bo choć są powiewne i lekkie, to nic w nich niema przelotnego. Ani drgnienia ich własnych dusz, ani zburzenia dusz drugich przez ich łagodną moc.

Idzie dalej prosto Adam, a myśli jego gzygzakiem fruwały znów w bok...

Tam, gdzie ścięte są szumiące kobierzec jesiennych purpurowych liści — tam jest wielki park, obramowany dzidami krat o złoconych strzałach.

Słońce mdleje na horyzoncie i nawet nie zapala na tych strzałach rzędu iskier, któremi w upalne lato żegnało dzień.

Lecz ciepło jest jeszcze i na stawie duże koła zataczają czarne o koralowych dziobach łabędzie.

Szeroką aleją dwurzędową włoskich topoli idzie prosta, smukła kobieta.

Jest odziana w ciemnozieloną wełnę. Suknia jej marszczona od pasa opada ślicznie ku dołowi i wlecze się po purpurze liści, zagarniając je, rozrzucając — to znów zabierając w swe fałdy jakby miłosiernie tulące się konające ptaki.

Kobieta idzie — tam, gdzie przed nią wznosi się las strzał bramujących park. — Za lasem ciągnie się bezkresna równina. Szare ściernisko, na niem nie płonie nawet perz.

W oddali, bardzo daleko — jakiś krzyż...

I horyzont, na którym mdleje słońce.

Kobieta idzie wolno, idzie szlachetnie — nie tłocząc brutalnie ziemi. — Twarz jej wązka, trójkątna, pełna tragicznego odbicia przeżytego wielkiego bólu. Rączki ust opadły, ręce także linią smutną zwiesiły się ku dołowi. A w oczach ciemnych cała głębia melancholii. I nie można pojąć, aby ta kobieta cierpiała tak przeżyciem swych własnych smutków. Ludzkość cała w niej zamyka swą księgę żałobną. Było to wielkie współczucie smutków wszelkich, jakby jej dusza zbierała bóle drugich na wzór szaty, zgarniając je ku sobie konające liście.

Powieki jej opuszczone rzuciły cień na trójkąt jej twarzy. Był to jakby kwef żałobny wdowy po szczęściu swoim-nieswojem, a chód jej był tej, która idzie ku mogilnym zachodom przesmutnego obszaru ziemi.

I wszystko dokoła tej kobiety było smutne, królewskie, poważne.

Nie śmiało się nic, nie szemrało weselem.

Jej namiętność musiała mieć omdlenia skupionych w sobie dusz. Nawet w pocatunku była melancholia bólu nad cudem, który się poczynił wśród łez...

Ta kobieta nie śmiała się nigdy tak, jak uśmiechała się przechodzącą, spotkawszy oczy chłopca.

To myśli Adam i jeszcze ponadto dziw go ogarnia,

skąd mu przychodzi ten wykwint duchowy, gdy myśli o kobiecie.

Odwraca się od tych, które rzucają mu brutalnie w oczy swój wdzięk i chcą być kochane. — Dąży myślą w parki jesienne, na łąki wiosenne i najrzadsze, najkosztowniejsze kwiaty garnie ku sobie myślą.

— Tylko taką... — myśli prawie dziecięco, modląc się purpurą warg rozchylonych.

Tymczasem, na ulicy ocierają się o niego wykwintne lalki, poematy muślinów, aksamitek, koronek... Woń perfum smugą bije mu w pierś, on idzie... i myślą błądzi przed kratą parków u skraju łąk...

— Tylko taką...

Tak mało mają dziewczęta Fra Filippo Lippi — lub jesienna wizja parkowa wspólnego z kobietami, które leczył na łózkach szpitalnych.

Tak mało wspólnego z dziewczętami, które myją ganki plebanii, lub piśkliwie wywodzą nieszpór niedzielny.

A on takie kobiety znał tylko żywe. Bo — były w życiu jego jeszcze trupy kobiet, które dysekował.

Milczące, zimne — groźne, tragiczne...

Te trwożyły go zawsze. Ich zamknięte źrenice zdawały się mieć zastygłe łzy, i ręka mu drżała, gdy skalpel zanurzał im w piersi.

Ach! nic więcej — tylko był to błędny rycerz, romantyk, zbłąkany i drogi szukający. Nic więcej — tylko romantyk.

Szły więc kobiety otulone w boa — z włosami w kształcie pasteli z XVIII wieku nimbem nad uśmiechniętymi twarzami. Patrzyły na młodego studenta w pelerynce podszytej wiatrem i zdawały się mówić:

— Jesteśmy ładne, wybierz sobie którą z nas!...

A jemu dziwno było, że kobiety zajmują tyle miejsca w jego myśli. I to takie właśnie kobiety. Tamte z parku i z łąki żyły tylko w abstrakcyach, te zaś raziły go i odtrącały.

Po cóż więc myślał o nich?

Po cóż szedł tam, gdzie snują się i zwartą falą ku niemu dążą.

Tyle jest w życiu innych poważniejszych kwestyi, przed którymi stoi jego młodość niepewna i nieznaająca nic!...

Czyż tylko — kobieta?....

Zboczył z głównej ulicy, po której snuje się w cie-

niu jesiennego wieczoru targowisko ciał. Unosi swój romantyzm, który go niejako od tłumy odcina, w ustronniejsze ulice, po których snują się rzadsze postacie. Sklepów tu brak. Z parterowych mieszkań czasem przepływnie jaśniejsza struga razem z przyciszoną falą fortepianu. Za koronką firanek płaczą salonowe nokturny, chłonąc w siebie dziewczęce bezbarwne marzenia. Jakaś rezygnacja bezużyteczna wypełnia te zakątki. Czuje się tu identyczne gesta i identyczne myśli — bez pragnień wzniesienia się nad poziom. Adamowi zdawało się, że się zanurza w letnią kąpiel.

— Tak będę musiał żyć, myślał, idąc wzdłuż murów.

Nie sprawiało mu to bólu. Nie szumiały w nim bohaterskie skrzydła. Pojmował inaczej użyteczność swojej przyszłości. Zaczął o niej myśleć — lecz — widział ją mglistą. Wiedział, że musi być użyteczną, i o to się nie sprzeczał ze swym przeznaczeniem.

— Tak będę żył...

Poza nim w pewnych odstępach czasu pędziły wozy tramwajowe. Huk ten potrzasał powietrzem, najeżdżał mu na schylony kark. Purpurowe światło biło mu prawie z pod stóp, bo ulica była wązka i szyny szły obok trotuaru. Gdy przeleciał wagon, Adam mimowoli śledził błękitne elektryczne iskierki, które tryskały z pod kół. Interesowały go, i żałował, gdy znikły. I znów słysząc było żalosne nokturny z poza koronkowych, ładnie upranych firanek. Czasem ciemniała różga chryzantemów, wykwitających z żardynierki. Lecz najczęściej były to krzyże ram okiennych, znaczących się jednaką, jakby więzienną linią.

Adam piał się coraz wyżej ku parkowej górze, która tonęła w mglistych oparach, unoszących się nad miastem. Coraz mniej było przechodniów — wozy tramwajowe przejeżdżały o pustych, jasnych wnętrzach.

— Ojciec mój był lekkomyślny... mignęło nagle przez myśl Adama. Tak zawsze mówi mój wuj, na czym jednak jego lekkomyślność polegała?

— Nie wiem — rozełkało się w nim nagle — nie wiem nic, tylko to, że stoję u progu życia sam i bardzo sieroco...

Starał się w tej samej chwili stłumić w sobie ten ból. — Wyśmieliby mnie ci wszyscy, którzy mnie mijają. I to błędne rycerstwo, i ten romantyzm... Oni wszyscy mają kogoś — a czy ten ktoś im rzeczywiście potrzebny?

Może i on, gdyby nie był sam, a koło niego błąkało się jakieś istnienie, nie czułby ciepła, a przeciwnie, doznałby jakby przeszkody... Kto wiedzieć może?

Przed nim od jakiegoś czasu ciemnieje jakaś postać kobieca. Nie opatrzył się, że idzie jej smugą. Kobieta jest wysoka i szczupła w ramionach. Rzuca na mury dwa cienie.

Jeden niższy i ciemny.

Drugi cień — cienia — wyższy i bardziej przejrzysty. Na kapeluszu jej chwieją się duże czarne pióra.

Takie same pióra widmowo drżą na głowach dwóch cieni.

Adam wpatrzył się w te trzy postacie, idące przed nim. Zajęły go. Suną powoli na jasnym tle ściany. Tramwaj przeleciał — one jakby się zakołysały...

I znów suną dalej.

— Ojciec mój był podobno lekkomyślny... myśli Adam — i patrzy na cienie, na kobietę, idącą przed nim.

Przyspieszyła kroku, on uczynił to samo. Chwilę później tramwaj najeżdżał, słysząc było dzwonek, widać czerwoną smugę — kobieta zdawała się zatrzymać... Adam zatrzymał się także...

— Dlaczego ja to robię? — pomyślał.

Lecz poszli znów dalej wolno, wzdłuż murów, on — kobieta i jej dwa wierne cienie.

Idąc, obserwował ją. Chłonał jakby bezwiednie szczegóły jej postaci!

— Musi być młoda — myślał — szkielet jej jeszcze niezupełnie rozwinięty — głowa mała pomimo skrzydeł kapelusza. Slicznie opadają fałdy jej sukni. Dlaczego jednak tak niedbale wlecze ją po ziemi? Jest w tem jakieś zmęczenie fizyczne czy apatya duchowa? Idzie prosto, nie patrzy na nikogo, nie stara się zwrócić niczyjej uwagi. Jest sama i bardzo sieroca... Gdzie idzie, jak senna? Czy czeka kto na nią? Nie śpieszy się jednak. Pnie się ku górze, jakby bez celu. Melancholia smugą wleczy się za nią.

To musi być istota pełna smutku i wdzięku.

Nagle Adam otrząsnął się.

— Znów kobieta? Co ona może mieć wspólnego z memi wymarzonemi, które jedne tylko dla mnie egzystują! Gdybym ją minął i spojrzał jej w oczy, roześmia-

łaby się tak, jak śmiały się tamte w blasku latarni. Jest mi obojętna. Idę za nią, bo tak mi wypada droga...

A przecież idzie i patrzy. Chłonie znów szczegóły jej postaci i czyta w nich ukradkiem, jakby w kartach niedozwolonej księgi.

— Ręce jej obwisły ku dołowi — białe są, bez rękawiczek. Strój jej przecież jest wytworny. Zwalnia znów kroku, jakby powzięła jakieś postanowienie. Tramwaj nadjeżdża... dzwoni gwałtownie, łuna bije — co to? — kobieta zbacza z chodnika... na szyny?... czyżby...

Jedno silne pociągnięcie ręki i kobieta powraca do normalnej linii.

Tramwaj przejechał — błękitne gwiazdeczki migocą w ciemni i oddalają się smugą, ale Adam wciąż trzyma prawie brutalnie ramię kobiety i w astrakan jej zakietu zanurza febrycznie palce.

— Co pani?... co?...

Jest tak wzruszony, jak ona. Przed nimi boczna jama małej uliczki. Daleko pali się naftowa latarenka. Bez-wiednie oboje kierują się w ten cień.

— Co pani?

Ona nie odpowiada nic. Opuściła głowę. Skrzydła czarne kapelusza i pióra otuliły ją. Nie widać nic prócz delikatnej linii białej, jakby porcelanowej brody, tonącej w puchu czarnego boa. Broda ta drży. Słychać także przyspieszony oddech. Delikatna woń szkarłatnej koni-czyny unosi się z piór i futer.

— Pani chora... ja panią odprowadzę...

Coś płynie srebrnego z pod skrzydeł czarnych, coś opada na futro, drży, jak rosa na czarnych irysach, i znika.

Jakby — duże, gorące, kobiece łzy...

Adam na łzy te patrzy — pije je wzrokiem. Nie wie, co powiedzieć. W praktyce swej szpitalnej otaczały go całe łańcuchy nędz fizycznych. Tu stoi wobec jakiejś tragedii, odzianej w dostatek, tragedii moralnej. Roman-tyzm jego roztopia się w bezsilnem współczuciu.

— Pani pozwoli... ja odprowadzę...

Łzy ciche przechodzą w spazmatyczny płacz. Jakaś, jakby ulga z tym wybuchem spływa, nieznajoma przez jedno mgnienie oka podnosi głowę i ukazuje nieziemskiej piękności twarz młodej dziewczyny, o rysach delikatnej muszlowej kamei. Płacz nie wykrzywia jej lica — prze-

ciwnie, uduchowia je do najwyższej potęgi. Białka oczów błękitne, opłynięte łzami, błyszczą dziwnie z pod długich rzęs. Jakiego koloru są oczy — nie dostrzega. Wie, że są to dwie głębie, które na niego patrzą. Chwilę jakby go przeszyły całego i poza nim jeszcze coś dostrzegły.

I już wyciąga się ręka chuda, nerwowa, delikatna.

Ręka ta wyniosłym gestem usuwa z drogi studenta.

Bez słowa, bez czegoś, coby zbliżyło ją tak losem zbliżoną ku niemu — kobieta zwraca się ku oświetlonej ulicy i uciekać zaczyna. Biegnie lekko, rozpaczliwie — jakby teraz ten mężczyzna, który ją wyrwał z pod kół tramwaju, był dla niej jeszcze większem niebezpieczeństwem.

Adam widzi, jak przebiega ulicę, rzuca się w jakąś przecznicę i — niknie.

Sekunda — niema jej, niema jej też błyszczących rosą na tle futra, niema jej cudownej twarzy, wyniosłej postaci, jej rozpaczy i buntu i jej dwóch cieni wiernych, z których jeden był jej siostrą bliźnią, a drugi zdawał się być aniołem czarnym, przejrzystym — w ślad za nią sunącym.

II.

Mieć lat dwadzieścia cztery i tak dużo tego, co ludzie zowią „sercem“ — a co jest przekleństwem, mieć mały, chłodny pokój, być źle odżywianym, przepracowanym, i nagle pozostać z wizją niespodzianą, która się objawiła czarnym płakiem, przecinającym szary i bezbarwny widnokrąg życia.

A ponadto wszystko mieć dziwne usposobienie. Tak przynajmniej ludzie nazywają młodego chłopca, który przyszedłszy do kawiarni, z wyrazem nudy patrzy na marmur stolika, sący powoli podany napój — który nie pławi się w dwuznacznych słowach i równie dwuznacznych gestach, zwątpienia swego nie wypływa z butą historyka w twarz słuchaczom, i w noc ciemną, gdy inni giną w uchylonych gościnie drzwiach spelunek — on do domu wraca.

A wraca, niosąc w piersiach nie rozwichrzone, lecz jakby wsączone to, co życie mu dało z lepszych objawów... i to, co życie ma w sobie na dnie.

Gdy taki dziwny chłopak pozostanie sam, on to wszystko sortuje, zestawia — odrzuca precz.

I myśli.

— To poniosę ze sobą, a to mi niepotrzebne.

Adam jest właśnie ten „dziwny“ — źle odżywiany i smutny chłopiec. Absynt w kawiarni rozlewa po marmurze stołu i zwątpienia swoje kryje na dnie, czekając na objawienia, które zetrą się z niewiarą i może ją zwyciężą.

Długo marzył o tem, co daje rozkosz pieszczoty kobiecej. Była to jakby lampa, płonąca w świątyni jego życia. I nagle, brutalnie ocknął się z dwójgiem ramion zarzuconych dokoła szyi. Rozrzucony warkocz pachnął rozmarynem. Porwała go szalona melancholia straconej wielkiej pociechy. Uciekł z goryczą w sercu i ustach...

I od tej chwili żył pomiędzy dziewczętami Fra Filippa i damą w ciemnej welnie, zgarniającej ku sobie liście jesienne i smutki ludzkie.

W wązkim jego pokoiku zaludniło się przecież.

Tego wieczoru przywiódł ze sobą wrażenie niezwykle, które przepoiło go nawskróś.

— Dlaczego chciała to uczynić? — myślał ciągle.

Przez ścianę dolatywały go głosy. Gospodarz jego rozmawiał ze swą żoną. Ludzie ci mówili półgłosem, ale ściana była drewniana i od czasu do czasu wpadał jakiś wyraz. Adam uczuwał zawsze pewien rodzaj grozy, gdy słyszał te szepty. Znał źródło tej cichej, spokojnej fortunki, która dozwalała im hodować kanarki i kwiaty na oknach czyściuchnego mieszkanka.

— To jest dno życia!... pomyślał.

I znów mignęła przed nim kobieta, zbaczająca na szyny tramwaju, i jej dwa cienie.

— Czy byłaby i ona na dnie życia? — pracował jego mózg — czy w ten właśnie sposób tylko mogła wy dostać się na gładką i spokojną równię?

Stały mu w oczach szeregi samobójczyń, które leżały przed nim nagie i ciche na stołach szpitalnych. Były to ubogie kobiety, sługi zjedzone fosforem, szwaczki topielice — jakieś dziewczęta wesole — a tragicznie podwiązane sznurem, na którym zawisły.

Żadna z nich nie miała tej szlachetnej rasy, tej nerwowej piękności, która aż biła od nieznanomej kobiety.

— Ona coś chciała powiedzieć!... tkwiło mu w my-

śli — coś uderzyło we mnie, gdy spojrzała w mą twarz. To były jej niewypowiedziane słowa, nic innego...

— Czy chciała mi podziękować? czy chciała mi złorzeczyć za to, że jej przeszkodziłem. A może... o parę ulic doprowadziła swój zamiar do skutku?

Aż w nim się coś szarpnęło i krzyknęło rozpaczliwie na tę myśl, tak bardzo logiczną.

— Chciała się zabić koniecznie... a więc...

Jedna, bezkształtna masa na szynach, krwią zbroczone ręce białe, nerwowe, zmiażdżona cudowna twarz...

I dalej — uciekał tramwaj, siejąc błękitne gwiazdki.

Nad samobójczynią — schylone dwa czarne cienie. Jej własne cienie!...

Adam porwał się z krzesła.

Uczuł gwałtowną potrzebę otoczyć się ludźmi. Ich choćby bezmyślne gđkanie może odpędzi to przypuszczenie. Nie chce go, jakby zdjęty zabobonną trwogą — że na odległość wywoła sprawdzenie się krwawego faktu.

Wchodzi do wązkiego przedpokoiku, w którym wiszą potrzone właśnie rano i przygotowane na letnie przechowanie futra, i puka do drzwi sąsiednich.

Cisza — i nagle głos kobiecy, jakby strwożony:

— Kto tam?

— Ach, nie lękajcie się — to ja.. Walkiewicz.

— Proszę wejść.

Adam otwiera drzwi. Ciepło na niego bucha z cichego wnętrza dobrze uprzątniętego pokoiku. Przy stole jeszcze, jakby strwożona, stoi niemłoda kobieta, o zgarbionych plecach i łagodnej twarzy jednobarwnej — jakby bez krwi kropli. Oczy spłowiałe patrzą z pod brwi ściągniętych.

— To pan?...

— Ja słyszałem głosy państwa.

— Mąż w tej chwili poszedł do sypialni. Kładzie się spać. Niech pan siada.

Wszystko tchnie tu spokojem ludzi drobnych, którzy wydarli losowi na starość ten kąt dla siebie i dla swoich ptaków. W kącie klatka z kawkami, przysłonięta kawałkiem zielonej kitajki. Na stole koszyczek z robotą — świeży dziennik. Z uchylonych drzwi sypialni widać migoczącą lampkę przed obrazem świętym.

Adam patrzy na właścicielkę tych sprzętów, kawek i tego spokoju — i znajduje w geście jej rąk opuszczo-

nych tę samą dziwną rezygnację, jaką miała idąca przed nim, niedoszła samobójczyni, a w ślad za nią dwa cienie.

— Czyżby i ona była zgnieciona zależnością od swego przeznaczenia — i zrezygnowana... pomimo śladów walki, jakie nosi na swej duszy...

Tymczasem kobieta siadła przy stole. Trwoga jej minęła. Sięga po robotę.

— Przeszkadzam pani? — pyta Adam.

— Nie. Mąż kładzie się wcześniej. Ja sypiać nie mogę.

Zacięła usta.

— Dlaczego?...

— Ach, nic! Dawniej było gorzej. Nie sypiałam zupełnie. Teraz godzinę, dwie...

— Trzeba się leczyć.

Milczenie.

I on to powiedział bez przekonania. Słyszał ją nieraz, jak chodziła w nocy — snuła się za ścianą, szmerząc filcowymi pantofkami. Na ten brak snu nie było w medycynie nasennego środka. Sumienie ich nie zna. Łka, krzyczy... a najstraszliwiej milczy.

Adam patrzy na pochylone nad robotą czoło kobiety. Cierpi ona bezwarunkowo moralnie wielkie tortury. Czy te moralne katusze, które zadaje sumienie kobiecie, mogą ją doprowadzić do samobójstwa?

To zaczyna tak nagle pożądać w nim odpowiedzi, że wpierw, nim zdołał sformułować swe słowa, już słyszy swe pytanie:

— Proszę... niech mi pani powie, jakie powody skłaniają najczęściej kobietę do odebrania sobie życia?

W młecznym świetle skromnej, oszczędnej lampy biegnie ku niemu strwożone spojrzenie wypłowiłych źrenic.

— Po co to panu?...

— Wiedzieć muszę...

— Dlaczego się kobiety zabijają?

— Albo chcą zabić?

Milczenie.

Tylko w sypialni jakiś szmer — jakby ktoś posuwał się ostrożnie po pokoju.

— Nie odpowie mi pani?...

— Ach, Boże!... skąd ja o tem wiedzieć mogę.

— Każda kobieta, która dużo przeżyła, wie, co inne w sercu mają.

— Nie... nie...

Słowiaste źrenice coraz nieufniej od Adama odbiegają.

— Zresztą pan wie lepiej — pan doktor przecież.

Adam uśmiecha się gorzko. Był przy dysekcji tylu samobójczyń — to prawda. Ale — najczęściej wiedział, że miały mózg przekrwiony.

Nic więcej...

Serce ich, to serce duchowe, było już zamkniętą księgą... do niego skalpel dojść nie mógł.

— Nie wiem nic, zapewniam panią.

— Pomimo, że pan doktor?

— Może właśnie dlatego...

Milczą chwilę — ale on znów zaczyna nalegać, choć czuje, że popełnia jakieś okrucieństwo.

— Nie powie mi pani?...

— Nie wiem... nie wiem... Sądzę, że z miłości.

Jakieś uczucie, jakby gorącego żelaza w piersi, przejmując Adama.

— Czy zawsze?...

Kobieta uczuła, iż teraz ona sprawia jemu przykrość. Z chęcią zemsty powraca oczami ku niemu.

— Tak... zawsze!

Głos jej brzmi teraz rzuconem wyzwaniem. Coś się w tej atmosferze ściera. Tych dwoje ludzi dobrowolnie zaczynają się ranić.

— Przecież — po chwili podejmuje Adam — są inne uczucia — żal, zawód materyalny, obawa cierpienia fizycznego — poczucie zależności...

Ona potrząsa głową.

— Nie, nie... wierz mi pan. Zawsze musi być na dnie miłość. Tamto wszystko to dla mężczyzn. Kobieta zabija się tylko z miłości...

Do tej chwili mówiła cicho. Przy tych słowach podniosła jakby bezwiednie głos. I zaraz umilkła jakby przerażona, rzucając wejrzenie na drzwi sypialni.

Adam podniecony tą walką, której prąd ogarniał go — zawołał:

— A... jeśli kobieta popełni jakiś czyn, zły czyn — szkodliwy i występny... czy wtedy zdręczona nie ze-
chce...

— Co? co?...

Kobieta rękę po czole przesuwając. W białym świetle lampy wydaje się alabastrową maską. Znać, że siła woli ją opuszcza. Lecz — z sypialni wysuwa się niski mężczyzna, zaledwie odziany, mający długie ręce i krótkie nadmiernie nogi.

Coś z orangutanga jest w linii jego ciała.

Wchodzi — skinieniem głowy wita Adama.

— No... matka... spać!... — mówi niskim, gardłowym głosem.

I obchodzi dziwnym, kołyszącym się chodem pokój, jakby coś zbierał, coś gnał przed sobą, co tylko dla niego widzialne.

Adam wstaje i wychodzi do swego pokoju. Wie, że już się nic nie dowie — że Minzowa milczeć teraz będzie, gdy on się pojawił i napełnił przestrzeń swą widmową postacią. Ten człowiek zjawia się zawsze — nie wchodzi, jak przeciętny ktoś zwykły. Ni to postać z Odillon Redona, Sznajdra, Ropsa — ni to zjawia wizyonera mózgiem splodzona. Szepce, snuje się, kołysze swą głowę, obrośniętą silnym, ciemnym włosem, i swe długie ramiona, zakończone żyłastymi rękami, które zawsze zdają się spełniać jeszcze posługi śmiertelne dokoła niezastygłych trupów, patrzących na niego szklanymi, zażawionymi żrenicami.

W pokoju Adama dogorywa świeca i przez źle dopasowane okno jesienna noc się wdziera...

— Powiedziała, że tylko miłość... — myśli Adam, siadając przy stole nad rozłożoną książką.

— Tylko miłość...

A więc ta nieznajoma o dwóch cieniach wiernych i rozwiewnych musiała kochać i przez tę miłość chce umrzeć. Dla czego innego — nie... Tylko przez miłość?

Adam tak myśli, a przecież w nim coś krzyczy, iż tak nie jest, że nie tylko miłosny zawód rzucił tę kobietę pod koła wagonu.

Na opuszczonych jej rękach ciążyła zbyt wielka jakaś moc czarnych przeznaczeń. Tego gestu nigdy najsilniejsza miłość dla mężczyzny wywołać nie potrafi. Tak idą kobiety gnane tragiczną siłą fatalności, która ciężarem je tłoczy tak strasznie, że już tchu nie ma prócz tego wyzwolenia w spodziewanym niebycie.

— Raczej to — odezwano się w Adamie, — raczej to...

Za ścianą słychać było delikatny szmer kroków. Ktoś sunął się po pokoju, miarowo, delikatnie.

— Minzowa... rozpoczyna swą wędrówkę nocną — pomyślał Adam.

I wyobraził ją sobie zgarbioną, bezseną, błyskającą bladą maską w oświetleniu nocnej lampki w cichej przestrzeni czystego pokoiku.

Chodzi jak automat i ręce jej zwisają po obu stronach ciała takim samym gestem, jak zwisały ręce tamtej kobiety.

— Dlaczego ona prawdy mi nie chciała powiedzieć — dlaczego mówiła, że to może uczynić kobieta tylko z miłości?... —

Przeciągle rozegrał się wicher i zakochał do okna. Na ulicy zgasł nagle gaz, resztki świecy sycząc rozplywała się w lichtarzu. Daleko, w ogrodach szpitalnych szumiały jeszcze liśćmi pokryte drzewa i szum ten w ulice wpływał.

— Tamta musiała chcieć umrzeć nie tylko z miłości... — myślał Adam.

I w tem zapewne jakąś pociechę znajdował.

Pociechę?

Po czem, lub w czem.

Nie wiedział sam. Czuł jednak, że w nim coś cierpiało, że musiał coś znaleźć, aby to cierpienie uciszyć.

Tak — czuł.

III.

Wiedział, że u niego zimno, smutno — smutniej, niż kiedykolwiek, i że wieczorem słyszeć będzie znów szepty tajemnicze Minzów za ścianą — a potem szelest jej kroków bezsennych i szum wichru drzew szpitalnych ogrodów...

Dawniej znosił łatwiej te wieczory samotne, zimowe, zapowiedzi długich ciemnic bez światła, gdy pod koniec miesiąca już pieniędzy nie starczy.

Lecz od wczoraj coś się w nim przełamało. Do zwykłych myśli, które tworzyły jego świat spokojny i tylko gzygzakami wybiegających w krainę fantazji — przybył jakiś ból, coś, co go dławilo niepokojem.

— Pójdę... gdzieś grają „Śmierć Azy“ — chcę to znów usłyszeć... kocham, gdy mi tak ikają skrzyпки i głos czepla się powietrza. — Tak umierają suchotnice w seperatkach szpitalnych, podczas gdy zakonnica zapala

światło na ołtarzyku, przybranym w przyniesione przez odwiedzających chryzantemy.

Tylko, że Grieg słyszy coś więcej, niż my, w ich łkaniu i oto — płaczą skrzypce śmiercią człowieka...

— Pójdę, posłucham.

Do białej sali Filharmonii ma Adam wstęp wolny. — Drugi sekretarz, młody, żywy chłopiec jest mu przyjazny. Uśmiechem wita go.

— Dobrze, żeś przyszedł — on gra bajecznie.

Adam nie wie, kto jest ten on, który właśnie wchodzi na estradę, witany salwą braw. Adam patrzy mu tylko na ręce, na te skrzypce, które za chwilę płakać będą ludzkim głosem. Może tam gdzie w szpitalu właśnie w agonii leży jakaś kobieta. Duch jej nie zna już czasu, przestrzeni. Przywieje do tej lśniącej od światła sali i nagi — bezbarwny dyszeć będzie ciężko, łkać, jęczeć — po strunach innych dusz drgać ostatnią skargą.

Dokoła — wyprostowane siedzą postacie ludzkie — sznurem jeszcze dążą inni do swych miejsc. Nad nimi wiszą grona złotych światła i mieszają się ciemno-zielone draperye. Jest to jakby grota lodowa, w której cudem rozkwitły złote jagody, okryte ciemnymi liśćmi winogrodu. Ruchoma fala ludzka zaległa jej dno. I szemrzają i kołyszą się z gracyą istot, mających kulturę gestów i dźwięków głosu. Zwłaszcza kobiety w tem falowaniu niosą swą siłę wdzięku i piękna. — Przeważa puch piór i futer. Z tych fal wynurzają się szyje, odkryte przez wysokie podniesienie włosów. Raski ciemne, jasne — falowane kryją czaszki. Płynie z nich woń, ta sama, co z tych boć, które tak pokornie szyje im pieśczęć delikatnem, ciepłem dotknięciem.

Adam patrzy, jak setki rąk, obciążonych białą skórą — w bezmyślnym geście uderzają jedna o drugą. — Nie jest to nawet ten wykwit ludzkiej dobroci, która każe uprzyjemnić jakiejś istocie choćby jedną chwilę — nie jest to odruch szafu krwi podniecone, ani potrzeba okazania wdzięczności za doznane wrażenia — jest to jakiś zgóry umówiony ruch pędu tłumu, który mimowoli zatracą swą indywidualność i przybiera ogólną cechę najwygodniejszą i najłatwiejszą do wykonania.

— Jak one wszystkie podobne do siebie... — myśli Adam.

— A jak niepodobne do moich dziewcząt Fra Filippa i do kasztelanki, idącej ku rzędowni dzid złotych, i do...

Trzy cienie przemknęły jakby po sali. Były czarne — wiotkie. — Miały opuszczone ręce, dusze w nich jakby marły z wycieńczenia.

— I do nich...

Tak dokończyły jego myśli.

Skrzypce już rozwiałły się masą tonów jakiejś kunsztownej sonaty.

— To nie dla mnie, nie moja muzyka... — myśli Adam — moja przyjdzie. Dusza, która za chwilę tu konać będzie, jeszcze trzyma się nici życiowych.

Kobiety zaczynają się już nudzić. Prędko — ale tak bywa. — Ten na estradzie nie jest zbyt piękny. Ma pozór parobka. Osadziły go prędko. — Tem bardziej, że w tej chwili jest tylko wirtuozem. Popisuje się przed niemi ilością przegranych w życiu ćwiczeń. Nic im nerwów ani duszy nie targa. — Są to wrażenia czysto zewnętrzne. A więc się nudzą w swych futrach i piórach, które im tak delikatnie pieścżą szyje.

Adam, odziany nie wytwornie ale wystarczająco, stoi na tle białego filaru i odcina się tak samotnie, wyróżniając się wśród tłumu. Nie jest na estradzie, nie popisuje się „sprawnością techniczną“ — ale jest młody, jest smukły — ma śliczne drobne usta, proste rysy i duże, marzące oczy. — To ma jeszcze ten czar romantyzmu, który zawsze będzie miał wdzięk niepokonany w otoczeniu dekadentkich, chorobliwych istot, kryjących w udaniu arystokracji duchowej — bankructwo swe życiowe. I dlatego powoli — w stronę Adama, w posyłki, jak gołębie — płynąć zaczynają wejrzenia kobiet, przyćmione rzesami i udaną lub prawdziwą pruderyą.

Jak łabędzie swe szyje w słoneczną smugę, tak i one wynurzają swe szyje z obramowania puchów, a twarze ich przygaszone pudrem zwracają się w stronę Adama.

On — już na nie nie patrzy, ręce skrzyżował na piersi — spokojny i nieruchomy. Wie — i czuje siebie małym, drobnym, nic nieznaczącym zewnątrz, i stara się zabrać jak najmniej miejsca, aby w ten sposób ocalić swój wewnętrzny świat od zniszczenia przez niebaczone jakieś, brutalne a niespodziewane fakty życiowe.

— Nie mogę dać nic nikomu z siebie — myśli, — nie chcę przyjmować nic od drugih. Kiedyś... gdy będę tak duchowo usposobiony i bogaty, że będę mógł czynić innych szczęśliwymi — stanę się śmielszym, wiedząc, że

nie pozostań dłużnym. Dziś — muszę pozostać na uboczu...

A przecież kobiety patrzą na Adama, i to z upodobaniem. — Sonata ma się ku końcowi — smyczek tryumfalne tony wyrzuca w powietrze. Za chwilę — ucicha.

I znów setki rąk identycznym gestem szeleszczą brawami. — Wirtuoz ze skrzypcami pod pachą kłania się. Na smyczku błyszczący przepyszny brylant, na pierśsiach dzwonią orderzy.

— Dusza konająca... gdzie ta smutna dusza — myśli Adam.

I oto jest...

Przywiała.

Ach! pod lodową grotę, gdzie zwisają złote grona światła, okryte ciemną zielenią.

Ach! nad głowy tłumy, który nagle znieruchomiał, skarłał, zeszytniał w liniach rozmodlonych pielgrzymów.

Ach!... obok serc, które drżą trwogą śmierci swojej i tych, z którymi nici ich życia związane są każdym nerwem i każdym przejawem ich ducha.

Ach! i ponad ciałami ich, z których każde, choćby śniegiem i kaliną wdzięczyło się pięknu — ma w sobie zaród śmierci.

Ach! i nad melancholią bezdenną ich czynów dobrych i złych, z których każdy nosi w sobie ukryte piętno bezsilności wobec mocy przeznaczenia.

Po nad tem wszystkim — rozwiała się pieśń pożegnania — pieśń rozpląnięcia się w nicości lub w początku rzeczywistego Bytu, pieśń rozwichrzona rozpaczą za tem, co było, i trwogą przed tem, co będzie...

I ta pieśń nie była różną dla każdego zgonu. — To była pieśń jedna dla wszystkich zgonów — bo śmierć jest jedną... bo każdy z nas jednako umiera. I w tej sali tak jasno oświetlonej, tak przepojonej zapachem kwiatów i kobiet, każdy z tych ludzi przeżywał śmierć swoją, i konał, i lękał się — i jeszcze słabem tchnieniem zdawał się mówić:

— Jeszcze jestem!

Adam oczy w grającego wbił. — Brylant na smyczku migotał gwiazdą w przestrzeni. Ten człowiek był w tej

chwili piękny i oczy jego piły z powietrza agonię rozżekanej duszy.

W tej chwili kobiety konały z nim i kochały go. — Ze strun ich siły życiowej zdały się być skręcone struny jego skrzypiec. Brylant miał odbłask ich łez, tych łez, które zastęgać będą w kątach ich źrenic cudownych.

Powiało grozą — trumną — konaniem. Rozżekała się rozpacz rozstań rodzinnych lub śmierci samotnych. W oddali zajęczał puszczyk, stróż opuszczonych katakumb, zaświeciła lampa podziemnej kaplicy...

Nagle — Adam uczuł, że ktoś na niego patrzy.

I musiała być ogromna siła tego wzroku, skoro zdołała wyrwać go z koła, które muzyka zataczała. A może i w tym wzroku tkwiła część tej śmiertelnej harmonii, bo Adam sam nie wiedział, czy było to kontrastowe wrażenie, czy właśnie dopełnienie poprzedniej sensacji.

Odwrocił się powoli — i pozostał już tak nieruchomy, nagle pobladły — z rysami twarzy jakby wyciągniętymi i zaostrzonymi nagłym przestraczeniem.

O kilka rzędów krzesel — tam, gdzie rozłaczało się puste miejsce niezajętych foteli — siedziała obecnie para ludzi.

Kobieta i mężczyzna.

Ona było rozwianiem gaz nieuchwytnego koloru, jakichś pastelów, narzuconych siatką koronek. — Cała była zresztą delikatna i blada w kolorze. Tylko włosy jej były czarne, tą prawie niezdrową czarnością, która aż boli tych, którzy się w nią wpatrują. — Zdaje się bowiem, że te włosy wypłyły z ciała wszystkich cień, i pozostały smutną, jednostajną, żółtawą biel pergaminu.

Kobieta była tak białą i tak czarną.

Rzec można było o niej, że jest to symfonia „en blanc et noir“. — Oczy, ogromne duże plamy, czerniały także zdaleka. — Oczy te wbite w tej chwili w Adama zdawały się przenikać go do głębi...

Była to kobieta o dwóch cieniach. Adam poznał ją natychmiast. Nie twarz go uderzyła, lecz jej wyraz. I w tej chwili zdawało się, że kobieta owa chce coś mu powiedzieć, co uderza go tak silnie, iż znieść nie jest w stanie. Nie była to prośba, nie było to wyłomaczenie, to był jakiś rozkaz, który posyłką leciał...

Muzyka cichła, konała. — Jeszcze się zrywał jeden jęk... jedno „jestem jeszcze!...“

I z czarnych oczów kobiety wypływało spojrzenie — „jestem jeszcze... żyję“...

Adam oddychał ciężko. Sala znikła mu z przed oczów. Nie marzył o spotkaniu nieznajomej, a już najmniej o spotkaniu jej w koncertowej sali. Łączył ją z wrażeniem tragicznej jakiejś grozy niedosłego samobójstwa, rozwianych szat żałobnych, pomykających za nią cieniów.

Ma ją przed sobą, patrzy na niego uparcie i w tych oczach, które widział przez sople łez — migoce coś dziwnego... coś, jakby nienawiść, jakby jakieś zuchwałe wyzwanie.

Szykownie gazami i białą rękawiczek ubrane ręce złożone ma na kolanach. Bawią się wiązką kwiatów różowych. Nie mają w sobie ani śladu owego opuszczenia fatalnego, którym wczoraj znaczyły swe zgnębienie...

A przecież to... ona — nikt inny, tylko ona!

— Kobiety zabijają się, lub usiłują się zabić... — dlaczego — myśli Adam — dlaczego...

Teraz — nie wie! nie wie już nic.

Tamta wlokąca się tuż obok linii szyn tramwajowych — mogła chcieć umrzeć dla jakiejś wielkiej idei zniszczonej, dla melancholii, wynikłej z pastwić się nad nią losu — z pogardy wreszcie dla czynów swoich — lecz ta...

Ile w niej zuchwałej energii! Oto — teraz oderwała od niego oczy i patrzy po całym zgromadzeniu. Kąciki jej ust opadły ku dołowi.

Jest śliczna ale zarazem nieprzenikniona. Rzecby można chwila, iż walczy ze sobą, ażeby się nie dać opanować wzruszeniu, które wywołuje muzyka. — Ma pozór istoty żywej, która nienawidzi śmierć, odpycha myśl o niej... — Wreszcie jedno jeszcze westchnienie skrzypiec i następuje wielka cisza.

Była to próba konania. Dusza pasowała się z tą mocą przeogromną. — Życie zwyciężyło. Lica kobiet rumienia się, usta oddychają z ulgą. — Mężczyźni pochylają się ku nim. Jak dobrze jest żyć, gdy było się u skraju grobu.

Kobieta spowita w gazy jedną sekundę patrzy z pogardą po tych ludziach, którym tak śpieszno powrócić z nad brzegów grobu. — Ona zdaje się już coś więcej wiedzieć. Ich zaprowadził duch pieśni ponad ich mogiły. Ona tam poszła dobrowolnie. Czarne jej oczy mają hart

stali. Patrzy i kieruje ku sobie spojrzenia. Adam widzi, że niemal wszyscy usiłują ją dojrzeć, że pokazują ją sobie. — Z łatwością rozbawionych papug, już wracają do drobiazgów rzeczywistych.

Piękna kobieta, blada w swych gazach zajmuje ich obecnie. — Nie czują nawet, jak są wobec niej brzydki i śmieszni — myśli Adam — ona jest jeszcze dalszym ciągiem tej śmiertelnej pieśni...

Jest jakby śmiercią samą.

I tem mu jest dziwną, i tem mu jest niepojętą. A przecież zaczyna w niej powoli odnajdywać tę samą, która wczoraj odepchnęła go rozpaczliwym gestem, uciekając w ciemnicę. Przed chwilą, gdy patrzył na nią, jak ten, który ją poznał, który posiadał jej wielką, straszną tajemnicę — odepchnęła go wzrokiem prawie nienawistnym.

Tym samym wzrokiem odpycha od siebie spojrzenia tłumy. Co więcej, prostuje się, podnosi głowę — zagryza usta. — Nieopisana ironia wykwita jej na wargi.

I pochyla się do swego towarzysza...

Zaczyna z nim mówić.

Białe perły zębów błyskają z pomiędzy bladych ust —

Śmieje się — śmieje się jakoś przykro, nieszczerze, wyzywająco...

Adam, który jeden może wie, jak ta kobieta płacze, doznaje jakiejś dumy.

— Patrzenie na nią... podziwianie, jak ona się śmieje. Ja błądłem pod wrażeniem jej łez...

Towarzyszący jej mężczyzna, rosły — rasowy — trochę łysy — odziany w najnowszy kroju suknie, pochylił głowę...

Słucha, co ona mówi, patrzy na gazy, osłaniające jej ciało, patrzy na różowe gwoźdźniki, pokrywające jej kolana. — Ma niedużą brodę trochę siwiejącą i oczy o białkach krwią nabiegłych.

Z estrady w szalonym tempie biegnie hiszpański walc. Karkołomne igrzysko kłownowskie.

Rozplakane struny zgrzytają śmiechem roznamienionych hiszpanek, potrząsających pomarańczową draperią szali i bijących o ziemię obcasami pantofli.

Oczy kobiety o dwóch cieniach — przystania coś nakształt namiętności. Patrzy na swego towarzysza. Jest blada, jak poprzednio, a przecież coś w niej płonie.

Może — udaje...

Może ona, jak te skrzypce. Wczoraj lkała rozpaczliwie w obliczu śmierci, w tej chwili błyska perłami zębów ludzkiej głupocie i oczom w nią wpatrzonym.

Kto wie — może jak te skrzypce.

Gra na nich ich władca. Biedne skrzypce muszą...
A kobieta?

Tak myśli Adam. Sam nie wie, dlaczego chce znaleźć jakieś wytłomaczenie dla jej śmiechu.

To głupie... bo w gruncie rzeczy...

Stał przed nim młody sekretarz. Jest zadowolony ze siebie, ze swych wąsów, ze swego fraka i z tego, że inni są zadowoleni. Ma nadzwyczaj gładkie obojście i dużo miejsca pustego w głowie. Ale on znajduje, że to „przewrotnie...” — I bardzo mu z tem dobrze.

Stał, słucha walca, oczy mu się śmieją — spotkał niemi postać Nieznajomej.

— Tiens!... zdarzenie dnia... przyszła.

Dostrzegła, iż Adam patrzy także w tym kierunku.

— Wcale niczego — tylko błada.

Adam chce go spytać — znasz ją? Kto to? Ale mu słowa więzną w gardle. Żał mu stracić urok tajemniczy. Dowi się, że to jest pani lub panna X — pozna jej stan cywilny — posłyszysz jedną, drugą plotkę.

I to o kobiecie, za którą szły dwa czarne cienie — jeden jej siostra bliźnia, drugi, jak anioł, wielkie, rozwiwny, przejrzysty...

Lecz sekretarz już gdzieindziej błądzi oczyma. Radby wybijał takt walca obcasami — tak coś z hiszpańska.

— Muszę kiedyś pojechać do Hiszpanii — oznajmia, śmiejąc się już do tego projektu.

Walc się kończy, oklaski — krzyki...

Kobieta w gazach powstaje, jakby pociągając za sobą towarzysza. — Inni jeszcze siedzą. Czekają od artysty jałmużny naddatków. Ona kieruje się ku wyjściu. Idąc śmieje się ciągle, szepcząc coś do mężczyzny i rzucając mu słowa przez ramię. Profil jej wtedy rysuje się czarująco. Czyste linie nosa i czoła mogą wprawić w zdumienie klasyka. Tylko usta, rozwarłe jakimś niedobrym, zmysłowym uśmiechem, brutalnie niszczą złudzenie świętości. Adam aż oczy przymyka, aby tych ust nie widzieć.

— „Kobiety zabijają się jedynie z miłości...”

Tak, tak — takie usta mogą zapragnąć miłości i śmierci. Dyszą niemi, przepojone, jak owoc spragniony wieczornego chłodu.

Takie właśnie usta!... Jedynie miłość, która do szalu i śmierci prowadzi. Adamowi robi się bardzo smutno.

Dlaczego widział tę kobietę śmiejącą się i to tak właśnie!

Była różnica pomiędzy jej śmiechem a śmiechem przeciętnej kobiety, ale raczej na jej, według niego, niekorzyść.

Bo te kąciaki ust, które opadały w uśmiechu, miały coś drapieżnego, odsłaniały kły...

Tamte śmiały się szczerzej, jakby pod drzewami rozpasał się nagle korowód spragnionych nimf — tańczących płasy miłosne.

Ona — śmiała się... nie śmiejąc.

Coś było gorszego, bardziej straszniejszego...

Gdy Adam odsłonił powieki — już jej w sali nie było.

Wiele jednak osób patrzyło za nią. — Szeptano, mężczyźni się uśmiechali po swojemu.

— Afiszuje się... choć...

To był szept małego sekretarza.

I znów urwał, za co mu Adam był serdecznie wdzięczny.

Rozległ się jeszcze jeden „taniec hiszpański“ w podzięce za oklaski. Załopotały kastaniety — rozgorzało południowe słońce.

— Olle! olli!...

— Muszę jechać do Hiszpanii — postanawiał ładny sekretarz.

Adam stał wciąż, jak przykuty, pomimo, że chciał uciec z tej sali, — która miała pozory lodowej groty, a gorzała w tej chwili namietnością południa.

Lecz lękał się spotkać jeszcze z Nieznajomą i widzieć jej śmiech, który odsłaniał drobne, białe kły.

Bo — kobiety zabijają się jedynie z miłości...

Kobiety, które się tak śmieją...

IV.

— „a ja ci mówię, mój kochany siostrzeńcze, że ten rok pański będzie wyjątkowo fatalny. Susza pozba-

wiła nas paszy i oto będę zmuszony wyzbyć się dwóch krów, a kto wie może, i pary moich biednych, starych koni. Dopust to Boży, należy go przyjąć bez szemrania, tembardziej, że...

Adam list złożył. Rozpachła się przed nim cała leżnia krasa małej plebanii w Nowo-Sądeckiej ziemi. — Tak niedawno wchłaniał w siebie ten żar złoty, pełen pyłów kwiatowych i brzęku pracujących pszczół.

— Dopust to Boży... należy go przyjąć bez szemrania...

Ten żar ciszą przepojony — świetlany, w którym kąpał swą żalobę z taką rozkoszą, był raczej plagą, za którą pokutować miały inne istoty.

To ostatnie rygorozum miało jakieś łatum ciężące nad sobą. — Jakże wobec takiego listu przyjmować dalej te „z pod serca“ — przysyłane pieniądze.

— Ojciec mój był lekkomyślny — przesuwa się mu przez umysł.

I on coś ma z natury ojca. Nie traci dobrowolnie tych drobiazgów, tej nędznej okruszyny, jaką mu los wydziela — ale — rozplywa mu się to w rękach. Nie potrafi liczyć. Czasem zarobi lekcyami, czasem jakimś przekładem i to natychmiast gdzieś zniknie. Dziecięcą ma naturę — nie może się wżyć w to, iż istnieje jutro głodne i zimne. — Ogarnęła go ogromna melancholia. Życie przewalało się połączonymi falami dokoła niego. Czuli to, choć zdawało mu się, iż nie brał w tem udziału. Utykał na drobnostkach i zacieśniał się w nich. — Wyrzucał sobie jakby popełnienie grzechu, iż nie biegnie z szarpającą się gwałtownie masą naprzód i w tem nie ginie, tylko powoli dąży zamknięty w swych złudzeniach.

— Nic nie wiem, niczem nie jestem...

Dzisiejszego ranka list wuja spadł nań i zasępił go.

— Jakże przyjmować dalej? — myślał — należy odłożyć rygorozum — zarobić gdzieś... ale jak? — Może prywatne sanatorium... może jaka tymczasowa posada...

Nie chciał zwracać się do profesorów. Razili jego naturę cichą i melancholijną. — Mówili zbyt głośno, chodzili zbyt pewnie, mieli sposób chwytania narzędzi i zabierania się do operacji, który bolał go poprostu. Nigdy nie mógł pogodzić się ze sposobem klinicznym traktowania chorych. — Ten wzrok profesorski, rzucony ostro z góry na rozciągniętego na stole pacjenta, przebiegał jego ludzkie uczucia fatalnem wrażeniem. Połyskał zimno, jak

wybornie wygotowane narzędzia, rozłożone za szkłem biało lakierowanych szafek.

W strwożonych oczach chorego błysk ten nabierał wrogiego odczucia. I płynął prąd nienawiści chwilowej — strasznej, bo w obliczu śmierci.

Adam te spojrzenia zbierał i odczuwał. Przez to nie mógł iść z chorą swą duszą do ludzi, którzy ból fizyczny drugich kopali chłodem i obojętnością. Lękał się, iż społka się ze wzrokiem wyniosłym, „z góry“, podczas gdy on rozciągnięty będzie na szafocie szczerości. I lękał się jeszcze więcej tych bezwiednych prądów nienawiści, które wtedy ich oczy ze sobą zamieniają.

Ktoś zastukał do drzwi.

— Proszę!

U progu stała Minzowa. Odziana była w jakieś spłowiały szlafrok. — Trzymała w ręku tackę z herbatą.

— Przynoszę śniadanie.

— Dziękuję.

Wziął od niej tackę — ona wszakże nie odchodziła. Błędami oczami wodziła po nagich ścianach pokoiku.

— Muszę panu dać do okna firanki... — wyrzekła wreszcie, stojąc ciągle we drzwiach otwartych.

— To niepotrzebne.

— Zawsze, będzie ładniej.

Czekał, aby odeszła. Chciał pozostać sam. Wspomnienie Nieznajomej zdawało się razem z tą kobietą narzucać jego mózgowi. — Odpychał je.

— Kobiety zabijają się jedynie...

Minzowa mętnymi źrenicami wciąż błędziła po ścianach.

— Wie pan... — zaczęła — ja dziś znów nie spałam.

— Tak, słyszałem. Czy chce pani jakie proszki usypiające?

Wzruszyła ramionami.

— To się na nic nie zda... — wyrzekła posępnie.

— Dlaczego?... czy pani próbowała?...

— Nie — nie.

Zawahała się.

— Ale... widzi pan, są czasem takie myśli, które są silniejsze, niż wszystkie proszki... Takie myśli...

Zbliżył się ku niej, jakby pociągnięty tą głębią, która zaczynała mu się odkrywać.

— A czy one dręczą panią, te myśli?... — zapytał.
Zakryła oczy ręką.

— Tak... bardzo.

Adam przypomniał sobie to, co o Minzach mówiono.

— Czy niepodobna naprawić? — zapytał z cicha.
Milczenie.

— Pani mnie rozumie?...

Minzowa oderwała rękę od twarzy. Widoczne było, iż walczyła z sobą. Wreszcie rzuciła.

— Pan mnie się pytał... dlaczego kobiety odbierają sobie życie — ja powiedziałam z miłości... ale — ha! ha!...

Zaczęła się śmiać.

Łkanie było w tym śmiechu.

— Ale?...

— Nic, nic. Ja już pójdę...

Otarła oczy, twarz.

— Nic panu nie trzeba?

— Nic. Ale niech pani zostanie — pomówi chwilę.

— Nic, nic... mąż się obudzi!

Odeszła, zamykając drzwi cicho.

Adam poczuł, jakby chłód powiał po pokoju, pomimo, że z białego, jesiennego nieba płynął do pokoju prześliczny blask.

— Mówią, że ich pieniądze są skradzione — myślał — tak mówią — on wszakże jest spokojny, dlaczego ona cierpi? Czy kobiety bardziej i silniej czują duchowe rozterki, jak mężczyźni?

Jednocześnie jednak zrodziła się w nim myśl inna.

— Dowodzić to tylko może — iż — tradycje własnościowe silniej ośwładnęły kobietą, jako istotą słabszą i bardziej impulsywną... Minz już poszedł krok naprzód — uważa się za właściciela tego, co posiadał, nie zważając, w jaki sposób.

Rozumował tak, jakby chciał się zagłuszyć i myśli inne z siebie wypłenić. — Błada twarz, okolona czarnymi włosami, uśmiech niemal zwierzęcy i anielski zakrój górnej części twarzy wypełniły jego wspomnienia.

— Kto ona? — już zaczął myśleć — w jakim obraca się świecie? ubrana dostatnio, ruchy inteligentne, kulturalne. Kto był ten mężczyzna — miał wygląd człowieka, który przechodzi obok troski życia...

Zasmucił się.

— Ten nie cierpi z pewnością nad tem, że musi przyjmować zasiłek trzydziestu guldenów, oszczędzonych w plebanii, z której dachu cieknie, a ganek lata się z roku na rok...

Ten wzrok stalowy kobiety odczuwać zaczął tak, jak wczoraj w sali koncertowej.

— Ona inaczej patrzyła na mnie, inaczej na niego.

Tak patrzą na chorego profesorowie, gdy leży zdany na ich łaskę i niełaskę. — Myją ręce i patrzą... patrzą... oglądają narzędzia i patrzą podwójnym wzrokiem... Stał, chłód — nienawiść...

Odział się i wyrzekł:

— Muszę poszukać możliwości życia — paszy... skoro nas słońce jej pozbawiło... Mnie, bydlę wuja... może pocziwe stare konie...

Nie znał nigdy goryczy takiego usposobienia. Bolało go, a przecież podniecał się coraz więcej.

— Ilu tu jeszcze dziś biegnie szukać tak paszy, jak ja w tej chwili! Każdy z nas ma jakąś tragedię ukrytą... i niesie się z taką troską, aby jej kto nie potracił, nie zniszczył...

Zastanowił się.

— Jaką ona miała tragedię? — nie dowiem się nigdy!

Doszedł do szpitala.

Dźwigało się to wielkie, zimne, nieprzytulne. — Przez oddział oftalmiczny szedł właśnie jeden z tych, których mieli za co przygotować się do rygorozów i dla których susza była obojętną.

— Jak się macie?

— Dobrze!

Adam patrzył na jego twarz rozjaśnioną, zdrową — na małe wąsy zakrecone do góry. Modlicki był dobrym kolegą. Lubiano go. Ojca miał bogatego. Koftun był koronny, ale serdecznością rozbrajał. Gotował się na lekarza specjalnego bogatych koftunów. Karlsbad, Vichy — dla ustępstwa Truskawiec...

Kopnął jakieś nosze o zardzewiałych kółkach, które sterczały w kacie.

— Po co to na kurytarzu?...

Jakiś posługacz, zmieniający spluwaczkę, spojrział na niego z podejba. — Modlicki był gościem, nie miał prawa wydawać rozkazów.

— Możebyście przejechali się na wieś? — zapytał nagle Adama.

— Jakto rozumiecie?

— A no, na jakie dwa, trzy miesiące... Jest coś do objęcia... mnie się nie chce. Wesling potrzebuje asystenta, a potem trzeba tam zostać. Zapłaca... no? jakże?...

Adam zmieszał się, tak go ten zbieg faktów przejął do głębi. Zdawało mu się, iż los go zaprowadził za rękę, jakby małe dziecko, i postawił przy stole nakrytym jadłem. Nigdy jeszcze nie złożyło się coś tak po jego myśli, jak w tej chwili.

— Musiałem pragnąć bardzo gorąco... — pomyślał.

— No i cóż postanowicie? Wesling nie jest miły, ale mieć go będziecie na karku dwa dni najwyżej. Potem zostaniecie sami.

— Chętnie. Tylko...

— Co? co? macie skrupuły? Jeżeli Wesling was bierze, to już bądźcie spokojni. Ja przecież byłem w sanatorium u Drzewińskiego rok cały, mając dwa rygora... Plujcie na resztę. Pięćdziesiąt fajgli i utrzymanie. Możecie uciąć romansik... To u Renierowej. — Wiecie — w Góranówce. — Nie znacie? — No — no. — Zresztą mniejsza. Chodźcie. Wesling jest gdzieś na górze. Stosuje sztuczne oddychanie... ktoś tam otruty fosforem... Jakaś sługa. — Zaraz pomówimy!

Przechodząc kopnął znów nosze.

— Po dyabła to na kurytarzu!...

Szli po wschodach kamiennych, startych tak, że z trudnością stopy się na nich trzymały. Cisza była zupełna. — Cisza i osamotnienie. — Raz tylko przemknęła się Siostra Miłosierdzia, ukryta w skrzydłach swego stroju. — Otworzyła jakąś szafę i zginęła za jej drzwiami.

Na drugim piętrze dwie kobiety, odziane w strój szpitalny, siedziały na oknie rozmawiając. Postacie ich opromienione były blaskiem jesiennym. Jedna z nich miała śliczne rude, rozwichrzone włosy.

— Napadła na mnie za to, że na noc zawinęłam sobie papiloty... no, moja pani! słyszane to rzeczy... — mówiła ruda.

— Właśnie — co jej do tego...

— Przecież pacierz zmówiłam, a że o te papiloty...

Umilkły, widząc nadchodzących mężczyzn. Odwrócili się od okna i zaczęły patrzeć na dziedziniec, na którym złociły się ogromne drzewa.

— Gdzie profesor Wesling? — zapytał Modlicki — nie mogą mi panie powiedzieć?

Ruda odwróciła głowę i spojrzała przez ramię.

— Dmucha powietrze w tę, co się struła — odparła i równocześnie uśmiech rozjaśnił jej usta.

Adam aż drgnął.

Był to ten sam uśmiech, jaki miała na twarzy jego Nieznajoma pod takt hiszpańskiego walca. Małe białe kły zabłyśły.

Modlicki uśmiech ten obojętnie przyjął.

— Zaczekajcie tu na mnie! — wyrzekł do Adama — schwyć go w przelocie i objaśnię, przyjdziecie na gotowe...

Wyszedł szybko, rozwiewając poły paltła. Ten bił nogami flisy kurytarza z impetem i siłą. Czuć było, iż się nie skrada, ale idzie przez życie.

Adam pozostał obok siedzących na oknie kobiet. Oddalił się od nich natychmiast. Lękał się dojrzeć po raz drugi owe białe kły w ustach rudej dziewczyny.

Czekał niedługo. Zaszemrało przy drzwiach, prowadzących do sali chorób wewnętrznych, i wyszedł z nich profesor w asystencji dwóch młodych ludzi i Modlickiego. — Był to słuszny, przystojny mężczyzna. Trzymał się prosto, zadzierał głowę do góry i patrzył ciągle przed siebie. Zdawało się, iż po bokach świat dla niego nie istnieje, tylko to, co przed nim — i naturalnie on sam. — Włosy mu już siwiały. Był to człowiek bez uśmiechu. Usta miał wykrojone na powagę. Odzienie miał dostatnie i dorobek życiowy również. To było widoczne, bo niósł go z pompą, jak monstrancję — przed sobą.

Gdy wszedł na kurytarz, wypełnił go sobą i swoim blaskiem. Adam widział tylko jego wzrok, ten z góry na dół, który znał dobrze — wzrok z pod przystłoniętych rzęs.

Oczy profesora spotkały w ten sposób wejrzenie Adama. I zdawało mu się, że leży na stole w sali operacyjnej, w sali białej o podłodze gumowej, zlanej świeżo rozczyntem sublimatu.

Poza profesorem szedł Modlicki. Miał minę drwiącą — lecz zdawał się być cieniem Weslinga. Już niósł przed sobą swój dorobek i siebie po równo wytłoczonej ścieżce, która nawet dla niego była Prawdą. Szli obaj, jak kłownowie po linie. Drżało to pod nimi, lecz obaj usiłowali przybrać gesta i miny ludzi, którzy idą po pewnej i odpowiedniej podstawie. — Lina była wzniesiona wyżej nad przeciętny teren i niosła korzyści.

Wesling na końcu kurytarza dostrzegł sylwetki sie-

dzących na oknie kobiet. One powstały i teraz stały pod ścianą wyprostowane, jakby złowione na gorącym uczynku. Przeszedł mimo nich nieprzyjaźnie.

Ruda dziewczyna zemściła się natychmiast, pokazując na całą grupę język. Druga aż wpakowała kulak w usta, aby nie wybuchnąć śmiechem. Lecz spoważniały nagle i znów uczepiły się okna ruchem uwieczionych małpek.

— Więc to pan? — zapytał nagle Adama, stojąc na chwilę tuż przy nim — dobrze, dobrze nie mam nic przeciw temu... operacji zdaje się nie będzie... Proszę być o czwartej na dworcu — służący mój powiezie narzędzia — nie trzeba się o nic troszczyć. Może trochę dermatolu, nic więcej.

Poszedł dalej. Już jeden z asystentów otwierał drzwi następnej sali. Z poza szafy wyrzała zakonnica jakby strwożona i nagle pobiegła za znikającą we drzwiach grupą. Rozwianie się jej kornetu wypełniło korytarz jakby lotem gołębic skrzydeł i chłodną dobrocią.

Modlicki ujął Adama pod rękę.

— Chodź! sprawa załatwiona. Masz bieliznę? kuferek podróżny? Jeśli nie, to ci pożyczę.

— Mam!

Zeszli po schodach. Natknęli się na jakiegoś chłopca, który niósł na rękach dużą dziewczynę. — Za nim szli posługacze. Nie pozwolił położyć córki na nosze. Woskowa twarz chorej zwieszała się na piersiach, okrytych kożuchem. Po nad nią — strokana, poczerniała brudami twarz chłopca.

Minęli grupę smutną, złączoną bogactwem uczucia i nędzą życiową.

Gdy wyszli na ulicę, Modlicki śmiać się zaczął.

— No... jednego ci nie zazdroszczę — to przebywanie ciągle z Weslingiem. Wykrochmalona bestya...

I przez zęby:

— Stary piernik!

Adam wzruszył ramionami.

— Ach! on sobie, ja sobie.

— Tak — ale zawsze, trzeba mu basować, a to dyabli wziąć mogą — tak znudzi.

Wyjął z kieszeni fotografię w formacie wizytowym i zaczął się jej przyglądać.

— Patrz, jaką ma tu inteligentną mordę!

Adam dostrzegł na fotografii twarz Weslinga.

— Po co ci to?

— Każę powiększyć.

— ?...

— A no — instaluję się przecież. Zawieszę w gabinecie jego portret — niby uważasz jako ulubiony uczeń... Co?... dobrze obmyślane. Hi! hi!... A to nadęty pecherz!...

Patrzył chwilę na fotografię, śmiejąc się prawdziwie i szczerze.

Adama porwał także śmiech nerwowy.

— Dobry jesteś...

— Pewnie.

Szli dalej rozweseleni. Szpital dwoma skrzydłami ich zagarniał ku sobie. Chwilę zdawało się, że są zamknięci w jakimś kole.

Na lewo — pod zakratowanym otwartym oknem stały dwie kobiety. Rozmawiały z jakąś chorą, przylepioną do krat.

Jedna ze stojących na ulicy biadała.

— Ona chce już wyjść... nie chcą jej puścić!...

A ta z za krat podszłochiwała.

— A no... a no...

Modlicki natychmiast na nie napadł.

— Co to za rozmowa na ulicy? precz!...

Kobiety rozbiegły się, jak stado kur. Okno zamknęło się z trzaskiem. Tylko kraty białeły. — Kobiety stanęły nieruchomo na tle krzaków skweru i z nienawiścią patrzyły na idących studentów. Były nędzne i ledwo odziane. — Jesienne liście leciały na nie, jak złote ptaki, a słońce olśniewające blaskiem wydobywało na jaw zmęczone ich rysy.

Poza kratami migąła plamą blada twarz chorej i jej oczy wpadnięte, straszne, pełne tragicznej chęci swobody — oczy pantery, zamkniętej w klatce menażeryi. Oczy te śledziły złoto liści, blask słońca, przestrzeń nieokrąwaną i buntiem miłości do życia rwały się w świat — po nowe nędze i cierpienia.

Z ust Adama spłoszył się uśmiech.

Pomyślał — iż człowiek jest dziwną istotą, a zwłaszcza kobieta. Nigdy jej cierpień za mało. Nawet za szczęściem tak nie goni, jak za tem, co przynosi jej tragiczną kolidację życiową.

Łzy oschły...

Gdzie źródło nowych łez?

Przez pustynne, samotne, wycieńczające obszary, przez ścieżki pełne cierni, przez kłęby drzemiących, jadomych gadzin, przez chmury, orane wstęgami błyskawic... do źródła nowych łez!...

Biegnie, gna, spieszy się — pada i znów się dźwiga. Błada twarz z poza krat błyska, oczy pożądlwie szukają czegoś w przestrzeni.

Czego?...

Tragedyi swego życia!...

I oto — cała kobieta.

V.

Kłęby kurzu... kurzu... kurzu... Z pod kopyt czwórki zaprzęzonej w lejc, z pod kół powozu, jakby morze spienione, tak wali się ów kurz, piasek delikatny i sypki. Wszystko przybiera jego barwę. I płaszcz Weslinga, i palto Adama, i plecy siedzącego na koźle starego stangreta. Zady końskie szare, ich ogony za każdym poruszeniem wzbijają słupy kurzu.

— Coś skandalicznego!... — mówi Wesling.

Jego dobry humor i łaskawość, któremi obdarzał przez drogę Adama — nikną. Siedzi zły i napuszony. Ten kurz wywołuje w nim uczucie, jak gdyby ktoś mu uchybiał.

— Coś skandalicznego!...

Ruchem ręki dotyka łaską pleców stangreta.

— A stańże, kochanie!... człowiek oślepi — odechnąć musi.

Stary, odziany w jakiś zniszczony chałat z galonem, zatrzymuje czwórkę. Stanęli na polu. — Na prawo i lewo przerażająca płaszczyzna. I nic, tylko zżęte ścierniska, po których skaczą wrony.

Wesling ociera oczy.

— Nie... coś podobnego!...

Adam patrzy na te równie i ogarnia go jakiś lęk. To południe sennie, — jakby mdlało wszystko w naturze — zwiesza się nieokreśloną melancholią nad bezkresem ziemi. Szare, dalsze plany zlewają się z białą horyzontu. I tylko w oddali widać szereg czarnych sylwetek topól — jakby rząd zapomnianych żołnierzy skamienia w oczekiwaniu zaginionego bez śladu dowódcy...

Adamowi zdaje się, że cała ta ziemia nie należy do

nikogo, że jest ona bez pana, bez tych, którzy ssać z niej soki mają prawo — że rozpostarła się, jak ptak, znużony ogromem szarych skrzydeł. — Pióra opadły, i sterczy teraz trochę resztek jakiegoś dawnego pokrycia, które barwą ciepłą i żywą niebu się kiedyś śmiało.

— Kochanie... — mówi profesor, powstając w powozie i strzepując z płaszcza tumany kurzu — kochanie, czy my jeszcze daleko tak jechać będziemy?

„Kochanie“ — odwraca twarz równie szarą i niewyraźną, jak okrycie, które jego grzbiet zgarbiony pokrywa. Jest to stary, schorowany człowiek, o wyschłej twarzy mumii, zakonserwowanej w piaszczystym gruncie.

— A proszę jaśnie pana... to tam!

Biczem pokazuje rzędy topól.

Wesling wydobywa nagle z siebie zapas rezygnacyi.

— Ha... to jedźmy.

Jadą znów jakiś czas w milczeniu. Adama coraz więcej przygniata ta olbrzymia kupa jakby ze szkła mlecznego, poza którą wyczuwa się dopiero jakieś wolne, czarowne przestrzenie. — Z górzystej okolicy rodzinnej rzucony nagle w rozłęsknienie równin, na których sterczą tylko samotne krzyże z rozwianą płachtą ufnych wotów niespokojnych matek — czuje jakąś straszną tęsknicę, grozę i poczucie nieubłaganego osamotnienia.

— Kochanie... — zaczyna profesor — a czyje to pole?

— Pani baronowej!...

— To na lewo?

— Także pani baronowej!

Jadą chwilę w milczeniu. Na horyzoncie nagle — jakby zaczarowany wyrasta czarny las sosen. Niektóre wysunęły się — wygięte rozpaczliwie w lirę, dwuramienną swe cielską w górę rzucają — ku mlecznemu niebu, stopą tonąc w piasku.

— A czyj to las? — pyta profesor.

— Pani baronowej!

Za lasem nagle rozstaniają się pola, na których rzędem stoją złote sterty, olbrzymie katafalki, jakby narzucione kapą ze złocistej lamy. Stońce w nich zapala migocące iskierki. Im dalszy rząd, tem są bledsze, aż wreszcie stają się srebrną zjawą, mającą dokoła siebie rozpyloną jakby poświatę, w której drgają niepewne białe światełka.

— A to czyje?

— Pani baronowej!

Dźwiga się to bogactwo, zebrane z ziemi, jakby ulgę jej nieść chciano, pozwalając promieniom słońca dotrzeć do niej samej. I znów bezkresna równia, tylko wszędzie złoto srogów, jakby stół bogacza zastawiono nagle setkami puharów złotych, pełnych i oczekujących na spragnionych gości.

— Więc to wszystko pani baronowej?

Głos Weslinga nabiera szacunku. Cóż znaczy jego kamienica w mieście, obciążona długiem, wzniesiona z mozołem i targiem z przedsiębiorcą — a z której jest tak dumny.

Cóż to jest wszystko wobec tych pól, lasów, łąk, tych stert złotych — tego bezkresu, zrównanego z linią nieba?

Jacenty z kozła biczem koło zakreśla.

— To wszystko naszej pani!

I nastąpiło milczenie ciężkie — rozmyślań i zawiści pełne.

Prawo posiadania — prawo tak stare, jak dawną jest stopa ludzka, zajmująca szmat ziemi — rozsnuło się dokoła w wielkim majestacie nie zwalczonej nigdy potęgi.

Trup człowieka kęs ziemi mieć musi. Nie zawiśnie nigdzie — do ziemi dąży — topielec ku brzegom ciągnie — wisielec obsuwa się z przegniętego sznura, spopielały trup jeszcze się z ziemią pomieszać żąda. Zmarłemu starczy niewiele tej ziemi, żywy mieć jej chce więcej, nasycić się nią nie może. I teraz — po nad płaszczyną ugorów — po nad ciemnym cielskiem lasu, po nad zielenią delikatną łąk, z wrzosów szarych i szarych ściernisk — powstawała postać tej, która to wszystko posiadała — i była tu niewywłaszczoną panią dostatków prawdziwych.

Adama przejął lek.

Jakieś ręce delikatne, przejrzyste — ręce kobiece z kopuły niebios opuszczały się zwolna i zagarniały ku sobie szmatami całami równie nieprzejrzane, poznaczone krzyżami i złotem stert. Ręce te rozgarniały czarne khorły ptactwa, które spadają z bieli podniebnej.

— A kysz!... a kysz!... jakby słysząc głos.

Ptactwo złęknięte sznurkiem wznosi się w górę i tam zawisa, ważąc się na skrzydłach.

Czarne oczy utkwiło w głęb, w ścierniska, po któ-

rych gdzieś może się coś ostało, w złote katafalki stert, które w oddali nabierają srebrnych tonów...

— A kysz!... a kysz!...

W oddali — z pod lasu, z pod sosen w lirę wygiętych wysuwają się szare postacie o pomarżniętych nogach. W fartuchach na plecach — gałęzie... Taszczą do legowisk.

— A kysz!... a kysz!...

Białe, delikatne, przejrzyste ręce odpędzają szare postacie.

One odbiegają daleko i stają rzędem. Patrzą na las, na potężne konary sosen. Nad nimi waży się ptactwo...

— To wszystko naszej pani! — mówi Jacenty, zakreślając koło biczem.

Dojeżdżają do dworu.

Profesor pali cygaro — milczy, coś sumuje. Żałuje może, iż umówił się o cenę honorarium.

Z pod boków powozu wyrwa się nagle mały wózek, zaprzęgnięty w dwie kucki. Jedna siwa o drżących nogach, druga młodziuchna, czupurna, ciągnie ją z temperamentem. Na koźle wózcza chłop w brązowej świcie, o twarzy ascety, o profilu wychudłym i cerze oliwkowej macha biczem.

— Nu... babcia... nu!...

Sadzą polem. Na siedzeniu z trudem trzyma się poręczy lokaj Weslinga.

— Uważajcie... narzędzia... — woła profesor.

Ale asceta wali siwą kuckę biczem.

— Nu... babcia!

Pomknęli.

Z kozła odzywa się głos woźnicy:

— To kucki panny baronówny.

Skrecają koło stajen. I już zaraz za nimi rozkłada się olbrzymi bukiet drzew jeszcze zielonych, lekko tylko podżółconych — jakby jakaś oaza, wyrosła wśród piasku.

Powalone słupy, sztachety obłamane — furtka ledwo trzymająca się, związana powrośtem — migają w oczach Adama. Zbłocona droga prowadzi do pałacu, pomimo, że deszcz zda się dawno nie padał.

Od kieratu, który olbrzymim placem po za stajniami się ściele, biegnie jakiś chudy mężczyzna w szarym surducie. Sadzi przez płoty i dopada ganku w chwili, gdy powóz zajeżdża przed front pałacu.

— Jestem Tarajewicz, rzadca... do usług pana profesora — mówi zadyszany — pan profesor pozwoli.

Podaje rękę Weslingowi, wysadza go z powozu. — Profesor zaczyna nieść siebie, jak monstrancję, jakkolwiek „galeryę” stanowi tylko pan Tarajewicz.

— Pani baronowa poleciła mi, ażebym spełniał wszystkie rozkazy pana profesora...

— Tak! tak!...

Wesling otrzepuje się z kurzu.

Tarajewicz z powozu wyjmując miotłkę.

— Ależ to skandal ten wasz kurz!...

— Pan profesor nam daruje — to już taki dopust Boży... taka ziemia...

Adam stoi na ganku i okiem obejmuje gąszcz drzew, który wznosi się dokoła domu. — Najpiękniejsza kępa białych, olbrzymich brzoź odcina się na tle rozrostłych lip. — Jakaś spróchniała ławeczka wali się u śnieżnych pni. — Purpura zachodzącego słońca prześwieca przez nieruchome liście.

Ten park zdala ma w sobie urok zaczarowanych, opuszczonych miejsc.

— Pani baronowa kiedy powraca? — słyszy pytanie. Tarajewicz rozkłada kościste ręce.

— Niewiedomo... daleko jest... Ale wróci z pewnością — lecz się.

W oddali zgarbiona do ziemi przypadła oficynka. — Małe to i nawet do parku nie dotyka. Jedna część oficynki zaparta — okna zamknięte okiennicami, zbitymi z nierównych desek. Coś dyszy pokorą i zapomnieniem z tej rudery. Naprzeciw, po drugiej stronie dziedzińca, kuchnia w formie greckiej świątyni — z kolumnadą odartą z tynku. Widocznie przerobiona z altany. Jakaś dziewczka w czerwonej spódnicy stoi z wiadrem na tle białych słupów nieruchoma, znacząc się zczerniałymi plamami nóg.

— Ani się doczyścić... — mówi Wesling.

— Pan profesor raczy pozwolić do pokoju — tam już się to robi... — klekocze Tarajewicz.

Zgiął się — i pod cienką tkaniną surduta odznaczyła mu się kolumna pacierzowa z przerażającą dokładnością. I on ma twarz jakby wysuszoną w piasku i cały jego szkielet obciąża ciemna skóra, podobna skór trupów zeschniętych pod działaniem piaszczystych gruntów pustynnych.

— Ot... i pański pacjent!...

Ręką wskazuje nową, szkieletową postać, która ukazała się na mgnienie oka we drzwiach kuchennych i zaraz znikła.

— Panie Rydzik!...

Lecz drzwi kuchenne zawarty się jakby same. Nikt się w nich nie pokazywał.

Rządca machnął ręką.

— Boi się. Żartowali z niego w kuchni, że mu pan profesor, z przeproszeniem, zoładek wypruje...

— No... no...

Weszli do wnętrza domu. Adam ociągał się jeszcze. Niespieszno mu było. Ten dom przedstawiał się nieprzytulnie. Oleandry ustawione na ganku skarżyły się szarością i nędzą liści na opuszczenie. Kilka bladych, chorowitych kwiatów zwisało ku ziemi.

Mimowoli Adam we drzwi kuchni patrzył. Ta chuda postać, dla której obaj z profesorem pędzili w głąb Rusi, miała się poddać ich pomocy. — W ruchu trwożnym, z jakim zniknął, było coś z drobnego zwierzęcia, które czuje, że lada chwila będzie musiało oddać swe ciało pod nóż dobrze wyostrzony.

I żal go jakiś ogarnął — żal i jakby wstyd.

Spadli tu w tę ciszę — w tę purpurę słoneczną — w te brzozy rozwiane rozkosznie ze swemi skalpami, lśnąciami niemilosiernie — z tą całą „wiedzą”, która nurzała się we krwi i całun rozpaczny za sobą wlokła.

Nie wiedział nic o tym pacjencie, który na wyrok swój czeka. Wesling przez drogę nie poinformował go. Mówił specjalnie o kwestyach artystycznych, rozkoszował się nową sztuką, graną w teatrze, i wystawą szkiców o podkładzie japońskim. Zdawać się mogło, iż chce unikać na pewien czas grzebania się w swoim rzemiośle. Natrącił tylko — iż wypadek jest jeszcze niezdecydowany...

Dopiero on — orzecz...

„Wypadek” — tymczasem delikatnie drzwi od kuchni uchylił i trwożne oczy ku dworowi pomknęły, jakby na zwiady.

Adam za oleander się cofnął i patrzył litością zdjęty.

Powoli — wysunęła się postać mężczyzny, który musiał mieć imponującej budowy szkielet. Tak jeszcze teraz, choć złożony, skurczony, zmięty, wspaniale się przedstawiał.

Lecz szkielet ten, to było wszystko.

Wyszły, chudy — przewyższał swą budową Jacentego i Tarajewicza, a nawet i ascetycznego chłopca, katującego siwą kuckę, wleczoną przez zadzierzystą towarzyszkę.

Twarz tego człowieka była — szara.

Tak szara i bezbarwna, że rysów w niej dojrzeć nie było można, mimo dziwnej przejrzystości dnia.

Odziany szaro, niestaranie — z powykrzywianymi i obłożonymi butami, miał w sobie przecież jakąś tragiczność opuszczonej, wspaniałej budowli, którą kopnięto niepamięcią i na wichry i szarugi pozostawiono.

Pod pachą trzymał starannie jakiś garnek i teraz szedł, a raczej włókł się ku oficynie. Jakiś żółty, starogany kawał jedwabiu wisiał mu dokoła szyi. Adamowi zamajaczyło, że ten człowiek ma zarost siwy, nierówny — dokoła brody, jakby sam go strzygł nożycami — i oczy zbolalego zwierzęcia...

A pozatem nic — tylko ogromny smutek i melancholia, co się za nim wlokły.

Tarajewicz, który skończył lokować profesora na ganek, wyszedł.

— Pan doktor może także wypocznie? — pytał, uśmiechając się boleśnie.

Lecz Adam głową potrząsnął.

— Nie jestem zmęczony. Chętnie się jednak przebiore.

— Proszę... proszę...

Dostrzegł teraz idącą szarą postać w stronę oficyn.

— Rydzik! panie Rydzik!...

Wołany ani drgnął.

Szedł ciągle, a nawet zdawało się, że kroku przyspieszał.

— Skaranie Boże! znów garnczek kapusty niesie...

Tarajewicz ku dziewczce, stojącej ciągle nieruchomo na tle białych słupów, krzyknął:

— Szczo win robił w kuchni?

Roześmiała się.

— Wził horneć kapusty! — odrzuciła.

— A... psiakrew... — zaklął — będzie znów umierał!...

Odwrócił się ku Adamowi.

— No... widzi pan doktor! Chory — ledwie żyje — nic nie trawi, a jak zobaczy kapustę, tak porwie garne

i wlecze do siebie... A tu odpowiedzialność! Pani baronowa wróci — i będzie na mnie. A czemu nie pilnowaliście... a czemu pozwoliliście... Jakbym teraz do niego doszedł, toby mnie uderzył. Jak Boga Kocham!...

Szara postać z garnkiem pod pachą dowlókła się do oficynki i drżącą ręką starała się otworzyć drzwi. — Purpurowe promienie słońca przeżarły się przez gąszcz liści parkowych i pozapalały czarujące brylanty w okienkach oficyny.

Postać Rydzika rozplywała się marą nieuchwytną w obramowaniu tych olśniewających blasków.

— Kto jest ten człowiek? — zapytał Adam.

Tarajewicz spojrzał na niego zdziwiony.

— Pan doktor nie wie?

— Nie.

— To przecie — Rydzik! Mąż pani baronowej!

V.

Adam drzwi od pokoju zamknął — tak go raził ten szereg komnat otwartych, z których ziało pustką i niezamieszkanym pełnem.

Mógł się przechadzać swobodnie po tych pokojach, które łączyły się w krąg i stały wszystkie otworem. — Profesora umieszczono gdzieś dalej — w jakiejś przybudówce o okrągłej werandzie, mieszczącej kilka jakby odrębnych pokoi.

Dla Adama oddano do użytku duży, narożny pokój, obciągnięty kretonem w niezliczone grupy dzieci, bawiących się nad pokreskowanym stawkiem łabędziami o spuchniętych głowach. — Dzieci miały jednak wdzięczne i namiętne ruchy, a tło kretonu było jakby splukane lawendową barwą.

Pod ścianami stały duże kanapy z czasów drugiego cesarstwa i wielkie ciężkie fotele, obite tym samym kretonem. Kantorki, komody bombiaste zalegały kąty. — Był to ciężki styl, przypominający przedświt krynolin i feliksów, bramujących twarze kobiet. Była w tem jakaś nieszczerłość, jakieś skrupowanie i przygłuszenie namiętności brutalną, trywialną siłą brzydoty — mszczącej się za delikatną, pastelową koronkę swobody uczuć osiemnastego stulecia lub za półgrecką nagość napoleońskich czasów.

To, co Adam dojrzał w szeregu pustych pokoi, było tym samym przepojone duchem.

Ciężar jakiś rozsądzał ściany. Coś z burżuazyjnej anemii zastygło po tych kątach.

Były jednak szczegóły, które uderzyły Adama.

Oto — na ścianie wisiał jeden jedyny obraz. Przedstawiał on nagą kobietę w secesyjnej pozie z palcem na ustach uśmiechniętych — z drugą ręką podniesioną w górę, odstawiającą swawolnie draperyę z czarnej gazy.

Było to coś taniego, coś niebardzo wytwornego na rynku artyzmu nowego, ale była to jakaś swawola, jakby śmiech pusty z poza szczelnie zamkniętego grobowca.

W sąsiednim pokoju zawieszono portyery pluszowe blade zielone nie licowały najzupełniej z ciemnem obiciem, naśladowującym doskonale skórę. Pod ścianami stały rzeczywiście bardzo stare stołki, obite skórą prześliczną, wyłaczaną w złocisto-purpurowe papugi. Pod jedną ścianą rodzaj sepeciku spowiadał się milcząco ze swych skrytek, w których damy z XVII wieku chowały swe ciężkie klejnoty.

I oto — nagle, jak motyl różowy, roztrzepotany, wznosił się na lampie z kutego żelaza abażur jedwabny, strojny ze wstążki — z paryskim szykiem ulepiony, jak sukienka baletnicy...

Adam patrzył i ogarniało go jakieś zdziwienie. Ten poważny, spokojny dom chwilami zdawał się wstrząsać od jakiegoś nerwowego dreszczu. — Coś się tu snuło — co spadało nagle, rozrzucało powiewne cacka i uciekało w odległe przestrzenie.

— To nie jest harmonia życia, które wie już, jak się ułożyć powinno — myślał Adam.

Cisza była zupełna.

Zdawało się, że tu wymarli wszyscy. Od stajen nawet nikt się nie poruszał. Okna pokoju Adama wychodziły na park. — Usiadł na fotelu i patrzył na drzewa, niknące w powolnej ciemności wieczornej.

Dziewczyna, której nie widać było twarzy przez naciągnięcie na czoło żółtej chusteczki, przyniosła mu na tacy herbatę. Nie pił jej. Stała na stole nietknięta. Jakiś niepokój go ogarniał. — Zamiast ukojenia, ten dach wydawał mu się wrogiem...

— A przecież właśnie w tej ciszy powinno się rozmodlić dusza... — pomyślał, patrząc ciągle na drzewa parku.

Wreszcie wstał, narzucił palto i wyszedł.

Obszedł klomb i znalazł się na kładce, prowadzącej w głąb ogrodu. — Olbrzymie drzewa czarnym baldachimem rozsnuły się dokoła. — Gałęzie ich wyciągały się, jak ramiona olbrzymów. Zarosłe trawą aleje ledwo znaczyły się wśród grup młodych jaworów i kiści drzew owocowych. W cieniu powstającym jakby z ziemi barwy znikwały. — Co chwila olbrzymi pień zagradzał drogę. Korona liści dźwigała się wysoko. Konary płatały się z drzewem sąsiedniem i zdawały się wrastać w siebie z jakąś nienawistną siłą. — Ten cały park zbliżka nie miał w sobie melancholii opuszczonych ogrodów, on protestował, on rozpaczał nad czemś, co go uczyniło złym i niosącym raczej rozterkę w duszę tych, którzy się po nim snuli, niż przytulnem schroniskiem, cienia pełnem.

To był ogród nieprzejrany — purpurą drzew owocowych jakby krwią zardzewiałą poznaczony. Rdzawie pnienie amerykańskich sosen miały jakąś zbrodniczą ponurość, a dęby umykały nieprzystępnie ku górze, ku niebu, którego nawet i widać nie było...

I tu znów snuł się duch opuszczonych gniazd...

Adam szedł powoli, wsłuchując się w szelest liści, szumiących mu lekko pod nogami. Nie było ich wiele. Jesień była łagodna i zaczynała się zaledwie. — Wicher ustał — i w powietrzu panowała ogromna przedwieczorna cisza.

— Dlaczego jesteście nieprzyjazne?... — pytała dusza Adama — drzew. — Co jest w was? Coście przeżyły? Jakie smutki tuliły się do was, tak, żeście niemi przesiąkły i wyziewacie je gniewem na te nieśmiałe dusze, którym tak — jak mojej — później nadejść było przeznaczone?

Czy nie znacie miłosiernej ciszy i dobroczynnych cieniów? Czy zawsze milczeć będziecie groźne, jakbyście zamknęły w sobie tajemnicę, zebraną z mgieł porannych i gwiazdzystych nocy? — Otom ja — marny twór, ułomny wobec was i brzydki — odziany w wór nędzy i cierpień, przychodzę do was uczyć się rezygnacji, której nabyć nie mogłem. I zdaje mi się, że nikt prócz was nie ma w sobie buntów życiowych i tak słodko przyjmuje miejsce, jakie mu wyznaczyło przeznaczenie...

A przecież wieje od was goryczą i zalem...

Czuję to.

Czuję wyniosłość waszego buntu, który na wzór

niepojętych usiłowań szlachetnych — duchów — odwraca się i dąży tam, gdzie cisza przedburzowa gromadzi wreszcie piorun, ściągnięty pragnieniem spłonięcia samobójczą śmiercią.

I Adam nie śmie wejść w głąb parku.

Zatrzymał się na ścieżce i stał tak nieruchomy, a dookoła niego bez szelestu od czasu do czasu leci złoty liść — dotyka jego młodych lic — i osuwa mu się do stóp.

— To nie łyż za gasnącem słońcem — nie łyż polnych grusz, przydomnych lip... te łyż, które zbiera się na dłoń i czuje się w nich naszą własną tęsknicę... myśli — to jakby wyniosła z wyżyn jałmużna dla nartęta.

Drzewa tego parku skamieniały w bólu... nie rozpaczają za ciepłem i światłem...

One już poznały ludzki ból.

I teraz nim cierpią, przetrawiwszy go na rozpaczliwą nienawiść, wyniosła i gniewną.

Jedynie tam, gdzie brzozy, trochę jaśniej i cieplej. Adam kieruje się ku białej kolumnadzie pni, które widać w oddali.

Pomiędzy gałęziami przebija dziwny szafir nieba i gdzieś tam świeżany punkt gwiazdy migoce wśród liści.

Ktoś ciemnieje wśród białych pni.

Adam zatrzymuje się o kilka kroków i oto, co widzi — niepostrzeżony.

Na przewróconej ławeczce siedzi mąż pani baronowej. — Siedzi w swym szarym, zniszczonym kubraku — zgięty w pół, jakby przełamany. Wygiął dziwnie linie grzbietu, jak człowiek trawiony bólem wewnętrznym.

Rękę wyciągnął i głaszcze nią łeb konia, który stoi przed nim, nieruchomy, z oczyma utkwionymi w pieszczącego go człowieka.

Koń jest stary, prawie siwy.

Grzbiet ma wygięty tak samo, jak człowiek. — Boki zapadłe, nogi zgięte.

Jest to stary, zmęczony koń — tragiczny tą starością, która zebrze o litość, jeszcze o jeden dzień... jeszcze o trochę słońca w imię dawnych zasług.

— Biedna... stara... biedna... — szepce cicho Ry-

dzik — tyś jeździła dziś do kolei... po doktora dla mnie? ha co?... przywiozła? rzeźniki... będą krajać!...

Westchnął i ten dech z jękiem jakby drżącym w piersi mu zdawał się opadać.

— Widzisz, stara... widzisz... co to ze mną!... — widzisz!...

Klacz oczy ciągle trzyma wlepione w szarą, ziemistą twarz tego człowieka. Zdawała się czynić usiłowanie, aby go przeniknąć, aby zrozumieć jego smutek i cierpienie. Rozumne oczy zwierzęcia, które już swoje przeżyło i nie dziwi się niczemu, nawet największemu ludzkiemu bankructwu, zbierały z twarzy człowieka jego słowa i trwogę.

— Moja... moja... stara kucka... moja...

Rydzik przytulił swą wyschlą twarz do łba konia.

I pozostali tak oboje nieruchomi, złączeni z sobą, przytuleni w tej ogromnej ciszy parku — który czarem nieprzychylnym wokół nich dyszał.

Jedynie brzozy kłoniły się ku nim cmentarnie, długimi włosami, jak płaczki, ku ich znędziałym ciałom...

Jedynie tylko brzozy.

BIBLIOTEKA
VI. A. G. SYRKINA
— w Wilnie —

— Więc...

— Rak. Stanowczo rak w przełyku.

Po konsultacji Wesling na kolej się spieszy, szybko san, układa sondy — którymi delikatnie zanurzał swą wiedzę w biedne, podrzucane spazmatycznymi drgawkami ciało Rydzika.

— Rak!

Krótkie, urwane słowo.

Jeden krzyk, spazm, jęk. Śmierć głodowa — coś żywego, coś żywego w nas samych — to straszne, grobowe za życia się dostało.

I oto wiedza stoi bezsilna — bo zawarte są przed nią wrota prawdy.

Drogą od dworu do oficynki idzie Rydzik. Wraca do swego legowiska. — Nie wie o rezultacie. Słyszał tylko, iż kazano zaprzęgać, aby odwieźć profesora na dworzec. A zatem nie będzie operowany...

Oddycha.

Wie, iż poddać musiałby się tej operacyi. Jeżeli tak doktorzy zadecydują... musi. A przecież jakże się lęka. Jakież dziecko trwożne dławit w sobie przez tę długą noc bezsenność!...

Teraz — wpadł do oficynki i drzwi za sobą zatrzasnął.

Ma dosyć sondy, zanurzanej mu do żołądka. Gdy pomyśli, że mógłby to być nóż!...

Prostym, biednym umysłem swoim nie wie nic, jakby to było...

Ale wie, żeby go „krajali“.

I drży, i lęka się o ten szmat ciała, które jest mu niczem...

Teraz — dobrze się zamknął w swej oficynce i rzucił się na tapczan.

— Czorci... czorci... — powtarza, drżąc ze wzruszenia.

We dworze — Wesling wydaje Adamowi wskazówki. Mówi długo, szeroko — to, co Adam wie doskonale. Kładzie wagę na dyetę.

— Polecam to panu... — powtarza, patrząc wyniośle.

Adam słucha, lecz wie, iż wszystko to na nic się nie zdało. Przedłuży tylko życie nędzne.

Nic więcej.

Chyba, iż komuś bardzo na tem zależy, aby Rydzik żył...

— Baronowa — mówi dalej Wesling — bardzo poleca w liście zajęcie się chorem. Odpowiadam poniekąd za niego. — Chciałbym, ażeby, gdy przyjedzie z Wiednia, gdzie leczy się na schudnięcie — znalazła Rydzika w możliwie jakim-takim stanie...

Adam ramionami wzrusza.

— Jakże wstrzymać postępy choroby?...

— Ach, nie... to niemożliwe — ale pan rozłoży dotrzymać go, dotrzymać do powrotu...

— Będę się starał.

— Trzeba, trzeba. Widzi pan — choć to niby się nie liczy, ale zawsze ona wzięła z nim ślub... Tak, tak prawdziwy ślub! Ach, to był skandal nad skandale! Galicya trzęsła się od tego...

Profesor do lustra się zbliżył i zaczął delikwenty sobie układać.

— Zrobiła to na złość rodzinie... — ciągnął — na złość! Tak mówiła — ale mnie się zdaje, że to w napadzie namiętności przyrzekła mu, no, i dotrzymała

Śmiać się zaczął.

— No i do-trzy-ma-ła! — dokończył śpiewająco.

Chwilę milczeli.

Adam nie chciał pytać o bliższe szczegóły tej sprawy. Było to grzebanie w tajemnicach domowych. Lecz profesor rad, że wraca do miasta, był w usposobieniu rozmownem.

— Bo... nasza pani była namiętna... ho! ho!... wiemy coś o tem!... — zaczął z lubieżnym uśmieszkiem — brunetka była, smukła. Rydzik, chłop wcale, wcale... A że ekonom — e!... no, i tak... tego... Więc krzyki, wrzaski. Z ekonomem wdowa po baronie — afront jeden, drugi. Ona temperament ma... Rozgniewała się. — Czekajcie, ja wam pokażę. I — nagle ślub!... Rydzik zostaje mężem... tak...

Skończył czesanie — śmiał się wesoło.

— Komedye!...

Adama ogarnął smutek.

To słowo komedye — to było tak bardzo od rzeczywistości dalekie.

Tu z kątów wyzierał tragiczny smutek rzeczy przeszłych, z tryumfem rozuzdanych namiętności i zapadających w cmentarny rozkład powolnej agonii.

Rydzik — i ta nieznana kobieta, pełna temperamentu...

— Szkoda, że nie zastałem panny — podjął znów profesor — śliczna i musi mieć coś z matki. — Zapewne nie dzika. Tak przynajmniej twierdzą...

Przejrzał się w lustrze z zadowoleniem i obciągnął kamizelkę na cokolwiek zaokrąglonym brzuchu.

— Widziałem ją kiedyś zdaleka. Przypomina matkę... Tylko... no...

Urwał, zaczął się odziewać do drogi.

— Ja tu zajrzę, gdy przyjedzie baronowa. Pamiętaj więc pan. Dyeta, okłady — w razie pogorszenia odżywianie sondą... no, i proszę się ze mną znosić...

Adam skłonił się. Profesor rękę mu podał.

— Do widzenia. Zostawiłem panu mój termometr na wypadek. Do miasteczka daleko....

— Dziękuję.

— Więc... dotrzymać, dotrzymać... do przyjazdu samej pani...

Czwórka zajechała. — Wózek z kuckami naprzód pojechał. Profesor otulił się szarym prochowcem, który Tarajewicz mu podał.

— Ach! te kurze wasze, to skandal!...

— Pan profesor daruje...

Rządca się kłaniał — profesor do kapelusza ręką dotknął.

— Żegnam.

Powóz ruszył z miejsca. Za chwilę tumany kurzu płynęły kłębami po drodze — wily się i rozplywały w powietrzu.

Wreszcie — wszystko znikło.

Na ganku Tarajewicz do Adama się zwrócił.

— Proszę pana doktora — jakże mam do pani baronowej napisać?

Adam się zastanowił. Nie wiedział, co wiąże tę kobietę z chorym. Wiedział, że namiętność i ślub.

Lecz...

— Napiszcie, że stan jest ciężki, że jest niedobrze i że przyjazd jest konieczny.

Po twarzy Tarajewicza przesunął się jakby uśmiech.

— To nadarmo. Pani nie przyjedzie tak prędko.

— On chory.

— Pani już nie była w domu półtora roku...

— To trudno. Proszę napisać, żeby wróciła...

— Ha... dobrze!...

— Jeszcze jedno. Zabrońcie, proszę, w kuchni dawać mu jeść, tylko to, co ja każę. Wczoraj widziałem, jak niósł garnek kapusty — niech Bóg broni.

Tarajewicz ręce rozłożył.

— Panie doktorze, to na nic. Zacznie się awanturować, będzie się bił z czeladką kucharską... To skaranie Boże z tym człowiekiem.

— Wydaje się bardzo łagodny.

— Bo pan doktor go nie zna... My to go dosyć znamy. Żeby nie pani baronowa, to już służba nieraz by go dobrze utraciła.

Ogromna nienawiść przemknęła się po twarzy Tarajewicza.

— Ja go znam od młodości. My razem po majątkach służyli. — To zawsze był taki. On tylko się ułoży, jak się kogo boi.

— Ja już z nim pomówię.

Rozeszli się. Adam odrazu zrozumiał tę złość, jaką pałał Tarajewicz do Rydzika.

— Dlaczego on, dlaczego nie ja — aż drgało w intonacji jego głosu.

Obaj byli rośli, przystojni, młodzi. Rydzik jeden był wybrany. Czy śmiałość miał większą, czy biły od niego silniejsze prądy magnetyczne, którym oprzeć się ta kobieta nie mogła?...

W południe Adam udał się do oficynki.

Zastukał raz i drugi.

Przez okienko wyjrzała nieufna twarz Rydzika. Zobaczywszy Adama, Rydzik zmienił się, tak go widok lekarza przeraził.

— Otwórzcie — wyrzekł Adam i zaraz dodał, jakby poprawiając się — chcę z panem pomówić.

— A... o czym?

— O pańskiej chorobie — o tem, jak się pan ma zachować.

— To — panowie jeszcze nie pojechali?

— Pan profesor pojechał. Ja zostałem, żeby się panem opiekować.

Rydzik milczał i coraz nieufniej na Adama spozierał.

Adama ogarnął lęk. Czuł, iż będzie mu ciężko zdobyć zaufanie tego człowieka.

— Trudno, żebyś dawał panu rady przez okno... proszę mnie wpuścić...

Oczy Rydzika oblatywały ręce i kieszenie Adama. Widocznie — naiwnie szukał owych „noży“ — którymi miano go krajać.

Nagle — z poza węgła oficyny wysunął się Tarajewicz.

— Nie marudzić! — wyrzekł szorstko — otworzyć panu doktorowi. A nie — to zaraz do jaśnie pani napiszę.

Rydzik spojrzał na niego z podębą. Niepodobna opisać, co się mieściło w tym wzroku. I nienawiść i pewna trwoga powalonego zwierza.

— No... no... — wyrzekł — otworzę, jak będę chciał.

Poszedł jednak do drzwi i otworzył je.

— Niech pan wejdzie!

A widząc, że Tarajewicz gotuje się także do wejścia, drzwi zatrzasnął.

— Kogo nie proszą, to kijem wynoszą! — mruknął.
Adam próg sionki przestąpił.

Trudno opisać, co zawierała ta ciasna przestrzeń,
w której człowiek o szarej twarzy żył.

A przecież tam była historia jego życia.

Wiem łożo wspaniałe, z napoleońskich czasów, obite
bronzami w wieńce i węzły na tle machoniu.

A na łożu tem pościel nie zmieniana, brudna —
z rozdartą atlasową koidrą, przetartą od butów, z po-
duszką bez poszewki, w łaty z płótna pokratkowanego na
tle karmazynowego jedwabiu.

Łoże to zajmowało pół izdebki dawno niebielonej. —
Koło łóżka stał prosty zydeł, a na nim świeca w butelkę
zatknęta.

Tuż obok jakiś śliczny gracik, którym się odzna-
czało dziesięciolecie ubiegłe — lekkie to — pół szafka,
pół kredensik — obsypyany wypalaniami w drzewie pę-
kami kasztanów z liśćmi.

I było to zniszczone, połupane — a zastawione
flaszkami i słoikami, w których wyschły płyny i maści.

Na półkach leżały brzytwy, kawałek sfluczzonego
lustra i prześliczna srebrna papierośnica z szafirem
w rogu.

Na ścianie, z której wapno opadło — zwieszały
się pęki trawy, trochę zboża — jakiś bał — sierp....

Ogromny obraz Matki Boskiej, tani — jaskrawy,
przyczepiony czterema gwoździkami.

A pod nim duża, trochę spelzła fotografia kobiecej
głowy.

To była głowa istoty widocznie bladej, tą bladością
Idalii Słowackiego.

Twarz była trójkątna i po obu jej bokach ciekły
czarne strugi włosów.

A były to włosy, które czarnością swoją aż ból
sprawiają tym, którzy na nie patrzą.

Dusza tej głowy była cała w oczach.

Patrzyły dziwne — jakby pociągnięte mgłą, i miały
w sobie głębię źródeł czarnych, nagle otwartych źrenicą
dziwną wśród mchów i wykrotów, pod baldachimem lasów
dziwu pełnych.

Usta znały się leciuchną linią. Uchylone były
jakby uśmiechem.

W kącikach jakby dwie perły — małe kły...

I ta twarz trójkątna.

Jakby z czarnych mgieł.

Kobięca twarz.

A pod nią jeszcze z mgieł gazy czy złorzeczeń lub
kadzideł ubóstwienia — dwie ręce wynurzające się.

Dwie białe, przejrzyste ręce... gestem posiadania
rozpostarte.

Tak — jak tam, nad ziemią szarą i bezkresną, nad
stogami do złotych, pełnych czar podobnemi, nad tłumem
sosen w lirę wygiętych, nad łaką wielką, szmaragdową
wyspą wśród bezbarwności oceanowej piaszczystej...

Nad tem wszystkim — co mocą faktów istnieje,
i nad tem, co się wbrew faktom wyłania i w życie ludzkie
wchodzi.

Nad tem i jeszcze nad tem, co się czai gdzieś
w niebycie, skrada się — i ma się stać dopiero prze-
czuciem najskromniejszego i najsmutniejszego...

Nad tem rozciągnęły się ręce kobiety.

Która — posiadała.

Kobięty o twarzy trójkątnej, obramowanej czernią
włosów tak czarnych, że patrzący na nie czują ból...

Adam oczu od fotografii oderwać nie mógł.

To była Nieznajoma. To była kobieta o dwóch cie-
niach, samobójczyni banalnych kół tramwajowych, ta,
która się śmiała w takt hiszpańskich kastanietów.

— Tu — nad tym barłogiem...

Musiał się ocknąć. W róg izby wbity stał Rydzik.
Nieufny, chmurny.

— A co pan doktor będzie ze mną robił?

Adam do obowiązku się przywołał.

— Termometr chcę założyć.

— A!...

Rydzik rękę wyciągnął — i rozpiąwszy odzież, sam
mierzyć temperaturę zaczął.

Straszna woń złego tytoniu przepajała powietrze.

Ten człowiek zatruwał się powoli.

— Muszę panu powiedzieć, że palić tak dużo nie
wolno...

Jakieś niewyraźne mruknięcie było odpowiedzią.

— To w obecnym stanie zdrowia dla pana jest
bardzo szkodliwe... Palić nie wolno, a jeść pan będzie to,
co ja panu pozwolę.

Drugie mruknięcie, jeszcze bardziej groźne, jak pierwsze.

— Żadnej kapusty, żadnej czeladzkiej strawy, prze-
ważnie płyny. Wódki — piwa — wina także pan używać
nie będzie. Czy pan mnie rozumie?

Milczenie.

Wreszcie głos ochrypli, jakby złamany.

— Cóż? mam z głodu zdechnąć?

— Nie. Będiesz pan pił mleko...

— I zaraz...

A potem znów milczenie.

Adam czuje dziwną nędzę ludzką w tym skazańcu
na śmierć straszną, który się jeszcze jadła czepia, nie
mając widać nic więcej w istnieniu.

Bierze termometr — notuje — i spogląda twardo
w oczy skazańca...

— Musi pan mnie słuchać! ja tu odpowiadam za
pana zdrowie...

Zuchwalstwo przemyka po szarej twarzy.

— O! musi... nic nie muszę! także!... musi. Niema
musi... o! musi!...

Nienawisć aż tryska z wybladłych od choroby
oczów.

Adam czuje, iż będzie mu ciężej z tym rozgoryczo-
nym i drażliwym na punkcie swej zależności człowiekiem,
niż przypuszczał.

— Więc pan nie chce wyzdrowieć?

Lecz rozdrażnienie Rydzika rośnie.

— Ja jestem zdrow!... — krzyczy z nagłym wy-
buchem — zdrow... ino mnie dusi, a to nie żadna cho-
roba... To oni, te ścierva wymyślają, jako że ja chory —
żeby mnie...

Urwał — pięścią w stronę kuchni groził.

— Żeby...

Lęk śmiertelny mu po żrenicach przewiał i razem
z nim wzrósł jego gniew.

— Ścierwa, draby, chaładrygi, złodzieje — krzy-
czał — ja wam pokażę! ja was nauczę... wy...

— Proszę się uspokoić!...

— Pan doktor nie wie... ale ja wiem, że to te
ścierva na mnie nastają... Teraz głodem chcą mnie za-
morzyć... tytoń jeszcze był i to chcą wziąć... Ażeby was
pomsta! ażeby was cholera... ażeby was dziesiąta śmierć...
ażeby...

Zaniósł się dławieniem. Zły mu na twarz wy-
stąpiły. Zaczął pluć na podłogę, która cała była pokryta
plwocinami.

— Proszę przestać krzyczeć... — zawołał Adam.

— A pomór na ciebie — wrzasnął Rydzik — won
mi z chałupy! to moje!... ja tu pan!...

Czepił się filigranowego mebelka wiedeńskiej ro-
boty, lecz zaraz butem w niego huknął:

— To moje!... jak pani przyjedzie, to was wszyst-
kich rozegna. Ja powiem — a pani mi krzywdy zrobić
nie da, cholery jedne...

Adam z oficynki się wysunął.

Przejął go mróz.

Zdawało mu się, że wstąpił w coś nieczystego,
w jakiś kał — że brodzić w nim musi.

— Zażadam koni — odjadę! — pomyślał, idąc ku
pałacowi, — ten człowiek przeczuł we mnie istotę zależną,
jeszcze o niepewnym życiowym gruncie, i buntuje się. —
A potem, ta sytuacja jest straszna. Ten chłop — kapry-
sem kobiety nie liczącej się z niczem rzucony do jej
alkowy — potem pozostawiony na łaskę losu — sza-
leje...

— Wstrętne... och, jakie wstrętne!...

Zdaleka widniały drzewa parku. Adam stanął i z trwo-
gą jakąś na nie patrzył.

— Tu wszystko jest dziwne, straszne — pełne ja-
kichś niedomówień, jakiegoś zła, przepojonego zmysło-
wą — rozuzdaną namiętnością — która mijają, która na-
wet nie miała bohaterstwa pozostać na posterunku.

— Odjadę!...

Wicher lekko nagle zakotłosał brzozy. Pod niemi
ławeczka czerniała bryłą.

— To ohydne gniazdo... ja muszę stąd iść!

— Zawrócił, jakby do stajen, lecz przeszedł mimo.

Wydostał się na pole.

I mimowoli w bezkres równi się zanurzył.

.....
Drogą wiedącą daleko wśród ugorów szedł i zdało
mu się, że pogrąża się w jakieś zupełnie oderwane i nie
mające nic wspólnego z tem wszystkiem istnienie.

Tylko od czasu do czasu mijał krzyż — zwalony,
spróchniały — podparty.

U stóp krzyża jakieś burzany, jakiś krzak...

Czasem leciuchno kołysz się czerwony kwiat późnionego ostu.

I potem znów równia — samotna. Ani na niej drzewa, co to wyrasta sierotą i dzikim bukietem liści o sobie znać daje.

Ni to krasnego maku dziewczęcej spódnicy lub czarnej barankowej czapy parobczaka... Ni to wozu, sprzęgniętego końmi o łaciatych bokach.

Nic — nic.

Równia, cisza — i w oddali, jakby mleczny pas jakiś, dalsze plany — podnoszące się ku niebu, które znów łaskawie równą linią ściska...

Wielka, spokojna bezmyślność...

Brak wszelkich uśmiechów nieba i ziemi, brak wszelkiej goryczy i smutków życia.

To, co się nazywa złem i dobrem; to, co się wydaje olbrzymie i straszne; to, co odpycha lub przeraża; to, co boli lub kocha — wszystko to rozplywa się, jak ta linia kresu w barwie białej miłosiernie pochylonego ku niej nieba.

Adam czuje ogromne uspokojenie.

Nie chce myśleć o tem, co przeszedł, co go jeszcze czeka, jeżeli tu pozostanie. Odpędza od siebie myśl o trójkątnej twarzy kobiecej, po której płyną pasma włosów, wypływających z czarnych oparów nad magnackiem łóżem, na którym leży barłóg, rozkopany butami zbuntowanego chłopca. Zapomina o wszystkim, tylko nie o tem, że idzie a raczej jest niesiony jakąś siłą w przestrzenie bezkresne i że w tych przestrzeniach kwitła tylko od czasu do czasu znak krzyża — jako symbol, odgarniający zło wszelakie, z czterech stron się czające — i że te krzyże mają podobieństwo do smutnych, czarnych aniołów, które rozpostarły swe długie, wązkie, nieruchome skrzydła.

VII.

I pomimo postanowienia wyjazdu Adam pozostaje. A sprawy to równie ciche i spokojne, a sprawy to brzozy, które wiatr poruszał lekko.

Wszystko to zło, przed którym się tak wzdrygał, wydało mu się małe, żadne, biedne.

To mu powiedziały równie i wyrastające z nich irysy-krzyże.

A brzozy przywiał mu obraz ujrzany niedawno. Zgarbiony, chory człowiek i zgarbiony stary koń — to wszystko w wieczornej ciszy — przytłuczone bezbrzeżnym smutkiem do siebie...

I te słowa:

— Będą mnie krajali...

Adam uczuł, że w tym krzyku Rydzika, gdy gnał go ze swej izby, była głównie trwoga szalona przed tym nożem, który wyczuwał swemi przeczulonemi nerwami. Adam zaczął wnikać w jego straszny stan tropionego przez śmierć zwierzęcia.

— On biedny jest — mknęło mu przez myśl.

Spotkał się z nim w jednym z pokoi pałacowych. Rydzik cicho, na palcach, stąpał po pełnych kurzu dywanach. Ręce przy sobie trzymał, jak dzieci, wpuszczone do muzeów. Adam, zdjęty nostalgią, także po otwartych pokojach błądził.

Rydzik wszedł do przedsionka, do którego prowadziły wielkie, wspaniałe wschody, zamknięte i pełne późnionych much.

Na ścianie rzędem wisały strzelby, torby — ładownice — pasy i troki. Niektóre strzelby były rzadkiej piękności.

Rydzik długo obmacywał je, wybierał — wreszcie wziął trzecią z brzegu. Schylił się pod stół, wyciągać zaczął paczki ze śrutem i z patronami. — Pluł przytem ciągle. Z furią szukał miareczki do nasypywania śrutu.

— Czorczi nadali!...

Adam przez chwilę na niego patrzył.

— Idzie pan na polowanie, panie Rydzik? — zapytał, starając się mówić jak najłagodniej.

Rydzik drgnął — ale natychmiast zaczął zgarniać wszystko, co wybrał, ku sobie i kierować się do wyjścia.

— A idę... idę... — odburknął — cóż to? nie wolno?

— Wolno, tylko niech się pan nie męczy.

Rydzik był już przy drzwiach.

— Strzelbę wziąłem, bo mi ją pani dała... tak, i śrut mój... bo dla mnie go sprowadzili... żeby pan wiedział...

Oczy mu gorączką płonęły.

— A jakby Tarajewicz powiedział inaczej — chrypiało — to łże, ścierwo... Dubeltówka moja, bo mi ją dała... Przysięgnę...

I z ponurą fantazyą dodał:

— A potem tak mi się chciało!

Wyszedł, nie skradając się, lecz idąc już głośno, jakby chciał zaznaczyć, że on ma pełne prawo przebywać tu, w pałacu, tylko nie chce.

Adam patrzył na niego, jak się oddalał w amfiladzie pokoi na tle okna, świecącego jasno w ostatnim pokoju. — Szedł zgarbiony, ściągnięty bólem, zeżarty rakiem, tragiczny i smutny.

Wreszcie — zakręcił — i znikł.

Adam błakał się dalej po tym osamotnionym domu. Wszystko tu stało otworem, jakby czekało ciągle na całą grupę ludzi, mogącą wypełnić tę pustkę. — W sypialni samej pani ujrzał Adam takie same wspaniałe łóżce mahoniowe, przyozdobione bronzami, jak to, które stało u Rydzika. — Pełno tu było cacek, fraszek, zwłóczonych ze wszystkich stron świata i urągających powadze starych mebli, rozstawionych z fantazją, niszczącą piękność ich linii.

Nawet delfin zasuszony — pełen prochu — walał się na tualetcie — a tamburyno, odziane siatką pompowników, zwieszało się na ścianie, czarniąc napisem:

— Corrida de Torros.

Marmurowa grupa kobiety nagiej, podrzucającej na nodze kota, miała po bokach przepyszne kandelabry w kształcie burbońskich lili. — Nad łóżem zwieszała się wykoronkowana, przepyszna kotara z jedwabiu ljońskiego w cudowne bukiety piór pawich.

Adam cofnął się.

Czuł, iż zaczyna go ogarniać znów to uczucie, jakiego doznał, widząc zastygłe plwociny na podłodze izby Rydzika. Czuł, że mu pluje w czystość jego duszy — chrapliwym wspomnieniem zwierzęcych uniesień. Nie chciał tego uczucia. Łączyło się z niem teraz wyobrażenie kobiety nieznanej, która mu sobą w duszę niezrozumianym dla niego węzłem wrosła.

— Czyżby to była ona?... ta...

Aż porwał się na tę myśl.

Drzwi od sypialni zatrzasnęły.

— Nie... nie...

A przecież ta twarz, tam, nad barłogiem Rydzika?

Tak, twarz, ale ręce... ręce, wyciągnięte gestem posiadania — podczas gdy ręce Nieznajomej spływały ku ziemi gestem zależności...

I jeszcze jedno.

Słowa Minzowej:

— Kobiety zabijają się z miłości...

Prawda — odwołane później. Ale kto wie, kiedy ona mówiła prawdę...

Więc — z miłości.

Lecz tu — żona Rydzika (bo przecież bądź co bądź baronowa była jego żoną) czuła miłość taką, jaka tu z każdego kąta wyzierała.

Namiętność ślepa...

Czy to pchnąć może do samobójczej śmierci? czy raczej nie wskaże możliwości jeszcze silniejszego użycia, coraz nowego brnięcia w rozkoszy?

A więc — niepodobieństwo.

A przecież — to jest ta sama kobieta.

Ta sama.

Żona Rydzika...

Straszne!...

Adam zasłonił oczy i stał tak długą chwilę, aż go porwało coś i biedz zaczął naoslep — nie wiedząc, dokąd biegnie.

Zatrzymał się przed jakimiś drzwiami.

— Były zamknięte.

Pierwsze drzwi, które w tym domu znalazł zamknięte.

To go oprzytomniło.

Zawrócił się. Znajdował się w wąskiej, długiej galerii — całej białej — oświetlonej rzędem biegnących wzdłuż jednej ściany okien.

Z galerii tej był widok na równie — ponad którymi zapadała straszna, groźna — purpurowa tarcza słoneczna.

Horyzont cały był ciemny, jakąś nieznana, dziwna barwą. — Jakby ametyst, pomieszany z szafirem i roztopiony w kotle czarownic. Równie gorzały tym blaskiem.

I było to morze barw, które zalewały wzrok i duszę, — i chłoneły, ciągnęły ku sobie, jak tajemniczy, wspaniały klejnot, który otworzył swe wnętrze i mistycznie chłonać chce życie, jego smutki i jego wybuchy.

Jakże inne były w tej chwili te bezkresy! ileż w nich gorzało ciepła i blasku. Jakże się mieniły i grały fioletem i szafirem, roziskrzonym milionami drgających światła. Jakaż to promienna namiętność przelewała się falą z nieba ku ziemi!...

Adam wzrokiem szukał krzyży.

Nie dostrzegali ich. Znikły, zatoneły w gorącej powodzi.

Łagodność czarnych aniołów o prostych, wązkich, nieruchomych skrzydłach pochłonięta żar szafirów i ametystów, wśród których drżało namiętne słońce.

Adam oczy zakrył. — Tak — tu, w takich bezkresach mogła rozwinąć się istota kobieca, która śmiała się dziwnie wązkiemi ustami.

Taka istota.

O trójkątnej, bladej twarzy i włosach, ból sprawiających tym, którzy na nie patrzą...

Jakież one były inne dziś, te równie. Jakież inne i jakie straszne...

Jakieś szybkie na końcu galeryi kroki.

Tarajewicz idzie z pękiem kluczy. Idzie szybko — i zdziwiony dostrzega wtulonego we framugę okna Adama.

— Pan doktor tutaj?

Adam jakby ocknął się ze snu.

— Chodziłem po pokojach... zbłądziłem...

— Pan doktor się nudzi. — Ja mógłbym dać książki — ale to... takie sobie. Pani baronowa dawniej dla Rydzika kupowała. I kilka pism jest. Kazała prenumerować także dla niego!

Ramionami wzruszył.

— On nigdy nie czytał. Tak się to tam u niego wala. — Już się nie prenumeruje. To szkoda pieniędzy... Było tak — że niby pani baronowa chciała go na uczonego przerobić.

Zmrużył oko i zaczął się śmiać.

— A to z przeproszeniem pana doktora... — dokończył ze śmiechem — to pewna rzecz chłopu a nie zegarek!...

Zadzwonił kluczem i do zamkniętych drzwi podszedł.

— To mieszkanie panny baronówny. Trzeba tam porządek zrobić... może przyjedzie.

— Padł gdzieś daleko — strzał.

Tarajewicz uszami zastrzygł.

— Co to?

— Pewnie Rydzik poluje — odparł Adam.

— On?

— Tak.

— Skąd wziął naboje?

Adam milczał. — Zaczynał pojmywać sytuację i walkę głuchą tych dwóch ludzi, z których jeden miał władzę, a drugi, mając wszelkie pozory, nawet jej cienia nie miał w dłoni.

— Pewnie znów był w pałacu!... — mruczał Tarajewicz — muszę naboje i śrut pozamykać...

— Słuchajcie — wyrzekł nagle Adam — dlaczego mu bronicie polować? — On musi się czasami rozerwać. — Tak z nim postępować nie można. Każdy gniew mu szkodzi, a ja zaczynam zauważać, że mu tutaj dużo naprzekór robią. Jeżeli ja mu pozwalam polować, dlaczego wy mu zabraniecie?

— On nie ma prawa do tych strzelb, co w pałacu wiszą — odparł Tarajewicz. — To są strzelby po panu baronie. — On miał swoje. — Pani baronowa w pierwszych latach to straszne zbytki wyprawiała. Sprowadzała mu z zagranicy — Bóg wie — jakie strzelby... On ma nawet Manlichera. Jak Boga kocham. Jak zaczął w parku strzelać, to kule niosło kilometrami! A pani baronowa się śmiała. Ale... co... Wszystko z przeproszeniem zaflektuszył, rdza zjadła — spaskudziła i teraz się dobiera do baronowskich strzelb. — Na to ja nie mogę pozwolić!...

Adam próbował perswazyi.

— Skoro baron umarł... co wam do tego. A potem, nikt tu nie strzela... nikogo to nie obchodzi...

— Proszę pana doktora... panna baronówna poluje — a potem, jakby widziała, że on po tutejszych strzelbach buszuje, to niech Bóg zachowa...

Padł drugi strzał.

— Gdzie on poluje?

— A w kartoflach, pewnie kuropatwy straszy, bo gdzie jemu tam do polowania. Psa nie ma...

Zaturkotało coś poza stajniami.

— Ktoś jedzie.

Tarajewicz wyszedł zły i gniewny.

— Bronić go muszę — słodzić mu te ostatki dni — postanowił Adam.

— Bezsilny jestem fizycznie... niechże odrobie pieśniadze, które mi płacą, moralnie.

Nie chciał przyznać przed sobą, że coś go ku temu „brzydkiemu“ ciągnęło. Że to, co poprzednio odrzucało go, miało teraz dla niego jakąś tajemnicę rozpadłego grobu.

Gdy odziany wyszedł na ganek, aby udać się na kartoflane pole, gdzie Rydzik kuropatwy płoszy — ujrzał

Tarajewicza, jak z uniozoną miną stał koło małego wózka węgierskiego, zaprzęgniętego w dwa ładne kare konie. Na wózku siedział jakiś mężczyzna w kurtce brązowej grubej — tyłem do Adama zwrócony. Kapelusz zdjął i chustką kark z kurzu ocierał.

Tarajewicz przez szacunek także swój kapelusz w rękę trzymał.

Adamowi zdało się, że ten kształt głowy — specyalny, wypukły u dołu, widział już gdzieś i wyróżniał go wśród tłumu.

— Czemś mi się w myśl wbił — pomyślał.

— Kazała powiedzieć, że będzie jutro... niechże Tarajewicz konie wyśle...

— Dobrze, będą.

— Ja nie mogę po nią jechać, bo mam w Kłiszowcach polowanie.

— Słucham jaśnie pana.

— Niechże więc Tarajewicz...

Adam szybko przeszedł mimo.

Ktoś miał przyjechać, po kogoś wysyłano konie.

— Pewnie baronowa — myślał Adam — musieli po nią telegrafować. Powinna przyjechać. Ostatecznie, to jej obowiązek...

Na polu, gdzie wlokły się liście spalonych kartofli, błędził Rydzik. — Szukał teraz w krzakach czegoś. Zginął się z ciężkością, pluł i kłął. Gdy zobaczył idącego ku niemu Adama, zaszył się w krzaki i zginął w jakiejś kępie samotnie rosnącego jałowca.

Lecz Adam rozgarnął krzaki.

— Cóż pan tam szuka?

Rydzik bokiem spojrzał. Jego rysy orle wyostrzyły się nieprzyjaźnie.

Adam się nie zrażał.

— Trafił pan? Słyszałem strzał. Pomogę panu szukać.

Rydzik natychmiast z krzaków wylał i, ścisnąwszy silnie w garści dubeltówkę, zuchwale na Adama spojrzał.

— A ja strzelby nie dam... — mruknął.

— Po cóż pan ma strzelbę oddawać?

— No...

— Co — no? — Nieś ją pan, strzelaj, rób z nią, co chcesz. Tylko trzeba czyścić i nie zaniedbywać, jak pan zrobił ze swojemi.

— A to ścierwo! a to ścierwo!...

— Kto?

— To ścierwo Tarajewicz! Już powiedział. Cholera! pomsta na niego!... Jakże miałem czyścić, jak mi czystkę ktoś ukradł...

Urwał i dodał złamanym głosem:

— A potem byłem chory... chciałem, żeby mi Jędruch pomógł, ale i ten hycel nie chciał... I tak — nawet Manlichera dyabli wzięli.

— No... to i lepiej.

Rydzik aż poczerwiał z furi.

— Jakto lepiej?... Pan wie, ile on kosztował? Pani baronowa zapłaciła paręsta papierków...

Adam oponował.

— Nie powinna była żona sprowadzać panu Manlichera.

— Na dziki...

— Pan dzików nie strzelał, tylko kule kilometrami roznosił.

Błady uśmiech przewinął się po ustach Rydzika.

— A jakże... jak Boga kocham... Czasem strzelę w parku, niby do żorawi, albo tak do drzewa, a tu gdzieś czorci kulę pognają... Potem gwałt — pan wie... takie miałem dum... dum... Heca!...

Rozjaśnił się.

Twarz jego zabłysła śladami ogromnej piękności, jaką czasem chłopci na Rusi się odznaczają. — Piękność ta polegała na uroku uśmiechu, który usta w prawdziwą „krasę“ — barwił.

— Niech pan tam idzie do parku... — zaczął znowu — tam het, dęby, lipy — sosny — to wszystko poharatane... To ja... tak...

Głowę zwiesił, uśmiech zbladł.

— Teraz, nic...

Adam zaczął odczuwać, dlaczego drzewa parku tak bardzo nieprzyjemne były.

Zranione posytką kuli, którą stał rozbawiony i podniecony chłop — zranione w majestacie swej wielkiej piękności i siły!...

Przykute do ziemi... bezbronne — poddawały swe ciało na żer swawoli człowieka. A opodal śmiała się kobieta — o pasmach czarnych włosów, które ból sprawiają, śmiała się, ukazując kły...

Nagle Rydzik się pochylił i pochwycił łapczywie ciepły trup kuropatwy.

— A jesteś, gałganico!...
Krew mu ciekła po chudej ręce — ciepła krew, świeża...

Jemu, który śmierć w sobie niósł — ta świeża śmierć rozkosz sprawiała.

— Zabiłem — co?... Zatriumfował. — Psa nie mam. Moje wyzdychały, a ostatnią Haškę to mi ta szelma kucharka otruła. Żeby mi choć kiedy Milnę pożyczyli. Ale co?... boją się Wiški. Nie da!

— Kto jest Wiška? — zapytał machinalnie Adam.

— Córka pani baronowej.

Jakiś strach, jakiś szacunek brzmiał w jego głosie.

— No... to pańska pasierbica!

— Jako to?

— Przecież pan jesteś jej ojczym, skoro się ożeniłeś z baronową?

Z pod nieokreślonego koloru brwi padło na Adama spojrzenie tępe i jakby cieniem bólu przepojone.

Rydzik otwierał usta, jakby chciał coś powiedzieć, nagle splunął i odwrócił się. Bez jednego słowa — zaczął iść szybko, o ile tylko mógł, polem — dążąc ku dworowi. Po ubraniu ciekła mu powoli brunatna krew kuropatwy, uwieszanej u troków. Włókł tak swego trupa — ten zwycięzca-półtrup. — Drobne ciało ptaszęcia zawisło bezwładnie u jego boku.

Po nad nim — niebo z ametystów i szafiru gasiło swój blask i rozplywało się w jakimś czarnym rozpyleniu. Tylko na zachodzie, tam, gdzie zapadło słońce, roztoczyło się czerwone zjawisko.

Rozłożył się po rżysku snop promieni o tęczowych blaskach i drżał półkolem i migotał, jakby tam paliły się wszystkie brylanty, z całej zgromadzone ziemi.

I znów krzyże miłosiernie wykwitły ciemnią aniołów czarnych, o rozpostartych skrzydłach. Na tem tle, wśród tych anielskich krzyżów szedł Rydzik i nagle zwolnił kroku.

Pochylił się, zaczerpnął garścią ziemi i zaczął się jej miłośnie przyglądać. Ciekła mu powoli przez palce, ciekła razem z krwią płaka, spadając na czerniałe i poskręcane liście kartofli.

I Adam patrząc na niego zrozumiał, że był to człowiek prymitywny — człowiek ziemi i krwi — który instynktów swych pozbyć się nie mógł.

Ziemia i krew!...

Na horyzoncie gał snop promiennej poświaty.

Piła go ziemia, tak, jak piła krew zabitego ptaka. Oddawała pochłonięte skarby żarem i życiem. Ze śmierci tworzyła życie.

Ziemia i krew!

A straż trzymały anielskie krzyże, nieruchomo kwitnąc w przestrzeni.

Krzyże!...

Nad ziemią i krwią.

VIII.

Adam postanowił pracować wiele i intensywnie. Cisza, spokój. — Do wiedzy lekarskiej brakowało mu wykształcenia duchowego. Zużyć chciał ten czas, aby urobić w sobie — charakter.

— To przecież można... — myślał — zaczerpnę z innych to, co sam przejść byłbym zmuszony. Inni, gdy stanęli u kresu życia, zostawili nam doświadczenie swoje. — Korzystać zeń będę...

Lecz — nie robił wiele. — Z podzielonego umiejętnie dnia nie odniósł wielkiej korzyści.

— Obserwuję innych... ale nic nie przyswajam sobie. — Wiecznie sądzę — dlaczego? Kto mi daje prawo? Dlaczego nie mogę jeszcze wypłenić z siebie tych wstrętności, któremi zatruwam sobie życie? Wszak w głębi mnie już zrodziło się przekonanie — że — niema ludzi złych, są tylko nieszczęśliwi!...

Aż drgnął, gdy sformułował te słowa, które pulsowały w nim zawsze od chwili, gdy przyszedł do możliwości klasyfikowania swych wrażeń. Przypomniawszy sobie letni wieczór na plebanii u wuja. — Szli pomiędzy łąkami, które nieforemnie dźwigały się ciche i tajemnicze. Powietrze pachło lekko rozpieczoną, gorącą wonią żyta dojrzałego, którego łany ciągnęły się zaraz za płotem.

Wuj szedł w swej wytartej sutannie, zmęczony pisanie kazania na jutrzejsze nabożeństwo niedzielne. — Tematem, jak zawsze, miały być grzechy i nieprawości ludzkie. Srogie, pełne gromów słowa potępienia miały spaść na głowę gromady, zebranej wśród ścian kościoła.

Ci zjedzeni wódką i tyfusem ludzie, pół zbydlęci przez fatalne opary małomiasteczkowej cywilizacji —

dzicy od dziecka, źle uczeni i kierowani — nurzający się w nędzy i rozpuszcie — potępiani byli co niedziela bez wniknięcia w przyczyny ich zła — anatemą, rzuconą z ust starca, którego twarz pełna i dobrotliwa stanowiła nieokreślony kontrast ze słowami, które mu z ust gradem piorunów leciały.

— Będziesz znów potępiał? — pyta, jakby te myśli dławili go zanadto.

Stary ksiądz milczy chwilę, wreszcie rozkłada ręce bezsilnym gestem.

— Muszę!

— Nie.

Stanęli u płota, poza którym złocą się fale zbóż i cicho ćwierkocą chrząszcze, zapadnięte w las kłosów.

— Jakto — nie?... Jakże z nimi inaczej... przecież wiesz, co to za obwiesie...

Łagodne zadumanie powleka twarz Adama.

— Zastanowić się — mówi — zastanowić się, dlaczego są tacy.

— Boga w sercu nie mają.

— Wypełń im serca miłością dobrego dla dobra... Zobaczysz rezultaty.

Mówi — a dziwi się sam, że śmie. Od wuja zależy. Jednak czuje — inaczej nie może.

Starzec ciężko o płót wsparty — patrzy na niego z pod brwi ściągniętych.

— Uczę według tradycji... Sprawiedliwość...

— Właśnie. O nią chodzi.

— Sprawiedliwy rozdział kar.

— Ach ciągle te... kary!

— Za występki musi być kara.

— Na to już ludzie ustanowili kodeksy, prokuratorów i sądy... Cóż więcej?... Błękit wszechświata nie zna krad. Boga w tym wszechświecie szukasz? Tam wolność! Wuju...

Urwał na chwilę — i dodał:

— I dobroć!... bezmierna!... bezgraniczna... dobroć!

Lecz starzec głową potrząsał.

— Nie, nie... kara... to jedyny hamulec.

— Dobroć, to jedyny możliwy motor życia!

— Szalencie!...

I zaraz ze wzruszeniem ramion dodał.

— Twój ojciec był lekkomyślny.

Milczeli długą chwilę.

W zbożu ćwierkanie wzrastało. W oddali z wikliny, która smugą się znaczyła ponad linią błękitną rzeki, słychać było nawoływania rąbiących chłopów.

Od wody — przez tan zboża płynęły jakieś opary.

Świat cały płonął w łagodnym rozmarzeniu. Zdało się, iż niema tu miejsca na występki i zbrodnie — że wszyscy posiadli dumną miłość dla dobra, które w sobie samem znajduje przyczynę i podniecie.

Tymczasem siwe oczy księdza wbiły się w twarz chłopca.

— Więc dla ciebie niema występku?

— Jest tylko... nieszczęście.

— Niema ludzi złych? podłych? zbrodniarzy?

— To są nieszczęśliwi.

... To wszystko przypomina sobie Adam teraz w samotności i ciszy, gdy myśli o Rydziku, który krwią bezbronną ocieka, o jego żonie, rozszalałej krwią i nerwami, o Minzach, którzy skradli mienie trupa, o Tarajewiczu, którego złodziejstwo przeczuwa, o tej Nieznajomej, która śmieje się wampirem i samobójco ku ziemi się skłania, o samym sobie, który jeszcze mimo wszystko porywa się czasem do sądu czynów innych i wstrętem oddycha...

— Krwiożerczość, mord... oto — człowiek jaskinny. — Dano nam pazury, kły — kobiecie dano nerwy, żądzę i możliwość wzbudzania żądzę dla stworzenia cudu — i chęć nagła powstała przeistoczyć ten pęd naturalny i ponalepiać etykiety — występki. Pazury obcięto i oszlifowano... kły same się starły — samoobrona zbyteczna. Na to są kodeksy i paragrafy... Kobiętę przetworzono...

Zatrzymał się myślą. — Wionęły przed nim dziewczęta Fra Filippo i kasztelanka zakłętą parku.

— Tych nawet występki są pięknem. Kto śmiałyby je potępić?... Kto śmiałyby je karać?...

Wicher jakiś szumił po drzewach parku i rozwiewał gałęzie brzoź.

— I wszystko człowiekowi stało się wrogiem... wszystko... bo chciał osiąść siłą i trwogą. Posiadł częściowo — lecz jest znienawidzony. — I dziś mści się na nim jad wściekłych zwierząt i zmij, mszczą się fale wód, tłocząc się w usta topielców, mści się skała, waląc dynamitem szarpane cielsko na mrowisko ludzi, które ją obsiadło, mści się drzewo, ściągając piorun na drwala, który się pod nie schronił, mści się wreszcie ziemia,

wstrząsając się z obrzydzeniem i ziejąc ogniem i żarem na cuda i wytwory piękna, które człowiek na jej powierzchni utworzył.

Nienawidzi nas wszystko!...

Głucha, straszna walka wre dokoła. I czoło człowieka ociekło potem; pełen wysiłków sprytu, aby tę nienawiść oszukać — wymyka się ciągle z nienawistnych zasadzek, jakie to wszystko na niego zastawia.

Zemstą dyszy dokoła niego.

Zemstą — za co?

Myśli te opadają Adama dziś więcej, niż kiedykolwiek. Gdy dziś rano — przyszedł odwiedzić Rydzika — wziął ze sobą trochę jakichś ilustracji zwalonych w kącie izby. — Przerzucając je, spotkał artykułik, traktujący statystycznie chorobę raka.

Autor dowodził, iż na raka chorują najczęściej i najwięcej ogrodnicy, rolnicy — słowem, ludzie, mający do czynienia z ziemią. Udowodnił to statystycznie.

A więc — ziemia mściła się na Rydziku za to, że ją wyzyskiwał — ciągnąc z niej soki i podniecając ją do twórczości na jego korzyść tem, co ludzie zwą — uprawą.

Gdy w młodości swej szedł za plugiem i pruł ziemię i rany w niej bezmyślnie czynił — ona z zemsty pyłem swoim posłała mu jad, który go teraz zgniecie, rozrani i powali.

Nie tylko ziemia — bo i... krew.

Krew zwierząt mordowanych — bo Adam w księgach swoich czytał, że rak pojawia się u tych, którzy żywią się mięsem zwierzęcem.

A więc — ziemia i krew.

I przed oczyma stanął mu Rydzik, jak, idąc w blaskach słonecznego widma, rękę wyciąga, a z ręki tej cieknie ziemia i krew.

Myśli te tak dręczyły Adama, iż nad wieczorem uciekł znowu w pole. Lecz już nie szukał Rydzika, który znów błądził po kartofliskach i strzelał kuropatwy, pomimo protestu Tarajewicza.

— Zemsta wszędzie, nienawiść, kara, potępienie... — myślał Adam — dlaczego? dlaczego?...

Idąc wśród stogów słomy, widział szeregi mozolących się ludzi w szarych płótniankach, co najwyżej poznaczonych brązową barwą jakichś kaftanów lub mchową barwą spódnic kobiecych.

Trudno sobie przedstawić doskonalsze sharmonizowanie barw do ogólnego tonu krajobrazu ruskiej ziemi. Był to zespół kolorów idealny — ani na chwilę nie wywodzący z nastroju. Ludzie szarzy, jak ziemia, jak pył — zaledwie mchów sięgając nieśmiało, chęcią rozweselenia odzieży, mchów i pniaków sosen.

— Jak oni mnie muszą nienawidzieć — myślał, uchylając przed nimi kapelusza.

Patrzyli na niego z podejścia i boki. Nikt mu prosto w oczy nie patrzył.

Nie mieli bowiem w sobie ani jawności swych myśli, ani uśmiechów.

— Chciałbym, żeby mi który z tych ludzi wyrządził ciężką krzywdę — myślał — i żeby mi dał sposobność poświęcić się dla niego. — Złamałbym w ten sposób resztę tego zła, które jest jeszcze we mnie!

Było to dziecinne prawie, jakieś niejasne — może śmieszne — ale miało w sobie zarys ideału moralnego w najczystszej tego słowa znaczeniu.

Dobro dla dobra. Nic więcej.

O zachodzie zawrócił Adam i szedł przez ugory ku grupie drzew, która wrogo na horyzoncie ciemniała.

I drzewa nieprzyjazne...

Zranione i nadźarte kulami — o niezagojonych bliznach.

Z tej strony pół — park miał wysokie żelazne kraty w formie dzid. — Zardzewiałe od deszczu — resztki dawnego opasania własności. Adam dostrzegł je po raz pierwszy.

Nie byłem jeszcze w tej stronie pół.

Poza kratami, jak uwięzione grono rycerzy, w plen wziętych, ciemniały drzewa. Łamały rozpaczliwymi liniami swe konary i wyciągały je ku niebu. Nad niemi niebo przybierało dziś złote tony — jakby roztopiły się nagle przeogromne masy złota i zalały przestworza. Złoto wchłaniało nawet w siebie słońce i zalewało je blaskiem. I niewiadomo już było, co jest tą światłością — co było źródłem rozlewającym złoto dziwne i jakby nadzieja nad beznadziejnością tych równin płonące.

Adam poczuł dziś po raz pierwszy jakąś łagodność, jakieś sfołgowanie grozy i rozpacz, która go martwość rzeczy opuszczonych a mściwych tu ogarniała.

Kładzie się po ugorach cichy smutek i rezygnacja? Kto wie.

Adam wpatrzył się bezwiednie w aleję, która poza dzidami krat przez park na jakąś polankę prowadziła. Łączyły się nad tą ścieżką gałęzie lip i tworzyły sklepienie liści żółtych i delikatnych. Tylko plamy złote od słonecznego blasku padały na ziemię, zarosłą zszarzałą trawą, i złociły się, jak topazy, osadzone w ścianach, pokrytych patyną kosztownej trumny. — Na tę zieleni, na te blaski leciały wolno liście o ognistych lub bladych tonach, i padały bez szelestu, jak wielkie krople złotego deszczu.

— W marzeniach moich widziałem to wszystko — myśli Adam i tylko...

Lecz dech mu zamarł w piersiach.

Staął i zmienił się cały we wzrok.

Po ścieżce tkanej topazami i patyną o weronezowskiej zieleni — pod baldachimem gałęzi — na tle jasnym, ku kratom złożonym i zjedzonym rdzą — idzie kobieta.

Ma na sobie długą wełnianą suknię ciemno-zielonej barwy i dwa pasma czarnych włosów okalają jej twarz białości alabastru. Oczy ciemne mają nieprzejrzane głębie — ciemne rzęsy cień na nie rzucają. W liniach jej postaci, w spojrzeniu, w zagarnianiu szatą liści tulących się, jak ptaki konające, u jej stóp — jest bezbrzeżna melancholia dusz cierpiących, jakby ludzkość w niej zamykała księgę swoich smutków.

Chód jej był tej, która idzie ku mogilnym zachodom przesmutnego obszaru ziemi.

I ręce jej opuszczone...

Te ręce w poczuciu zależności opadły ku dołowi...

Ręce, które mogą się wznosić tylko w górę rozpaczłą linią — lecz nie walczą...

Te ręce kobiety o dwóch cieniach. I o samobójczej myśli.

Adam stoi, patrzy i widzi przed sobą złączenie swych myśli, wrażeń; — pragnień i lęku. Idzie ku niemu wysniona kasztelanka z jesiennego parku za koronką złożonych dzid.

Idzie ku niemu kobieta, której namiętność musi mieć omdlenie skupionych w sobie dusz.

Idzie ta, która pragnęła śmierci...

I która ma twarz trójkątną.

Twarc dziwną, okoloną pasmami czarnych włosów, które, zda się, z niej całą barwę wypity. Kobieta doszła do kraty i zatrzymała się. Powolnym ruchem podniosła ręce w górę. Spłynęły ku ziemi długie, ciemne draperye jej sukni.

I pozostała tak nieruchoma — z rękami wysoko uczepionemi krat — z twarzą przylgniętą do rdzy — zapatrzona w bezkres równi — i w roztopiające się w bladości już powodzi słońce.

Adam całą siłą woli oderwał się od miejsca i powoli, okrążając park, zaczął iść ku dworowi.

W głowie jego zapanował chaos. — Nie wiedział, czy była to rzeczywistość, czy tylko zjaw.

Koło stajen spotkał Tarajewicza.

— Panna baronówna przyjechała! — rzucił, przebiegając.

Adam dochodził powoli do ganku.

Cofać się nie mógł.

Spotkali się u stopni ganku.

Spojrzała na niego — pierw, nim uchylił kapelusza. Ogarnęła go taką głębią spojrzenia, iż Adam uczył prawie ból fizyczny. Lecz już wzrok jej stał się obojętny, kąciaki ust układały się szablonowo.

Czuł, iż musi przedstawić się.

— Jestem Walkiewicz.

Skinęła mu głową i wstąpiła milcząc na wschody.

Tam koło oleandrów zatrzymała się i raz jeszcze spojrzała na niego.

Był to wzrok, jakim operator patrzy na chorego.

Nienawiść błysła.

Nienawiść kobiety dla mężczyzny?

Wieczysta walka dwóch pici?

Czy tylko człowiek nienawidzący człowieka? Lub istota silna nienawidząca drugiej istoty, która posiada tajemnicę jej chwilowej słabości ducha?

Z poza węgła pałacu wysunął się Rydzik. Szedł z dubeltówką — pustemi trokami z drugiej strony pół i przechodzić musiał koło pałacu.

Dojrzawszy baronównę, przyspieszył kroku. Bardzo pokornie zdjął kapelusz i pozdrowił ją niezgrabnie. Ona nie zdawała się go widzieć. — Wzrok jej stał szklanym. Tylko coś pod skórą przebiegło, jakby nerwy zadrgały.

Rydzik przeszedł — mając pozór psa obitego. Stulił

głowę w ramiona, dubeltówkę ukrywał na piersiach. Adam w ruchu tego człowieka uczuł, iż cierpi. Odwrócił się i szybko za nim iść zaczął.

— Panie Rydzik — zawołał.

Lecz ten gniewny — spojrzał na niego tak nieprzyjaźnie, iż Adam pozostał na miejscu.

Równocześnie posłyszał suchy trzask drzwi wchodowych.

Baronówna weszła do pałacu, weszła nieprzyjaźnie.

Rydzik się od niego odwracał.

Park cały był mu wrogim — drzewa go nawet przytulić nie chciały.

I ogarnęła Adama tak bezbrzeżna melancholia — jak bezbrzeżne zdały się równie tej Rusi, która dokoła niego pierś swą szarą, bezbarwną — równią smutną rozciągała.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

— Tak, to jej córka — myślał Adam, pochylony nad łóżkiem Rydzika i mierzący mu temperaturę.

Oczy jego mimowoli codziennie biegły ku tej twarzy kobiecej, jakby zawieszanej nad łóżkiem chorego.

Twarzy dziwnej — fatalnej.

Ni to upiorzyca, ni to lampa, co czuwa niby u wezłowania, a płomień jej oświeca źle i nieprzyjaźnie.

A przecież w tych oczach tkwi smutek przeznaczeń, tak ostro zaznaczonych, że woli, aby wyłamać się z pod nich, nie ma...

Przynajmniej Adam chce ten smutek dopatrzyć.

Kto wie...

Rydzik chory od dni kilku — pokłada się. Wbrew zakazowi, porwał z kuchni pampuchy z serem i kartoflami i zjadł ich kilka. Pogorszyło mu się. Podłoga cała zapluta. Adam nie jest w stanie wytłómaczyć i uprosić, aby pluł w spluwaczkę. — Z trudem znalazł dziewczę, która wyszorowała podłogę i zmyła ją sublimatem. Rydzik skurczony na łóżku z ironią śledził tę pospieszną dezynfekcję. Gdy dziewczka skończyła swą pracę — zebrał siły i plunął z całej siły na podłogę.

Czarniawy osad — podobny do kawy — nieomył ny znak raka, rozpostarł się na deskach.

Dziewka stanęła, popatrzyła — i z ust jej rozlecił się potok przekleństw, wyziony piskliwym głosem.

Na te przekleństwa odpowiedział Rydzik chrapliwie jeszcze straszniejszą seryą życzeń i zakończył je ponownym tryumfalnym plunięciem.

Dziewka zabrała swe ścierki i kubły, groźnie błyskając małemi, szaremi oczkami.

Lecz — we drzwiach ukazał się Adam i nakazał jej milczenie.

— Cicho bądź... on chory.

Dziewka pociągnęła na nos chustkę.

— Chory... bo się naźarł.

I wyszła z łoskotem, waląc kubłami o drzwi i otwierając je nogą.

Adam prawie zniechęcony zbliżył się do łóżka, na którym w brudnej kratkowanej koszuli leżał Rydzik.

— Proszę zmierzyć temperaturę! — wyrzekł, podając termometr.

O! jakże chętnie byłby usiadł przy tym człowieku — przemówił do niego z głębin swej najlepszej istoty — wprowadził go powoli w świat pięknej, przedśmiertnej rezygnacji.

Lecz — dość było spojrzeć na tę twarz wroga, w której cała potęga chorego i zmożonego siłacza-chłopa — biła jadem z pomiętych i pooranych pazurami bólu rysów, aby zrozumieć, że chwila ta nie nadeszła i kto wie, czy nadejść może.

Na poduszki opadł — leżał nieruchomy — siny — szary — w oświeceniu poranka.

Adam, który tułał się od chwili przybycia do tego domu między rzeczami o wrogich i smutnych podstawach — zaczynał czuć fizycznie jakby cierpienie na myśl, że tyle jakiegoś bólu, nieporozumienia nagromadzonego jest w tej ciasnej przestrzeni i tłoczy tak życie ludzkie.

Najbliższy mu był Rydzik, gdyż obowiązek kazał mu się nim zajmować.

— Nie wiem, jak wielką była doza jego szczęścia w życiu — myśli, patrząc na twarz prawie martwą i od bólu ściągniętą — to widzę przecież, iż ten człowiek jest najzupełniej nieprzygotowany na to, co go jeszcze czeka...

I zaraz przychodzi pragnienie.

— Ach! gdyby pozwolił się przygotować!

Adam jest wyjątkowo duchowo zorganizowany.

Adam nie szydzi z samego siebie w autokrytycznych chwilach. I to mu dopomaga do szczerych i trwałych postanowień. Sondażuje się, sądzi — lecz i dla siebie ma miarę dobroci, która cechuje jego charakter.

I swoją duszę chciałby uczynić mniej smutną, gdy

przyjdzie nań zwątpienie, czy dobrze uczynił. — Przez to różni się od przeciętnych ludzi, którzy z taką furją i nienawiścią sami na siebie się rzucają.

Bo — stało się modne teraz ostrzyć ironiczny jad nienawiści przede wszystkim na samym sobie.

Modne.

Nienawiść, którą zioną jedni ludzie ku drugim — kształcą na własnych ja.

— Nienawidzę wszystkich — zacząwszy od — siebie.

I nigdy pobłażliwości, nigdy współczucia, nigdy sprawiedliwej miary.

Czyni wszystkie przez sito nienawiści, linie ciała i postępów, każda myśl jeszcze nie sformułowana, wysmagana bez litości.

I nasze ja, nieśmiałe skrzywdzone — powoli staje się niezdolne do pięknych objawów lotnych i śmiałych.

Lęka się codziennej chłoty, ciągłej szpicruty, przecinającej dech, świszczącej nieprzychylnością.

Bez buntu nawet ulega.

I wstydzi się potem nawet sięgnąć w region dobra, choćby lekkomyślnego, i odruchów, nie zważonych na wadze rozsądku. Wlecze się, nie wzłata. Ma pozór ptaka, któremu złośliwy a brzydki chłopak podciął skrzydła.

Szczególniej tak gnębią siebie... młodzi.

I zgębiwszy — nienawidzą milczącą ofiarę, którą za sobą wloką.

Znienawidziwszy — pozbyć się jej pragną.

Przychodzi księżycowa noc...

Grają nerwy.

Chwyta się pistolet.

Na ziemię usuwa się trup.

Częściej całe życie wlecze się tak znienawidzone „ja“ — czyjeś i zajmuje miejsce ku ziemi ciężące. Takie biedne, sponiewierane „ja“.

Adam tego nie miał od dziecka.

Wyrósł wśród ziół, traw, pól.

A były mu tem wdzięczne i przyjazne, rosnące koło małej plebanijki wieńcem w obramowaniu wzgórz.

Śmiały się doń lipy pachnące i strząsały swe białe kwiecie, mówiąc dziecku:

— Patrz! jesteśmy piękne i dobre. Piękne i wspa-
niałe... dajemy wóń, dajemy miód.

A macierzanka pod drobne nóżki dziecka się słała i szeptała z cicha:

— Jestem miła i wonna — ametyst nie jest w barwie piękniejszy, a woń moja orzeźwia i sił dodaje.

Pomiędzy zielenią łąk rwał się Dunajec, nad którym skakały po kamieniach małe śliczne ptaszki.

I fale szemrały:

— Srebrne jesteśmy — srebrne, jak połysk ciała rusalki — a w nas cały świat żyje i niesiemy go z gór w morską dal. — Otulamy go sobą — życie mu dajemy... Nad nami słońce, a w nas tęcza...

Chłopiec błdził wśród tych śmiejących się i radych z siebie szeptów. I powtarzał bezwiednie:

— Nademną słońce — we mnie tęcza...

Wyrósł z tym szmerem w duszy. — Z przyrody, która mu była jakby matką, wziął jej melancholię srebrną i rozłęsknienia mgieł rannych. — Smutny był — lecz nie miał w sobie nienawiści ani jadu. — Nie był sobie wrogiem — przeciwnie, uważał siebie za swego nierozłącznego przyjaciela, którego chciał upiększyć i ulepszyć w jego brakach. Nie zniechęcał się chłostą ironii, lecz szukał przyczyn, dlaczego tak — a nie inaczej.

Nie był więc modnym.

Lecz był za to na wskroś dobrym — dla wszystkich, zaczawszy od siebie samego.

Pochylił się nad Rydzikiem.

— Niech pan pozwoli...

Poprawił mu pościel. Czynił to nie jak człowiek, któremu za to płacą, ale jak człowiek, który ma ten gest w sobie. Ręką wyczuł pod prześcieradłem jakieś drewno.

— Na czym pan leży?

Rydzik się zachnął.

— To moja rzecz.

— Na czym pan leży. Proszę powiedzieć, ja pana nie wydam.

Milczenie.

— Dlaczego mi pan nie wierzy? Ja przecież wiem i bez pańskiego powiedzenia: pan zabrał ze sobą dubeltówkę do łóżka, bo się pan boi, żeby jej panu nie odebrali.

Rydzika aż podniosło.

— A gdyby, to i co? — warknął.

— Przedewszystkiem proszę o spokój — o!... wi-
dzi pan — już pana porywa.

Z ust Rydzika pociekła ciemno brunatna ciecz.

— A gdyby... dławił się — to przecie moje — ona mi darowała!...

Wskazał oczami na fotografię kobiety o trójkątnej twarzy.

— Da-ro-wa-ła!...

— I nie dam... zabiję, a niem dam!

Padł na poduszki. — Adam otarł mu brodę i pierś. Podał mu parę kropel morfiny.

— Niech pan to weźmie.

Rydzik rękę jego odtrącił.

— Won! — krzyknął — nie chcę!... Strujecie mnie. Ja was znam. — Ja zawadzam. Rydzik próchno... Rydzika usunąć... co? co?...

Nie miał sił się podnieść. Straszny był — oczyma zakrwawionemi Adama przebijał.

— Dużo ci za to zapłacę? co?...

Adam morfinę mu wciąż podawał.

— Niechno pan to weźmie.

— Won!...

Adam usunął się w kąt izby, lecz nie odchodził tak, jak to uczynił po raz pierwszy, gdy go Rydzik z izby wyganiał.

— Jak on cierpi... — myślał — jak on cierpi podwójnie... a ja nic dla niego nie mogę...

Rydzik tymczasem bełkotał jakieś niezrozumiałe słowa.

— Wiśka... smerda... szelma, jak inni — o... uczy-
łem jeździć... powozić — szelma. Nie zna... wszyscy —
kopnać... po co? ścierwa...

W sieniach zachrobotąło.

Rydzik porwał się z pościeli — rękami drżącymi dubeltówkę pod prześcieradło zwleczoną zasłaniał.

— Nie dam...

Na progu stanął Tarajewicz.

Po izbie się obejrzał.

Rydzik z wysuniętą naprzód szczęką czekał, dysząc ciężko.

Adam się wysunął na środek izby.

— Pan tu po co? — zapytał Tarajewicza.

Rządca brwi zmarszczył.

— Jednej dubeltówki brak... muszę mieć pod rękę. Może jutro pan Toczyński zechce polować...

— Nie dam! — ryknął nagle Rydzik.

— Proszę pana stąd wyjść — rzekł stanowczo Adam — pan drażni chorego...

— To jest dobro pani baronowej, ja muszę pilnować.

I znów ryk!

— Nie dam!...

Adam zmusza Tarajewicza do wyjścia i sam z nim wychodzi.

— Na Boga, jak wy z tym człowiekiem postępujecie. Dlaczego mu nie dacie spokojnie żyć?

— Nikt mu nic złego nie robi. On sam jest nieustuchany i dokazuje... Panna baronówna, jak zobaczy brak w strzelbach, to się będzie gniewać.

— Ale pani baronowa, jak się dowie, że jej mąż nie ma należytego spokoju, będzie się jeszcze więcej gniewać.

Nieokreślony uśmiech przeleciał po twarzy Tarajewicza.

— Ech!... — machnął ręką.

— Ja będę zmuszony zawiadomić.

— Ja zaś muszę pańskiego dobra strzedz.

Adam się szalenie zniecierpliwił.

— Proszę mnie tę sprawę zostawić, ja się zobaczę z baronówną.

— Ha... skoro tak.

— Tak!

Tarajewicz ku budynkom folwarcznym odszedł. Adam powrócił na chwilę do Rydzika.

— Proszę się uspokoić — wyrzekł — ja zrobię to, aby panu strzelbę zostawiono.

— No... to dobrze. Bo ja nie oddam, żebym miał ich wszystkich powystrzelać. Ja z koromysłem na polowanie chodzić nie będę. Niech pan to tej ścierwoskiej Wiśce powie...

Adam ku fotografii oczami pobłądził.

— To... matka — tamtej, która się zabić chciała, — przemknęło mu przez myśl.

Cała scena na ulicy, to usunięcie się w ciemny zaułek, jej spojrzenie, łzy i potem ucieczka stanęły przed nim z taką, jak nigdy, dokładnością.

— Zabić się chciała! — myślał, idąc ku dworowi.

Przeszło tydzień mieszkał z tą dziewczyną pod jednym dachem, a czuł się tak sam, jak poprzednio.

Nic nie zaznaczyło, że oprócz niego w tym domu jest jeszcze jedna młodość świeża, bujna, żywa. Czasem przemknęła się pokojowa w ciemnym fartuchu, czasem przeszedł Tarajewicz, lub poniesiono z kuchni tacę nakrytą serwetą. — Raz dziewczka zbierała bratki, które rosły na zapomnianej grządce wokół werandy — i poniosła ją w głąb domu.

To było wszystko.

Tylko wieczorem z dwóch okien lewego skrzydła padała smuga światła i drżała na grządkach bratków, na piasku ścieżki. — Smuga tego światła była dyskretna i delikatnie stonowana przez zapuszczoną roletę z białego płótna.

Adam widział tę smugę i przyzwyczaił się łatwo do niej. W pierwszych dniach niepokoiło go. — Teraz była martwa — i zdawało się, że w tym świetle nie żyje chyba nikt, nie porusza się nikt... nie myśli nikt...

Adamowi ta kobieta stawała się równie niewidzialną, niedostępną, jak tamta na fotografii, nad łóżkiem swego męża-parobka.

Tak długo w niepewności — mieszkał razem obie — tak długo mu były jedną, że teraz, choć wiedział, że jest ich dwie — że jedna z nich jest blisko — to przecież tak mu znikła, tak stała się dlań daleką, iż bliższą mu była ta „matka“, którą widywał codziennie w czarnych mgłach i czyny jej otaczały go nieubłagany szereg faktów fatalnych i strasznych.

— Wiśka... Wiśka... — brzmiało mu teraz w uszach — ścierwoska Wiśka...

Sponiewierane, oplute widmo z poza złożonych krat parku. Doszedł do domu i zatrzymał się. — Jakże mu się z nią zobaczyć. — Teraz odbiegła go odwaga. Zdawało mu się, że popełnił względem baronówny jakiś czyn zły i teraz nie śmie spojrzeć jej w oczy.

— Nie pójde do niej... czekać będę — może wyjdzie do parku.

Usiadł na białej ławce, która stała niedaleko ganku. Patrzył na brzozy — nadłuchiwał. Napróżno — nie wyszła.

Doznawał zdenerwowania. Tłómaczył sobie, że to jedynie dlatego, iż głupia sprawa ze strzelbą przedłuża

się niepotrzebnie — i że Rydzik niepokoi się i szkodzi w ten sposób swemu zdrowiu.

Nadeszło południe.

Minęło — słońce ciągle złotem zalewało park. Z kuchni zanieśiono do pokoju Adama obiad na tacy. — Dziewka w chustce na głowie przemknęła, mówiąc:

— Proszę na obiad!

Adam wszedł do domu i jedząc patrzył ciągle w okno.

— Niepotrzebnie w mieszałem się w tę sprawę — pomyślał — wnosi to mi jakiś niepokój duchowy. Należało Tarajewicza zgromić, ale ją zostawić na boku.

Po obiedzie wziął książkę i znów wyszedł przed dom. Nie mógł jednak czytać.

Myślał o... Wiście i o jej dwóch cieniach.

— Czy ona mnie poznała?... Musiała poznać. Tam w Filharmonii przeszła mnie takim samem spojrzeniem, jak w owym zaułku. To samo tu, na ganku... Zresztą w takiej chwili wszystkie wrażenia odczuwają się podwójnie silnie — więc i to...

— Poznała mnie, nienawidzi — czy ma wdzięczność za to, co uczyniłem.

— Nie wiem już — nie wiem nic.

I nagle — zupełnie niespodziewanie otwartę się drzwi ganku i coś białego wionęło na ścieżkę, bramującą dokoła klomb środkowy.

Adam zerwał się i patrzył zdumiony.

— Ależ... — pomyślał natychmiast — to nie była ona... tamta... która umrzeć chciała...

Złoto-blond ścieżką szła lekko i zwinnie smukła dziewczyna w białej sukni z lekkiego fularu.

Wolna, plisowana bluzka spadała na pasek ze złotego galonu. Z pod paska rozplływały się ku ziemi drobne fałdeczki spódnicy, która rozwiewała się delikatnie i powiewnie, jak szaty Boticellovskich dziewczyn na freskach w paryskim Luwrze.

Włosy, odrzucone z czoła, zebrane u góry w modną fryzurę, odsłaniały szyję, równie piękną, i śliczne, zgrabne, prawie dziecięce uszy, ozdobione perłą.

Ogromny urok, czar młodości aż wiał z tej postaci i z oczów ciemnych, tryskających jakby światłem, a patrzących z nadzwyczajną śmiałością prosto w słońce.

Była to „ścierwoska Wiśka“...

Na łańcuszku przetykanym perłami zwisał cały pęk breloków. Dzwoniło to, brzęczało miłuchno. Baronówna

miała na ramiona zarzucony prześliczny, jasnozielony szal w złote hafty. Zieleń ta odbijała przepyszenie od bieli fularu. — Wszystko to razem było eleganckie, kunsztowne, miłe dla oka — powabne i wesołe.

A tak „wesole“, że ów tramwaj, huczący daleko — na ulicy miasta — i te dwa cienie, biegnące za samobójczynią, zdawały się śmieszne, dziwne... nieprawdopodobne.

— Nie ona... nie ona... aż zawrzało w piersi Adama.

Dziewczyna dokoła klombu krąży po nad rezedami zapóźnionemi, na które jesienne liście padają.

Krąży — w słońce patrzy. Raz przelotnie spojrzęła na Adama. — Nie zdążył ukłonić się. Wiśka już gdzieś oczami pobiegła.

Ku słońcu.

Adam stara się powrócić do równowagi i zaczyna iść ku niej pospiesznym krokiem. Jakby chciał dogonić swą stanowczość, która przed nim pierzcha.

— Pani pozwoli...

Zatrzymała się z podniesioną ręką, z której spływa zieleń szala.

Patrzy na niego, oczy mruży banalnie.

To go otrzeźwia.

— Pan sobie życzy?...

— Przedewszystkiem przepraszam, iż panią zajmuję. Jest to jednak mój obowiązek. — Dotyczy to mego pacjenta...

Nic nie zdoła opisać zmiany, jaka zaszła w twarzy baronówny. — Postarzała się w jednej chwili. Jakiś skurcz zacisnął jej szczęki.

— To do mnie nie należy — wyrzekła sucho.

Lecz Adam drogę jej zastąpił.

— Przeciwnie — odparł — rzecz cała od pani zawisła. — Będę związany. Chodzi o strzelbę... mój pacjent chce polować — nie ma dubeltówki — wziął jedną z wiszących bezużytecznie na ścianie pałacu... Obecnie każą mu je oddać.

Wiśka spojrzęła z pod brwi ściągniętych.

— Spodziewam się! — wyrzekła.

— To drażni mego pacjenta.

— !!!

— Tak... Jest on bardzo chory. Nie nalczy go rozdrażniać. Proszę mu strzelbę zostawić.

Wiśka przez chwilę milczała — wreszcie, z nieokreśloną ironią patrząc ostro na Adama, rzuciła:

— Zdawało mi się, że pan jest doktorem.

— Jeszcze nim nie jestem. Ale wypełniam tu jego funkcje.

— Mniejsza o subtelności. — Dubeltówki do środków leczniczych nie należą. — Przeto — muszą być w porządku i służba nie ma do nich prawa.

— Powtarzam, że to mój pacjent wziął strzelbę...

— A ja powtarzam — służba.

Padło to słowo i w jednej chwili rozjaśniło sytuację.

Dla baronówny — mąż jej matki pozostał zawsze sługą — niczem więcej.

Adama owikłał w tej chwili dramat, stworzony wolą, zda się, i chęcią ludzką. — Nie chcieli uznać się wzajemnie, nie chcieli przyznać sobie praw, lecz wysuwali pazury i radzi wyszarpywali ze swego istnienia po kawałku ociekniętego krwią barłogu.

Wiśka szarpała białymi rękami ten barłóg nędzny, na który wdrapał się Rydzik. Z tego zajęcia utworzyła sobie w tej chwili punkt środkowy czynów i myśli. Gdy tak stała w słońcu, śliczna, młoda, wonna — zapomniła o przepychu jesiennego czaru, o kryształach przestrzeni, o barwach i jaśni — o swej własnej cudnej linii tanagryjskiej figurki, o liniach rąk, o płaszczu włosów — zapomniła o tem, że wykwitła na świat, aby dusza jej rozjaśniała horyzonty moralne, a ciało niosło pięknem swoim uroki i czary — rozpachnionych łąk — zapomniła o wszystkim. I ogarnęło ją drobne, zaciśnięte koło czynienia przykrości drugiej, zależnej istocie.

Fala ludzkich punktów widzenia.

Ludzkich...

Lecz z jakim podkładem?

Ach, zwarte koło drobnych strzał, maczanych w jadzie naszych dusz.

Gdyby nie było zapotrzebowania tego jadu — przestałby zatruwać ściekiem swym nas samych.

Ten jad...

Na drugich — trucizna mijających bezpowrotnie chwil.

Trucizna rzucanych strzał.

Przez nas... w drugich nas!...

— O nic panią nie proszę, tylko o wstrzymanie egzekucji — mówi Adam — za parę dni strzelba wisieć będzie na tem samym miejscu.

Wiśkę jakby podrażnił ten ton łagodnego spokoju, jakim do niej Adam mówi.

— Proszę pana mnie tem nie niepokoić. Postąpię tak, jak uznam za właściwe. — Panu radzę także tem się nie zajmować. To są sprawy... oficyn!

Skinęła mu głową i chce odejść.

Lecz on nagle czuje, iż dla jej dobra powinien od razu wyjaśnić całą sytuację.

— To są sprawy pani ojczyrna!...

Cofnęła się. Jakiś niepokój przemknął po jej twarzy. Ostro — zuchwale spojrzała mu w oczy.

Odnalazł ją w tej chwili taką — jak w sali Filharmonii — gdy z nienawiścią rzuciła mu w twarz spojrzenie istoty wściekłej za to, iż ktoś ośmielił się wdrzeć w tajnię jej duszy.

I ręką uczyniła ten sam gest, którym w zaułku po zamachu samobójczym odsunęła go od siebie.

Bez słowa odeszła w głąb parku.

Adam patrzył na nią — cały zajęty jedną myślą.

— To ona!... ona!... poznałem ją znowu. Jej gest, jej spojrzenie...

Zwrócił się do oficyn. — Idąc, starał się uporządkować doznane wrażenia.

— Obraziłem ją...

— Trudno, niech wie, że ja Rydzika bądź co bądź uznaję za jej ojczyrną. — Może to zbudzi w niej jakąś niepokojącą myśl... może...

Postanowił przecież zakończyć głupią sprawę ze strzelbą. — Chciał, aby przyczyna znikła, i tylko sam czyn pozostał. — W dziedzinie abstrakcji ten czyn nabiera większej wagi i piękniejszej formy, niż marna walka o dubeltówkę.

Rydzik leżał z oczyma otwartymi. — Dokoła niego pełno było plwocin. — Zdawał się ciągle coś żuć w zębach. — Gdy Adam wszedł, nie poruszył się nawet.

— Ja do pana z propozycją — zaczął Adam łagodnie — napiszę do wuja, aby mi zaraz przysłał dubeltówkę, którą od niego dostałem, dam ją panu. — Pan tymczasem niech odda tę dubeltówkę z palacu — co?...

Rydzik milczał chwilę, wreszcie wyrzucił:

— Nie chyci.

- Skoro panu mówię, że moja dubeltówka lepsza...
- Nie chyci!
- I że ją panu dam — pod słowem honoru.
- Nie chyci...

Nagle Rydzik dzwignął się na łóżku.

- Gdzie pan idzie? proszę leżeć.

- Idę po-ło-wać!

Drżącymi rękami wdziawał na siebie odzienie.

— O!... ścierwa — już mnie chowają. O!... widziacie — a ja będę strzelać, co zechcę... a kto mi w drogę wejdzie, to i jego w łeb!... jak Boga kocham — w łeb...
Machnął koldrą — uderzył ramię fotografię baronowej.

— Psia krew morowa! — zaklął, spojrzawszy w tę stronę.

Adam spojrział przez okno.

Koło kuchni stał Tarajewicz i rozmawiał z żydem, który pocztę przywiózł.

Już Rydzik za próg — trzymając dubeltówkę w garści — wychodził.

Widocznie było, iż całą siłą woli powściągał ból i prostował się, aby „cholerom“ nie dać się zjeść!...

Było to coś tragicznego w tem usiłowaniu i Adam idąc za nim czuł nerwami ten cały wysiłek, jaki Rydzik musiał sobie zadawać.

Tarajewicz dojrzał go; puścił się pędem.

— A o!... — zawołał — proszę oddać... panna baronówna kazała.

Rydzik stanął. Rysy twarzy zaostrzyły się. Silnie nogi wbił w ziemię.

— Pomsta na was wszystkich!... — ryknął.

— O!... jaka to choroba... — śmiał się Tarajewicz — widzi sam pan doktor!...

Adam chciał pomiędzy nimi stanąć, gdy nagle strzał padł.

Kula poszła światami — ale strzał padł.

— Zabijać teraz będzie! — krzyknął Tarajewicz.

Lecz widział dobrze, iż Rydzik w powietrze dla ostrzeżenia widocznie strzelił.

— Więc zejździe mu z drogi — zawołał Adam.

Rydzik już w pole szedł. Koścista jego sylwetka rysowała się silnie na złotym zachodzie.

Tarajewicz ręce łamał.

— A to... a to... — zaczął. — Do czego to doszło!

Jak się to rozzuchwalił. Ja dziś piszę do pani baronowej, że służbę rzucam. Nie będę życia ryzykował. A toć on nam wszystkim w łby postrzela...

— Sami jesteście temu winni.

— My?...

— Tak.

— No, no... A cóż mu za krzywda? Daje mu się jeść, pić. Ma doktorów przy sobie, tak, jak miał pan baron nieboszczyk. Tfu!... obraza Boska.

— On jest bardzo chory.

— E! proszę pana doktora, każdy będzie taki chory, jak się obezre. — A to, z przeproszeniem, nie jadł, ale żarł — na dwa stoły. Pani baronowa go karmiła delikatetami, a on potem szedł i czeladzkie jedzenie dopychał... On zresztą tak samo i z czem innym robił. W pałacu pani sama... a w kuchni byle pomyjak... et!...

Zazdrość wykrzywiła mu usta.

— I to zawsze szczęście padnie na takie coś...

Adam smutno na Tarajewicza patrzył.

— I dlatego się na nim mścicie...

— Że?...

— Że to nie wy.

Tarajewicz się zmieszał.

— O! także coś... ani mi to w głowie. A jej!... zresztą... gdybym był chciał...

Spostrzegł się, że powiedział za wiele.

— Zresztą... ja do pani baronowej napiszę i za służbę podziękuję — dodał pospiesznie.

Odszedł.

Adam powoli śladem Rydzika podążył.

Mimowoli — ten „mąż pani baronowej“ — zaczął mu być prawie sympatycznym. — Czuł w nim duży ból i wiązać go z nim zaczynała nie sama anegdota jego dziwnych losów.

Pod lasem pastuch jakiś zapalił perz. Czarne bryły delikatne a płomienne żarzyły się na piasku. Dym rozwiewał się w fantastyczne figury i okręcał w liry powyginane sosny.

Rydzika nigdzie widać nie było.

Adam błądził wśród badyli. Natrafił na zdechłego chomiczka, który leżał z łapkami w krzyż złożonemi, z pyszczkiem zwróconym ku niebu.

Podniósł go i patrzył długo na tę malutką martwą istotkę.

— Byłżeś i ty pełen nienawiści dla tych, którzy, jak ty, żyć pragną? — pomyślał ze smutkiem.

Ściemniało się na ziemi — podczas gdy horyzont dziwnym kontrastem rozpyływać się zdawał w złotawej jasności.

— Gdzie poszedł ten wyróżniony i na dno zepchnięty...

Adam wy dostał się wreszcie na równą zieloną łąkę, obramowaną z trzech stron lasem. Z daleka zdawało mu się, iż dostrzega wyszłego z lasu rogacza i dwie sarny, które nieruchomo stały na tle zieleni, jakby nad słuchując.

— Może Rydzik jest tu na zasadzce! — pomyślał. Nie pójdę dalej — gotów strzelić.

Nie dokończył tej myśli, a wzrok jego padł na jakąś szarą masę, leżącą wśród traw na skraju lasu.

Był to Rydzik. Leżał bezprzytomny — z ręką wyciągniętą. Trzymał w niej dubeltówkę. Widocznie idąc — padł i nie miał siły się podnieść. Adam ku niemu poskoczył. Szybko zbadał jego stan. Było omdlenie. Plwociny ciekły mu po brodzie z ust wykrzywionych. — Adam ułożył go wygodniej i do dworu szybko pobiegł. Zarządził nosze naprędce z prześcieradeł i drągów. Z trudem zebrał ludzi do przeniesienia chorego. — Gdy wreszcie na miejsce przyszli, Rydzik leżał ciągle nieruchomo, ale łżej oddychał. — Próbował bronić się, gdy mu Adam strzelbę z rąk odbierał, lecz sił mu nie stało. — Adam strzelbę za noszami sam poniósł.

Gdy przechodzili powoli ku oficynom — z parku wracała Wiśka.

Szła wolno — otulona zielonym szalem, jakby zziębnięta. Widząc niosących nosze ludzi, zatrzymała się, nie rozumiejąc. Widok Adama wytłómaczył jej wszystko. Wyprostowała się — brzydko wyduła wargi. — Szybko weszła na stopnie i zniknęła w głębi domu.

Adam po ułożeniu chorego — Haškę przechodzącą przez dziedziniec zawołał.

— Odniesz to pannie! — wyrzekł, podając dziewczce dubeltówkę.

Zrobił to umyślnie, chcąc zakończyć tę sprawę, lecz uwidocznic i uwypuklic czyn.

Dziewka poszła i za chwilę wróciła bez strzelby.

Miał ochotę zapytać — co panna powiedziała! — Powstrzymał się jednak.

I ogarnął go jakiś niepokój. Dlaczego chciał wiedzieć, jakie to na niej wrażenie zrobiło?

Co mu było do tego?

To już był łańcuch wiążący jego samego z tą kobietą. A tu przecież szło jedynie o... czyn.

I czyn ten sam powinien działać za siebie, wycofując jego z linii działania.

Gdy Adam wszedł do pałacu, aby zabrać to, co mu było potrzebne do spędzenia nocy przy Rydziku, rzucił wzrokiem na szereg strzelb wiszących w przedsionku. Były już wszystkie na miejscu. — Żadna szczerba nie świeciła na tle makaty. Baronówna kazała dziewczce zawiesić zdobytą dubeltówkę na dawnym haku.

A może zawiesiła sama.

I Adam z jakąś nieokreśloną przykrością wyobraził sobie te delikatne ręce, migające wzdłuż ściany tryumfalnie...

Takie to było małe, żadne — w porównaniu z ich wielką pięknoscią i z dobrocią, jaką siać mogły.

Te dwie białe, kobiece ręce...

II.

Nie podpatrywał, nie chciał nic widzieć, a przecież raz, wieczorem — jakby coś mu się zamajaczyło. Wyszedł przed oficynę, aby zaczerpnąć trochę powietrza. Piątą już noc spędzał przy Rydziku. Choroba nagle się posunęła. — Rak zdeklarował się zupełnie. Adam, patrząc na Rydzika, coraz częściej doznawał wrażenia:

— Ziemia i krew...

Mściły się obie potęgi — żrąc tych, którzy ich żarli — tocząc tych, którzy im łono pruli.

Takie myśli opadły Adama, gdy stoi w noc księżycową przed oficyną. Oparł się plecami o ścianę i patrzy. Roztęskniło się w nim serce pod tragicznością przeznaczeń codziennych.

— Z ziemi zrodzony ten chłop, ten Rydzik — do ziemi lgnął... i dziś ziemia mu katem.

Jeżeli...

Bo kto z nas coś stałe twierdzić może?

Przypomniat mu się bardzo stary profesor, który mówił do nich z nieopisaną melancholią.

— Panowie! całe życie starałem się dowiedzieć... i dziś, pamiętajcie, co wam mówię — ja nic nie wiem!

Uczciwy głos — z głębi duszy, która przyznaje się przed sobą do próżnych wysiłków.

Uczciwy głos.

Więc i tu nic, nic. Jedynie tylko to, co z sercaabrać możemy i sercem w drugich cierpiących wlać...

Aby spokojnie odeszli.

Nic więcej?

Dla drugich, a... dla siebie?

Wzrok Adama ku białej smudze światła, padającego z okien Wiśki — biegnie.

Dlaczego właśnie — tam?

Nie wie, dość — że biegnie.

W oknach światło — ta smuga wpływa w błękit księżycowego blasku.

— Pomyśleć... że i tamta cierpi, bo pod stopy mi niemal padła owej strasznej nocy, śmierci pragnąc...

— I zrozumieć nie chce innego bólu...

— A przecież sama musi przechodzić jakąś przegromną mękę...

Nagle — od lasu leciuchny turkot.

Jakiś lekki powozik sunie, jak widmo, w tumanach mgiełki polnej.

Zatrzymuje się daleko od dworu i jakby czeka.

Cały ten powozik ma pozór widma.

Jakaś postać męska snuje się otulona długim, jasnym płaszczem.

— Dlaczego dalej nie jadą? — myśli Adam.

W oknach baronówny przemknął się cień. Chwilka ciszy. — Skrzypnęły lekko drzwi wejściowe. — Potem po stopniach, wśród koronki oleandrowych gałęzi, zbiega Wiśka...

Adam poznaje ją dokładnie, choć i ona ma pozór widma. Odziana w jasny płaszcz — kapturek podniesiony na włosy. — Zanurza się lekko w srebro księżycowego światła, jak w topiel lazuru.

I wypływa na srebro drogi.

Adam widzi ją, jak biegnie szybko w stronę oczekującego widma-powozu. — Łączy się z jasną postacią męską, wskakuje do powozu i za chwilę znów leciuchny turkot...

Widmo-powozik znika w mgle polnej.

Adama przejęło dziwne, nieokreślone zimno. Nagle wychłodził ciałem i duszą.

Dlaczego nie miałyby poruszać się, jak człowiek żywy, skoro żyje.

I jakaś gorycz wypełnia serce Adama.

Dlaczego teraz pełna siły i życia wionęła od niego zdaleka — nie wie nawet, że on istnieje. Czy tylko jedynie wtedy — łzami zalana — mogła się zabiąkać razem ze swemi cieniami na jego drogę?

Cisza panuje dokoła.

Tylko gdzieś daleko ujada jakiś pies — porywa się i ustaje.

Adamowi jednak zdaje się, że ciągle słyszy turkot leciuchny na drodze.

— Pojechała w mleczną białość równi...

Z kim?

Mniejsza, co mu do tego. Dość, że pojechała. I nagle pałac wydał mu się dziwnie samotnym.

Czyż wypełniała go tak swoją obecnością, ona, której dostrzedz nie można było dniami całymi?

I teraz snuje się po równinach dokoła, zakreśla koła — rozwiewa się we mgle.

Adam wyrwał się z tej zadumy, w którą, jakby w jar, zapadał — i do chaty powrócił.

Usiadł opodal łóżka Rydzika.

Lecz z nim powróciła razem myśl o zbiegłej w mgłę dziewczynie. Ogarnęła go jakby niewidzialnym welonem i wtuliła się w każdy jego nerw. — Oprócz niej — jeszcze było coś więcej, coś bardziej silnego — była to matka, która zdawała się błędzić zawsze po tej izbie, snuć w długich szatach rozwianych i luźnych.

— One obie... obie...

Rydzik nie spał. Adam uczył jego szklany wzrok utkwiony w przestrzeń. Ponad nim trójkątna twarz biała z pasem czarnych włosów. Adam chciał się otrząsnąć z jakiegoś czaru, który go jakby chwycił, jakby nalaatywał nieproszony.

— Pan nie śpi? — zapytał półgłosem.

Rydzik zdawał się dopiero teraz budzić zupełnie.

— Nie! — odparł chrapliwie.

To — nie — było przecież jakieś różne od zwy-

kłych powiedzeń chorego. Coś tam nurtowało w tę noc księżycową, coś z tęsknoty chłopskiej, co spać po chałupach nie daje, na siano wypędza — albo przed próg...

Adama opanowało zuchwałe pragnienie.

— O czym pan myśli, panie Rydzik! — pyta.

Milczenie.

— Może tęskni pan...

Urywa.

Chce się go spytać po prostu, bez omówień. Może ty, mężu, tęsknisz — za swoją żoną — pragniesz ją zobaczyć w przeczuciu śmierci. To przecież naturalne.

A w naturalności swej — monstrualne.

Zapytać tego parobka wciśniętego w barłóg na książeczce łożu — czy tęskni za tą z mgieł wypływającą kobietą — która może teraz o księżycowej nocy wonna, smukła opływa jakąś przestrzeń duchową i materyjalną swoją istotą, opływa...

Jak tamta, jak Wiśka.

Nie — nie można się o to pytać.

I dlatego zapada znów milczenie.

Nagle — Rydzik zciszoną głosem pyta:

— Proszę pana doktora...

— ?...

— Czy ja... prędko... będę zdrowy?

Ile razy on już słyszał to pytanie — ile razy na nie odpowiadał wiecznym kłamstwem — jałmużną w trumnę rzuconą!

I zawsze serce mu się ściska.

Jakby ktoś kazał mu być Pierrotem i schwyciwszy gitarę, skakać po grobach, śpiewając:

— Nie dla was grób!...

Dziś przecież nie umie czegoś, nie może. Milczy. Szuka słów, aby skorzystać z tego otwarcia się jakby wiecznie zamkniętych podwoi duszy Rydzika.

— Czy koniecznie pragniecie tak długo żyć? — pyta wreszcie — czy spodziewacie się jeszcze wiele radości, że tak drżycie do wyzdrowienia?...

Rydzik unosi się na poduszkach.

— Jakże to? — Jakże to? — bełkoce zmienionym głosem.

Adam uspakaja go skinieniem ręki.

— Nie lękajcie się — polepszy się wam. Ja tak

tylko pytam. — Ot — niby, że wszyscy musimy umierać. I wy, i ja...

Ręka Rydzika konwulsyjnie szarpie koszulę na piersiach.

— Ale ja nie chcę! nie chcę!...

— Ach Rydzik — nic wam to nie pomoże.

— Pan jest od tego doktor.

— Czy sądzicie, że doktorzy nie umierają?

— Bo są durnie... ja... żebym się tak w chorobach gmerał, tobym przecież coś na śmierć wynalazł... No — tobym zrobił majątek... Wszyscy by mi płacili bogactwami za to, żeby nie umierali... A jakże!

Adam wzruszył ramionami.

— Nie Rydzik — nie. Byliby tacy, którzy płaciliby wam właśnie za... śmierć.

— !!!

— Tak. Ci, którym źle na świecie, którzy mają życia dość.

— E!... takich niema.

Adama ogarnął przestach na myśl, jak szalenie silne przywiązanie do życia wiąże tego człowieka ze światem zewnętrznym.

— Przed tym trzeba śmierć zasłaniać! — pomyślał — zbyt ciężka byłaby walka. Niech napadnie go nagle i powali...

Jak jałmużnik więzienny, który sobą zasłania gilotynę skazanemu, tak on musiał twarz swoją układać odpowiednio.

I twarz i słowa.

Więc powstał szybko i prawie wesoło zbliżył się do łóżka.

— No... a teraz weźmiecie krople i spać, aby jutro mieć siły.

Rydzik go za rękaw przytrzymał.

— Panie doktorze!... — zaczął cichutko — ona strzelbę wzięła? co?...

— Tak. Strzelba wisi na dawnym miejscu, dostaniecie nową.

— Od kogo?...

— To mniejsza.

— Bo... tamta mi nie przyśle...

Oczami ku fotografii rzucił.

— Skąd wiecie? Gdybyście napisali.

Jakiś wyraz, jakby upokorzenia, przemknął po twarzy Rydzika.

— Dzieć pisać?... nie wiem, dzie jest. A potem — ona nie chce, żebym do niej pisał. Gniewa się.

— To ja za was napiszę.

— Nie, nie, panie doktorze. Już niech będzie tak. Ręką wykonał gest rezygnacyi i na poduszki opadł.

— Może przyjedzie... — wyszeptał.

— Chcielibyście?

Chwilę trwało milczenie.

Wreszcie Rydzik wyrzekł:

— Tak!

.....
Z mgieł czarnych splywa kobieta.

Ku niej ręce wyciąga mężczyzna.

Nic więcej, tylko kobieta i mężczyzna, którzy dążą ku sobie, gnani przedwiecznem prawem, przeciw któremu iść im nie wolno.

Cała serya pokoleń wyrobiła w niej smukłość połączeń — ściosła szkielet — wydobyła na wierzch i rozegrała przez to nerwy w jej ciele. I to się nazwało rasą.

Szkielet jego pozostał silny i zgrubiał prawie na wicherze, śnieżycy i słońcu. Prymitywna odporność nerwów a siła muskułów rozwinęła go w tego, co ciężko po ziemi stąpa i odwala skiby, szukając ziarn.

Na pozór byli oboje tak bardzo od siebie różni, że nic — żaden najłżejszy łańcuch nie drgał pomiędzy nimi. — Szli odrębną drogą. Ona — wśród estetycznie wyrobionych marmurowych kolumn — on po miedzach, wśród szelestu zbóż, które do rąk mu się garnęły.

A przecież zeszli się na rozgorzałej ścieżce wspólnych pragnień.

Stanęli naprzeciw siebie i oboje utonęli we własnej sile i uroku.

W ramiona padli.

Przy ustach zawiśli.

I stali się jedną błyskawicą wśród pasm wspólnych rozkoszy.

— Ci dwoje!...

Tacy dwoje.

A przecież tak było.

.....
Nigdy tak jasno, jak w tej chwili, oczom Adama

nie przedstawił się ten ubiegły moment z życia Rydzika, jak w tej chwili.

Stoczony śmiercią — ten człowiek mówi „tak“.

Otulało go dwoje gładkich, wonnych ramion.

Jego upartą, chamską głowę!

Jakie on słowa musiał słyszeć w takie noce księżycowe, słowa, które mu pocałunkami na ustach konały.

Wchłonął je w siebie i ma je w głębi — pomimo, że zije obelgami z lat młodych.

Dlatego mówi — tak!...

Adam leciuchny turkot słyszy.

Wiśka nadjeżdża.

Kto wie...

Co? co?

Adam potarł czoło. — Co to za myśli!...

Skąd? A zresztą.

Gdyby nawet!

.....
Nie — och! nie!

III.

Noc po nocy — jasna. I co noc Adam wysuwa się przed oficynkę, o ścianę opiera — i słucha.

Widmo - powozik turkoce lekko. Zatrzymuje się we mgle pól.

Z ganku — po przez koronkę gałęzi oleandrów zbiega Wiśka.

Szary płaszczyk rozwiewa się, jak skrzydła.

Biegnie dziewczyna — och! jak biegnie.

Po co?...

W Adamie rośnie pragnienie złączenia się z nią w tym biegu. I on tak samo leciałby swą młodością, swą siłą w tę mleczną białość niezmierzonych mgieł.

Pochwyciłby widmo dziewczęce za rękę i biegł.

Dziewczyne Fra Filippo Lippi.

O rozwianych włosach.

O rozwianych szatach.

O rozwianych pragnieniach.

I myślach brylantami tkanych.

I lotnych uśmiechach.

I duszy, co biegnie w przesłanki.

Taką dziewczynę za rękę by ujął i biegł — z nią biegł.

Tymczasem — Wiśka dopada powoziku, jakiś cień mężczyzny łączy się z nią na chwilę i giną — oboje we mgle polnej.

Adam czuje, iż te dni kilka odebrały mu możność zajęcia się tem, co dawniej jego świat stanowiło. — Chce, pragnie — powrócić. Nie jest w stanie. Ciągłe teraz żyje tem, co się dokoła niego dzieje. Te dwie kobiety, ich czyny, ich miłości, ich nienawiści — cała konsekwencja ich pragnień ziszczonych lub nieziszczonych oplata go coraz silniej.

Jest ich dwie — a właściwie jedna.

Bo Wiśka jest jakby ciągiem dalszym namiętnego szeptu, który się po baronowej tu jeszcze pozostał.

Jedna chwila dała to poznać Adamowi.

Był to drobiazg. Nic. — A przecież wryło się weń, jak rysa pałaca i głęboka.

Trzeciej nocy Adam stał przed oficyną i czekał na powrót Wiśki.

Tak — po prostu czekał na jej powrót. — Chciał raz jeszcze dojrzeć, jak się przesunie mglisto wśród koronek gałęzi i zniknie we drzwiach pałacu.

Nagle z poza stajen wysunęła się wysoka postać Tarajewicza. — Obchodził budynki — przystawał. Patrzył dokoła.

Adam obserwował go, i ta czarna sylwetka, odcinająca się ostro na jasnym tle, zaczęła zajmować go po malarsku.

Wtem od pół doleciał turkot. Adam poznał natychmiast, że to Wiśka wraca widmowym powozikiem. Tarajewicz jednak stanął i słuchał uważnie.

Stał na ścieżce, prowadzącej do ganku. — Wiśka będzie musiała przejść мимо niego. — I rzeczywiście za chwilę ujrzał Adam, jak szybko zbliżała się dziewczęca postać w rozwianych szatach. Ani na chwilę jednak nie przyszło mu na myśl, że Wiśka cofnie się przed spotkaniem z rządcą. — Tymczasem, tak się stało. Baronówna zwolniła kroku i nagle skrzyła w cień drzew, rosnących przy drodze.

Tarajewicz nie poruszył się i ciągle drogę do dworu barykadował.

Adama ogarnęło nagle jakieś uczucie przykrości na myśl, że ta dumna dziewczyna kryje się w tej chwili ze swym postępkiem przed własnym sługą.

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, szybko wyszedł ze swego cienia i poszedł do Tarajewicza.

— Dobry wieczór panu! — wyrzekł, dotykając jego ramienia.

Rządca drgnął i odwrócił się na chwilę.

— Dobry wieczór. Nie mogę spać. Obchodzę budynki.

— Księżyc świeci. Niema strachu o złodziei.

— Tak... Jenó, widzi pan, są rozmaite rodzaje szkodników.

— Jak to pan rozumie?

— E!... nic, nic!

Adam usiłował Tarajewicza skierować w głąb zabudowań, aby dozwolić Wiśce wrócić do domu.

— Chodźmy się przejść.

— Ni, ni. — Ni mogę.

— Czemu?

— Pan czuwa nad chorym, ja też mam nad czem czuwać — no... i czemu się czasem przypatrzeć.

Aż zgrzytało coś ironią w głosie rządcy.

— To też pójdziemy się przypatrywać.

— Ni, ni...

Nagle stała się rzecz niespodziewana.

Z cienia drzew — wyszła baronówna i powoli, nie spiesząc się, szła ścieżką ku domowi.

Adam patrzył wprost jej w twarz, która coraz wyraźniej wynurzała się z księżycowej topieli. Była czarująco piękna, i zdumienie ogarniało go nad tą niezwykłą urodą. Aż coś ciągnęło ku głębi jej oczów i wyrazowi ust rozchylonych wzgardliwie. Zdawało się Adamowi, że sekundę, mgnienie — bez tchu — zawisła mu cała u źreńca. Lecz gdy nadeszła tuż przed nich — lodowaty, wyniosły wzrok oszpecił ją całą. Nic nie zdoła opisać, z jakim to gestem usunęła rozmawiających ze swej drogi.

Adam ten gest znał.

I zrobiło mu się strasznie przykro na myśl, że został w jej umyśle pograżony w jedną linię z Tarajewiczem.

Nie ze względu, że była to „oficyna“.

Ale, że u Tarajewicza była złośliwość czynu, podczas — gdy przeciwnie — on miał najlepszą intencję.

I dla obu był jeden i ten sam gest.

Gdy Wiśka weszła do domu i ciężko za sobą drzwi zamknęła — Tarajewicz po chwili rzucił:

— No... tak...
— Co tak? — zapytał rozdrażniony Adam.
— Panna baronówna także lubi chodzić po księżycu.

— Jakto... także?... Pan, ja — czuwamy z konieczności.

— Ach! ja nie mówię o nas. Ta pani baronowa spaceruje, jak tylko księżyc świeci...

Adam uczuł, iż petza ku niemu gadzina plotki.

— Dobranoc panu!

Zwrócił się do oficynki.

— Pan już nie chce się przejść?

— Nie. Boję się, że Rydzik mnie potrzebuje.

— Że też panu doktorowi chce się tak z nim męczyć!

Adam nic nie odpowiedział i szybko do oficynki odszedł.

— Także... — myślał — więc dawniej, po mgłach, po polach, w księżycową topiel, widmem-powozikiem snuła się matka.

Teraz — córka.

Matka? — Lecz nie sama.

Może — z Rydzikiem.

Czyżby i ta...

Już myśl się formułuje, kształtuje. — Trzy dni temu przesuwiała się ledwo, ledwo. Teraz jest prawie cała przed nim.

Adam zatrzymuje się w sionce prowadzącej do izby Rydzika.

Wązki pasek światła po ziemi wstążką się ściele.

— Więc... z Rydzikiem — matka.

A córka?...

Wstręt nim szarpnął. Natychmiast jednak przyzwał do pomocy swe zwykłe siły moralne.

— Gdyby nawet... atawizm, idzie utartą drogą prymitywnych instynktów. W ślad za tamtą.

A przecież jakby go za serce ścisnęła straszna ręka o stalowych szponach.

Tak wyniosła, tak piękna w liniach...

Taka Fra Filipi Lippl...

I z poza krat złożonych ogarniająca miłośnie zziębłe liście jesienne i ludzkie smutne zwątpienia.

— Czemu — ona!

... ..
Zagasiło słońce, złoczone jesienią.

Rozsnuła się nad równią szara, dziwna opona — jakby płaska kopuła, lekko poorana żółtymi pasmami.

Zadrzało wszystko zimnym dreszczem, który wypłynął z lasów i wrzosami, co na skraju rosły, jakby przez wstęgę morową się przewinał. Dreszcz ten niewidzialny duszę przyrody całej w melancholię wtrąca. Zdaje się, że nagle powstaje z ziemi cała jej szarość nieprzyjazna, mściwa i rozpościera się, jakby zrozpaczona kobieta swe siwe włosy nad grobem tego, który wyzyskał jej młodość.

Deszcz nie pada — wicher się przycisnął i nie zawodzi nawet nocą po kominach. Tylko ołowiany smutek wisi w przestworzu. I nawet liście padać przestały. — Przybierają teraz barwę miedzi. Pod szarem niebem — płonąć zaczynają.

Adam dogląda Rydzika. Zastosowuje przepłukiwania kwasem borowym. Stara się oszukać siebie i chorego. Rydzik nagle złagodniał. Widocznie zaczyna nabierać zaufania do Adama. Patrzy mu w oczy i stara się wykonać jego polecenia. Widać, iż czepia się życia rozpaczliwie i że zaczynają nachodzić nań zwątpienia. — Raz, zastał go Adam popadłego w głęboki smutek. Leżał, patrząc w okno. — Dawno nie myte szyby nie przepuszczały zewnętrznych obrazów. Adam sam szyby przecierać zaczął. Odraza chwyciła go do utarczek ze służbą. Walał tę drobnostkę wykonać sam.

Rydzik intencję jego zrozumiał.

— Widzicie już dziedziniec? — pytał Adam.

Chory odparł:

— Pan doktor jest bardzo dobry człowiek.

Adama ogarnęło wzruszenie. Odwrócił głowę. Od chwili przybycia tutaj było to pierwsze dobre słowo, które go spotkało. „Dziecko“ w nim żyło, to wieczyste „dziecko“, które jest w pewnych ludziach. Muszą być czasem głaskani, tuleni...

Choć zdaleka — słowem.

I zwłaszcza, że to poszło z ust, które mu tak wrogi były.

— Sprawiam wam przecież dużo przykrości — odezwał się, pokrywając wzruszenie — nie lubicie, gdy idę do was z sondą.

Rydzik machnął wychudłą ręką.

— Aby tylko to... — wyrzekł.

Nie dopominał się już o strzelby, o polowanie. Jej, zna

dział na łóżku straszny, pożółkły w swej rozmamranej koszuli. Szklanemi oczyma w szybę patrzył.

— O!... jak to zesypują te kartofle... jak przyjdą mrozy — do cna wymarzną.

Na dziedzińcu, koło stodoły, kręcili się ludzie, ubijający słomę i ziemię na podłużnych kopcach kartofli.

— Ścierwa!...

Słowa jeszcze ostre padały, ale ton był melancholijny. Siła życiowa wartko odbiegała.

Nagle głowę podniósł.

— A cóż ta tam we dworze?

Adam już wiedział, o kim mowa.

I nagle się przeraził.

Serce zabiło w nim żywiej. Jakiś kurcz go jakby schwycił za gardło.

— Cóż? ona?...

— Nic — odparł z trudnością.

— Kręci zawsze na mnie nosem?

— Nie wiem.

Rydzik pokręcił głową.

— To i z panem nie gada?

Jakaś duma szarpnęła Adamem. Nie chciał stanąć w jednym rzędzie z Rydzikiem, do którego „Wiśka ścierwoska“ także nie gadała.

— My nawzajem ze sobą nie rozmawiamy! —

Lecz Rydzik głową ciągle kręcił.

— Jaka to cholera... jaka to... Ona panu fumy stroi, bo pan mnie leczy... O!...

Pociemniał na twarzy.

— Ona by chciała, żeby mnie tak bez ratunku, jak parszywego psa, na zdechnięcie zostawić...

— Jakże tak możecie myśleć...

Cała nieprzebrana gorycz przez oczy Rydzika potokiem smutku przebiegła.

— O ha!... pan ich nie zna... One obie... no...

Urwał nagle, jakby przerażony.

Po raz pierwszy odezwał się z goryczą o tej niej... o tej żonie...

I zaraz do Wiśki się zwrócił.

— Ona źle skończy... Pan doktor się przekona — źle skończy... gorzej, niż jej matka... sto razy... Pan zobaczy... na psy zjeździe... Ja coś wiem. Ona już lata...

...n Toczyski... to... on koło jej matki latał, a teraz z nią... on ją wykieruje.

Pięść zacisnął i z trudem podniósł.

— Pan Bóg mnie pomści!...

Adama przeszedł dreszcz.

— Dajcie spokój... po co się denerwujecie. Wreszcie za co ma Pan Bóg się mścić? — Panna baronówna krzywdy wam żadnej nie robi.

— Aha! co pan wie. Ona póty nosem kręciła, póty wyrabiała, aż i matkę na mnie podszczyziła i matka wzięła odemnie uciekać.

— A to wszystko bez to, że się ludzie od niej odwracają.

Wypieki mu wystąpiły na twarz. Z daleka słychać było jakby oddalony łoskot gromu, huk zsypywanych po dołach z wozów kartofli.

— A no... odwracają się. Nikt z niemi nie chce żyć! — chrypiał dalej — nikt. Niby to bezemnie nosem na nich kręca. A choćby. To i co? i co?... Ja to za nią latał? ja?... Wszędzie gdzie nie posiej tam była... A Rydzik tu, a Rydzik tam... a przy żniwie, a w stodołę, a w stajni... Niby przez gospodarstwo... A ja? co?... z kamienia?... I potem na mnie, że się ich parszywe państwo od nich odwracają!...

Aż drżał cały w rozżaleniu. — Widoczne było, iż przez chorobę nerwy mu odmawiają posłuszeństwa i rozpręgły się zupełnie.

— A niech ich!... a niech ich obie za moją krzywdę!...

Na poduszki padł — i już cicho, jakby gąęzie schnącego drzewa z wiatrem się niezdarnie borykały, wyszeptał:

— Ja im się ustąpię... ja im się już niedługo ustąpię. — Pójdę ziemię gryźć... będą mogły bale wydawać i z hrabiami hulać.

I umilkł.

Coraz większa melancholia wynurzała się z kątów i szła na Adama. — Siedział cicho w kącie kufra i patrzył, jak maska twarzy Rydzika zastygała w półśnie. To wszystko, co w tej chwili z duszy swej wypuł ten chłop o starganem życiu — zdawało się rósć dokoła jakąś nieprzenikloną gęstwiną złośliwych i pełnych jadu chwastów.

Z gęstwin tej wysuwały się kolejno szeregi obrazów dawnych, przykrych i rozwiewały się dokoła. Dominowała tu potęga tej strasznej żywiołowej namiętności, która gnała kobietę rasową, kobietę o kulturze pewnej, choć powierzchownej, w pościg za roslym mężczyzną

i rzucała ją w objęcia bezprzytomną, nie przewidującą, co z tego szafu wyniknie. Jak burza, waliło się to wszystko w odmet życiowy, druzgotało słabe bałery uкладów społecznych i urągało tryumfalnym okrzykiem przerażonym a żyjącym w zgodzie z temi ukladami duszom...

Cichł jednak ten krzyk powoli. Na noce pełne błyskawic i żaru zapadał stopniowo całun przesytu... Szmer pocałunków milki i nagle powstawał protest jakiegoś dziecięcego głosu.

To... Wiśka.

Tak — rośło to w atmosferze żywiołowych namiętności i prosta, prymitywna dusza dziecka nie ogarniała dna całej sprawy. Garnęła się do parobka, który chwycił dziecko silną ręką, oklep na konia rzucał, lub na stertę słomy za sobą dźwigał. Dziecko rośło, i w miarę gdy przedłużały się suknie i warkocze, w miarę gdy Wiśka rozumieć zaczynała, czem Rydzik był dla jej matki — głos protestu się wznosił, i oto — nienawiść, żal, groza rosły i olbrzymiały na tej równi, po której szaremi kwiatami widm wznosiły się samotne krzyże. — Jęczały drzewa parku wyniosłe i ranione kulami rozwydrzonego parobka, jęczała dusza dziecka, raniona w godności dziewczęcej i dostojności swego wiekowego wyszlachetnienia przez żywiołowy popęd hulającej po ogrodzie ekstaz miłosnych — matki.

I w oddali — nieprzychylny, drwiący, wzgardliwy śmiech... świata.

Tego, co dla nich stanowił właściwy... świat.

Jak różgi, jak uderzenie bicia po twarzy.

A dziecko rozwinęło się w kobietę i protest był tak silny, że aż rozerwał to, co się zdawało silne i nierozzerwalne...

Rydzik pozostał sam.

A dokoła niego powstała i rozsnuła się nędza ludzkich istnień najtragiczniejszych, bo nie próbujących nawet już walczyć z potęgą swych przeznaczeń.

Adam powstał i cicho wysunął się na dziedziniec. Było mu duszno. Zdawało mu się, jakby to on sam zapadał w taką ciemnicę straszną, w której dusza lka i wyje i ma ulgę smutną w drobnych złościach, któremi plwa na przeogromną jamę swą mogilną.

— Tak!... — myślał, idąc w stronę dworu — to jest wielka tragedia — ta ekspiacya dziecka za rozpętanie namiętności matki. — Wiśka pozostaje sama, jak zadzu-

miona, w tym dworze, który niegdyś służył za przytułek zwierzęcym popędom, kojarzącym dwie istoty, rozdzielone od siebie wszystkim, co wytworzyć może kultura wieków, złączone jednak na jednym punkcie — niezwalczonej i wiecznie tryumfalnej cielesnej miłości.

Dziecko dojrzało... I przejrzało...

Adam widzi tę drobną dziewczynkę o czarnych włosach — powoli wkraczającą w tajniki życia. Widzi ją, jak poznaje wszystko, jak przestaje być tą Wiśką, uganianą po stertach i polach — a stojącą drzącą, niepewną na progu świątyni miłosnej. I zarazem z wnętrza tej świątyni, która winna powiać ku jej dziewiczej duszy czarem łagodnego uroku — dobywa się krzyk zwierzęcy. Wiśka — odczuwa w tym krzyku to, co miłość ma w sobie najboleśniejszej szpetoty, i w szpetocie tej widzi własną matkę...

Ona to wtajemnicza dziewczę — wtajemnicza bezwiednie w męty smutne i straszne.

I bunt się rodzi.

Bunt przestraszny. Wiśka, oszalała, zrozpaczona za to, że odebrano jej wszystkie złudzenia, że rzucono ją z taką bezwzględnością w brutalną rzeczywistość — mści się...

Krzykiem swym rozrywa ohydę, buntem swym wypędza niejako tego człowieka, który pomimo błogosławieństwa kościelnego, według niej, był zawsze tylko kochankiem jej matki... mści się dalej — dalej — lecz drobną, małą złością...

Nic więcej uczynić nie może.

Jest bezsilna. Ogrom przeznaczenia zwałił się na nią. Matka uciekła w świat — do ludzi — którzy nie wiedzą, a ona pozostała tu sama, zadzumiona... na pastwę samotności i kto wie, jakich instynktów...

Straszne...

.....

Nad cichy, samotny dwór naleciały szare chmury. I nagle wypłynął na ich tło klucz żurawi.

Czarnym ostrym kątem prui powietrze.

Krzyk żałobny rozległ się nad równią.

Ptaki przepląły nad wierzchołkami drzew parkowych — przepląły wolno, prawie bez poruszeń skrzydłami.

Opadały ku ziemi, zwiększały się — zmieniały linię.

Wreszcie zapadły za drzewa parku, na łączkę, tuż obok dróżki, wiodącej w pola.

Adam z dziwnym uczuciem na dwór patrzył. Wiedział, że samotna siedzi tam dziewczyna, nosząca na sobie piętno wyodrębnionych istot.

— Dlatego jest tak dumna... dlatego ten wzrok, dlatego...

— Jak błyskawica, przebiegło mu przez umysł.

— I... dlatego się chciała zabić!

Z dumy?

Tak, tak. Ona do tego zdolna. Zresztą, to nieprawda, aby kobiety zawsze zabijały się tylko z miłości. Sama Minzowa powiedziała to, gdy wyjeżdżał. A więc — on bezwiednie posiadłby całą tajemnicę duszy tej dziewczyny.

.....

I zdjął go lęk.

Jej duma nie ścierpiałaby tej pewności, iż istnieje ktoś wiedzący coś więcej o niej, niż ona pozwolić chciała.

— Nigdy jej nie dam uczuć — postanowił — nie będzie wiedziała, że ją nawskróś zrozumiałem, że wkroczam w nędzę jej życia.

Nigdy!

Lecz równocześnie z tem postanowieniem bić mu w sercu zaczęła inna żalosna myśl.

— Nie będę miał do tego sposobności... znać mię nie chce — nie cierpi mnie...

Zaturkotało lekko na drodze.

Adam przyspieszył kroku. Nieledwie biedz zaczął w stronę parku. Wolał iść między nieprzyjazne drzewa. Było mu bowiem tak dziwnie, jakby go kto zranił i drwił z niego. I potem, jakby coś nagle w rękach swych niósł — coś bardzo kruche i doskonale pięknego, o delikatnych liniach, jakby wazon sadzony przepychem drogocennych kamieni, a w nim rozkwita nieśmiało bladej barwy roślina.

I jakby z tej rany właśnie czerpały się soki do rozwoju rośliny konieczne...

Takie dziwne uczucie!

Ledwo, ledwo, że z niego Adam sobie sprawę zdać może.

Turkot staje się bliższy. Powozik lekki a raczej wózek węgierski pomyka i z pomiędzy zabudowań do dworu sunie. W jasnym płaszczu siedzi na wózku mężczyzna. Zajechał przed ganek. — Lejce rzucił siedzącemu

za nim chłopcu — poskoczył pomiędzy kolumny i znikł we drzwiach wchodowych.

Adam nie zdążył przejść drogi. Wózek mignął mu przed oczami. Poznał go. — W mgłach wieczornych, w księżycowym świetle rysował się zaledwie — delikatnie — a przecież Adam go w siebie wchłonał.

To był ten sam wózek, ten sam mężczyzna.

I więcej jeszcze.

Poznał w nim Adam towarzysza baronówny w sali Filharmonii, na koncercie skrzypka. Zapamiętał uśmiechy ludzi, które w ślad pobięły za nimi obojgiem, gdy wychodzili z sali.

A więc...

Mignęły przed nim słowa Rydzika:

— Ten pan Toczyski — no... ja wiem, latał za matką, teraz za córką...

To trywialne słowo „latał“ — a przecież w nim jest świat cały.

.....

Bo — jeśli za kimś „latać trzeba“, toć znak, że tamten ktoś ucieka.

Więc pościg myśliwca za tropionem zwierzęciem. Rozpaczliwy wysiłek umykającej istoty przed zgubą, przed śmiercią, przed zanikiem bezpowrotnym spokojnych dni i nocy przespanych; żrenic, które łzami nie witają zorzy; ust, które przesmutnym łukiem ku ziemi nie dążą.

Pościg taki smutny, gorączkowy — śmiechem sztucznej radości pokryty; pościg mężczyzny za kobietą, za jej młodością, wonią, siecią złotą włosów i błękitną delikatnością żył...

I pościg za jej duszą, którą się wtapia w swe istnienie, z której się bierze czar zdziwienienia, czar zapomnienia, czar jej całej niepewnej a na wszystko zdecydowanej.

Na oczy, na serce zarzucone pęta...

Jęk — prośba...

I potem milczenie, poddanie się pokorne.

Sił brak.

Pościg skończony.

Pęta zaciskają się coraz silniej — i nagle budzi się jedna więcej nędza i hymnem żalu w niebiosa bije.

Lecz echa niema.

Gdzieniedzie slychać śmiech, slychać zgrzyt...

Więc i za nią ten Toczyński „lata“.

Tak się spieszył, skacząc z wózka! Jak wpadł szybko do wnętrza dworu. A tam ona — choć nie ukrywa się materyalnie — to przecież musi obijać się trwożna o ściany swej moralnej klatki, w której ją życie zamknęło.

Tak, jak jej matka...

Zresztą sama do niego już biegnie. Najlepszy dowód te księżycowe noce i jej wycieczki w dal widmową wśród mgły.

Lecz Adam natychmiast znajduje inny punkt widzenia.

Ten pościg — nie ogranicza się jedynie na ciągłym narzucaniu się swą osobą. Przeciwnie, najstaranniejsze, najniebezpieczniejsze jest to wabienie na odległość — gdy zmysły zdają się całe roztopiać w jakimś duchowym rozmarzeniu i tęsknocie i gdy ze srebrnej dali ciągnie coś, prosi, błaga nieledwie.

Tak — ten pościg najstraszniejszy.

A więc — o srebrnych nocach może biegła na białą w mgłę rozwianą steczkę... tamta.

A teraz — tą drogą znów ta.

Bezmierny smutek ogarnia Adama. Dlaczegoż taka wydeptana już droga dla tej ślicznej dziewczyny? Dlaczegoż w mgłę księżycową jakby cień biegnie za matczynym śladem?

A przecież taka dumna!

I taka zrozpaczona.

W ramiona mu upadła czarną nocą tam w mieście. W zaułku cuchnącym wybuchnęła płaczem...

Na dwór mimowoli obejrzał się Adam.

Cichy był — zamknięty — jakby nikt z żyjących tam nie oddychał. A przecież tam właśnie był ten pościg straszny, to tragiczne umykanie ciała i duszy przed przeznaczeniem swoim.

Po Adamie dreszcz przebiegł.

Więc to byłoby i jej przeznaczone? Czy rzeczywiście ten chłop skrzywdzony, wydarty w chwili fantazyi swemu środowisku, miał prorocze objawienie? Czy widział jej dół, tej „ścierwoskiej Wiśki“ — która się na nim mściła za rozwiane dziewczęce swe złudzenia?

A więc...

I Adam poczuł, że ta rana, którą mu zadał ktoś

niewiadomy, zaczyna się rozszerzać i sprawiać mu ból coraz wyraźniejszy. I ten delikatny kwiat, wyrastający z gwiazdy drogich kamieni, który mu w sercu jakby widmem promienieć zaczynał — pięknieje z przerażającą szybkością i rwie go w jakieś dalekie, pełne tęsknoty przestworza.

— Co ze mną? co ze mną?

Pod drzewa parku wszedł. — Lekko niemi kołysał wicher jesienny. — Nie spadały przecież liście, pomimo, że ich pełno jeszcze było na gałęziach i wisiały, jak grona dojrziałych jagód. Zdawało się, że te drzewa wypłakały już z siebie dosyć łez i teraz zachowywały je te liście — lzy, na jakieś większe katastrofy czające się dokoła.

Adam ku brzozom się skierował, które widmom jakby krąg taneczny osobny i wytworny tworzyły. — Rozwiał nad nim przedelikatną kopułę swych gałęzi, które zdawały się drzeć od chłodu i przeczuć tragicznych.

Adam na ławce zwalonej usiadł i starał się wmyśleć w swój dawny świat, w świat pracy i tego, co ona mu przynieść miała.

— Przejdę cicho, spokojnie... czeka mnie życie długie — mozolne, bezbarwne...

W szarości jesiennej, od dworu — od parku, coś się jakby nań czało.

— Tamto ich przeznaczenie...

I zaraz przemknęło mu przez myśl.

— Dlaczego ona z nim nie walczy? Dlaczego pada pod śmiertelne koła? W oczach jej przecież tu — gdy okrażała trawnik lekka i młoda — była siła, była chęć, było wszystko życiowe?

Czemu ona nie walczy?

Zamyślił się i znów wyrwał się z koła swego świata, aby krążyć dokoła tego dworu, który tragicznie cichy, tajemniczy, przez kratę brzoź rysował się w oddali.

— Nie ma ciągłości tej siły, tej chęci. Nalatuja na nią demony zwątpienia... Biedna!

Dziw, się z nim stał.

On uczył się także w tej chwili tak biedny, jak ona, której żałował serdecznie. Przytulił się do pnia brzozy i gorycz przepełniała mu serce. I on był jakiś odtrącony, wyodrębniony.

I ku niemu skradała się cicho tragedia tego dworu,

tego parku, tej równi bezkresnej, szarej, tonącej we mgle jesiennej.

Adam oczy przymknął i tak bez ruchu pod kopułą drżących od zimna i przeczuć gałęzi białych brzoź pozostał.

IV.

Późnym wieczorem Adam siedział nad książką i starał się pilnie studyować w niej zawarte hipotezy. Rozszepotały się jednak dokoła niego milczenia owego dziwnego domu. O kilkanaście ścian czuł, iż dzieje się przedwstęp rzeczy złej, zgubnej — której Kalwaryę widział tyle razy dokoła siebie, rozetkaną w krzyku lub milczeniu kobiet, mdlejących mu w ręku w bolesnych godzinach męki niewysłowionej.

I wszystko przynosi ze sobą taki pościg rączy, szybki — jak ten, który tu, w tych ścianach dworu, na ścieżce o księżycowej mgle — wszędzie — dokoła się snuł.

Może nie być szpitalnych ścian, może nie być szczyku operacyjnych narzędzi, może nie być samobójczej grozy — może nie być...

Tak. Lecz będzie zawsze Kalwarya. Ta lub owa, ale Kalwarya. I będzie w danej chwili przecudne objawienie prymitywnego ducha w żrenicach zasłoniętych mgłą łez.

To będzie zawsze.

Adam ręce splótł i na nich czoło oparł.

Zdawało mu się, że ogromna troska opadła nań i ciśnie go ku ziemi.

Wicher się rozjęczał i teraz drzewa parku szumieć zaczynały jakby przestroga.

Do pokoju Adama weszła Haśka z kolacją na tacy. Z opalonej twarzy zesunęła się chusteczka, którą zawsze pod brodą miała zawiązaną. Włosy płowe, źle wyczesane, spadały kosmykami na zielone duże oczy. Pierś zdrowa i dość kształtna zaznaczała się pod cienką tkaniną z mięjska skrojonej bluzki.

Nogi miała bose o czarnych, stwardniałych piętach.

Postawiła spóźnioną kolację i snuć się zaczęła po pokoju. Słała łóżko, przygotowywała zapałki. Poruszenia

jej były leniwe. Zdawało się, że na coś czeka. Zielone jej oczy biegły wciąż w stronę Adama.

On na nią nie patrzył, ale wyczuł odrazu, iż dziewczyna dziś silniej niż kiedykolwiek krąży dokoła niego chęcią miłosną. Przejął go jeszcze większy smutek, patrząc na tę młodość, która tak kornie słała się w trumnę dobrowolnych cierpień. Miał myśl pełną swych wizji kalwaryjnych. Ta dziewczyna z niepokojem żądz, które ją owiewały, zdawała się wpraszać do ich szeregu.

— Pójdiesz... — pomyślał — ale nie przemennie. Nie ja będę cię miał na sumieniu!

Haśka, która już nadzieję zdawała się dostrzegać w przelotnym wejrzeniu na siebie rzuconem, zasumowała się nagle. Adam odwrócił się od niej, usiadł i pił herbatę, czytając swe książki.

Dziewka wyduła wzgardliwie wargę, potarła czoło, piersi — nasunęła chustkę i wyszła, plaskając stopami po posadzce.

Adam czuł jej wzgardę. Wzruszył ramionami.

— Wolę — myślał — niech mówi teraz — durny — niż żeby potem jej prymitywna dusza miała słać ku mnie żal tragiczny i straszny...

Wicher rósł i potężniał. Ciemnica za oknami była wielka. Jedynie z okien apartamentu baronówny biły strugi żółtawego światła. Jakaś rosnąca samotnie jarzębina, co to niby sierota zabłąkała się na dziedzińcu przed okna i do gruntu przyczepić się zdołała, a potem rozrosnąć cienką i nędzną — czarnemi, dziwaczniemi gałęziami słała się pod siłą wichru po tych jasnych strugach.

— Jakby potwór jakiś o pajęczych ramionach, zdawała się chcieć dosięgnąć okien, i w niemocy swej zamiatła tylko piasek.

Słała się, padała ku ziemi i wznosiła się, jakby porwana szyderstwem z tego, co danem jej było widzieć za szybami okien.

I Adam, patrząc na te ruchy pajęcze drzewa, miał uczucie, jakby i on uczepił się gałązek i ku szybom wichrem gnany pędził, ziemię zamiatł, taflę dotykał i znów w górę się wznosił. Tylko wtedy, gdy już był przy tych oknach oświetlonych, zaciskał powieki, aby nie widzieć — nic... nic.

Dlaczego miał to uczucie?

Dlaczego się tak słał w tej smudze, a dojrzeć prawdy nie chciał?

Z powodu wielkiej ilości w lecie much — pierwsze okna w całym domu miały w ramach zamiast szkła — siatkę. W pokoju Adama jedna z tych siatek oderwała się przejeżdżoną rdzą i teraz biła delikatnie o taflę szyb wewnętrznego okna, wydając dziwny, jęczący ton.

Jakby jakiś konający, oślepiły od jesiennej wichury motyl skrzydłem trącał.

Lub — jakby dusza świeżo pochowanego ciała z cmentarza wiejskiego zbiegła — i do światła, do ludzi się jeszcze ciśnie...

Niby mało jej łez i niedoli ubiegłej.

Jeszcze... ciągle...

Kochała swe cierpienie...

Wżyła się w rozkosz smutku...

Cichy turkot — zajechał przed ganek powozik Tochyskiego.

I — (nieprędko) — otwieranie drzwi — kilka słów zamienionych, niewyraźnych — potem szybkie kroki przez sień i znów turkot powoziku.

Gość — odjechał.

Adam doznaje jakby ulgi. Sam nie wie, dlaczego.

Siada teraz przy stoliku.

— Tak — będę mógł teraz pracować!... — myśli.

Chce się pograżyć w śnie.

Lecz zdaje mu się, iż cieniuchne niteczki jakieś w mózgu rwą się, pomimo, iż on je namołać znów usiłuje.

— Nie mogę dziś!... nie mogę!...

Lenistwo go ogarnia. — Przypadł na łóżko odziany, pali papierosa. Nie rozbiera się. Ma wrażenie, że powinien na coś czekać, że go coś lada chwila spotka.

— Może Rydzikowi jest gorzej. Pójdę — zobaczę.

Lecz nie idzie. Leży ciągle i niepokój jego wzrasta. Myśl przebiega puste i ciemne pokoje, biegnie wzdłuż galerii, zatrzymuje się u drzwi...

Adam i Wiśka są sami.

Sami w pustym, dużym, cichym dworze.

O szyby dzwoni dziwnie, lekko siatka — ni to motyl, ni to duch cmentarny.

O myśl Adama dzwoni jakieś nieuchwytnie wrażenie wyczekiwania, a potem, jakby ktoś o nim bardzo silnie myślał, coś chciał, pragnął...

Szybki szelest bosych kroków i pukanie.

— Proszę... proszę...

Adam się porywa.

— Co tam?...

Idzie do drzwi.

— Niech pan nie otwiera — proszę się ubrać i zaraz przyjść do mnie... na drugą stronę domu.

— Co się stało?

— Sparzyłam sobie rękę. Niema gdzieś służącej. Jestem sama. Niech pan się spieszy, bo bardzo boli!...

I znów szybki szelest nóg bosych po posadzce, oddalających się w głąb domu.

Adam bierze podręczną torbę, w której ma dermatol, pastylki sublimatowe, watę i bandażę. — Sam nie wie, dlaczego ręce mu drżą.

Zapala świecę i przebiega puste pokoje. Idzie jakby jakąś smugą woni rozwianych szat, ciepłego kobiecego ciała. Wzruszony staje u drzwi — są nawpół otwarte. Popycha je i wchodzi.

Na tle wysokiego — szarego, w duże irysy parawanu stoi postać kobieca ledwo otulona w jakąś jasną wełnę. — Szczelnie zebrała fałdy dokoła bioder i owinęła niemi nogi tak, że kończyny jej rozplywają się w nieuchwytnych liniach jakby żółtawego bloku. Tylko tors wykwiła jakby kwiat przepyszny — jakby górna część smukłej amfory o najdoskonalszych kształtach.

Sparzoną rękę Wiśka trzyma wzniesioną ku górze. Różowy abażur wykoronkowanej lampy ją oświeca. Pąsowe obramowanie konturów przegląda przez palce. Młoda krew czarowną linią w świetle się znaczy.

I zaraz długa śliczna linia obnażonego wonnego ramienia i wtulona weń głowa o masie rozpuszczonych, puszystych włosów, które zakrywają twarz zupełnie i spadają całą falą na ledwo odkryte piersi.

— Co to? jakże się to stało?

— Zapalki... zapalki...

— Proszę pokazać.

Aż dławii w tym pokoju od jakiejś niespokojnej, zmysłowej atmosfery. Nizkie meble porozstawiane w nieładzie. W cieniu, na podłodze mającą koronki zrzuconych szat i pantofle wschodnie, nabijane złotem.

Adam prostuje się — i ogarnia go zawodowa gorączka.

— Proszę o rękę...

— Tu, tu...
Rzeczywiście, palce oparzone silnie — skóra
wzdęta. — Wiśka podsuwa się pod lampę. Cała drży.

— To nic, nic...

— Boli!

— Ja wiem. Ale to narazie. Zaraz przestanie.

— Całe pudełko... zapaliło mi się w rękę... przyłgnęło
do skóry... paliło się na mnie... Niech pan wypali, wytnie.
To przecież siarka, fosfor — czy ja wiem... Zgangrenuje...
ja... umrę.

— Ależ nie, nie. Założymy opatrunek.

— Ale panie... ja przecież od tego mogę umrzeć!...

Tyle trwogi w głosie, w drzeniu konwulsyjnym całego
ciała — że Adam spogląda na Wiśkę prawie zdumiony.

— Proszę się uspokoić. To nieszkodliwe. Nic się
pani nie stanie.

— Ja słyszałam...

— Pani słyszała, ale ja wiem...

Baronówna milknie na chwilę. Adam zrećnie
oczyszcza rękę — posypuje dermatolem.

— Czy niema oliwy?

— Jest, jest.

Oczywiście Wiśka przebiega pokój.

I wtedy Adam dostrzega — że, w głębi — koło
kominka, na którym dogasa ogień, stoi... mały stoliczek.

Taki sobie zwyczajny stoliczek, niski, o trzech nóż-
kach, okryty białym obrusem.

Na nim nakrycie dla dwóch osób. Jakiś pasztet —
butelka odelkana czerwonego wina, do połowy wypróż-
nione kieliszki, trochę winogron — jakieś ciastka...

Serwety zmięte rzucone na ziemię.

I dwa foteliki, przysunięte do siebie blisko, jakby
się spowiadały z rzeczy bardzo tajemnych, lecz zarazem
bardzo miłych.

Na stoliku, w ślicznej rznętej szklance, moknie tro-
chę werbeny — na popielniczce dużo niedopałków papie-
rosów.

I to wszystko rysuje się w świetle dogasającego
ognia. Jest bardzo bliskie i bardzo dalekie. Ogromna ko-
bieca troska o miły, cichy kącik, prawie domowego
szczęścia we dwoje, i zarazem jakieś tchnienie zmysło-
wości ukrytej, lubiącej wygodne zacisze.

Ten „stoliczek“ — Manony i Des Grieugo.

Ten wieczysty „stoliczek“ wielkich rozkochanych,
którzy w kąciu ciepłym podają rubinowy lub topazowy
kieliszek w omdlewającej od uścisków dłoni.

I szept cichy, biegnące przez stolik pocałunki, jak
motyle na wywiady, i te uśmiechy, słowa nieomó-
wione... aż wreszcie zbliżenie się dwóch fotelików
i dwojga ust...

Cały poemat krąży dokoła takiego stoliczka...

Cały poemat.

Adam odczuwa go, choć nigdy nie danem mu było
zasięgnąć przy stolicku Manony. — I zdaje mu się, że
nie ma prawa zbliżyć się tam, że to jakaś daleka wizja,
niedosięgnięta dla niego, i że...

Wiśka sama podchodzi i zdrową ręką sięga do
srebrnego serwisiku, z którego wyciąga flaszeczkę oliwy.

— Proszę...

Adam zajmuje się znów raną. Milczy i tylko sły-
chać od czasu do czasu jęk Wiśki.

— Boli...

— Przepraszam...

— Nic, nic...

Chwila milczenia. Jarzębina z pewnością stania się
po szybach, zagląda i szyderczo w górę uchodzi.

Wreszcie znów głos Wiśki.

— Czy pan jest pewien, że gangrena się nie wda?

— Najpewniejszy.

— Bo...

Urywa. Lecz on teraz podnosi nagle głowę z nad
ręki — i patrząc jej prosto w oczy, pyta:

— Czy pani tak się boi umrzeć?

Sam nie wie, jak sformułowało się w nim to pyta-
nie. Wie tylko, że kłębiło się w nim od chwili, gdy Wi-
śka objawiła tak szaloną trwogę przed ową „gangreną“ —
a ewentualnie przed śmiercią.

Jakto? więc ta kobieta, która dobrowolnie, z dużym
namysłem rzuciła się pod tramwaj, aby zginać ohydny
śmiercią — tak bardzo lęka się i trwoży na myśl o mo-
żliwości zgonu? — Byłaby ciągłą sprzecznością czynów
i pragnień?

Patrzą się sobie w oczy pod czerwonym blaskiem
lampy. Jest to krótki moment, lecz jakby odrzucili precz
od siebie wszystkie łupiny cielesne i przejrzeni się w naj-

czystsze źródło swych istot. — Mgnienie oka — i mrok znów zalega. Wiśka z jakąś dziwną dumą istoty nieznośnej, gdy ktoś wdziera się w jej tajnie, ściąga brwi i cofa już obandażowaną i opatrzoną rękę.

— Dziękuję panu! — mówi wyniosło.

On prawie zalekniony, że dotknął jej tajemnicy — czuje się nagle winien wobec niej.

— Może... jeszcze będę potrzebny.

— Nie. Wolę sama zostać.

Adam czuje, że jeszcze chwila, a uczyni ten sam gest, jakim z drogi usunęła go tam w mieście, w zaułku. Ona gestu tego jeszcze nie czyni, ale już go myślowo nakreśla.

Skłania się i odchodzi.

Już jest na progu, gdy słyszy rzucone za sobą słowa:

— Nie, panie, ja się umrzeć nie boję!

To — psuje mu wrażenie.

Idzie galeryą, idzie całym szeregiem ciemnych pokoi i myśli.

— Dlaczego kłamię? dlaczego chce się wydać silniejszą w mych oczach... Przed chwilę drży na myśl, że to „śmiertelne“ — a zaraz za mną rzuca „nie boję się“.

Wolę, że tak jest. Ta dziecinna niekonsekwencja kobieca wyprowadza go w jakiś świat bardziej realny. Wraca do swego pokoju, lecz od razu widzi, iż tej nocy spać nie będzie. — Wlepia wzrok w okna Wiśki i teraz dopiero odczuwa wrażenie, jakie wyniósł z bytności w jej apartamencie. Z samotności, w której przebywa od tak dawna, wszedł nagle w ciepłe gniazdo, w którym, jak ptak rajski, odziany w swą śliczność i czar — mieściła się kobieta, przepojona wykwintem, urokiem, gracyą i owiana powiewem: melancholii, potrącającej o krańcowe zrozpaczenie. Jak zbyt silne wino lub górskie powietrze, upiła Adama ta krótka bytność w bliskości Wiśki.

— Jaka ona dziwna... jakaś inna... jakaś nieuchwytna.

I zaraz z głębi duszy mu wypływa:

— Taka sama... taka biedna...

Adam siada przy oknie i teraz dopiero czuje, jak silnie wchłonął w siebie choćby najdrobniejsze szczegóły pokoju Wiśki i tego, co ją otaczało. Widzi niskie meble, obrazy na ścianach dziwne, niewyraźne, jakby wizye o zielonych oczach — pół kobiety — pół ptaki, widzi

nieład artystyczny — walające się po ziemi poduszki, na których haftowane pawie rozkładają swe wspaniałe pióra.

Coś z haremowej odaliski, coś z dziewczyny wędrującej z piosenką na ustach i subienką naszytą srebrnym blaskiem od sceny do sceny i coś ze dworu o dawnych tradycyjnych wazonikach rozmarynu i mirtów na oknach panieńskich pokoi. Wszystko tam jest, cała kobiecość, cały urok — cały czar...

— I taka sama!

Nagle światło w oknach Wiśki zaczyna migotać — przesuwając się niespokojnie. — Adam wstaje z miejsca.

— Kto wie, może ma gorączkę... należy się dowiedzieć. Zapytam u drzwi.

Cicho przebiega pokoje.

— Wypełniam obowiązek — tłómaczy się jakby przed sobą.

U drzwi się zatrzymuje.

Słyszysz kroki — Wiśka nie śpi. Chodzi widocznie po saloniku.

Adam puka.

— Kto tam?

— Ja — chciałem się dowiedzieć, jak się pani miewa.

Chwila milczenia. Jakby zdziwienie, jakby ktoś się wahał. I wreszcie szybkie otwarcie drzwi.

— A co! a co! Pan sam się boi...

Na twarzy baronówny znów przestach i groza.

Adam ją uspakaja.

— Widziałem, jak migotało światło. Czułem, że pani się denerwuje. Chciałem poprostu uspokoić.

— A!...

— Zaręczam słowem honoru.

Wiśka teraz patrzy bystro w twarz Adama. Coś widocznie nowego nurtuje ją i jakieś jakby podejrzenie wywołuje.

— Przytem, pani tak sama...

Dziewczyna przygryza usta, ściąga brwi.

— Tak... jestem sama...

Wyprostowała się, płomień przebiegł jej skórę. Widocznie potworne podejrzenie falą bije w jej mózgu.

— Więc cóż, że jestem sama?

— Sądziłem...

— Że?

— Że się pani lęka!

— Ach! ach!...

Zły, przykry śmiech i fatalne błyski w oczach przesywają Adama.

Taka dziwna twarz — taka stara nagle twarz, w obramowaniu czarnej masy włosów. Coś jakby nagle zwiędły kwiat wodnej lilii, która zapada w cień.

Och! te twarze dziewcząt, przez które przesunęło się życie z całą farsą swej szpetnej, zgniłej prawdy!

Och! gwiazdy, odbite w błotnistej, czającej się wodzie, okolonej jadowitym wieńcem trujących roślin...

Anielski śpiew o porannej zorzy, zgaszony wrzaskiem hyen, które się korowodem za smutnym trupem ludzkiej duszy wloką.

I szelest skrzydeł odlatujących w dal ptaków, które po nad jasnością majowych pól krążyły!

I łkanie jakieś dalekie, jakby z wyżyny majestat istotnej piękności kobiecej, czyhając po krwawych urwiskach, w głąb przepaści spadał...

To wszystko ma w sobie twarz młodej dziewczyny, która nagle się zestarzawszy, ujawniła „że wie“ — że ona już wie...

To wszystko łka, mieni się, jęczy w takiej twarzy.

To przenika uderzeniem sztyletu w umysł Adama, gdy Wiśka stoi przed nim i patrzy nań i mówi: — „ach! ach!...”

Teraz Adam widzi wszystko dokładnie. Jej strój zaniedbany a przecież wytworny — stopy ledwo obute — stoliczek Manony, lampę przyćmioną — woń cygaret — butelki szmaragdowe Mentheglacé i purpurę Abri-cotiny...

Serce mu się ściska. Lecz — tak, tak. W tem otoczeniu, z myśli tej kobiety mogło powstać tylko podejrzenie takie, jakie w niej powstało.

Szybko Adam usuwa teraz Wişkę ze swej drogi — wchodzi do pokoju i zbliża się do stolika.

— Proszę więcej nie pić! — mówi twardo, zatykając butelki.

— !!!

— Gorączka się powiększy. Rozumie pani?

— Ja jestem przyzwyczajona.

Wiśka idzie w ślad za Adamem i opiera się o sofkę.

Przybiera jakąś dziwną pozę — wyzywającą, ironiczną, wzgardliwą. Czuć przecież, że w niej się coś łamie.

— To źle, że pani jest przyzwyczajona. Zresztą nie o to chodzi. Zakazuję pani pić dziś przynajmniej.

— Vraiment?

Scena ta przybiera fatalny, niesmaczny charakter. Adam nie spodziewał się jej zupełnie. Wytrąca go z równowagi. Żal jednak jakiś przeważa. Ta ironia, z jaką Wiśka wbiła w niego swe oczy, nie obraża go. Ileżby dał za to, aby ona zrozumiała, jak jest w tej chwili nieszczęśliwą.

I zapanowuje nagle milczenie — oboje nie wiedzą, co przemówić, tak stanęli obok siebie napozór srogo i nieprzystępnie. Za oknami zrywa się wichur i jarzębina o siatki ocierać zaczyna swe gałązki drżące. Ten przejmujący jęk widocznie oddziałuje na Wişkę, która zupełnie niespodziewanie wybucha płaczem i wali się głową na plusz sofę.

— Och! och!... — jęczy dziewczyna...

— Och! och!... — jęczy drzewo...

Adam uczuwa radosną prawie ulgę. Tak lepiej. Niech płacze nad sobą, nad swą dolą, nad osamotnieniem, nad tą całą tragedią, która dokoła niej się wznosi. Cała „kobieta“ zbudziła się w niej i łka, i wyje, i skarży się sieroco w pustce tego dworu.

Delikatnie zbliża się ku niej Adam — ociera skrońcem octem, poi wodą — układa wygodnie. Odchylił okno, wpuścił trochę powietrza, wicher wyrzucił popiół i niedopałki papierosów i cygar. Ona przyjmuje to troskliwe krzątanie się z początku jakby ze wzgardą, lecz powoli topnieje w niej to „źle“ — i oto z pasm czarnych, jak noc, włosów, wykwiła żalosna twarzyczka, blada i łzami zalana.

— Ja się boję... boję!... — szepcą drobne usta.

Adam pochylony ku niej tuli ją, głaszcze, jak drobne, małe dziecię.

— Nie... nie. Jestem z panią!

— Sama!... Boże!... sama!...

— Dlaczego przy pani niema nikogo?

— Kto? kto ma być? Mama za granicą. Krewnych nie mamy, a potem... oni tu nie przyjadą.

I znów fala łez i monotonna skarga dziecięca, jak szmer fal bijących o piasek.

— Sama... jestem sama!...

Ujęła rękę Adama silnie, nerwowo.

— Niech pan nie odchodzi.

— Nie, nie. Pozostanę przy pani! Okryję panią szalem. — Tak... proszę zasnąć! Ból panią zmęczył i rozdrażnił.

Z bladej, trójkątnej twarzy dwie czarne źrenice spojrzały Adamowi wprost w oczy.

— Och!... nie sam ból!

I znów cisza. Wiśka leży, przymyka powieki — tży płyną jeszcze czas jakiś i nieocierane spadają po dwu stronach twarzy w puch włosów, na których lśnią jakby brylantową rosą.

Wiśka zasypia.

Jej lekki oddech płynie z ust różowych — na wyciągniętej w górę bródce lśni się światełko, podczas gdy rzęsy kładą jakby ciemne półkola pod oczami. Ciało smukłe, wężowe ułożyło się lekko wśród szmaragdowego aksamitu poduszek. Na tle bladej skóry jedwabiu widać szpiczasto zakończony turecki, haftowany złotem pantofelek, kryjący nogę.

Adam złączony z tą prześliczną dziewczyną uściskiem rąk, siedzi nieruchomie na niskim pufie obok sofy. Nieraz zdarzało mu się uspakajać zdenerwowaną chorą pozostałością przy niej późno w nocy. Lecz ten wypadek zarysowuje się w jego umyśle ogromną wyjątkowością. Przedewszystkiem góruje w nim olbrzymie uczucie litości. Nie nad osamotnieniem tej dziewczyny — bo rzecz ta może być zbiegiem chwilowych okoliczności — lecz nad tem wszystkim, co się składa na jej moralne istnienie, a co się wysnuwa jeszcze niejasno, przecież nadzwyczaj groźnie ze wszystkiego, co ją otacza. — Co się złożyło na taki wieczór, jak dzisiejszy? — myśli Adam — z czego powstało jej zło i jej nędza — jej uśmiech wzgardzonej ironii i te tży? — Jakież łańcuch wlecze się za nią! jakież łańcuch!...

Wiśka ciągle śpi.

Od czasu do czasu wdycha ciężko — brwi marszczy i skarży się, jak małe biedne dziecko. Adam swą rękę wysunął delikatnie z jej dłoni — lecz nie odchodzi.

Siedzi, czuwa — patrzy na trójkątną twarz tonącą w puchu włosów i słucha, jak za oknami stania się i jęczy jarzębina i jak cichy głos Wiśki wtóruje osamotnionemu drzewu.

— Sama jestem... sama...

Zegar dzwoni kwadranse, godziny. Jakiś zegar swawolny — z bulwarów paryskich zwleczony. Kobieta półnaga igra z kotem, a ma twarz podobną do śpiewaczki Lize Fleuron. I głos zegara dzwoni ironicznie a łaskotliwie, kojarząc się siłą kontrastu z cichym jękiem Wiśki i tajemniczym szumem sunącej po siatce okna zziębniętej jarzębiny.

Adama powoli przejmuje dreszcz. Gorąco jest nawet w tej klatce, a przecież on ziębnie. Powstał i zaczyna cicho po kobiercu chodzić. Ogarnia go niewysłowny smutek, nie ten, który jakby koł w nas burze i niepokoję, lecz ten, który cienkimi pazurami dobiera się do wnętrza naszej istoty, skrada się, jak ten wichor, zaszyty w trawę, i potrzasa najcichsze skrytki, kryjące w sobie tajemnice czarowne naszej życiowej równowagi.

— A a a!.. — jęczy Wiśka.

Adam zatrzymał się i na uśpioną patrzy.

Odwrociła się całym ciałem i leży tak prosto z oczyma przymkniętymi i jakby zaciśniętymi.

Na końcu pantofelka migocze teraz światełko, ręce utonęły w fałdach tkaniny.

— I — rzecz dziwna.

Gdy Adam spojrzał na Wiśkę — zdawało mu się, och! na mgnienie oka — że Wiśka na niego patrzyła.

Czarne, dziwne źrenice z pod rzęs mignęły i zakryły się powiekami pospiesznie.

Dlaczego go śledziła cichaczem, udając śpiącą?

Niewysłowne uczucie przykrości ogarnęło nim.

To był jakiś podstęp, jakaś zdrada i jakieś pełzanie po takim ślicznym dziecięcym nastroju — prawie równocześnie z nim...

Odsunął się od okna — usiadł na krzeselku i zaciął usta.

— A może mi się zdawało... — zakłatała w nim jego wrodzona dobroć.

Lecz już lękał się spojrzeć w stronę uśpionej baronówny.

Wolał widzieć ją w wspomnieniu, niż rzeczywistością, bo wiedział, że przynajmniej go to wspomnienie nie zwiedzie.

CZEŚĆ TRZECIA.

I.

— Poczekaj!... czy to śniadanie dla pana doktora?

— Tak.

— Stój tutaj. Czekaj na mnie.

Wiśka, ująwszy w rękę sukienną angielską spódnicę swego sportowego kostiumu, przeskoczyła obramowanie klombu, dziko zarośniętego resztką kwiecica i zielska.

Haśka z tacą, na której stygła kawa, patrzyła na nią zdziwiona.

— Stój, mówię ci!

Baronówna pochyliła się i zerwała parę zapóźnionych werben i bratków. Dobierała starannie liliowe werbeny i bratki. Strzepnęła z nich rosę i zbliżyła się do dziewczyny.

— Dawaj tu tacę.

Złożyła kwiatki obok filiżanki.

— Zanieś to panu doktorowi.

Haśka spojrzała Wiśce w oczy.

— No i co?... czego stoisz? ruszaj.

Dziewczyna, nic nie mówiąc, zawróciła ku dworowi. Nic nie zdoła określić wyrazu ironii, z jaką Haśka patrzyła teraz na kwiaty. Była w nich ukryta myśl — że jeśli Adam nie zląkomił się na Haški roście i pełne kształty, to już nie na panny kwiaty nabrać go można.

— Taki... do niczego! — określała go Haśka, łomocąc bosemi nogami o dawno nie froterowaną posadzkę dworu.

Tymczasem Adam stał w oknie i widział, jak Wiśka o wczesnym ranku, o Bożym ranku słonecznym, jesiennym, na trawnik wbiegła i kwiaty rwała. W zielonej wet-

nie, z narzuconym na plecy brązowym pledem, sharmozowana cudownie w barwach z jesiennym kolorytem krajobrazu, była smukłą, śliczną, roslą i dziwnie życiową. Spływając się z barwą i liniami drzew, nabierała od nich jakby siły i mocy do pięcia się mimo wszystko w górę.

— Tak, mimo wszystko!

To głównie uderzyło Adama w jego myśli.

— Jaki los... jakie warunki... jak te drobne stopy krążą dokoła przepaści bez żadnego powstrzymania i w pełnym moral insanity.

Ale jak jest piękna!

Oto — gnę się tam wśród zszarzałej zieleni, jak palma smukła. Wykwita lirą bioder z fałd sukni, a tors jej ma wdzięk kosza, pełnego rozkwitłych kwiatów o czarnych irysach jej włosów. Ile w niej wdzięku bezwiednego i tego ślizgania się po powierzchni w zachowaniu nieskazitelnej piękności!

Haśka stawia poza nim tacę ze śniadaniem i wypełnia pokój atmosferą kuchni i przykrego, cywilizacyjnego nieujarzmionego potu kobiecego.

Adam nie patrząc na dziewczkę, którą doskonale wyczuwa nadąsaną i chmurną, a nawet ironiczną — chce ręką sięgnąć po kwiaty. Chwilę pozostaje niezdecydowany. Aż drze go do tych kilku roślinek, rzuconych ręką Wiśki pomiędzy masło i cukier. Siwe oczy Haški śledzą jego ruchy. Boi się być śmiesznym, a czuje, że nie biorąc kwiatów, ośmiesza znów w umyśle dziewczki Wiśkę.

Jest to drobne, nikłe, małe — ale jest mimo to i wiercić zaczyna moralną istotę Adama, jak robak nagle zbudzony.

Taka trwoga niewytłómaczona mężczyzny przed kobietami.

Trwoga w drobiazgach, w zerach życiowych.

Gdzie idzie o fakt silny, tragiczny, druzgoczący — zanika wszelkie rachowanie się. Lecz gdy trzeba wykazać coś z uczuć wewnętrznych przed kobietą najobojętniejszą — a tyjących się drugiej, zaczyna się obliczenie...

Czy to jej nie sprawi przykrości?

To już jest bezwiedne, przylgnięte do męskiej natury, często dziwne i niewytłómaczalne.

Dla dziewczki folwarcznej poświęca się dobry odruch serdeczny, ciągnący w inną stronę.

Tylko dla dziewczki folwarcznej.

Bratki i werbeny na tacce wędną nie dotknięte.
Haśka z łomotem ścieli łóżko. Adam powrócił przed okno i patrzy na niknącą pod drzewami parku Wiškę.

Idzie wolno — rozgarnia fałdami sukni złote liście.
Adamowi przychodzi nagle na myśl, że świat kobiecy da się podzielić na dwie części.

Jak ogród, jak ogród kwiatowy, pomieszany z sadem.

I na grzędach rosną rośliny, te zwykłe, najużyteczniejsze, codzienne — pomieszane dziwnym kaprysem fantastycznego ogrodnika z całą masą najczarowniejszych, wonnych kwiatów.

Naokół w słońcu biegają motyle.

A wieczorem snują się ćmy.

I ten kobiecy ogród, sad, rośnie, rozwija się, zbudzony słonecznym blaskiem, skąpany w rosie, rozmodlony w ciszy przedwieczornej.

Rośnie otoczony złotym lasem strzał.

Lecz kobiety-kwiaty, kobiety wonne i piękne dla piękna w jakimże celu zabierają słoneczne promienie i ciągną soki z ziemi?

Tamte, pożyteczne, codzienne, zwykłe — jadalne, te, które są strawą i stanowią podsiawę życia, robią wrażenie, że służebnicami są tamtej połowy kobiecego rodu. Patrząc w ten sad-ogród, przedewszystkiem widzi się przepych tryumfalny kwiatów; czuje się ich woń, ku nim dążą myśli, ręce, pragnienia...

A dopiero następnie, u stóp tamtych, rozwiewają się przymioty istot potrzebnych, o poświęcających oczach, pełnych goryczy, oczach, które mówią:

— A my? a my?...

Przychodzą bowiem te poświęcenia, to zapełnianie konieczności, zwykle zapóźno, po to jedynie, aby zbierać wspomnienia tryumfujących woni i dziwnej piękności kobiet-kwiatów...

Tak myśli Adam i myśli, że Wiśka i jej matka to są jedne z tych tryumfujących i bezpożytecznych czarów życiowego ogrodu-sadu. Ku nim przecież dążą pragnienia i myśli. Ku nim dąży nawet smutna dusza Rydzika, choć on nie potrafił z całą umiejętnością znawcy-poety, zmysłowca wyrafinowanego lub estety wykorzystać swoje dziwne zbliżenie się do tych właśnie kobiet-kwiatów.

Jakież jest ich przeznaczenie, tych kobiet-kwiatów? Pięknieć, promienieć, rozrzucać blaski i wonie, być pieśnią o czarującej zmysły i duszę melodyi, przepływającą w oddali, brylantami gwiazd o cichej poezji nocy, napoić czarem i rozmarzyć — podać usta, podobne do kielicha gramatu, ręką o delikatności liści lilii upieścić do snu, rozsypać nagle płaszczy złotych włosów, jakby harfę o tyśiącu strunach rzucić w przestworze — i zniknąć...

Zniknąć!...

Tak. Kobieta - kwiat, kobieta Wiśka zniknie, jak jej matka, jak jej podobne — zniknie, przepadnie i pozostanie po niej niejasna smuga wspomnień!

Oto jej matka i prostaczego serca konający, fantazyja z nią splełany chłop. Idzie ta smuga, tragiczną znaczone tęsknotą. A ona nawet wiedzieć o niej nie chce...

Może kiedyś, kiedyś na starość, gdy opadnie na nią zmora uwiedła i siwa i weźmie ją w taniec przekłety i ostatni — ta kobieta-kwiat zacznie chodzić po ścieżkach tej tęsknoty, wsłuchiwać się w nią, zbierać jej okrucy.

Po kim Wiśka zbierać będzie okrucy tęsknoty, aby odegnąć od siebie precz — rozpacz ostatecznego, starczego zapomnienia.

Kto ją kocha? kto ją kochać będzie?...

Toczyski.

Ten nieład porzuconych resztek kolacji we dwoje, te butelki likierów do połowy wypróżnione i te jakieś dziwne, nieuchwytnie, a przecież fatalne spojrzenia, jakimi Toczyski jeszcze w sali Filharmonii obrzucał Wiškę, czy to miała być miłość?

Po Adamie przeszedł dreszcz. Czuł, że coś straszniejszego rozsnuwa się tu i że popętnia się jakaś zbrodnia, niczem już nie naprawiona, zbrodnia napozór codzienna a niemniej przecież tragiczna i straszna.

— Te kobiety - kwiaty są przeznaczone do miłości, jedynie do miłości... ona musi snuć się dokoła nich, musi — — —

Czy Rydzik, czy Toczyski...

Ale to przecie straszne.

Wzrok jego pobiegł w ślad za Wišką.

Zniknęła w parku, tylko drzewa octowe złote i purpurowe gięły swe wiechy, jak cały tłum poddanych kornie kłonił się, w chwilę po przejściu swej królowej.

— Taka cudna!...

— Jak pieśń...

— Jak pierwsza gwiazda, ta srebrna, przejrzysta, podczas gdy błękit kryształem się mieni.

Jak żywa myśl, gołębiem jasnym przelatująca nad melancholią zapadłych w tragiczną czerń konających dusz.

Jak śmiech dziecka, wpleciony w jęk wiecznie chorego starca.

Jak powiew wiosny, ciągnący od pól, od łąk, od siół...

Jak dźwięk wieczornego dzwonu, który nad łąką przelata.

Jak pieśń...

Jak sama tęsknota.

Jak wielkie, niezwalczone niczem Piękno!...

.....

— Proszę wielmożnego pana pić kawę, bo ja zaraz tacę zabiorę.

Haśka z szumem wodę z miednicy do kubelka zlewa. Teroryzuje Adama. Kobiecym sprytem odgadła w nim wielką dobroć.

— Poczekaj, ty ścierwo! — myśli — ja ci za dziesiątą skórę zalezę.

Nie przeszkadza przecież — że gdyby Adam pozwolił sobie na jakiś śmielszy gest — Haśka, nie będąc dnia tego erotycznie usposobiona, „prasnęłaby go w gębę“... jak to już w piekarni głośno zapowiadała.

— Niech tylko... ja go zaraz prasnę...

Rydzik to posłyszał, gdy jeszcze przed położeniem się do łóżka kraść kapustę z garnków do piekarni przychodził. Popatrzył na Haškę z podełba i syknął:

— On ta za twoją kiecką latał nie będzie.

— Ij?... latał nie będzie?... mężczyzna każdy lata, niema strachu.

— A on nie będzie! — upierał się Rydzik.

Z poza gęstwy polepionych tłuszczem włosów Haśka pokazała Rydzikowi język.

— To nic... — skrzypiał głos Rydzika — a on nie będzie!

— Otóż będzie!

— Jezor sobie wywalaj, a on latał nie będzie.

— Czemu?

Nic nie zdoła opisać wyrazu, z jakim Rydzik obrzucił Haškę.

Była w tym wzroku wzgarda tego, który nie tylko u złoconych krat sadu-ogrodu stał, lecz któremu wolno

było zbliżyć się do klombów, skąd wspaniały, tryumfalny kwiat wykwiatał odurzający i pełen piękna.

On — nie zrozumiał, że to piękno, ale było to tak potężne i silne, że on je wchłonał i czuł...

I teraz pozostała mu tylko wzgarda dla tego, co było w kobiecie fizycznym brudem i szpetotą.

Haśka nacierała z oczyma roziskrzonymi.

— Czemu?

— Bo on takich placków, jak ty, nie potrzebuje!... — rzucił jej, cofając się ku drzwiom.

Już dochodził do oficynki, kiedy słyszał jeszcze wrzask rozwścieczonej Haški.

Śmiał się i cieszył.

— Plucha... plucha... — powtarzał.

Miłość własna Haški była wtedy obrażona i dlatego to podwójnie wzrosła jej teraz nienawiść do Adama, który śmiał obchodzić się bez „zaczypiania“ — jej ciała.

Adam, ze swej strony, czuł się jakby winny względem Haški...

Szybko zbliżył się do stołu, kawę jednym haustem wypił.

Kwiaty Wiśki leżały jeszcze ciągle na tacy.

Haśka zbliżyła się i zrezygnym ruchem, pod pozorem strzepnięcia okruszyn, kwiaty na ziemię strąciła.

Adam brwi zmarszczył.

— Podnieś to! — kazał jakimś nieswoim głosem.

Haśka udała, że nie słyszy.

Szeroką, zeskorpupiałą w brudzie nogą aksamitne bratki i werbeny rozgniotła.

I z pokoju wyszła.

Adam pochylił się — kwiaty podniósł. Brutalnie były zniszczone. Ogarnął go smutek i wstyd.

Zdawało mu się, że coś bardzo wykwinętego poświęcił obryzganemu błotem zwierzęciu. Zbliżył się do łóżka. Chciał kwiaty w wodzie zamaczać i postawić ze szklanką na stoliku.

I znów go coś wstrzymało — kwiaty obmył po Hašce, ale ukrył w kartach książki...

Gdy szedł do Rydzika, spotkał powracającą z parku Wiškę.

— Jakże ręka?

Kołowało mu przed oczami. Poprostu, gdy zbliżył się do niej, czuł się pijany.

Wiśka uśmiechnęła się.

— Już dobrze... brzydko tylko wygląda to owinięcie. Dobierała kolory materyi, którą owiżywała wate, do koloru sukni.

Adam patrzył na śliczny kolor ciemno-zielonego adamaszku.

— Pani nawet w chorobie nie zapomina o elegancji.

— Ach!... o elegancji?

Rozciągała to słowo jakby z niesmakiem.

— Nie... nie... źle się wyraziłem. O — pięknie.

— Tak! wolę.

— I ja także.

— Dlaczegoż odrazu pan tego słowa nie użył?

— Bałem się, aby pani mnie nie posądziła o pretensjonalność.

Spojrzała na niego badawczo.

— Elegancja sto razy więcej pretensjonalna, jak piękno. I zewnętrznie i wewnętrznie. Elegancja — minoderya, a piękno naturalne.

— Pani przecież jest elegancka.

Zatrzymała się.

Na tle octowych purpurowych krzaków, które płomieniami aż biły poza nią, była niezrównanie smukła, blada i czarująca.

— Ja nie jestem elegancka...

— !!!

— Nie — ja jestem piękna!

To było powiedziane z prostotą, ale z całą głęboką wiarą w rzeczywistość tego, co było wyrzeczone.

Wolno, od oficyny, włókł się Rydzik.

Polepszyło mu się o tyle, że Adam pozwolił mu wyjść na słońce.

Włókł się pod brzozy.

Strasznie był zmarniały i nędzny. Chylił się i giał coraz więcej. Jakby go kto pościagał i pozwiżywał. I twarz zmieniała mu się teraz w dziwny sposób z dnia na dzień. Często Adamowi się zdawało, że zastaje w łóżku innego człowieka. Rysy wydłużały się, to znów kurczyły. Oczy wyrazem szklane były, to znów jak przepaść głębokie.

Znać było, że już się tam coś wkrało ze śmierci — lecz jeszcze walczy i jeszcze zdobywa sobie powoli szmatami terytorium, gdzie wreszcie bezpodzielnie zawładnie i zwali w czerń to, co opierać się chciało i na krawędź tragicznie się darło.

To bezpośrednie przeniesienie wzroku z tryumfalnej piękności kobiecej na zgniecioną, garnącą się do grobu postać starca aż szarpnęło Adamem. Nigdy może nicosć zewnętrznego piękna nie uprzytomniła mu się z taką brutalnością. Kto wie... może jesieni temu kilkanaście rosy, silny junak dźwigał się tu, na skraju lasu i mówił do zapatrzonej w niego, w jego urodę kobiety:

— Ja jestem piękny...

Dziś mknę krzakami, pokorny, cichy, zgarbiony... Trochę świeżego ciała i rusztowanie niekruchych kości, a oto twarz butnie ku słońcu zwrócona i wyzywający krzyk!...

Wiśka ukośnem spojrzeniem Rydzika dostrzegła. Natychmiast, jakby ujrzała jakieś brzydkie zwierzę, skrzyła się i ze śmiechem rzuciła:

— Chodźmy się kopać w złocie!...

Na polankę parku, gdzie rosły nieprzebite lipy i dęby, wbiegła lekka i zwinna. Majestat swój cały zdawała się zrzucić z siebie razem z szalem, który padł na ścieżkę, jak ogromny brązowy chart, i tak pozostał zwinęty, oczekując na swą panią. Na polance zaszemrało suchym, nieokreślonym szmerem. Stopy Wiśki tonęły w masie nagromadzonych liści.

Było to całe morze liści zeschłych już i jeszcze delikatnych, miękkich, zaledwie jesienią dotkniętych. Były tu liście dębów, olch, jesionów, grabów, buków — nawet delikatne liście brzozy, przyniesione z wichrem. Jak do wgłębienia morza topielce, tak padały na tę polankę, ponad którą po przez coraz więcej nagie gałęzie drzew przeświecał delikatny turkus nieba...

Złoto biło aż od nich, bo każdy ten liść z osobna zdawał się być wypracowany misternie w jakiejś jubilej czarodziejskiej, umiejącej nadać złotu tysiączne odcienia, barwy i tony. — Od spalonego, miedzianego cienia zeschłych dębowych liści, suchych i groźnych — do przeczystej, prawie białej jasności olchowych listeczków, miękkich i przytulnych, były to całe gamy, cała orgia złota, tryskająca przepychem klejnotów, rozsypanych na dnie tajemniczym i obramowanym kolumnadą surowych i pełnych melancholii pni drzewnych.

W jednej chwili, Wiśka wpadła w ten przepych, w to szumiące bogactwo i rzuciła się za ziemię, wpław, owinięta w zieloną wełnę swych sukien. Zanurzała się z ja-

kąś rozkoszą, z jakąś furią w te fale liści, gromadząc je szeroko rozpostartymi rękami.

— Złote!... złote!... wołała radośnie.

Osypywała niemi twarz, włosy, piersi, rozrzucając je kaskadami w przeczystość powietrzną. — Delikatny, żółtawy pył zaczął unosić się dokoła. Wirowały w nim liście i biała ręka Wiśki. Była to kąpiel, złożona z pocałunków złotych, które biegły ku leżącej na ziemi, jak niezliczone stada zbudzonych ze snu złoconych motyli.

— Złote!... złote!...

Młodość aż biła urokiem z tego krzyku, śmiało, otwarcie, jasno. — Adam zbliżył się i jak zahypnotyzowany przykląkł opodal Wiśki. Nigdy jeszcze nie widział takiego bujnego rozpętania się młodości i siły kobiecej.

Trójkątna twarz blada dziewczyny pokryła się rumieńcem, jakgdyby ktoś wewnątrz niej lampą zaświecił. Oczy natomiast pociemniały i miały niepokojący, dziwny wyraz bezkسیężycowych nocy — podczas których słychać w oddali jakieś jęki, szept — urywane westchnienia — lub cisze straszne... przeczuć pełne. I nagle Wiśka rozgarnęła liście i białosc jej zębów błysnęła, jak ostrze noża.

— Życie jest piękne... co?... — zawołała.

— Tak.

— A przecież...

Urwała, zachichotała lekko, dwuznacznie.

— Są głupcy, którzy sami na siebie godzą — którzy chcą sobie to życie odebrać...

Patrzyła bystro w oczy Adama. Zmieszał się nieprzygotowany. Ona usiadła nagle wpośród liści i ciągle pilnie mu w twarz patrzyła.

— Są głupcy... według mnie... — tylko głupcy...

— Nie, nieczęściwi!

Zaśmiała się długo, przeciągle.

— Nieprawda. Nieszczęście można zgnieść czemś silniejszym... choćby trucizną... Bóg wie... ale czemś, co zgłuszy. Nie mam racji?... Belladony najeść się do przesyty... Co? jak?...

Rzucała krótkie zdania, podniecając się, nozdrza jej się rozdymały. Wciągała w siebie upajającą woń liści.

— Przyszedłem teraz do tego przekonania! — zakończyła tryumfująco.

Padła znów na wznak. Zielona wełna jej spódnicy owijała ją ściśle. Na końcu lakierowanego bucika migotało światełko. Adam uczył trwogę.

— Dlaczego truciznę? — zapytał — wszak można znaleźć ukojenie...

Przerwała mu gwałtownie.

— Nie, nie... Szat! tylko szat!...

— Ależ to krótkotrwałe i nie leczy zła radykalnie.

— Poco radykalnie... upajać się, aż zginąć! — Z ust młodej, niedoświadczonej napozór dziewczyny te słowa padały, jak zwarzone i przedwcześnie dojrzałe kwiaty. Nie miały ani woni ani barwy. Były zgniłe w zarodku.

— Co pani wiedzieć może!... — bronił ją Adam przed tem wrażeniem, które go bólem i trwogą przejmowało.

Czarne jej oczy otwarły się szeroko. Wbiła je w gałęzie drzew uciekające ku niebu.

— Ja... wiem, ja dużo wiem! ja wszystko wiem!... — wyrzekła niskim głosem.

Zal jakiś, ból zadźwięczał w tych słowach. Z góry, z drzew padały wolno, lecz ciągle liście — padały na twarz dziewczyny, na czerń jej włosów, na jej rozchylone usta, na jej piersi drobne i tak piękne kształtem, jak dwie czary, na jej całe ciało, będące akordem harmonijnym.

Tak... pani możesz wiedzieć — nie przeczę — podjął Adam — ale wiedzieć, to nie jest czuć...

— Ach!... często dowiedzenie jest sto razy jaskrawszem ujawnieniem prawdy, niż wszystkie skradające się przeczucia.

— Nie w tej dziedzinie, o której pani mówi.

— Niby — w zmysłowej? co?...

Rzuciła mu to zupełnie śmiało, tonem wyzywającym i brutalnym.

— Tak! — odparł, a jakby wstyd za nią i za siebie ogarnął go całego.

— Właśnie, co do zmysłów... aby się dowiedzieć. Reszta sama naleci na człowieka, jak stado demonów... Byle się dowiedzieć... po-in-for-mo-wać. Tak, poprostu, bez żadnych udawań, delikatnych grymasów... Tylko prosto — obuchem w serce... w głowę... w to, co jeszcze dziewczynę pozostaje z iluzji, z tego, co życie ma pięknego... Prosto!... nie — nie — zedrzyć wszystko...

Urwała — przeciągnęła ręką po czole.

— Tak najlepiej.

— Nie, najgorzej.

— ?...

— Najgorzej, bo potem przez życie taka dziewczyna nie będzie się wlokła ze zranioną duszą, sercem...

— A cóż to będzie kogo obchodzić!...

Usiadła znowu, ale była zmieniona. Podniecenie, które barwiło jej policzki, znikło. Była znów bardzo blada. Oczy przyciąsały.

— Przedewszystkiem ją — samą!

— Nie powinna o tem myśleć nigdy, słyszy mnie pan, nigdy!

Lecz Adam przeczył gorąco.

— Przeciwnie. Powinna wnikać w siebie. Może wtedy...

— Co? co?

— Może...

— Szaleństwo. Nic! rozumie mnie pan, nic jej ocalić nie może. Gdy zacznie wnikać w siebie, stanie się... głupią. Pan mnie zrozumiał.

Nie patrzyła mu w oczy. Ale on ją rozumiał doskonale. Stawała się głupią... a więc kobietą o dwóch cieniach, wlokącą się powoli pośród ciemni nocnej z myślą samobójczą. To widocznie Wiśka nazywała — głupotą...

Adam jakby w skarbcu swego życiowego dorobku szukać pospiesznie zaczął. Czem odegnać właśnie taką myśl od tej, która zawczasem się dowiedziała.

I nic nie znalazł, tylko tę swoją pierś biedną młodzieńczą, do której ją tam na ulicy przytulił chwilę jedną, gdy ją z pod kół tramwajowych wydarł.

Tę jedną biedną pierś!

— Pani się myli... — zaczął niepewnym głosem — są przecież...

— Co? co? — przerwała mu — środki, porty, przy stanie? Złudzenie! Niema nic, nic. To, co pan myśli, to dziecinne stawianie fortu z piasku. Pan nie był nad morzem i nie widział, jak dzieci codzień sypią wały, fortece, pracują dzień cały na wybrzeżu, sądząc, że ich słabe budowle oprą się sile żywiołu. I przyjdzie srebrna fala morską — i zgarnie w jednym mgnieniu dziecinny trud... To samo! Przyjdzie jedna fala piekielnego bólu i zgarnie taki dziecinny trud...

— A to, co pani przeciwstawia, są złudzenia, o ile pobrze zrozumiałem — czy tego nie zgarnie fala piekielnego bólu?

— Zamąci się przedewszystkiem! Będzie mniej piekają, mniej żrąca. Błoto wszystko zamąci.

— Więc pani wie, że to... błoto.

Patrzyli sobie prosto w oczy. Ona aż uknęła wśród liści naprzeciw niego i brzoź.

— Wiem! — odparła hardo.

— W takim razie...

Przerwała mu znów.

— Nie mów pan nic... to bezużyteczne. Wiem, że to błoto — bom do niego przywykła.

Oczy jej pobiegły, jak dwa czarne ptaki, w stronę, gdzie pod brzozami na ławeczce zgarbiony, skulony szarzał Rydzik.

— Błoto!... — powtórzyła z nieporównanym wyrazem tragicznego bólu — przymykając oczy i pochylając w tył głowę.

Na oczy jej spadł nagle drobniuchny deszcz złotych listków osiki, zawirował i osunął się po twarzy, czepiając się włosów.

— Błoto!...

Od wsi leciuchny doleciał turkot kół.

Adam poznał go natychmiast. To był wózek Toczyńskiego, który jechał do dworu.

Zjawienie się tego człowieka w tej chwili, jakby związane nicią niewidzialną a fatalną, przejęło Adama nieznanem mu wzruszeniem.

— Silna woła — może wszystko! — wymówił, czując sam, że mówi rzeczy banalne, małe w porównaniu z prawdziwie tragiczną sytuacją tej odartej z utrud dziewczyny.

Zdawała się go nie słyszeć. Od chwili już, jak za hipnotyzowania, zwróciła się w stronę, skąd turkot wózka dochodził. Nagle silnym, sprężystym ruchem porwała się z ziemi, strząsnęła z siebie liście i z dziwną ironią po raz trzeci zawołała:

— Błoto!...

Szybko, rozsypując dokoła tumany wirujących liści, zaczęła biec ku dworowi. Już wózek z Toczyńskim wynurzał się z poza stajen i dążył do pałacu. Wiśka biegła szybko, a siedzący w wózku Toczyński witał ją, powiewając kapeluszem. Adam przez chwilę dostrzegł różowozłotą plamę jego łysiny, rozwiane szare skrzydła prochownika i na ich tle smukłą, ciemną sylwetkę Wiśki. Za chwilę znikło wszystko za ognistą purpurą drzew octowych, które zdawały się płomieniami wybuchać z ziemi.

A z drzew spadały ciągle powoli, cicho, bez szelestu liście i wkrótce pokryły złotą jasnością miejsce, na którym niedawno leżała Wiśka.

Adam wciąż siedział na ziemi i coraz mu było dziwniej, coraz ciężej.

— Błoto!... — dźwięczało w powietrzu.

II.

Zaledwie do wieczora zdołał Adam ten dzień jakoś przeokatać. Pomimo, że Toczyski bawił w pałacu — martwo było i cicho. — Tylko w porze obiadowej trochę ożywiły się stosunki między kuchnią a dworem. Haśka ubrana porządniej i ogarnięta latała z półmiskami i sosyerkami. — Adam dostał obiad znacznie później, choć wykwinniejszy, niż zawsze. Jakieś paszteciki, legumina... Upokorzyło go to. Pierwszy raz uczuł, że gra w tym dworze dziwną rolę. Nie dopuszczany do wspólnego stołu, żywiony „na tacy“ — jak szwaczka, której się podaje obiad pomiędzy maszyną do szycia a skrajanemi kawałkami materii. — Widział to u wuja na wsi, gdy dziewczyna, przywieziona z miasta, naprawiała podarte alby i ornaty. — Nie duma w nim zadrgała — ale jakieś jakby niezrozumiane uczucie, coś, z czego sobie jeszcze sprawy zdać nie umiał. Czuł się tylko rozstrojony i zdenerwowany. — Nie umiał nawet porozmawiać z Rydzikiem, jakkolwiek ten się chętnie do tej rozmowy garnął. — Gdyby Rydzik potrącił o Wiśkę w swej rozmowie — Adam byłby mu odpowiadał, tak był od dni kilku tej Wiśki pełny, lecz Rydzik przeważnie zlorzeczył dziś Tarajewiczowi i kuchni, wygłaszał zdania ostre, lecz z przymieszką melancholii. — Nie dowierzał swemu polepszeniu, jakkolwiek szczerze był niem ucieszony.

— To tylko takie cholerne manienie!... — powtarzał, patrząc na Adama i starając się coś odgadnąć z twarzy swego opiekuna.

Adam starał się po obiedzie pracować, lecz — nie był w stanie. Nie rozumiał, co czyta. Niepokój go ogarniał. Mimowoli wstawał i spoglądał na siatki okien Wiśki. Jarzębina, która pamiętnej dlań nocy tak gięła się ku niemu ciekawie, dziś stała prosta i nieruchoma, uwieńczona garstką krasnych jagód na szczycie bezlistnych gałązek.

Jaka dziś dyskretna!... — pomyślał z goryczą i nagle uczuł się zawstydzonym wobec tego drzewa. Spozstrzegł bowiem, że myśl jego krąży ciągle — tam — w apartamencie Wiśki, gdzie zastawiono mały stoliczek i przysunięto do niego w tej chwili dwa małe fotele...

Odsunął od siebie „tacę“ — z jedzeniem i rozłożone książki. Wziął kapelusz, dubeltówkę — przypasał troki i wyszedł. Wiedział, że nie idzie „zabijać“ — ale szedł, bo chciał oddalić się od dworu, aby przestać myślać krążyć poza drzwi zamknięte.

Szedł daleko polem i ciągle mijał sterty złote i kryże przydrożne. Rozsiane bo te kryże czerniały, jak owe anioły o rozpostartych skrzydłach, smukłe i nieruchome. Adam szedł tak od krzyża do krzyża, jakby odprawiając stacye pokutne. Lecz rosła w nim coraz większa boleść i tęsknota. To, co się nazywało życiem, wydało mu się walką istot nędznych i słabych z niezmierzoną potęgą — łamaniem najcudniejszych kwiatów, okrytych rosą świeżości młodzieńczej, zalewem bagien przegniłych, chłonaących w siebie cud serc ofiarnych i miłujących. — Taka Wiśka wszak była kwiatem najczystszym i złamało ją w poranku o liliowym świetle uświadomienie tego, co spienione zwierzęcym szatem w konwulsjach ślepych i szpetnych u stóp życiowego piękna — się targa!

Wchłonęło jej serce świeże o czystych strunach srebrnej harfy całe bagnisko, poruszane rytmem rozbestwionego hymnu, w którym pierwszy głos wiodła — jej matka! I stanęła teraz dziewczyna, ta smukła i wiotka, z ustami skrzywionemi wzgardą i goryczą na wyżynie, do której doniosły ją skrzydła młodości, stanęła bezradna, przepojona wzgardą dla uczuć najświętszych — bez szerokich widnokręgów, bez niczego, coby ją w świat tryumfu ducha nad ciałem wprowadzić zdołało. — Nie miała w sobie rezygnacyi i niezdolną była poświęcić siebie samej na ołtarzu swej godności. Silną była zmysłowo, jako żywiołowa potęga, aż dyszała chęcią użycia tego, czem sama gardziła. Nie znała obowiązków względem siebie samej, bo nie tylko jej tego nie nauczono, ale chowano ją w rozpasaniu zadowolenia wszystkich żądań niższego gatunku. Chciwość, z jaką jej matka wyzyskiwała to, co daje chwila, i zdarcie wszelkiej osłony uczuciowej z tego, co jedynie uczucie usprawiedliwia — pastwiły się nad młodą, dziewczęcą duszą w potworny sposób. Namiętność jej rozpętana hulać zaczynała, stawiając się nie

tylko za cel, ale i jako środek do zgłuszenia tragicznego krzyku, którym sentyment o delikatnej, szlachetnej barwie z pod warstwy narzuconego błota — litości — wołał, dnia się dopraszając...

— Biedna!... biedna!... — płakało prawie w duszy Adama — och! jaka biedna!...

Zatrzymał się pod jednym z krzyżów, pod którym kępka zapóźnionych bodiaków rosła. Tu — wśród tej równi, nad którą zawisa czarująco piękna, purpurowa lampa słońca, wśród tej wielkiej przestrzeni sąd Adama o Wiśce stawał się cały łagodnością i dobrocią. — W ciasnych ścianach pałacyku płatał się w nim jakiś żal i niesmak. Tu — wobec ogromu — czuł jej słabość w oporze i przeciw temu, co, jak ona sama mówiła, „nalaatywało na nią, jak stado demonów”. — Wypuściła na nią tę armię przedwczesną jej własna matka i nie uzbroiła jej w nic, aby obronić się mogła...

Nie była to walka na wyżynach, lecz już spadek szalony... jęk... krzyk...

Kto wie?

Przekleństwo....

Może — już!

A potem — te samobójcze myśli, pragnienie zniknięcia i znów krzyk — szat! Błoto!

Straszne.

.....
Dokoła tej walki tragicznej nieokreślenie — stoją całe teorie krzyżów, aniołów smukłych z równo rozpostartymi skrzydłami.

Krzyże — znak odpędzania złych duchów.

Krzyż!...

A przecież ta walka wre — i tam, w przepaść spada powoli dziewczyna, kwiat rosą świeżości obmyty — wołając z jękiem, tak jak inne dziewczęta wołają z uśmiechem, iż oddają swe serce na wieczność a raczej z sercem i czyste ciało swoje.

A ona, tamta blada, o czarnych smutnych oczach wołać o sercu nie może, bo o niem nie wie nic, nic — tylko woła... szat! szat!...

.....
Nad równią upadła prawie czarna kopuła szafiru, gdy Adam powrócił do dworu. Przed gankiem stał już wózek Toczyskiego. Adam okrążył go i chciał wejść na

ganek, gdy otworzyły się drzwi wejściowe i stanął w nich Toczyski i odprowadzająca go Wiśka.

— Proszę się wrócić! — mówił Toczyski.

— Ani myślę.

— Więc chce mnie pani stanowczo odwiedzić? Ależ pani nie ubrana dosłatecznie.

— Mam płaszcz!

Teraz Adam dostrzegł, iż Wiśka ma na sobie ten sam biały szlafrok, w którym go w nocy wezwała do siebie.

— Ha... no, to niech pani siada.

Wózek podjechał. Adam czuł, że gra dziwną rolę. Wysunął się z poza oleandrów. Toczyski pomimo zmroku wbił w niego oczy. — Zdawało się, iż chce go przejrzeć do głębi. Leciuchne zmieszanie przebiegło po twarzy Wiśki. Wyciągnęła rękę ładnym gestem:

— Pan doktor Walicki — pan Toczyski!

Podali sobie ręce.

Ona na chwilę zjawiła się pomiędzy nimi, jakby jakąś spójnią swego ciała łączyła ich obu. Lecz już ręce ich rozpadły się. Toczyski zszedł do wózka, który podjechał, i poprawiał siedzenie. Gdy Wiśka schodziła, Adam dostrzegł na jej nogach czerwone, wyszywane złotem pantofelki. Za chwilę siedziała na koźle obok Toczyskiego, otulona w fałdy szerokiego płaszcza, i trzymała z pewną fantazją bat w rękę.

W chwili odjazdu zwróciła się w stronę Adama.

— Pan jeszcze spać nie idzie? — spytała.

— Nie.

— Ja zaraz powrócę.

Odjechali.

Adam stał zdziwiony jej słowami. Do tej chwili nie interesowała się nigdy tem, co on robił wieczorem. — Stał niepewny, nie wiedząc właściwie, co mu czynić należy. Czy czekać na powrót Wiśki, czy cofnąć się do swojego pokoju...

Koło niego przemknęła się Haśka.

— Ja kolacyę zaniósła — wyrzekła, uśmiechając się. Widocznie próbowała szczęścia, ufna w nową różową bluzkę i świeżo umyte uszy i kawałek szyi.

— Dobrze... — odparł Adam, siadając na stojącej przed domem ławeczce.

Haśka trzasnęła drzwiami, aż szyby się w nich zatrzęsły. — Adamowi obecnie było to obojętne; za-

nadto od rana żył się już z myślą o Wiśce, aby drugi twór kobiecy przesunął się koło niego, jako istota, licząca się w sferze delikatniejszych uczuć. Był to postęp od owej chwili wahania się z podjęciem kwiatów z tacy przyniesionej przez Hańkę.

Myślą — Adam biegł za wózkiem, który już znikł zupełnie, a tylko słabo turkotał w oddali.

Tymczasem — na wózku wiodła się następująca rozmowa w języku francuskim ze względu na wyrostka, siedzącego na przyczepionym wieszadku, poza plecami jadącej na koźle wózka pary.

— Więc dawno już tak mieszka we dworze? — pytał Toczyński.

— Dawno.

— No... no...

— Co?

— Nic.

— Dlaczego ten ton?...

Milczenie.

I znów z pewnym sarkazmem w głosie:

— To ładny mężczyzna.

— Kto? — pyta Wiśka.

— No... ten... doktor.

Przeciągły wybuch śmiechu.

— Dlaczego się pani śmieje?

— Bo... pan go nazywa mężczyzną.

— Daruje pani... ale...

— Ale to jest sentymentalne dziecko, panie drogi.

— Już ja bym takim dzieciom nie dowierzał.

Śmiech ustał.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— To... że mi się to mieszkanie z tym panem pod jednym dachem nie podoba.

Spojrzeni sobie ostro w oczy oboje. Siedzieli tak blisko siebie, że źrenice ich mimo zmroku widziały się dokładnie.

Milczenie trwało krótką chwilę — pierwsza odezwała się Wiśka.

— Czy pan sądzi, że każdy jest takim samym, jak pan?...

Mówiła ostrym, nieprzyjemnym głosem. Jakaś bezdenna nienawiść drgała w tym tonie.

Toczyński uśmiechnął się ironicznie.

— Tu nie chodzi o niego — odparł niedbale — on może mieć najlepsze intencje... ale... co do drugiej strony...

— Więc — ja?

Aż pozieleniały światła w jej oczach.

— Mój Boże... tak... z pani temperamentem... o! o!... zaraz się burzy... to dla kobiety wdzięk jeden więcej.

Chciała mu coś odpowiedzieć. Otworzyła parę razy usta, ale słowa więzły jej w gardle. Zbyt wiele już było pomiędzy nią i nim tej deprawacji rozkosznej, drobnej napozór i nic nie znaczącej, ażeby mogła bezkarnie okazać mu, jak go chwilami strasznie nienawidziła.

Porwała tylko za lejce i wstrzymała konie.

— Ja wysiadę! — wyrzekła zmienionym głosem.

Pochylił się ku niej pieszczotliwie.

— Wiśka!... — wyrzekł — Wiśka! — nie bądź szalona... nie gniewaj się...

Tonęła stopami w piasku. — Z całą swobodą zdjęła z nogi pantofelek i wytrząsnęła z niego piasek.

— Dobranoc panu!...

— Gniewamy się?

— Nie... lubię utrzymać to, na co się zasłużyło.

— Przyjadę jutro!

Nie odpowiedziała nic.

Zawróciła się i zaczęła iść w stronę dworu.

Toczyński wzruszył ramionami i wreszcie ruszył z miejsca. Ta dziewczyna „działała” na niego, jak kapitalne wino. Upajał się przy niej i odzyskiwał pozory młodości. Zdawało mu się chwilami, że kocha się, jak żak.

— Tymczasem — to było złudzenie, to było tylko garnięcie się wędniejącego ciała ku młodszej, świeższej istocie. I to, co brał za pieszczoty miłosne, to były subtelne deprawacje, idące coraz dalej bezwiednem już tempem.

Zatrucił poprostu poczucie różnicy i sensacji dziewczyny uczciwej i rozpustnicy; to, co wydawało mu się niewinne, było odnośnie do stopnia zepsucia rozpustnicy rzeczywiście letnią wodą, względem Wiśki jednak czemś, co gubiło w niej powoli resztę złudzeń i dziewczęcego spokoju.

Ale — Wiśka na niego „działała”.

I dlatego oderwać się od niej nie mógł.

Wolno, jakby w zamyśleniu pogrążona, idzie Wiśka

powrotną drogą do dworu. — Idzie, nagłą do siebie przejęta odrazą i wstrętem.

— Przy pani temperamencie... myśli, przeżywając słowa Toczyskiego.

— Tak... przy moim temperamencie — tym wrodzonym, odziedziczonym... naturalnie — tak, tak...

Chwilę dławila się tak za gardło skurczoną ręką, iż zdawało się, że padnie.

— Temperament... odziedziczony.

Stała chwilę. Podniosła ku stropowi nieba, który zasiał się brylantami iskier — swą bladą, znużoną twarz.

— Temperament!...

Nagle zwinęła się, okryła płaszczem i raczej biegła w stronę dworu, niż szła. Jakiś brzydkie, zły uśmiech ściągnął jej usta.

Dopadła ganku.

Z ławki podniósł się Adam.

— Pan tu?

— Tak!...

— Usiądę przy panu!

Szybko zbliżyła się i opuszczała na ławkę. Adam usiadł obok niej. Widział doskonale jej profil, na który spadały pasma jej żałobnych włosów, i całą postać, szczelnie owiniętą szarym płaszczem, długą, wąską, nie-ruchomą, jakby trup, owiniętą szarym całunem i do włożenia w trumnę gotowy.

Jakaś silna woń pomieszanych perfum z przebijającym się zapachem, który Wiśka zażywała od bólu głowy, otaczała ją dokoła.

Chwilę milczała. Nawet oddechu jej słyszeć nie było. Wreszcie odezwała się i nic nie zdoła określić tonu ironii. z jakim wypowiedziała następujące słowa:

— Co pan o mnie myśli?

— !!!

— Ja panu powiem. Pan myśli — śmieszna prowincjonalna d e m i v i e r g e !

Tak to padło niespodzianie na Adama i tak było przykre i brzydkie, że Adam strapiiony na razie nie wiedział, co ma powiedzieć.

— Ha... co pan chce... na wszystko muszą być materyały na świecie — ciągnęła dalej — na wszystko, nawet na tak zwane kobiety z temperamentem, które z nich się nie liczą. I u nas w kraju, czasem na prowincji

cyi w piaskach, uchowa się taki materyalik cacy... Dla drugich żer gotów...

Z ciemni ten głos wydobywający się, nabrzmiały bólem, czynił dziwne wrażenie.

— Toczyski jest dawny przyjaciel naszego domu. Miły człowiek? — co?

— Nie — odparł krótko Adam.

— Nie podoba się panu? — Taki gładki — układny — z manierami — no... no...

Śmiała się przeciągle.

— Mnie się on bardzo podoba...

Milczenie.

— A co śmiesznieszego, to to — że pan także mu się nie podoba.

— Widocznie antypatya wzajemna.

— Ach! ciekawe!... Ale czy dla tych samych powodów?

— Jakież są powody tego pana?

— On... myśli...

Odwróciła się nagle i spotkała blisko siebie twarz Adama. Coś w niej było, w tej szczerej, prostej, dobrej twarzy — coś, co jej uwieźliło słowa, które chciała cynicznie mu w oczy rzucić.

— Czekam, słucham.

Wydobyła rękę z fałdów płaszcza — potarła nią po czole.

— Nie... nie... już nic nie powiem.

— Czy to takie złe?...

Opuściła powieki, jakby ze wstydem.

— To gorzej, niż złe.

— Ja chcę, ja muszę wiedzieć.

— Po co? po co to panu? to taka szkoda, kiedy kwiat w błoto upadnie.

— Więc to aż błoto...

Wyciągnęła nagle przed siebie ramiona.

Opadł z niej płaszcz. Pod cieniuchną tkaniną szlafroka dokładnie zarysowało się jej ciało w przód podane.

— A cóżby innego mnie otaczać miało?... — zawołała — błoto!...

I z wolna opadły jej ręce, miłośnie przed siebie wyciągnięte. Nizkim, zmienionym głosem dodała:

— Pan wie... Baudelaire powiedział — błoto i łzy!...

La boue et les larmes!...

Gorący ból przejął Adama.

na stopnie ganku. — Z wewnątrz zapalone światło biło przez kolorowe szyby sieni purpurą, złotem i zielenią — nadając jej fantastyczne, zjawiskowe oświetlenie.

— Dobranoc panu! — wyrzekła, zatrzymując się już pod kolumnadą.

Adam już stał pod gankiem i z zachwytem na nią patrzył.

— Dobranoc pani!

Płaszcz jej zsunął się z ramion. Wlokła go za sobą niedbale, a ten olbrzymi jasny tren podwyższał ją jeszcze. Coraz więcej nabierała pozorów zjawy.

— W każdym razie... dziękuję panu.

— Za co?

— Za to, coś pan mówił, za to, jakieś pan mówił, za pana głos, uśmiech, za pana całego... Tak mi jakoś dobrze, jakbym w dzień upalny napiła się czegoś bardzo, bardzo orzeźwiającego.

I z uśmiechem czarującym, pełnym dziewczęcego uroku, iść zaczęła ku drzwiom, odwracając twarz ku niemu.

A gdy znikła poza drzwiami, Adam, patrząc na purpurę, szmaragdy i złoto światła, po których przesuwawa się lekka biel jej sukni, pomyślał, że nigdy żadna kobieta nie była w jego oczach tak bliską ideału dziewczęcia, który uwieził na wieczyste czasy na zaklętym płótnie Fra-Filippo-Lippi.

III.

— Panna baronówna prosi pana do stołu! Tak zaanonsowała Haśka nowy postępek w normalnym przebiegu dnia Adama.

— Do stołu?

— Tak. Panienska kazała nakryć w jadalni i tam poprosić pana doktora.

Adam ogarnął się i wyszedł do sieni. Stamtąd zaczął błądzić po pokojach. Nie wiedział, gdzie jest właściwie jadalnia. Kroki jego rozlegały się w pustce dworu. Nagle postyszał głos Wiśki:

— Ależ tutaj... tutaj...

Wszedł do długiego, prawie pustego pokoju. Okna były obdarte z firanek. Szare światło jesienne waliło się do wnętrza. Ogromny kredens, brzydki, dźwigał się w ką-

cie. Tu i ówdzie wisiały jakieś portrety. Duży owalny stół nakryty był do połowy obrusem. — Na środku stał ogromny, przepyszny bukiet liści octowych purpurowy i miedziany. Zdawało się, że ktoś rozpałił ognisko na środku stołu. Poza bukietem wykwiatał biust Wiśki, odzianej, jak zwykle, w zieloną wełnę.

Przywitała Adama kaskadą śmiechu.

— Jakże... serce?

Zatrzymał się zdziwiony i zmieszany.

— Czyje?

— Przecież nie moje, bo ja się liczę do rzędu innych istot.

— Do jakich, na Boga?

— Ach... pan wie... takich z temperamentem.

Usiadła i zaraz zaczęła bardzo ładnie i z wdziękiem prawdziwej damy robić honory swemu gościowi. — Przepraszała go, że do tej pory pozwoliła mu jeść samemu, ale była cierpiąca, zdenerwowana...

Od dziś zmieni się to wszystko.

— Postaram się panu uprzyjemnić pobyt w naszym domu i dopomóż do zniesienia jako-tako tych przykrości, które są pana udziałem.

Adam się zadziwił.

— Jakie przykrości?...

Wiśka wydeła usta.

— No... z tym, tam...

— Ach! z moim chorym? — Ależ przeciwnie. Z początku jeżył się i stawiał. Teraz widocznie choroba uchodziła go, bo stał się zupełnie możliwym do zniesienia.

— No... no...

Z pod rzęs przymkniętych patrzyła na niego przez szerokość stołu. Ten wzrok niepokoił go. Przypominał mu Filharmonię, Griega, ledwo dojrzone kły krwiożercze, i potem wyraz twarzy jej matki, zwieszanej z mgły nad łóżem Rydzika.

— Pan ma dziwny urok widocznie — pan umie uchodzić nawet dzikie zwierzęta...

— Pan Rydzik nie jest zwierzęciem.

— Prawie.

Rzuciła to niedbale, ale widocznie nienawiść aż wstrząsała ją całą.

— On bardzo cierpi.

— On?...

— Tak.

— Tam są nerwy, jak postronki. Niech pan się nad nim tak bardzo nie roztkliwia... Lepiej jedźmy i zajmijmy się czemś przyjemniejszym. Zaczęła natychmiast mówić o tysiącu głupstw miastowych — wykazując dużą znajomość tych plotkarskich drobiazgów, które biegają po ulicach miasta razem ze śmieciami i kurzem ulicznym. Lecz — obita się o nieznaną tych stosunków ze strony Adama i rozmowa padać zaczęła. Wiśka była tak subtelna, iż natychmiast uczuła, że gra na fałszywej nucie. Ten chłopak prosty, dobry — którego fala życia wyrzuciła z miasta na tę Ruś zapadłą, był niewrażliwy zupełnie na ludzkie małości i słabości.

— Nie wiem... nie słyszałem... — odpowiadał ciągle. Wiśka spuściła z tonu.

Obiad dobiegał do końca — mimo wszystko nadzwyczaj miły i skąpany jakąś przyjemną atmosferą domową. — Wdzięk Wiśki dnia tego promieniał ogromną kobiecością. — To wpływało szalenie na Adama. Nie wiedział, co mówiła. Patrzył na nią i znajdował ją piękną, choć jakąś wyzywającą i pełną ponęt zmysłowych. Gdy skończyli deser — Wiśka wstała i nagle wyrzekła:

— Chodźmy strzelać paszkioty.

— Czy są blisko dworu?

— Jest ich całe stado. Przelatują z jednej kępy drzew na drugie. Pan stanie na jednym punkcie — ja na drugim i będziemy je płoszyć. Zgoda?

— Zgoda.

Znikła na chwilę w głębi domu i powróciła w zakiecie czarnym i ładnym filcowym toczku, przystrojonym egretką z piór. Suknię miała bardzo zgrabnie podpiętą. Nóżki, obute w śliczne żółte buciki stawiała prosto i śmiało.

— Chodźmy.

Wyszli przed dom. — Przechodząc мимо stajen, Wiśka nagle strzeliła do wróbli rozspanych na dachu stajennym. Spadły gradem maluchnych, bezbronych ciałek. Wiśka patrzyła na nie i uśmiech dziki odsłonił jej kły białe.

— A to się posypały...

Nie podniosła ani jednego. — Przerzuciła dubeltówkę na ramię i poszła dalej. — Za nią szedł Adam. Mimowoli myślał ciągle o lecących martwych ptaszkach i o odsłoniętych kłach kobiety.

I przykro mu jakoś było.

Idąc polem, po którym włościły się gałęzie kartofli,

zrównali się z sobą. Nie mówili nic — patrzyli na niebo, które pokrywało się całe jakby szarym całunem. Wicher ciągnął nisko i bił ich zdradziecko po nogach, nie dotykając twarzy, jakby pełzał powoli z oddali. Było ciężko i coś smutnego rozwłóczyło się dokoła. Doszli do dwóch kęp drzew, strzelających nagle w szczerem polu. Wiśka ustawiła Adama w gęsto zarośniętych krzakach i nakazawszy mu ładnym gestem milczenie — po bruzdach ku drugiej kępie przebiegać się zaczęła.

Patrzył na nią przez gałęzie, jak szła stonowana i sharmonizowana do kolorytu panującego dokoła. — Lawirowała wśród bruzd zręcznie i biodra jej rytmicznym ruchem podnosiły się pod obcisłym zakieciem.

Gdy skryła się wreszcie w gąszczu, Adamowi zdało się, że jakaś żałoba pokryła cały pejzaż, że wydarł ktoś punkt główny i zasadniczy, do którego zbiegały się barwy i linie.

— Ona jest, jak... wszystko! — pomyślał z prostotą. Nagle rozległ się krzyk dziki i strzał. Zanim Adam się spostrzegł, już ku niemu darto się powietrzem mnóstwo ciemnych ptaków. Pędziły w popłochu na drzewa, pod którymi stał ukryty. Przerazone wirowały chwilę...

— Strzelaj!... — słychać było głos Wiśki.

Złożył się, strzelił, ale umyślnie źle i bez celu. Nagle ogarnął go żal na te biedne ptaki, płoszone bez pożytku, tylko dla uspokojenia wrodzonego bestyalstwa rozmiłowanych w mordzie ludzi. Ptactwo porwało się znowu i naoslep ciągnęło ku kępie, gdzie czatowała na nie w ukryciu Wiśka.

I znów się rozległ się strzał, suchy łomot gałązek...

Widocznie trupy spadały z wyżyny, która im przeznaczona była na miejsce pobytu. I tam dosięgła je ręka... ludzka.

Adam nagle wyszedł z krzaków i zaczął iść ku Wiśce.

Zastał ją zgorączkowaną, zbierającą zastrzelone ptaki i przywiązującą je do troków. Jeden z nich żył — rzucał się.

Rozgniotła mu głowę obcasem ślicznego bucika.

Adam wyciągnął rękę.

— Co pani robi?

— To, co wy w szpitalach! — odparła twardo.

— My!

— Tak. Wy — wtedy, gdy na bezpłatnych chorych próbujecie waszych odkryć i wynalazków...

Śmiać się zaczęła, patrząc mu prosto w oczy.

— Chirurg!... chirurg!...

To niespodziewane z jej strony poruszenie kwestyi, która była prawie raną jego życia, przejęło go niewystowionem zmieszaniem.

Dostrzegła, że pobladał.

— Chodźmy stąd — wyrzekła.

Nie pytała go, czy zastrzelił cokolwiek. Zdawała się tem nie interesować. Widocznie szło jej tylko o własne wrażenia.

Szli znów miedzami w milczeniu, naprzetał bez celu — jakby chcieli dojść do linii, gdzie szary horyzont zlewał się z bladą, tajemniczą linią krańcową równi. — W oddali cały rząd topoli nieruchomy zdawał się oczekiwać ich nadejścia. Pustka była dokoła.

Droga szara, skopana w ogromne grudy wiała się pomiędzy polami samotna i opuszczona.

A oni szli ciągle oboje milczący, drobni — zanurzając się w ten bezkres, zanurzając się we własne myśli, które, tak jak ta równia, kresów także nie miały.

Nagle — przed nimi — jakby z ziemi wystrzelił — wielki samotny krzyż.

Nie widzieli go, choć był tak blisko — zapatrzeni oboje w rozplywającą się w szarości dal.

Bodiaków kępę rozwiewał u stóp krzyża wicher. Ot — prosta mogiła gdzieś, zapomniana na środku pola — mogiła, z której wywiały wichry ducha i resztki popiołu — i resztki wspomnienia.

Wiśka u stóp krzyża stanęła.

— Odpocznę! — wyrzekła zmęczonym głosem.

Wówczas Adam dostrzegł, że była blada i cała potem pokryta.

— Niech pani pozwoli...

Zdjął jej z ramienia dubeltówkę i postawił ją na ziemi, o krzyż opierając...

Wiśka na jego ruchy patrzyła.

— Bardzo słusznie! — wyrzekła.

— Dlaczego?...

— Obok siebie symbol kary i narzędzie zniszczenia.

Adam podniósł na krzyż swe łagodne oczy.

— Co z panią?... krzyż jest dla pani tylko symbolem kary?

— A jakże?... od pierwszej chwili słyszy się — Bóg... sędzia...

Az drgał sarkazm w kącikach jej ust.

— Nie wiem — odparł Adam — ja słyszę zawsze: krzyż symbol miłosierdzia, przebaczenia...

— Och! och!... ideał życiowy.

— Jedyny.

— Pan byś umiał przebaczyć?...

— Zdaje mi się, że tylko to jedno. A przede wszystkim aby przebaczyć — należy potępić...

— Więc pan nie mógłbyś potępić?

— Jakież mam do tego prawo?...

Zastanowiła się i chwilę milczała. Wreszcie odezwała się z ciężkiem westchnieniem.

— Prawda... nikt nie ma prawa nikogo potępić! A przecież... nieraz się całe życie pędzić musi pod wyrokiem potępienia. I to najstraszniejsze, że się samej nie nie zrobiło jeszcze, coby na potępienie zasługiwało, a dokoła, jak fale — rośnie, rośnie wzgarda — wzgarda... Przecież to straszne? co?...

Adam zrozumiał wybornie, iż Wiśka robi aluzję do swego społecznego stanowiska. To była znowu rana ukryta na dnie jej duszy.

— Tak... to straszne — odparł — lecz w takim razie należy utworzyć sobie swój świat własny, częstokroć więcej wart, niż cudzy.

— Swój świat własny!... tak... ale na to trzeba mieć coś, jakieś podstawy, aby ten świat nie był domem z kart, które byle gorętszy powiew przewrócić może. A skoro się niema takich podstaw? co robić?... co? Patrzyła mu w oczy natarczywie. Nie mógł zrozumieć, co w nich było. Zdawało mu się, że to, co ona w tej chwili mówi, jest dla niej rzeczą podrzędną, że tam w jej myśli odbywa się cały proces, o wiele ciekawszy, ważniejszy, do którego dotrzeć nigdy nie będzie w stanie.

— Trzeba te podstawy usiłować zdobyć — odpowiedział tymczasem.

— To są frazesy! — rzuciła mu z ironią — puste frazesy... Pan zna przysłowie — czem skorupka za młodu nasiąknie...

— Tak, ale jeżeli jeszcze jest ta młodość.

Pochwyciła z fantazyą dubeltówkę i zarzuciła ją na ramię.

— Nie — panie, tej młodości już niema! Lata są... ale okrutna, brutalna szczerłość życia dała pięścią

w głowę... i oto starość przyszła nagle, starość serca, duszy... Zwiędło wszystko... jak te bodiaki.

Nogą rozziarła pokorne wymarzone kwiaty, pełzające u stóp krzyża.

— I pozostało trochę popiołu... Iskrę ktoś rzuci — buchnie ogień...

Zacząła schodzić na drogę.

— Dobrze i to! — rzuciła jeszcze.

I odwróciwszy głowę, obrzuciła Adama spojrzeniem tak dziwnym, że chwilę zabrakło mu oddechu.

— Zwłaszcza dla drugich!... — padło z jej ust wykrzywionych jakby bolesną ironią.

Gdy dochodzili do domu, Wiśka zrównała się z Adamem i nagle go spytała:

— Czy pan czasem nie miał kiedy zamiaru być księdzem?

— Dlaczego?

— Bo pan ma w sobie coś takiego...

Adam nic nie odpowiedział...

I stanęły przed nim nagle te wszystkie ciepłe, letnie noce, kiedy tam w sadzie, zieleniejącym dokoła plebanii, on siedział młodziuchnym chłopcem, patrzył na niebo gwiaździste i bił się z myślami.

Tak — chciał być księdzem i w te noce letnie, podczas których białe kwiaty jabłoni i grusz śniegiem osypywały się na zieleni trawy, a ule ciche wznosiły się kręgiem pod gałęziami drzew — on, dziecko czyste, o wielkich miłosiernych oczach, marzył życie pełne przebaczeń, łagodnych słów, gestów błogosławiących i mistycznych nad rozmodlonym tłumem u stóp Ukrzyżowanego.

Tak — chciał być księdzem, wznoszącym błagalnie ręce wśród kwiecia pachnącego, jak kadzielnica w miesiącu Maryi, w miesiącu majowym, w którym słońce ma złote, czarujące blaski, jakby tam z nieba od korony Królowej spływał gazowy welon i krył łagodnie świat cały...

Tak — chciał być księdzem, który wchodzi w niski i straszny próg chałupy, gdzie kona w tyfusie płamistym chłop-nędzarz i wyschłą szyję za „dobrodziejem“ wyciąga, podczas gdy ogarek świecy na kraju stołu dogorywa, a już nowy chory w sionkach z nóg się wali, jęcząc:

— O Jezul...

Na podwórku — tam, gdzie czerwone kwitną georginie, w koszyku plecionego płotu, stoi żandarm w piket-haubie korkowej. Czeką, aż ten sam zamrze, i pilnować ma, aby się zaraza nie rozprzestrzeniła...

I dla tych tam, którzy wewnątrz chałupy konają, bo nic dla nich nie uczyniono, aby siłę odporną przeciw zarazie mieli, nie pozostaje nic — tylko ten „dobrodziej“ — ten Bóg, którego przyniesie, ten dzwonek, co w oddali zajęczy, ta stuła ze złoconym, wyszytym krzyżykiem, którego dłoń konającego kurczowo się uchwyci.

Nic — tylko ten „dobrodziej“...

Tak — chciał być księdzem.

Cichym, pokornym, drobnym, w jakiejś wiosce wśród sadów o zapachu rozkwitłych wiśni, lub wśród bieli śnieżnej, poznaczonej o świcie złotą gwiazdą roratną — w ośnieżonych gałęziach lip tonącego kościółka.

Lecz powoli miłosierne oczy dziecka zwracały się ku ziemi. — Dział się w nim przewrót smutny. — Patrzył na pracę wuja i badał jej podstawy.

To nie było to. Nie szło to z gwiazd i natchnienia. Jakaś suchość przyjętych dogmatów, które nie przepływały przez serce — wyłaniała się coraz więcej...

I nagle Adam zrozumiał, że chcąc być takim księdzem, jakiego wymarzył sobie w nocach rozpachnionych, gwiaździstych, nie będzie mógł nim być bez grozy anatemów i nietolerancji.

I upadłszy pod jabłonią, która strząsała na niego śnieg swych płatków — płakał, długo — cicho — jakby sen najlepszy swej duszy razem ze łzami wypłakać mu przyszło w tę noc czerwcową.

— Tak, chciałem być księdzem! — odpowiada Wiśce.

Ona drga cała od powstrzymywanego ironicznego śmiechu.

— To znać po panu!...

Idzie szybko teraz w stronę ganku. Zdawałoby się mogło, że ta kobieta nie wie sama, jak ma się zachować z tym nieznanym dla niej rodzajem mężczyzny, który znalazł się na jej drodze. — Przeczuwa w nim, że jest różnym, że jest on innym od wszystkich jej znanych — co więcej, od niej samej i to nią szarpie — to w niej wzbudza jakąś niby obrazę, gniew...

Na stopniach ganku pali papierosa Toczyski. Z nie-

zadowoleniem spogląda na nadchodzącą Wiśkę w towarzystwie Adama. Jest to tylko mgnienie oka. Natychmiast przybiera minę nadzwyczaj uprzejmą. — Adam patrzy na niego i uderzony jest jego mizerną postawą. Drobny, o spadzistych ramionach, chudy, rasowy — brzydki. Ma charakterystyczny tik mrużenia lewego oka od nadmiaru noszenia monokla.

— Predyspozycja artretyczna... — ocenia go mimowoli Adam.

— Ja tu czekam już od godziny! — mówi Toczyski idąc naprzeciw nadchodzących.

Wiśka nie odpowiada nic. Podaje mu niedbale rękę. Gdy wchodzi na stopnie ganku, Adam słyszy, jak Toczyski mówi do niej:

— Przyszły...

— A!...

— Tak. Dziś rano. Spieszyłem się... chciałem wszystkie przywieźć.

— Jest Louvette?

— Jest.

— I Bilitis?

— Nie. Ale za to mam całego Casanowę.

— Daj mi pan spokój. To starzyzna.

— Niemniej arcydzieło.

— Wolę Bilitis...

Bez słowa pożegnania, bez spojrzenia Wiśka wchodzi do domu a za nią Toczyski. Adam pozostaje sam na ganku i długą chwilę namyśla się, co ma począć ze sobą.

Jest zupełnie wytracony z równowagi.

Z przestrachem widzi, iż dzień jego dzieli się na ten czas, który przepędza w towarzystwie baronówny, i ten, w którym pozostaje sam.

— Pójdę pracować...

Lecz wie, że nie pójdzie, bo to będzie marna i bezowocna praca.

— Pójdę do Rydzika!

Czuje, że musi iść gdzieś, zacząć mówić z kimś, oderwać się myślą od tych ścian, w których w tej chwili jest Wiśka w towarzystwie Toczyskiego.

— Jakie on jej książki przywiózł? — myśli — chciałbym wiedzieć, jak on na jej umysł wpływa. Bilitis, Casanowa... nie znam ani jednej z tych książek... Chciałbym wiedzieć...

Doszedł do oficynek i natknął się na Rydzika w sieni. Ten chował jakiś garnczek do beczki.

— Co pan tam masz? — zapytał ostro.

— Nic... nic...

Adam pochylił się i wyciągnął z garnka kilka pierogów nadzianych kapustą. Otworzył drzwi i wyrzucił je na dziedziniec. Rydzik patrzył na niego i głową kręcił.

— To nie po chrześcijańsku!... — wyrzekł wreszcie.

— A po chrześcijańsku to, co pan robi?

— Niby, że pierogi ściągają?

— Nie. Ale, że się pan dobija.

Nie mógł powiedzieć „zabija” — wobec tego skazańca na śmierć. Nadspodziewanie Rydzik ten subtelny odcień wyczuł i zrozumiał.

— A no — podjął — pan doktor widzi sam, że mnie już jeno można dobić, jak takie psie ściervo, szkapsko, co je wywloką na trzęsawisko, ażeby zdechło. Więc czego mi bronić!...

— To mój obowiązek.

Rydzik westchnął i załamał ręce, tak, że w nich aż chrupło.

— E!... kto o tem na świecie myśli! Mało to ludzi, co powinni swoje obowiązki spełniać, a im się ani śni! Ani to dzieci dla rodziców, ani to żony dla mężów...

Ostatnie słowa wymówił z szaloną goryczą.

— A jakże..., takie morowe cholery...

Weszli razem do pokoiku, w którym panował jakitaki ład. — Widocznie Rydzik sam się zwłókl i trochę sprzątał.

— Kto u pana dziś sprzątał? — zapytał Adam.

— A no... ja sam!

— Zakazałem panu schylać się i połykać kurz...

Rydzik trzęsącymi się rękami zaczął po powietrzu machać.

— No... więc jakże?... Przecież pan sam mnie za brud łajał. A potem, niewiadomo, kiedy co... może dziś, może jutro... W piekarni mówili... kto wie...

Coś chciał wypowiedzieć, ale nie śmiał. Przy piecu stanął i czerwonymi oczami na Adama patrzył.

— Pan z tą ściervoską Wiśką chodzi... to może pan co słyszał...

— O czym?

— Niby... względem przyjazdu.

— A... nie, nie słyszałem.

Rydzik teraz oczyma w bok umykał, jakby zawstydzony.

— Bo... tak... mówili... że z Wiednia.

— Nic nie wiem. Ale jak pan chce, to się dowiem.

— No... to właśnie. Niechby się pan dowiedział, ale niby dla siebie.

Bał się widocznie drwin piekarnianych i, jak mógł, wieści o „nieobecnej“ chwycił.

— Bo to, proszę pana... — podjął znowu — z taką, jak ona, to nic wiedzieć nie można. Tak jak odleciała, tak może przylecieć. Z nią było tak zawsze. Dziś to było dobre a jutro na śmiecie, a potem znów do śmierci... i to, co rzuciła, gwałtu, wyciągaj!... Ona może zlecieć tutaj, że ani patrzeć! Niechno tylko! to! wtedy no...

Ręką w stronę kuchni pogroził.

— Marna ich godzina. — Wszystko powiem, jako mnie poniewierali, a ją kradli! Wszystko!... A ona mnie a nie im uwierzy...

Obejrzał się dokoła.

— Widzi pan — ona jest taka, że pluchów nie lubi, więc trza jakiś ład zrobić. A że mi nikt nie dopomóż — więc ja sam, jak mogę. Bo jakże, skoro przyjedzie i tu przyjdzie? — Co?

Adam doznał jakiegoś uczucia litosnego żalu, to krzątanie się tego wielkiego biedaka, opuszczonego, noszącego śmierć w sobie, aby ta, która mu rzeczywiście życie zdruzgotowała, nie znalazła śmierci za progiem grobu, w którym żył — było rzeczywiście rozczulające.

— Ja sam dopilnuję, że zrobią tu porządek.

— Aby tylko firanki założyć i pajęczyny obmieść — mój panie...

— Dobrze, dobrze...

Milczeli długą chwilę, wreszcie znów się odezwał Rydzik:

— Pan doktor wie? ja pana doktora lubię.

— Cieszy mnie to.

— No pewnie. Bo ja mało kogo lubię. Cóż ludzie. Psy więcej warte. — To jedno na drugie ujada. Nic więcej. — A pan się człowiekowi pod serce zaszyje...

— Czem?

— Nie wiem. O taki pana głos dobry i oczy. I tak pan koło mnie chodził, nie jak doktor, ale jak poczciwa baba. Ja na pana leciał z początku, jak odynieć z kłami.

A pan mnie wziął dobrocią... I ja teraz za panem w ogień.

— Szczerze temu jestem rad.

— Tak ja panu chciałbym jedno powiedzieć — urwał, zakłopotany, i zaczął przestępować z nogi na nogę. — Chciałbym pana ostrzedz...

— No... no...

Oczy Rydzika pobiegły w kierunku portretu baronowej.

— Tylko, że nie śmiem... bo cóż ja...

— Skoro mi pan dobrze życzy?

— Ale jak!... tak, jak sobie. A no... to... Ale nie będzie się pan ciskał?

— Nie.

— Słowo? takie pańskie słowo?

— Słowo!

— No to — niech się pan trzyma zdaleka od tej... no... od tej drugiej.

— Nie rozumiem?

— No — od Wiśki.

— Kiedy ja nie jestem jej blizki.

— Aha! Ja tu kiedyś widziałem, jak ona w parku przed panem wyrabiała. Leżała na ziemi i liśćmi na siebie rzucała. Panie doktorze — to wiedźma. One tak obie wyrabiają! Ta młoda się tak od matki nauczyła... Tamta także przedemną nieraz na ziemię się tak prze wróciła i tak się po irawie czochrała... A u mnie krew nie woda... Tak ja — aż no... I panu doktorowi musiało być tak samo gorąco!

Adam uśmiechnął się mimowoli.

— Nie — panie Rydzik.

— Abo to prawda! Przecie pan mężczyzna.

— Cóż z tego?

— No — każdego chłop jest jednakowy.

— Nie, panie Rydzik. Nie każdy. Są tacy, którzy inaczej patrzą na kobiety.

— Choć się tak po ziemi wywraca?

— Choć się tak wywraca.

Rydzik pomyślał chwilę — wreszcie pokręcił głową.

— Chyba jakie niedojdy! — mruknął.

Adam nic nie odpowiedział, tylko starał się w głębi siebie zbadać, czy rzeczywiście tam w parku, wobec Wiśki, nie czuł jakiegoś niepokoju tej natury, o jaką Rydzik go posadzał.

Lecz — tak nie było. Adam zbyt dużo nędzy kobiecej, nędzy fizycznej i moralnej w czasie swego krótkiego życia duchem i wzrokiem objął — ażeby w kobiecie nie widział natychmiast całej jej istoty. Tryumfującą Wenus zakrywał przed nim obraz strasznego cierpienia, przez jakie wlec się musiała istota, dla której miłość była treścią życia.

Przez chłostę bólu, łez, wzdąry, walk tragicznych, często przewyższających ludzkie siły, wyławiała kobieta z oddechu fał życiowych tę treść ubogą w uśmiech a przebogatą w łzy...

Nie — to nie Afrodyte, pełna czaru rozpienionego upojenia leżała przed nim wśród złota liści, nie tryumfatorka chwilowa nad szalowym głodem mężczyzny, lecz wieczyście zraniona męczennica własnego serca, które krwawym rubinem w swej białej piersi nosiła...

Czy jej winą było, iż alabastrowa urna jej ciała wzniecała przedewszystkiem w mężczyźnie myśl sprofanowania tej urny — chęcią zaspokojenia płynących po nerwach dreszczów?

Czyż była to jej wina?

Adam patrzy na Rydzika i myśli, że tego, co mu przez umysł tak jasno się przesuwają, nawet próbować tłumaczyć nie należy. Rydzik tego nie pojmie. Rydzik widzi leżące na trawie tylko foremne, ciepłe ciało — a nie serce rubinowe, które zatonać ma w powodzi łez.

A Rydzik mówi dalej:

— Pan wie, panie doktorze... ta młoda, to jeszcze będzie gorsza, niż matka. Od dziecka takie to było, że tylko oczy się za niem ciągnęło. Po parku sobie tak chodziła, jak rajski jaki ptak. Dobrze to niby przyleciało czasem do mnie — pogłaszcze — poprosi, ale zawsze niby na swoją korzyść, jak jej czego było potrzeba. Tak samo i matka.

Później — bij zabij! Pluje — odwraca się, bo już ma dosyć swojej korzyści. Tak może być i z panem. Niech pan o słowach Rydzika pomyśli! Aby pana nie pociągnęła — pan za nią już... tego... Jak do miodu! — Ja też do tamtej, jak do miodu!... A to wiem lepiej za pazuchę. Bo to potem od innych aż odrzuca. — I co? i co?... jakby kto pazurami człowieka szarpał.

Adam powstał z kuferka, na którym siedział.

— Niech się pan o mnie nie boi, panie Rydzik. Nic podobnego ze mną się nie stanie.

— To też to... to byłaby pana okropna szkoda. Dla niej to ten tysiąc, co u niej teraz siedzi... o! w sam raz. Oboje siebie warci. To ścierwo, panie doktorze! Dla niego co z brzegu, to nieprzyjaciół. Ile on już kobiet w sąsiedztwie unieszczęśliwił!... Z jakie dziesięć! Panny, mężatki. One wszystkie za nim. A za czym? Niech pan sam powie! Taki morowiec, zgnitek, łysy, paskudny! Żeby go ostatnia cholera załutkała!...

Aż posiniał cały z gniewu. Straszna nienawiść miodła nim do tego człowieka, który zawsze mimo wszystko zachowywał łaski baronowej.

— On ją wyrachuje!... — dodał z jakąś radosną ironią — ale niech tam! Swój swego znajdzie...

Adamowi zrobiło się duszno.

— Idę już — późno... — wyrzekł, biorąc za klamkę.

Rydzik wyszedł za nim do sieni.

— Ja mam prośbę do pana doktora — wyszeptał przyciszonym głosem.

— Dobrze — mówcie. Tylko nie o pierogi z kapustą, bo na to nie pozwolę!

— Nie, nie. To całkiem co innego.

— Co?

— Oto... pan zna babcię?...

— Babcię?

— No tak. Tę starą kuczkę Wiśki.

— Ach tak... kuczkę. Więc o co chodzi!

— Otóż, ona jest bardzo stara i już zupełnie do niczego. Tarajewicz, psia morda, uradził, że szkoda babcię żywić, że to niby już zdechłak i mają ją jutro wyprowadzić o świcie przed las i zabić... Tak tedy — niby, że to od Wiśki zależy — więc może pan doktor się wstawi, aby babci nie zabijali, ale mi ją...

— Dali?

— Nie. Sprzedali!

W ciemnej sionce panowało chwilę milczenie, wreszcie znów dał się słyszeć głos Rydzika stonowany, złagodzony chorobą i sentymentem, którego widocznie się wstydział.

— Mam parę rubli niby schowane — ale chciałbym bydlę od złej śmierci ratować. Ja się do niej przyzwyczaiłem — bo to ona ze mną pamięta lepsze chwile... Pan doktor się śmieje? — Nie — to tem lepiej. Po co ma ginać od kuli? Ha?... Tak ją dawniej cackali, cukier

z łapy jeść dawali... Wiśka na niej po parku jeździła, ja za uźdę trzymał. Nic, tylko kucka i Rydzik! Rydzik i kucka...

A dziś — pomsta na nich — dlatego, że stara* to psia mać, zamiast dać łaskawy chleb, kulę w łeb... Oni mi jej nie sprzedadzą. Jeszcze się naśmieją, a ja zaraz ich w zęby i ot awantura gotowa. Więc może pan doktor chytrymudro niby dla siebie... a potem niby pan doktor mnie darował. Co? jak?

— Chętnie.

Adam prawie rozrzewnił się tą propozycją Rydzika. Jedna nędra ocalała drugą przed śmiercią. Przypomniawsobie, jak pierwszego wieczoru, gdy przyjechał z profesorem, ujrzał Rydzika tulącego głowę do łba kucki.

To było teraz wszystko tego człowieka, to pół ślepe, łyse, biedne zwierzę.

— Chętnie... — powtórzył — ale, gdzie Rydzik będzie kuckę trzymał i czym żywił?

— Ja już to wszystko sobie obmyślił. Może pan doktor się boi, że ja mu nie wrócę? — Ja dam naprzód... tylko dużo nie mogę, bo nie mam. Może sprzedadzą za trzy, cztery papierki. Co?...

— Już o to niech się Rydzik nie troszczy. To mniejsza. Ja to już panu urządzę. Dobranoc panu.

— Dobranoc! A przepraszam, że się tak ośmieliłem, ale ja się tam do tej ścierwoskiej Wiśki nie odezwę. Pan tam z nią lepiej — to tego...

— Dobrze!... dobranoc...

Wyszedł przed oficynę i doznał wrażenia, że gwiazdy są tak nisko, iż opierają się o dachy stajen i przybudówek. — Przytłaczały go. Coś go wewnątrz aż ssало niezrozumiałym dla niego bólem serca. Oczami gonił ku dworowi.

Łagodna smuga światła płynęła z okien baronówny.

— Swój swego znajdzie... tętniło mu w uszach.

Z poza krzaków bzu bezlistnych, jak różgi, wyszedł Tarajewicz. Za nim spieszyła się cała sfora jamników, które niedawno sobie na lisy sprowadził.

— Dobry wieczór panu doktorowi!

— Dobry wieczór. Ja mam właśnie interes do pana.

— Proszę, proszę...

— Pan jutro ma strzelić w łeb tej starej kucce, co?...

— No... niby. Po co takie paskudztwo trzymać. Dość się nasłużyła. Panna baronówna sama kazała.
— Ach!... więc to panna baronówna?
— Naturalnie, bo to niby jej własność.
— Chodzi mi o to, aby pan tę egzekucję wstrzymał.
— ?...
— Tak. Proszę nie zabijać Babci do jutra, do południa.

Tarajewicz się roześmiał.

— Po co ona panu doktorowi?

— Potrzebna mi... chcę na niej wypróbować pewne lekarstwo...

Tarajewicz dowcipnie oko przymrużył.

— Niby, że jeśli konia nie zabije, to już można je dać człowiekowi?

— Niby!...

— A no, to niech tam będzie. Daruję jej ten dzień.

Ona i tak już jest wywiedziona na łączkę koło Bodni... Tam ją zostawili...

— Dobranoc panu!

— Dobranoc.

Rozeszli się.

Adam natknął na wózek Toczyskiego, oczekujący przed gankiem. Nagle nie stało mu oddechu. Nie chciał za żadną cenę spotkać się z tym człowiekiem i z Wišką. Przeogromny żal jakiś w nim rósł i potęgował. Szybko i cicho się przekradł do swego pokoju — pozamykał okna — zapuścił story i, odsunawszy tacę z kolacją, rzucił się ubrany na łóżko.

W głowie mu huczało od cisnących się myśli. Ośrodkiem ich była bezwarunkowo Wiśka. Przedewszystkiem zjawiała mu się jako okrutna istota, nieposiadająca w sobie ani ślądka tego, co ludzie zwą religią pamiętek. — Dalej, zabijała dla dreszczu rozkoszy. To było widoczne.

I co najstraszniejsze, dla tego dreszczu zabijała nie tylko inne stworzenia, ale i siebie samą, czystość i godność swą dziewczęcą, oddając się z taką łatwością w ręce rozpustnika, dyszącego chęcią osiągnięcia jak najwyższej sumy sensacyi niższego gatunku.

— Swój swego znajdzie...

Nie sądził jej Adam — nie potępiał. Był zawsze konsekwentny w swem postępowaniu i miał jedną wytyczną linię. — Z bagna powstała. Nie zrozumiała wznie-

sienia się ponad pewne zakreślone już koło. Ale żal, żal straszny przepajał mu duszę.

Czasem, w prosektoryum napotkał nagie ciało dziewczęce, delikatne — ledwo rozwinięte — rozciągnięte na zimnej płacie blachy. — Ciało to za chwilę miało stać się kawałkami ścierwa, zwanymi „preparatami“...

Rozwleczone Bóg wie gdzie... kości rozpiłowane — reszta wrzucona do wanienki...

I żal ścisnął nim — żal.

Takie śliczne jeszcze w linii, w kolorze, w tej trupiej bezsilności pełne czarującego bezwładu.

Mniej więcej teraz czuł to samo, myśląc o Wiśce.

To samo i może coś więcej jeszcze.

Szmer kroków, głosów — wreszcie turkot.

Toczyski odjechał.

Odjechał sam, bo Wiśka drzwi od ganku zamyka. Nie wchodzi jednak do domu. Stoi pomiędzy słupkami, ogląda się — na coś jakby czeka. Dokoła dworu — cisza i pustka.

Ławeczka stoi osamotniona. Z okna Adama płynie światło przyćmione storą. Adam leży na łóżku nieruchomy. On wie, że tam na ganku Wiśka się za nim ogląda. Czuje to. Już się przez te kilka dni wysubtelnił w rozumieniu drobiazgów miłosnych.

Wiśka cicho schodzi ze stopnia i obchodzi klomb — on ją widzi osłoniętą długim, szarym płaszczem — z pod którego suną się za nią białe fałdy jej sukni. I drobne stopy w czerwonych pantofelkach toną w piaszczystym gruncie.

Te drobne, małe stopy...

Teraz stoi na środku drogi i patrzy wprost w jego okna.

Wieńce gwiazd ma nad głową, nad czarnymi pasmami włosów, gwiazd tak blizkich, że zdają się być iskrami, które jej płomienny fluid dokoła niej zapala.

Patrzy w jego okna, jakby go ku sobie wyczarować chciała...

Lecz on ku niej nie wyjdzie, bo w sercu jego rośnie żal... żal!...

I jakiś wstyd, wstyd, który ona mieć powinna cienką zasłoną dokoła swej dziewiczej postaci, a którego w niej niema.

On za to go ma w sobie — za nią, za tamtego człowieka.

Więc — wstyd i żal...

— Chyba, że to są niedojdy... zadzwieczał nad nim głos Rydzika.

Może.

Lecz on inny w tej chwili być nie może, nie potrafi. Co więcej, on chętnie rozplakałby się i łkał i szlochał, jak wtedy, gdy był dzieckiem.

Teraz coś bardzo blisko pod jego okna podchodzi, snuje się delikatnie koło szyb zasłoniętych. Bardzo blisko jego okien...

I nagle — Adam słyszy kroki szybkie po stopniach, zatrzaśnięcie drzwi wchodowych i szmer sukien, oddalający się szybko w głąb domu.

Panna baronówna weszła do swych apartamentów. — Teraz będzie czytać... myśli Adam.

— Lecz co?... co?... Czem on ją przepaja podczas swej nieobecności? czem?

IV.

A kto nie zrodzony na bezkresnej równi, ten nie może wyczuć przejmującej melancholii jesiennego ranka. Nie może wyczuć i nie może się z nią spłynąć w jedność i stać się nią samą.

Bo, gdy tak świt szary dźwignie się kopułą nad płaszczyzną ziemi, gdy w lirę wygięte sosny czernieć powoli zaczną w jakiejś mlecznej parze, która ni to z ziemi wypływa, ni to w ziemię wsiąka, gdy drogą piaszczystą sunąć zaczną w bure świty odziane ludzkie postacie ciche, milczące, wiecznie czekające na coś, co im ten świt ma przynieść — powstaje w sercu taki ogrom tęsknoty, beznadziejnej, zrezygnowanej, że chwilami serce ludzkie zmieścić jej nie jest w stanie.

I zda się wtenczas, że to serce rozpęknie, jak dzwon rdzą zjedzony, który głościć ma radosne i zbyt tryumfujące Alleluja.

Rozpęknie, jak puch mleczny na łące, gdy wicher czając się wśród traw, szarpie jego łodygą i śniegiem po ściernisku rozwieje. Rozpęknie — jak kropla deszczu, zawisła na gałęzi drzewa cmentarnego, gdy w niej tęczyowy blask słońca zagra mocną harmonią, barw, które

aż bola — bo mają w sobie ostrą jasność nie stopioną mgłą łez.

Rozpęknę takie serce i potem wlecze się wśród hymnów światowych złotawe — porysowane niby urna, z której popioły się sypią.

Ach! te smutne jesienne ranki.

Adam szybko porwał się z posłania. Przespał noc całą odziany. Świeca zagasiła na stoliku około łóżka. Przepojony był cały gorącością i smutkiem. Przypomniawszy sobie, że Rydzik czeka na rezultat pertraktacji o Babcię. Jakiego niezadowolenie ogarnęło go. Nierad był temu, iż będzie musiał wdać się w tę sprawę. Nie chciał widzieć Wiśki. Pragnął odwlec każde z nią spotkanie. — Wczorajszy wieczór zaznaczył się rysą w jego stosunku do niej. Czuł, że zobaczenie się z nią rysę tę tylko pogłębi.

Umył się, przebrał i podniósł stopy.

Pierwszą istotą, na jaką padł jego wzrok, była Wiśka.

Stała przed dworem i opierając nogę na ławce, wiązała sobie sznurowadła od bucika. Odziana była w ciemno-bury kostium na wpół myśliwski — o krótkiej spódnicy i zakiecie ubranym skórzanymi wypustkami. Na głowie miała rodzaj beretu z szarego sukna. — Błada była i ta bladość uderzyła przedewszystkiem Adama.

— Jak alabaster... aż przejrzysta — rzecby można, bezsenna noc dotknęła ją swem skrzydłem.

I zaraz dodał:

— Muszę z nią pomówić, a co gorsza, muszę przed nią, skoncentrowaną w rozkoszy niszczenia, rozłoczyć obraz drobnej, smutnej walki nędzy, bijącej się o utrzymanie drugiej nędzy. Czy ona pojmie, czy ona zrozumie to, co popycha Rydzika do jego prośby? Czy odczuje całą piękność takiego sentymentu, tulącego się u krawędzi grobu do przejawów życia? Czy ona to zrozumie?

Wyszedł przed ganek i ku Wiśce podszedł.

— Dzień dobry pani!

Starał się mówić o ile możności pewnym głosem.

— Dzień dobry!...

Nie patrzyła na niego. Uciekała precz z oczami w stronę ścieżki. W jednej chwili Adam czuł, iż jest mu dziś nieprzyjemna i daleka.

— Ja do pani z prośbą...

— Proszę... ale ja idę w stronę Bodni. Może mi pan będzie towarzyszył. Mam tam coś do załatwienia.

— W stronę Bodni? — dobrze — mój interes odnosi się właśnie do tego miejsca.

Szli już ścieżką. Chłód wiał jakiś. Wiśka miała na szyi sobola, który miękko otulał jej owal twarzy i zabawna mordeczka pod brodą się kończyła.

— Słucham pana...

On znów myślał, że nie podała mu ręki, że zdawała się być mu zupełnie obcą, bez żadnej z nim łączności...

— Chciałbym coś od pani kupić.

— Co?

Nic nie zdoła opisać wzdargliwej ciekawości, z jaką Wiśka to słowo wyrzekła. Jakże w tej chwili daleką była od dostojności kasztelanki, idącej wolno w stronę lasu dzid złotych — lub bieli niepokalanej łagodnych, czystych dziewcząt włoskiego mistrza.

— Nie będzie to ani kilkaset morgów lasu ani nawet jedna sosna — podjął Adam — nie będzie to nawet życie ludzkie. Ja od pani chcę kupić życie — zwierzęcia.

— Nie rozumiem pana. Czy nie chce pan, ażebyśmy jedli dziś kapłona? O to panu chodzi?

— Nie... chodzi mi o to, aby odkupić u pani przeznaczoną na zastrzelenie kuczkę...

— Babcię?

— Tak.

Oczy Wiśki oderwały się od przestworza. Ukosem spojrzała na Adama.

— To... próchno! Trzeba, żeby znikło.

— Niech zniknie samo!

— Wcale nie. Co nie przynosi ani estetycznego ani realnego pożytku, niech ginie!

— Swoją śmiercią!

Wybuchnęła złym, niemilym śmiechem.

— Każda śmierć jest swoją! — odparła.

Szli chwilę długą w milczeniu. — Adam drżał cały ze wzruszenia. Nie chciał się z tem wydać, aby nie padać się na szyderstwo tej dziewczyny. Z pod nóg wywalało się im stado kuropatw. Szparko, sznurowadłem przebiegły drogę i zginęły na łące, która wiała srebrem jaśniejszych delikatnych, późniejszych traw. W oddali błyskała purpura ognia, przy którym ciemniały sylwetki pastuchów. Po obu stronach drogi sterczały sosny, prosto wyrosłe z fali żółtego piasku. Gdzieś tam zupełnie niespodzianie

ciągnęła się linia brunatnych wrzósów. Ptaki bardzo cicho i nieśmiało odzywały się w gałęziach.

Zdaleka ktoś drzewo rąbał, słychać było łomot siekiery.

Nagle odezwał się głos Wiśki:

— Jakże pan ma przewrotne pojęcie o potrzebie życiowej egzystencji.

— Przewrotne?

— Tak. Bo panu się zdaje, że każde życie jest nie tylko miłym lecz koniecznym...

— Inaczej nie byłoby wciągnięte w rejestr istnień.

— Pan jest śmieszny. Każda żyjąca istota jest dziełem przypadku. Niczem więcej. Skoro taki przypadek przybiera rozmiary tragicznej katastrofy, najlepiej go unicestwić... Zdaje się, że tylko tak postępując, przynosi się ulgę tym, którzy nie żyją, ale... wegetują.

Adam zaczął bronić się gorąco.

— Gdyby sama natura nie postanowiła kresu, to jest, śmierci, słowa pani miałyby coś w sobie prawdy. Ale tak, jak jest — należy pozostawić wszystko naturalnemu biegowi.

— Ja nie rozumiem, że pan właśnie to mówi.

— Dlaczego ja?

— Bo dotknąwszy się tak blisko rozkoszy życiowych, pan powinieneś wiedzieć, że największym szczęściem jest zginąć.

— Tak. Ale ja właśnie poznałem, jak szalone, jak straszne jest przywiązanie istot żyjących do życia — jaki instynkt samozachowawczy budzi się w chwili śmierci — i dlatego mówię pani — to, co pani chce zrobić, jest prostym morderstwem.

Zatrzymała się chwilę i spojrzała mu po raz pierwszy tego dnia w oczy.

— Skąd pan wie, że ja to chcę uczynić.

— Bo dyszy pani całą pragnieniem zniszczenia. Wieje od pani mordem — słyszy pani?

Stali tak naprzeciw siebie. Ona mimowoli wsunęła rękę w kieszeń zakietu.

— Nie chcę morderować — krzyknęła — chcę oswobodzić!

— Raz jeszcze powtarzam, że nie ma pani prawa.

— Mam prawo zniszczyć to, czego nienawidzę.

— To biedne zwierzę?

— Nie... zniszczyć życia! Ja nienawidzę życia,

ja chciałabym zniszczyć wszystko, wszystko, co żyje — siebie, pana — te drzewa, ptaki, tych tam ludzi... wszystko, wszystko...

Wpadła jakby w szat. W rękę jej mignął rewolwer. Strzeliła w powietrze, dokoła siebie raz i drugi. Mignęła w błękitie ognia — strzeliła do drzew, w kierunku ogniska...

— Zabić!... oswobodzić... oswobodzić!...

I nagle biedz zaczęła. Za nią podążał oszołomiony Adam.

Wpadli do lasu i przez króciuchną chwilę przedzielali się przez gąszcz.

I nagle wydostali się na spasioną zupełnie łakę — ogromną, zlewającą się szarą linią z bezkresem horyzontu.

Rzadkie bodiaki i jakieś zczerniałe gałęzie włóczyły się gdzieniegdzie. Wydeptana i wyżarta trawa do ziemi przyległa. I pustka była straszna, pustka ogromna, cały cmentarz minionych chwil i czaru słonecznego, który nigdy nie wróci. — Zdawać się mogło, że na ten szmat ziemi nie padnie już nigdy snop jasnych promieni, że nie zaszumi na nim łan trawy i brązowe chrząszcze nie zawiodą w niej swej monotonnej czarującej piosenki. Wszystko tu zda się zamarło w jakiejś smudze łez, które wylały oczy szare duchów wybladych, duchów melancholijnych, wlokących się korowodem wygnańców po resztkach wydeptanej mogilnej trawy.

Adamowi, gdy wydostał się na polankę, kirem powiało od tej łaki tragicznej, po której nawet wichur nie ciągnął, taką miała w sobie martwość przeklętych, zapadłych miejsc. I gdy objął ją wzrokiem, dojrzał na tej pustce jedyną istotę żyjącą — sylwetkę wychudłą konia ze spletanymi przednimi nogami, z opadłą w kudłach i jakby przez mole zeżartą grzywą.

Ile tragizmu miał w sobie ten stary szkielet, wygnany tu na chłód i osamotnienie, ten drobny, nędzny szkielet — nieruchomy i zrezygnowany — opisać niepodobna.

I nagle rozległ się strzał.

To Wiśka strzeliła do szkieletu konia, do tego widma zziębniętego, na wpół ślepego, wykwitłego na pustce łaki, jak siwa mara na zapomnianym samobójców cmentarzu.

Porwała się z krzykiem gromada czarnych wron i z krakaniem zaczęła krążyć po nad ugorem, po nad kucką, która padła ogłuszona na przednie spętane nogi i w tej pozycji błagalnej, pozycyi człowieka, którego ścιάć mają, pozostała długą chwilę.

Adam do Wiśki dopadł i w chwili, gdy zmierzała się, aby ostatnim nabojem zastrzelić konia — podbił jej brutalnie rękę. Kula poszła w górę, ku szaremu nieprzeźroczystemu niebu, a stado wron z krakaniem coraz szybciej krążyło, żałobne i na ścierwo chciwe.

Przy drugim strzale kucka dźwignęła się na nogi — obejrzała się, jakby szukając ratunku, i widząc się samą — wydaną na łup śmierci, znieruchomiła znowu na tle szarego horyzontu.

Tylko kudły jej grzywy zakryły zupełnie jej bielmem zaciągnięte ślepie, a nogi skurczyły się biednymi pokręconymi liniami.

Czekała śmierci.

Wiśka opuściła rękę. Nie miała więcej naboju. Czuła się już bezsilną. I nagle zwróciła się z nieopisanym wyrazem twarzy ku Adamowi:

— Dlaczegoż mi pan przeszkodził? dlaczego pan ciągle staje pomiędzy mną i śmiercią? Dlaczego?...

Jasno i otwarcie zwróciła się ku niemu, przypominając mu owo zajście na ulicy, swój zamach samobójczy...

— Los mnie stawia pomiędzy panią i zniszczeniem! — odparł błady jak trup Adam.

— Nie los... pański fałszywy sentyment! Ale dosyć tego!... rozumie pan! Mam prawo śmierci i chcę je wykonać. Na drugich... na sobie!... Muszę... muszę...

Chciał jej przypomnieć, jak niedawno wołała „głupcy chcą umrzeć“ — ale widział ją oszalałą, podrażnioną. Pragnął za wszystką cenę, aby się uspokoiła.

— Dlaczego pan chcesz, aby się... wypełniło? Dlaczego ja, inni mamy się męczyć, skoro i tak kres nasz — śmierć? To nie ja okrutna, to pan, który wymyślasz podtrzymujące siły leki. Pan i jeszcze podobni! Wyście mordery — wy skazujecie ludzkość na galery... wy żyjące istoty przykuwacie do taczki życia. W ciała leją leki — a w duszę czcze słowa! Ach! szarłatany, katy, mordery!...

Padła na trawę i w jej żdźbła zmrożone i siwe twarz ukryła. Adamowi wydała się teraz nędzna, biedna,

mała — potęgą pastwiącego się nad nią losu zmózona. I w jednej chwili, gdy przy niej klękał, pomyślał, iż tu ukłęknać powinna tylko matka dobra i kochająca — ta godna i pełna wyższości życiowej, któraby tę chorą duszę naprostować i w jaśniejsze kręgi wprowadzić mogła.

On był bezsilny.

Nie miał żadnej biegłości w przemawianiu do zroczonych. Jakkolwiek nieraz pochylał się w szpitalu nad łóżkami samobójców, to przecież czuł, iż to, co on im mówił, dla Wiśki jest szablonem i rzeczą powierzchowną.

Tam przyczyną samomordu była najczęściej nędza materyalna lub tak zwane zawody miłosne.

Tu aż klębiło się od nienawiści życia samego, a nienawiść ta poczęła się od chwili zrozumienia rozpaczliwych warunków egzystencji. I rosła, potężniała, aż teraz już zapragnęła przechodzić w czyn, tak wielka była jej moc!

Wiśka podniosła głowę i mętными oczyma patrzyła teraz na nieruchomą, jakby skamieniałą kuckę.

— No i żyje... żyje... — wyrzekła i co z tego? co ona przynosi w tej chwili komu, i co ona ma z tego za rozkosz, że jeszcze istnieje? Co z tego?...

Adam w tej chwili dostrzegł punkt wyjścia.

— Widzi pani, jak cudowny jest ten porządek wszechrzeczy — podjął, siadając obok Wiśki — i ten biedny szkielet, to także ma jeszcze zadanie do spełnienia. Ono może być jeszcze dla kogoś promieniem, jeszcze może dać nędzniejszej od siebie egzystencji troszkę ciepła...

— ?...

— Pani się dziwi, a przecież tak jest. — Ta kucka, stara, odarta z sierści, z pokoszlawionymi nogami jest przecież przez kogoś kochana. Ktoś się do niej tuli. spowiada się przed nią — czeka na nią... dba o nią.

— Kto?

— Ktoś, koło którego pani przechodzi bardzo dumnie, bardzo wyniośle... a który mimo pozorów ma bardzo ładne na dnie duszy sentymenty.

— Nie rozumiem.

— Rydzik.

Ręka Wiśki jakby mimowolnie szukać zaczęła rewolweru — nagle cofnęła się.

— O ten... ten niech żyje i to jak najdłużej.

— Dlaczego on jeden?

Kły białe błysnęły w ustach Wiśki.

— Bo jego życie jest straszną męczarnią. Ja wiem! On ma raka w żołądku. On się męczy. A więc — gdyby umarł, byłoby to dla niego oswobodzeniem. A ja chcę, żeby on się męczył jak najdłużej!...

Porwała się z miejsca.

— I niech pan mnie nie pyta, za co, bo pan, jeśli ma choć trochę zmysłu obserwacyjnego, powinien zrozumieć, jaką to zbrodnię ten cham popełnił...

Adam powstał także.

— On?... a czy również nie spełniono i względem niego zbrodni? Czy i jego życie nie jest zniszczone?...

— Co mnie jego życie nie obchodzi!... ja wiem jedno, że przez niego stałam się Paryasem, mnie wyodrębniono... ja jestem wywleczone na taką pustkę życiową, jak ten koń przeznaczony na zagładę!... Tylko, że ja mam ciało młode, więc jeszcze zlecieć się może o nie stado kruków i krakać... krakać nademną, bić na mnie, roznosić moją młodość strzępami, raczyć się nią — a potem zostawić ścierwo na ugorze!...

Urwała — na czoło jej wystąpiły krople potu.

— I oto dlaczego taka kucka, dlaczego taka Wiśka zginąć powinny. — Strasznie jest za życia być rozerwaną na strzępy...

Zawróciła i zaczęła iść w stronę domu. Lecz siły ją opuszczały. Oparła się o pień drzewa. Była zmieniona dziwnie, oczy jej wpadły jakby w jamy i okrążyły się siną obwódką.

Adam zbliżył się i objął ją delikatnie, przychylnie.

— Niech pani się na mnie oprze. Ja panią przeprowadzę.

Poszła w milczeniu. Opierała się na nim dość silnie i nawet głowę mu skłoniła na ramię. Wstążka zdobiąca jej beret dotykała jego twarzy. Czuł nadzwyczaj subtelny woń jej włosów, pomieszaną z lekkim zapachem lawendy. Szli powoli wśród drzew i krzaków. Gałęzie łamały się z suchym trzaskiem pod ich stopami. Gdy wstrząsali przechodząc drzewami, sypał się na nich grad liści. Ten mały skraj lasu wydawał się nieprzebytą puszczą. Wreszcie zajaśniało szare pole i drożyna, przez którą przed chwilą przebiegały kuropatwy.

W oddali już płonęły dwa ogniska. Nieruchome, czarne sylwetki pastuchów odcinały się dziko na czer-

wonawem tle. — Na szarem niebie coś jakby żółtego przezierало — blada tarcza słoneczna, bardzo nieśmiała i bardzo daleka.

Doszli do pałacu — ciągle ona wsparta na jego ramieniu. — Na skrócie spotkali Tarajewicza. Stanął zdziwiony. Adam uczył, iż coś powiedzieć musi.

— Panna baronówna słaba — proszę przysłać do pałacu dziewczynę...

— A...

— Tak. Co zaś do kucki, panna baronówna mi ją darowała. Prawda?

Wiśka nie odpowiedziała ani słowa. Skinęła tylko głową.

— Proszę ją z Bodni sprowadzić i puścić do parku. Ja się później nią zajmę.

— Według rozkazu pana doktora.

Adam z Wišką skierowali się ku pałacowi, Tarajewicz patrzył za nimi długą chwilę, dokąd nie znikli w drzwiach wchodowych.

— Zaczyna się!... — mruknął i wargą mu dziwnie wydeła się fatalnym, brzydkim uśmiechem.

— W każdym razie, lepszy młody, niż stary... — dodał wchodząc do kuchni.

I zaraz wołać zaczął:

— Haśka!... Haśka!...

Lecz Haśki nigdzie nie było.

Wpadła, jak kamień w wodę, a raczej „sielskie“ dziewczę w piwnicę, gdzie również wpadł Wasyl, ten od koni.

Tak mściła się Haśka za wzgardy doktorowe.

V.

Delikatnie, jak niańka dziecko, tak wprowadził Adam Wiškę do jej sypialni. Nie mówiła nic, oddychała ciężko, jakby zmęczona fizycznym wysiłkiem. Od ciała jej ku Adamowi, przez połączenie ramion, płynęły dziwnie ciepłe prądy. Były to jakby lekkie przebiegi elektryczne, stałe i niepokojące.

— Co za dziwny organizm! — myślał mimowoli Adam — nie spotykałem jeszcze nic podobnego.

Wiśka upadła na łóżko, i wtedy dopiero Adam do-

strzegł, że twarz jej prawie zsiniała. Przeszła nagle oddychać i leżała tak nieruchoma, na wpół przytomna.

Szybko Adam rozpiął jej żakiet i bluzkę u szyi. Była bez gorsetu. Bielizna z czarnego batystu kryła jej ciało jakimś wdzięcznym kirem. Przez delikatne, koronkowe wstawki przebijała skóra gładka, jak płatki kamelii. Adam po raz pierwszy dotykał tak wytwornej piękności kobiecej, odzianej z takim wykwinem. Chore szpitalne i dziewczęta z plebanii nie przyzwyczyły go do takiego uroku. Po raz pierwszy w życiu czuł się dziwnie wzruszony i drżący wobec chorej kobiety. Dotychczas wypełniał swój obowiązek spokojnie, przejęty jedynie litością.

Tu — uczuł coś więcej, niż litość.

Zmieszany, skropił twarz i skronie Wiśki wodą — a gdy uczuł, że oddycha i powoli przychodzi do siebie, okrył ją pledem, który znalazł porzucony na krawędzi szeszlągu.

Wiśka otworzyła kilkakrotnie usta i wreszcie wyszeptała:

— Proszę nie odchodzić!

— Nie, nie — uspokajał ją — niech pani odpocznie.

Zamknęła oczy i znów leżała nieruchoma.

Wzrok jego padł na stolik przysunięty do łóżka. Stała na nim mała lampka z zielonym abażurkiem — kilka drobiazgów i spora paczka książek.

— Będę wiedział! — pomyślał rad, że dowie się, co w swej nieobecności Toczyski pozostawia Wiśce do czytania.

Baronówna zdawała się zasypiać. — Adam przez chwilę jeszcze podziwiał nadzwyczajną długość jej rzęsów, które cieniem spadły na jej policzki. Podziwiał również precyzyjny puch jej włosów, okalających przedziwną masą jej czoło i skronie.

Wreszcie — ręką ku książkom sięgnął.

Kilka z nich wziął delikatnie i do okna na to samo miejsce, na którym stał w nocy przyzwany przez Wiśkę — powrócił.

Otworzył pierwszą stronicę.

I — drgnął.

Była to Louvette, słynny romans pornograficzny — w którym największy cud miłości, tryumf mądrości, układu życiowego i duchowa, twórcza potęga ży-

cia — zostały sprowadzone przez autora do rozmiarów czysto-bezmyślnego szaleństwa — sportu — dzikiego, rozswywołanego wyuzdanym, przerażającym chichotem.

To samo — niosła i druga książka, te piosenki Bilitis — przybrane w czarującą, harmonijną formę, kryjącą wyuzdanie treści.

Była to pornografia — nie to, co świętoszki chcą uważać za bezwstyd w dziele traktującym z jednakowym spokojem o wszystkie przejawy życiowe — lecz to, co się oblicza na tysiące egzemplarzy, na takie właśnie przyćmione lampki i samotność ciał młodych, rwących się do poznania tego, co staje się niejako punktem wytycznym wszelkiej żywej egzystencji.

Po twarzy Adama przebiegły płomienie. W jakichże sidłach była ta dziewczyna — na jakąż rzucona pastwę! Czem przepajały się jej młode chwile, czem się rozwijała i dyszała cała!

Jak harla na piekący wichur rzucona, tak ona drżała i wibrowała w tej atmosferze przesiąkniętej rozpustą. — W dzieciństwie jej własna matka była tym wichrem, szarpającym młodziuchny kwiat jej zmysłów, teraz...

Nagle dał się słyszeć głos Wiśki.

— Niech pan te książki położy!...

Odrzucił się.

Baronówna siedziała na łóżku w czarnej gęstwie włosów i fałdach porzuconego szala. — Wyraz jakby przestrachu rozszerzał jej źrenice.

— Niech pan to położy...

Porzucił trzymane książki na fotel.

— A pani je czyta?...

— Och ja!...

— Jakto? więc pani mnie, mężczyźnie, lekarzowi, każe to porzucić — a sama...

Zakryła twarz rękami.

— Ja jestem na to skazana! — wyrzekła cicho.

Rzucił się ku niej i sam nie wiedział, jak ukląkł obok jej łóżka.

— Nie, nie... tak nie jest! Pani w siebie to wma- wia — ja duszę swoją oddam, aby panią przekonać, że tak nie jest.

Ręce jej opadły i twarz jej wykwiła ku niemu cudownie piękna!

— Pan? dlaczego pan?...

Oprzytomniał.

Tak prawda. Dlaczego, on. Czem on był dla niej, czem ona była dla niego.

Lecz pierwaj zanim mógł myśl swą sformułować, uczuł, że Wiśka pochyliła się ku niemu i okryła go całą masą włosów. I wśród tej pachnącej jedwabistej gęstwy zbliżyły się ku niemu jej usta i leciuchno musnęły jego czoło.

— Dziękuję! — wyszeptał jej głos.

Włosy odrzucone znów i chwilę zdawało się, jakby czarowało ją nadzwyczajne jakieś wzruszenie. Ręce złożyła na piersiach w nieładzie sukien rozpiętych przez Adama.

Patrzyła jednak na niego ciągle. I ten wzrok powoli mętniał i z kryształowej czystości robił się jakby z wnętrza coś złego napływało do źrenic. — Adam pod siłą tego wrażenia cofał się jakby w głąb siebie i ogarniało go jakieś zimno i przerażenie.

Wreszcie wzrok Wiśki zmętniał zupełnie i powieki jej opadły.

Zdawała się znów zasypiać czy popadać w pół omdlenie.

Adam powstał z klęczek i ciągle na czole czuł delikatne wargi a dokoła siebie gęstwę rozsypanych włosów. — Szept „dziękuję...“ zdawał się po tych włosach przebiegać jak po strunach. Lecz co dziwnego — oczy mętne Wiśki także były tam pod ciemną osłoną tego przepychu, te oczy mętne, niedobre oczy kobiet, w których budzi się chęć, pożądanie pieśzczoł nienasyconych...

— Takiemi źrenicami musi chłonać w siebie pio-senki Bilitis — myśli Adam — teraz oto wracają pochłonięte mary i drzemiące w jej głębi. To one mącą dziewczęcą jasność jej cudownych oczu.

Nagle — turkot.

Przyciszony — jakby jeszcze tylko ziemia drżała, lecz Adam słyszy go dokładnie.

To jedzie Toczyński.

W jednej chwili Adam, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co robi — cicho wykrada się z pokoju Wiśki, z domu i biegnie drogą poza stajnię na spotkanie jadącego.

Z daleka widać te widmowe konie szare, i wózek

jasny, i postać samego Toczyskiego, siedzącego prosto na koźle z angielsko-prowincjonalnym sznitem.

Równa się z Adamem — chce przejechać mimo, uchyliwszy kapelusza, lecz oto Adam wstrzymuje go stanowczym ruchem ręki.

— Przepraszam pana...

Toczyński ściąga lejce, zdziwiony patrzy na Adama.

— Pan sobie życzy?...

— Panna Jadwiga chora — miała atak nerwowy, odpoczywa...

— A...

— Tak... I ja jako lekarz muszę czuwać nad jej spokojem. Proszę więc, zechce pan wizytę swoją odłożyć na później...

Toczyński świdrujące wejrzenie w Adama wbił.

— Tiens!... tiens — wyrzekł przez zęby. —

Szybko jednak dodał:

— Jeżeli baronówna jest chora, *raison de plus*, ażebym ją odwiedził. Jestem jakby jej opiekunem.

— A ja będę niewzruszony i drzwi jej bronić będę.

Zmierzyli się obaj ciekawym spojrzeniem. Toczyński więcej się bawił tą sceną, niż gniewał. Przeciwnie, Adam drżał cały.

— Czy pan znajduje — podjął znów Toczyński, — że obecność moja wpłynie tak szkodliwie na pana pacjentkę!

— Tak... jestem przekonany.

— Zachowam się bardzo spokojnie.

— Ja od swego nie odstąpię.

Toczyński uśmiechnął się w zagadkowy sposób.

— Taki młody a taki stanowczy!

— Wypełniam obowiązek.

— Ejże!... czy tylko obowiązek?...

Jak uderzenie cienkiej szpicruty, tak podziały na Adama ostatnie słowa Toczyskiego.

— Nie rozumiem pana!... — odparł hardo.

— Ale ja siebie rozumiem i to mi wystarcza...

Mais brisons là... jak długo potrwa owa... choroba panny Jadwigi!

— Nie wiem. To zależy od spokoju, w jakim się ją pozostawi.

— Już ja jej tego spokoju nie mącą.

Adam nie mógł powściągnąć nieprzyjaznego spojrzenia, jakie mu z oczu umknęło.

— Panna Jadwiga za dużo czyta! — wyrzekł z naciskiem.

— Och, to jest nieszkodliwe...

— Jak — co?

Toczyski bacznie się zaczął wpaitywać w Adama.

— Czy wypadkiem korzysta pan z biblioteki pod ręcznej Jadzi?

Nic nie zdoła opisać subtelного, ironicznego tonu, z jakim Toczyski zadał to pytanie.

Było w niem: więc jesteście ze sobą tak blisko, iż łączą was wspólne dreszczyki miłości, przybiegające zewnątrz — posyłkami płomiennych wizji?...

Adam przejrzał na wskrósł myśli Toczyskiego. Jak poprzednio ocenił jego predyspozycje artretyczne, tak w tej chwili odczuł, że ten człowiek jest to zmysłowiec myślowy, znajdujący rozkosz w myślach deprawacyjnych, które przed nim się snuły. W jego ciekawości, z jaką obrzucił teraz Adama, była właśnie ta niezdrowa myśl radosna o zbliżeniu się tych dwojga, tam pod jednym dachem.

— Kiedyż będę mógł widzieć pacjentkę pana? — zapytał wreszcie, czując, że Adam pograżony w myślach nie odpowie mu na poprzednie pytanie.

— Nie wiem... sama pana o tem zawiadomi! —

Zamienili lekki ukłon. Toczyski zaczął konie nawracać. Adam skierował się w stronę dworu.

— Choć parę dni... — myślał — choć parę dni niech go nie widzi to biedne, nieszczęśliwe dziecko!

Jakoś mu jaśniej, lżej się zrobiło na sercu. I słońce wybiegło z poza chmur i rozprzestrzeniło swe złote skrzydła nad drzewami parku. W oddali Haśka przypaływała się rozmowie Adama z Toczyskim. Wyszła z piwnicy i była cała zamazana ziemią. — Krzakami przebiegała się ku zabudowaniom kuchennym. Dojrawszy Adama, zakłęta, ale równocześnie zaczęła kręcić biodrami. — Adam przeszedł koło niej, nie zauważywszy nawet jej obecności.

Gdy wszedł do pokoju Wiśki — baronówna rzeczywiście spała. Otulił ją szalem i wysunął się, aby w galeryi, prowadzącej do jej apartamentów, czuwać nad jej spokojem. — Usiadł we framudze okna, w której masy much pomarłych lub dogorywających czerniło się gromadkami. Starał się śledzić ruchy tych, które dźwigały

się pół senne i opadały na trupy swych siostrzyc, płacząc się w ich łapy i zmartwiałe skrzydła.

Było to jakby pobjawisko, ozłocone, chłodnym promieniem słońca.

Śmierć tędy przeszła.

Adam zapadł w głęboką zadumę.

Czuwał więc znów, czuwał nad snem i spokojem tej dziwnej wykołonej, która mu nagle na ścieżkę życia padła. — Nic dla niej nie mógł prócz chwilowej ulgi nerwów, a przecież pragnąć zaczynał, aby mógł wiele. — Jego śliczna kobieca natura, chętna do poświęceń, już się słała pod te kształtne stopy dziewczęce jakby z prośbą o przyjęcie. — I chwilami zdawało mu się, że Wiśka jest zatracona w jakimś olbrzymim splątanim konarami lasu i że on ma za zadanie życia iść za nią szukać i krzepić jej zwątlale od walki z Niemożliwym siły. — O wydostaniu jej z gąszczów, które dławiliły po nad nią kryształ jasnych celów i myśli — nie marzył jeszcze, lecz już biegł za nią, śledząc jej walki i współczując z tragiczną grozą jej sytuacji — społecznej i duchowej.

— Odarta ze wszystkiego, ze złudzeń — i to przez własną matkę... To najstraszniejsze. — Jednego pragnął dla niej.

— Niech walczy... — myślał — niech walczy choćby ceną największych cierpień — niema straszniejszej tragedii, jak walka z przeznaczeniem. — Lecz, stokroć tragiczniejsze zrezygnowanie z tej walki...

Nalecą demony.

I okolą ją swemi skrzydłami.

Skrzydłami mieniącemi się barwą płomieni.

Jak tryskające z ziemi źródło krwi świeżej.

Krwii młodej i zatrutej.

Zatrutej, jak jadowite ziela, rosnące u brzegu cichych bagnisk na skrajach zrębów leśnych.

Leśnych zrębów — cmentarzysk, po których wicher śpiewa swe Requiem.

Requiem na wieczny zanik zdeptanych ziół i złamanych w zaraniu drzew.

Drzew, które nie walcząc padły.

Bo paść musiały.

I teraz trupami się ścielą.

A nad niemi szumią płomieniem skrzydła demonów i wicher jęczy Requiem. I ciche jak świece koło

katafalku... rżędem wznoszą się jadowite ziela dokoła
drzemiących i ukrytych, pełnych zgnilizny wód.

Tego nie chce Adam.

Nie chce, aby błędząca po gąszczu Wiśka padła
zrezygnowana na skraju zatrutych wód i walczyć prze-
stała.

Raczej niech sieje zagładę, zniszczenie — lecz niech
nie powie — skończyło się!

Bo wtedy — nic jej nie ocali.

A tak — może... może...

Rozbudziła się w niej namiętność. To jasne. Nawet
tak niedoświadczony w praktykach miłosnych mężczyzna,
jak Adam, wyczuwa to w każdym spojrzeniu, w każdym
ruchu, czynie, słowie tej dziewczyny — a głównie w tej
jakieś nieuchwytniej poświacie miłosnej, która od niej
pada tak, jak od jej matki, choć martwo z portretu nad
łożem męża spoglądającej.

Rozbudziła się w niej namiętność! Własna matka,
wychodząca rozplomieniona z objęć Rydzika — a potem
spojrzenia ludzkie, ich niedomówione pragnienia i wreszcie
ten Toczyski, pielęgnujący rozszałate chęci dziewczęce...

Dla siebie przedewszystkiem.

A może i dla drugih.

Jak artysta, pragnie urobić biel jej pożądań w pło-
mienny klejnot królewski, mogący nieść pełną czarę
upajających i niczem nienasyconych pieśczęt.

Jak — artysta...

Lecz będąc sam jedynie u m y s ł o w ą namiętnością
przepojony — może tak samo oddziałał i na nią. Może
i ona tylko m y ś ł o w o jeszcze wibruje i wtedy łatwo
jest przycisnąć ten pożar — porwać na skrzydłach białych
myśl w inną stronę i ocalić — wyprowadzić z puszczy.

Jeżeli jeszcze zmysły śpią...

Tak!

Lecz ten pocałunek przed chwilą złożony na jego
czole? Przecież nie pali, nie podnieca. Było to deli-
katne dotknięcie listków narcyza, wonnych, dziecięcych
i świeżych.

Lecz...

Owe zarzucenie gąszczu włosów, ten gest nagle
rozzuchwalonej odaliski, która strząsa swój płaszcz
czarny i wonny dokoła głowy mężczyzny, aby oddzielić
całą sobą jego zmysłową istotę od reszty wrażeń ży-
ciowych.

I potem te oczy, które zaraz po pocałunku pod tym
kirowym upajającym namiotem mignęły przed nim wy-
wołującym dreszcz przestrochu wyrazem.

Te oczy... te oczy...

I te łagodne, dziecięce usta, całujące jego czoło...

Adam jadł obiad sam.

Baronówna ciągle spała, jakby zmożona jakimś
strasznym fizycznym wysiłkiem.

Adam powrócił do swego pokoju i usiłował zająć
się pracą. — Po południu przyszedł do niego Tarajewicz,
zawiadamiając go, że kuckę przyprowadzono i że jest do
jego dyspozycji.

— Tylko czego się ten Rydzik jej czepia. Przyszedł
i sam ją poprowadził do parku. Teraz siedzi koło niej
na ziemi i pilnuje... Niech pan doktor się go strzeże, bo
on ma jakąś łatę, nabitą gwoździami, i źle mu z oczu
patrzy.

— Dobrze, dobrze. Ja pójde do niego.

— Żeby jakiego nieszczęścia nie było. On się
czegoś kucki czepił i coś gada, że ona do niego na-
leży...

— No — już ja to załatwię.

Po odejściu Tarajewicza Adam wziął kapelusz i wy-
szedł do parku.

W głębi — koło brzoź siedział rzeczywiście Rydzik.
W rękę trzymał dużą łatę drewnianą z ponabijanemi na
ostre gwoździami. Sporządził sobie sam widocznie tę
śmieszna, dziecinna broń, przypominającą jakieś przed-
historyczne zasy. — Odział się w krótki kozuch, który
zarzucił włosem na wierzch. Wyglądał, jak dziki człowiek,
broniący swego dobytku.

Opodal — kucka rozpetana ǫpała się, skubiąc
trawę.

Gdy Rydzik Adama dosirzegł, obejrzał się dokoła
i wreszcie mruknął porozumiewająco:

— Sprzedała?...

— Nie.

— O!...

— Ale darowała.

— Ho... ho...

Zastanowił się chwilę.

Wreszcie wyrzekł:

— Komu darowała? panu doktorowi czy mnie?

Adam się zawahał, nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Nam obydwom.

Rydzik pokręcił głową.

— No... niech tam! Byle Babcia żyła.

Coś widocznie jeszcze chciał pytać. Usunął się z ławeczki i wyrzekł grzecznym tonem:

— Niech pan doktor siada...

Adam usiadł i zaczął ławę oglądać.

— Na cóż to? — zapytał.

— A no, żeby kucki bronić.

— Nikt jej panu nie zabierze.

— Abo to prawda. Pan tych cholerów nie zna. Ja nie dam jej do stajni. Oni mi ją w nocy zatłamszą, a potem powiedzą, że zdechła. Tam jest taki chlewik przy mojej oficynie — to ją tam wpakuję. Jużem wyprzątnął i liści nazwłóczył na podściółkę.

— A w zimie?

Mętne źrenice Rydzika jeszcze mętniejszemi się stały.

— E! panie drogi! do zimy daleko!... Kto wie, co z nami będzie. A potem może z Wiednia już wróca — to co z nami obojgiem zrobią, jako... niby ze mną i z kucką...

— Pewnie!

Chwilę trwało milczenie. Park był prawie nieruchomy. Lekki tylko szum szedł od wierzchołków drzew, które zdawały się być bardziej nieubłagane i nieprzejazne, niż kiedykolwiek. — Wyniosłe — umykały koronami swych złotych liści od tego człowieka, który, będąc w pełni sił życiowych, zbrodniczo ranił je, rozdzierając ich pnie kulami, wkręcającemi się z mocą w ich ciała. Dziś — zmęczony, zdławiony, sam noszący w sobie ranę żrącą — przypadł do nich pokorny i cichy...

Lecz drzewa są pełne mściwości. Nie mają dla niego łaski, nie znając, co przebaczenie. I — rzecz można, że Rydzik czuje tę nieprzyjaźń, otaczającą go dokoła. Spojrzenie jego jest skośne, ruchy nieśmiałe, niepewne.

Po drzewach ślizga się jego wzrok, do kuchni dąży, gdzie siedlisko jego głównych wrogów, o pałac wreszcie się opierają oczy Rydzika.

— Ona mnie bardzo nienawidzi? — pyta.

— Kto?

— No... Wiśka!

— Nie wiem...

— Ale ja wiem. Ona niby bez to, że tamta się za mnie wydała, a wszyscy ludy zaczęli się od niej odwracać. A że Wiśka córka jasna, tak i na nią... Przecie ja nie chciałem nic złego. A że poszedłem do ołtarza, toć chyba lepiej, niż tak, jak te bydlęta... Tylko Wiśka tego nie rozumie. Co?...

Adam milczał. Te proste słowa, wyjaśniające duszę Rydzika, jego pobudki, „aby nie tak, jak zwierzęta“ — rzuciły inne światło na stosunek męża pani baronowej do żony. A więc nie sama ambicya chłopca i chęć osiągnięcia dobrej materyjalnej sytuacji pchała go do ślubu z baronową?

— Ja wiedziałem, że ludzie będą na nas pluli, ja to wiedziałem — podjął znowu Rydzik — bo ludzie wolą, żeby w grzechu siedzieć, byle nie wdali się kto do nich, co nieproszony... Ale ja zawsze to na sumieniu miałem i nie śmiałem prosto iść ani do spowiedzi, ani Panu Bogu się pokłonić. To też jak ona mi powiedziała: my się pobierzemy... to mnie aż lekko się stało. I pomyślałem, że to będzie dobrze — nie dla ludzi, ale dla Boga... I ona śmiała się, a mnie aż łzy dławiły... Jak Boga przy skonaniu pragnę. Ja aż ukląkł przed nią... Jenó ona nie wiedziała czego... Ona myślała, że ja taki rad, że niby się dodrapałem aż na jednego męża... i że będę miał z tego zyski. Więc mi powiada: Dobrze, dobrze... już ja ci zapiszę... Ja jej nic nie odpowiedział, ale pomyślał — a pomsta na cię! A przecie ja tak z tego, że już w grzechu nie będziemy siedzieć, rozumie pan doktor?

— Rozumiem.

... Jak pod promieniami słońca, roztwierała się w tej chwili ta dziwna, promienna, smutna dusza.

To, co miała najpiękniejszego w sobie, a co zostało zmienione jakby burzą, roznoszącą wokół śmiecie jaskrawe, szychem przetykane — zdołała jeszcze zebrać z cementarzyska i zamknąć we wnętrzu kaplicy, do któ-

rej ściężyna porośla niewydeptaną trawą. Nikt tam nie zajrzał.

Nikt nie chciał zrozumieć, że płonie tam lampa czystszej światła, niż przypuszczać się zwykło.

Światło to nie przeświecało przez misterne ozdoby wysubtelniionych i wyrafinowanych pragnień.

Świeciło ono prosto i jasno — sądząc, że będzie zrozumiane. Lecz odwrócone od tej lampy skromnej, którą trzeba było odszukać w głębi kaplicy. Nikt nie chciał tych wrót otworzyć... Nikt nie zadał sobie tej pracy. I światło tliło się jeszcze — ale już jakby zmrożone lekliwie — trzepocząc się skrzydłem śmiertelnie ранnego i w przepaść zapadłego ptaka.

— Tak mnie już osądziła tamta, ciągnie dalej monotonnym głosem Rydzik, a Wiśka poszła za nią. Niby, że ja dla korzyści! A przecie mi dawniej lepiej było — jakem się za nią wydał, tak jakże ekonomować? Już nie honorowo. A tu ja ni pan, ni co... i ot na jakie psy zeszedłem!...

Urwał — głowę opuszczył na piersi.

— A wszystko to, że myślałem, iż lepiej przecie po bożemu, niż jak te bydłota... Wszystko...

Adam uczuł się głęboko wzruszony tą jakąś spowiedzią pokorną.

— Gdyby nie ja — myślał — gbyby choć Wiśka te słowa słyszała, może coś w jej serce wstąpiłoby, coś z przebaczenia, ze zrozumienia pobudek. I z tem zrozumieniem może gorycz, która ją żre, stałaby się mniej dotkliwa...

Kto wie... kto wie...

Chwilę jeszcze posiedział z Rydzikiem, patrząc na szarą, zapadłą twarz chłopca, to znów na długie siwe rzęsy kucki, które jej spadały białą firanką na oczy.

I gdy szedł później w stronę pałacu, przyszło mu na myśl, że w dziwny bardzo sposób jego życie zamknęło się teraz zupełnie na tym szmacie ziemi i w egzystencji tych dwojga ludzi.

Rydzik, Wiśka...

A potem pałac, oficynka, park.

I ta równia bezkresna, przykryta kloszem nieba o szarobłękitnej nieprzeźroczyściej barwie. I te krzyże...

A poza niemi jakby już nic z jego dawnej egzystencji, prac, celowości...

Nic — nic.

Biało — białe — białe. Rozpyliło się to jakby delikatną mgławicą. W górach, na ruinach miast, nad brzegami rzek — księżycowa nocka — srebrem drży. A na równi — biała jest i aż śnieżna, jakby gdzieś w oddali mdlały przejrzyste duchy i całuny swoje z gaz po ziemi snuły.

I księżyc białością olśniewa — jakby chryzantem olbrzymi, rzucony na perłową konchę wyłożony plafon jakiegoś bajecznego, zaczarowanego pałacu.

Rozbieliła się taka noc.

I oto z pałacu wychodzą dwie postacie.

Wiśka i Adam.

Otulona w swe ciemno-zielone wełny i szal tej barwy, szal miękki, ciemny, zakończony długimi frendzlami — idzie smukła dziewczyna w biel księżycową.

Ach! jak jest rosta i gibka. Jaką dumną i drobną ma główkę i jaką bladą twarz, poznaczoną plamami dziwnych, czarnych oczu. Idzie milcząc, jakby senna.

Lekko kołyszą się jej biodra.

Owinęła dokoła siebie szal, jak to zwykły czynić hiszpanki, gdy mają iść do tańca, z przodu po kolanach biją ją frendzle i drżą za każdym jej krokiem miłośnicie, jak fala opadła dokoła jej sukni.

Wchodzą teraz oboje do parku i idą równo mierzonym krokiem pod drzewami, tam, gdzie przeciekające przez bezlistne gałęzie światło białe smugi po ziemi kładzie.

Gdy wchodzą w cień, nikną — po to, aby za chwilę wypłynąć w świetle i białości niezwyklej.

Pierwszy raz idą tak razem nocą po parku i kierują się w stronę, gdzie błyszczy się rząd dzid o złoconych strzałach. Nie mówią nic.

Myśli ich zdają się rozwiewać w biel, która ich za chwilę cała pochłonie, gdy wyjdą już na równię pól — nieprzejrzaną teraz, senną, rozmodloną.

Do krat doszli, do szczątków krat, obesзли je i szarą dróżką wydostali się na pola.

Nic nie zdoła opisać uroku takiej jesiennej księżycowej nocy na równinach Rusi.

Aż modli się serce, aż taka najwyższem rozrzuwaniem, na jakie się zdobyć może.

Tak tu białe, tak tu cicho, tak tu przepaścisto, że

zatraca się człowiek i staje się duchem, rozplywającym się w delikatnym eterze. I nie czuje się ziemi pod stopami, nie czuje się ciała swego, ani jego dreszczów — nie czuje chłodu, ani powiewu wichru — idzie się tylko lekko, cicho, jakby to już miało trwać wiecznie.

I jakby ten bezkres był kresem właśnie.

Kresem naszego cielesnego — ja.

Jak widma białe — jakby całunem śnieżnym pokryte, dźwigają się po polach olbrzymie sterty — Zaczynają się lekko — a dokoła nich jest jakby jasność, jakby pył. A krzyży nie widać wcale. Rozplynęły się w bieli. Zaledwie te najbliższe mającą sylwetką smukłych aniołów o równo wyciętych skrzydłach.

Ku białym stertom kieruje się Wiśka. W ślad za nią idzie Adam; i zdaje mu się, że oboje toną w jakiejś miękkiej, trochę wilgotnej fali. Radby szedł tak do świtu. Lecz Wiśka doszła do jednej ze stert. I nagle w milczeniu — ścieżką wydeptaną — weszła w jej środek, jakby w złotą alkowę, cichą i przytulną.

Gdy Adam, idąc jej śladem, znalazł się w środku sterty, zadziwił się wrażeniu, jakie odniósł w tej chwili. — Było mu tak, jakby za nim zamknęły się wrota jakiejś kaplicy, z której zabrano ołtarze i pozostawiono jedynie ściany o złotych i białych blaskach. — Czarna, ciemną sylwetką — w okręceniu ciekawem swego szala odcinała się w pośrodku Wiśka.

Wzniosła w górę ręce — wygięła się prześlicznym łukiem z gracyą i tak pozostała chwilę — jak Wenus z czarnego marmuru o niepokojącej, alabastrowej, białej twarzy.

Cicho, bez szelestu sukien osunęła się na miękkie podłoże ze słomy — jakby zapadała z ufnością zupełną w głęboką, miękką ton rzeczną.

— Jak cicho!... — wyrzekła po chwili prawie sennym głosem.

Adam usiadł opodal i patrzył na tę leżącą kobietę. Była jeszcze piękniejsza, jeszcze doskonalsza linią, jak tam w parku na złocie liści.

— Jak miło!...

Czuł, że patrzy na niego. Czuł, że patrzy badawczo, jakby chytrze, jakby się czaiła, na coś czekała, co się stać może, a czemu ona zapobiedz nie chce. I przyszedł mu do głowy słowa Rydzika o matce:

— Tak samo przedemną wyrabiała.

Przez chwilę ukrył twarz w dłoniach.

Byłby wolał, ażeby Wiśka w tę biel nocną szła obok niego równia delikatnie i wiotko — a nie leżała tak przed nim z tą białą trójkątnej twarzy na tle rozfalowanych czarnych włosów dokoła głowy.

— Co panu?

— Nic!... nic!... Ta jasność mnie olśniewa.

— Najlepiej oczy przymknąć i nie widzieć. Chyba, że pana ciągnie pokusą to, co panu napozór niemiłe.

— Ja nie znam pokus!

— To pan szczęśliwy. Ja ciągle tylko niemi żyję.

— Bo pani chce.

— Być może.

Zapanowało milczenie. Adam czuł w Wiśce rozdrażnienie i pewną irytację z powodu nieprzybycia Toczyńskiego. — Już drugi dzień wózek nie zjawiał się przed pałacem. Adam dziwił się, iż tak posłusznie Toczyński wypełnia jego żądania. To, że Wiśka nie wspominała głośno o jego nieobecności, było jednym dowodem więcej, że coś tam jest między nią i Toczyńskim ponad zwykły szablon opieki i przyjaźni.

Nagle odezwała się Wiśka:

— Muszę się morfinizować.

— Pani tego nie robi — odparł machinalnie Adam.

— Dlaczego? Czy pan mi zakazuje?

— Ja?

— No tak — jako doktor.

— Nie — nie mam prawa. Nie jestem pani lekarzem.

Ale mógłbym prosić panią o to — jako człowiek.

— Który...

— Który boleje, gdy widzi, że ktoś dobrowolnie leci w przepaść.

— Tylko?...

Adam uczuł sidła, wyzwanie.

— Tylko! — odparł zmieszany.

— To szkoda!

— Dlaczego?

— Bo są natury, które na takie zwykłe samarytańskie sentymenta nie reagują. To dla nich letnia woda. Nie to je powstrzyma. — Zmieniła głos.

Czekała widocznie, że Adam spyta „a co?“ — lecz Adam nie spytał. — To wszystko, co Wiśka mówiła, wydawało mu się drobne, żadne wobec jej wielkiej piękności

i nadzwyczajnego majestatu otoczenia. Pod kopułą takiego białego, rozpylonego nieba jakieś nikłe motanie nici zmysłowej (bo to było widoczne) przedstawiało się smutno. I znów zakrył oczy i siedział tak długą chwilę, milcząc.

Ozwał się sarkastyczny głos Wiśki.

— Nad czym pan tak biada?

Nie odpowiedział jej. — Nie zrozumiałaby go wcale. Zdawała się zapominać o pocałunku, o owem dziękuję. — Była cała we włosach i oczach, zła — i dysząca niepoczciwem jakimś pragnieniem. I dziwno mu było i ciężko, że odwracały się tu role, że on — mężczyzna, który dawno poznał wszystkie tajniki życia — wstydzi się i czoła i ma zaleknienia i smutki, które właściwie ona mieć powinna.

W myśli te jego spadło nagle nieoczekiwane pytanie:

— Dlaczego pan usunął Toczyńskiego?

Uczuł, że odpowiedzieć musi i że powinien grać w otwarte karty. Odjął ręce od twarzy. Wiśka leżała ciągle na wznak, nieruchoma w masie słomy. Nie widział jej oczów, tylko dwie ciemne, niepokojące plamy.

— Dla tych samych przyczyn, dla jakich nie pozwoliłbym pani na używanie morfiny — odparł.

— Och!... la la...

Zaśmiała się nieszczerze. Wreszcie porwała się, rozrzucając masy słomy dokoła.

— Więc pan przyznajesz się, że zakazałeś Toczyńskiemu tu przyjeżdżać?

Kłęczała teraz w dziwnej pozie jakiejś prymitywnej Ewy, napojonej pokusami węża.

— Pan to przyznajesz?

— Tak!

Śmiała się — drobne kły błyskały w jej ustach. Szczególniejszym gestem wyrывała słomę i rzucała dokoła siebie.

— Och!... jak to dobrze! jak dobrze!... — wołała.

— Więc pani sama temu rada?

— Tak, tak... bardzo... bardzo...

— Więc pani przyznaje, że ten człowiek...

— Co? co?

— Że ten człowiek działał na panią szkodliwie, zabijając. Że jemu pani zawdzięcza wiele zła, które panią nurtuje i prowadzi...

— Do czego! do czego?...

Patrzył wprost na nią. W tem skurczeniu całej postaci robiła wrażenie przecudnej czarnej pantery, gotowej do skoku. Była czarująca i wściekle ponętna.

— No... no... do czego?

Coś w nim zawirowało. — Ręce same ciągnęły się ku niej. Chciał ją porwać i nic więcej, tylko cisnąć ku sobie, cisnąć bez pamięci. Ale ostatnim wysiłkiem woli powściągnął się. I aby ją i siebie przyprowadzić do równowagi czemś bardzo silnem, bardzo niespodziewanem — wyrzekł:

— Gdzie panią to doprowadza?... pod koła tramwaju!...

Czekał, że rzuci się w tył, że sprawi to na nią piorunujące wrażenie.

Lecz ona pozostała w pierwotnej pozycji, tylko wyraz jej twarzy mienił się. Snać walczyła ze sobą i głębokie warstwy jej duszy wypływać zaczęły z ukrycia.

— Nie, — odparła nareszcie... — przeciwnie. Gdy korzystam z tego, co on we mnie wpaja, to jest z przekonania, iż życie i użycie to są synonimy — to nie idę pod tramwaj. — Gdybym pana dłużej słuchała, gdybym zabrnęła w pana sentymenta, wtedy jeszcze prędzej spełniłoby się to... straszne...

Cofnęła się i usiadła w pozie jakiegoś zniechęcenia.

— Widzi pan... to się mści. Ja nie powinienam uciekać przed tem, do czego jestem przeznaczona.

— Nie rozumiem pani.

— O! pan mnie doskonale rozumie. Pan myśli, że mnie Toczyński prowadzi na manowce.... Ależ to jest właśnie teren, na którym ja mam się obracać. Pan zna owe błędne duchy Danta... Otóż... ja... tak samo. Pan, inni, inne mają do rozporządzenia szerokie przestwory. Tam nachodzicie się wszyscy razem, podtrzymujecie się wzajemnie, podajecie sobie ręce — jesteście między sobą... My zaś — wygnani na manowce, błądzić musimy po nich. I, widzi pan, lepiej, skoro taki ktoś z manowców nie zajrzy nigdy na szerokie przestwory. Będzie potem tęsknił do was, będzie konał, nie będzie umiał wykorzystać rozkoszy, jakie może znaleźć na przeznaczonej sobie drodze. Lepiej niech na niej pozostanie... I śpiewną jakąś kołysankę dziwną, jakby śpiew przypadłej na kolana córki Faraonów, o monotonnym spadku kilku tonów, rzuciła.

— Skoro mu tak sądzono!... skoro mu tak sądzono... sądzono...

Ach!... sądzono!...

Tak mówi w białe płótnianki spowita wołyńska baba, mająca twarz wyschłej mumii w obramowaniu opasek, z pod których ciemnieją lub złocą się krótkie strzyżone „dole” jej włosów.

Stoi tak na progu chaty — u jej nóg walają się dzieci o rozdętych brzuchach i koronie szaro-płowych włosów na głowach.

Z poza niej — drzwiami wypelza z izb dym, w którym się wędzą jej płuca, jej ciało i chleb razowy z jabłkami, który upiekła dzieciom na święto.

Od lasów, gdzie maszłowe sosny dźwigają się senne i ciężkie — od borów, gdzie czerwono od poziomek a złoto od grzybów i liliowo od dzwonków, rozkwitłych pękami na wykrotach i puszystych mchem, płynie ku tej kobiecie wielkie nieznanie — a ona czeka na nie zrezygnowana, przyjmując je tak, jak przyjęła każdy fakt życiowy, bez protestu — jak przyjęła w komorne dziewczynę swego męża, jak przyjęła nędzę codzienną — razy — śmierć dzieci — i swoją nagiętą do rozpaczliwej niepotrzebności egzystencję bolesną.

Jest bez żadnej chęci i woli, bez tworzenia planów i pragnień. Żyje chwilą — jak liść czekający na wicher, który nim miotła. Patrzy na wysoki szumiący łan kukurydzy, na zieleniejący tytoń, który zasiała — lecz nigdy nie planuje, co z nich mieć będzie.

Ona nie wie, co jej „sądzono”.

— Może domowinka.

Ot — prosta drewniana — wążka — tyle miejsca, by w niej ledz bosemi nogami na wschód.

Może...

A może jasna dola, cała srebrna i koralowa — mieniąca się, jak ornaty księżowskie lub lampa cerkiewna.

Może...

Nie chce nic, nie wie nic. — Nie korzy się przed tą potęgą, która rozporządza jej marnem życiem — nie korzy się, bo z jej istnienia nie zdaje sobie sprawy — tylko przyjmuje sam fakt...

Zrezygnowana jest, lecz nie zna piękności rezygnacji, przynoszącej czarownicy spokój ducha. Zrezygnowana jest, bo jej tak „sądzono”, i nie zna tragicznej rozkoszy

walki z tą potworną siłą, walącą się z góry ciężarem bólów i nędz na drobiazg, życiem się pyszniący.

Pawie, roztaczające tęczę barw, zapożyczonych od słonecznych blasków — a tuż nad nimi obwisła dłoń ślepego straszdyła o wykrzywionych wargach jakby sennym, złośliwym śmiechem.

Pawie na wydmie, po której wicher liście roznosi i zeszcłta ich barwą blask piór tęczowych gasi.

Pawie...

Nic więcej.

Jakby ukołysał Adama ten głos dziewczyny. Jakże ma odpowiedzieć komuś, kto nawet o walce nie śnił, tylko szedł prosto pomiędzy pawie.

Co mu odpowiedzieć?

Rozpłynęło się w powietrzu jakby długie ciche westchnienie. Ktoś powstał — słyhać szmer słomy. Wiśka znikła w rozoraniu sterty.

I nagle Adam ujrzał ją na szczycie białego katafalku, stojącą prosto — z rękami jakby wzniesionymi do lotu.

Zdawała się chwytać coś z powietrza lub rozciągać jakieś widzialne dla niej tylko struny lub przedzę. — Odcinała się czarną, smukłą sylwetką w bieli mlecznej, rozsnutej dokoła. Była dziwna i doskonale piękna. Miała smukłość amfory z onyksu czarnego, chłonnego w sobie światło, a mimo to wydzielającego z siebie jakby poświatę.

Adamowi wydała się oddzieloną od niego bezmierną przestrzenią. Uleciała mu gdzieś w wysokie regiony, zjawiała się i zawisała w górze. Targnęło się w nim ku niej wszystko. To, co miał z młodości, nie zniweczonej brutalnością życia, rwało się całymi pędami, jak młode drzewo na wiosenne słońce. — Nie była to jasna, świeżona postać dziewczęcia — lecz coś więcej, jakby irys czarny, wykwitły z samego dna nędzy życiowej. I tem mu była droższa i ciemniejsza, że wykwiła przed nim klejnotem ponurym a dziwnym — odrywającym się zupełnie od szarej przeciętności.

Rozmodliło się w nim to, co człowiek ma w głębi swego ja — rozmodliło się hymnem tryumfalnych dźwięków w kaplicy jego serca. Ku tej czarnej sylwetce na wzniesieniu mglistem i białem, jak do ołtarza dym ka-

dzielnic i woń rozkwitłych kwiatów, bić zaczęły myśli i pragnienia Adama.

— Widzieć ją inną, widzieć pogodzoną z życiem, szczęśliwą...

A potem nieśmiało coś dla siebie, jakieś choćby uczucie wdzięczności, przychylnego czegoś, nieokreślonego.

I gdyby takie uczucie zjawiało się w jej duszy w chwili takiego pogodzenia się z życiem razem z myślą o nim...

Tak, tak — niczego więcej nie pragnie.

Albo jakie niedojdy! — mówił Rydzik.

Szum — olśnienie — i oto z góry sterty zesuwa się wężowo Wiśka. Zesuwa się nagle, jakby podrzucona jakąś zbudzoną myślą. Jest tuż nad Adamem, który nie zdążył podnieść się ze słomy.

Przypadła po nad nim — włosy jej rozchwiały się, oto on ma jej twarz dziwną, trójkątną nad sobą...

To wizja z nad łóżka Rydzika.

Te same oczy, te same usta wpół uchylone, te same pasma włosów, z których wypłatają się białe, zagadkowe ręce, znaczące się gestem posiadania.

Zawisła tak nad nim zjawiskiem, widmem, marą, upiorem.

Zda się, chwila jeszcze, a wytrysną jej z ramion tłem do owej głowy — skrzydła czarne, delikatne, jakby z czarnych chmur utkane.

I będzie mu demonem.

Czy tak?...

Przez Boga — tego Adam nie chce. — To zbyt ogólnoludzkie, ta kobieta wampir, czyhająca na myśl, na serce, na chęć...

Lepiej tak — amforą z onyksu, w której płonie rubin światła krwawego bólu...

Adam przeczuwa pocałunek, grad pocałunków, całą ich sieć. Czyhają w kąciakach ust Wiśki tam, gdzie bieleją dwa kły. I ten gąszcz włosów aż drży w świetle księżyca pragnieniem, aby okryć go całunem wonnym i dziwnym.

Adam całym wysiłkiem woli porywa się z miejsca i podaje rękę Wiśce.

— Chodźmy stąd.

— Dlaczego?

W jej głosie nuta głębokiego zdziwienia.

— Chłodno. Z tej wilgotnej słomy wieje zgnilizna.

Pani zachoruje.

— To mniejsza...

— Wcale nie.

— Zostanemy! Tak miło!...

Adam wyprowadza ją ze złotej alkozy.

— Proszę... wróć pani do domu.

Zatrzymała się i patrzy na niego przenikliwie, ironia drga w jej głosie.

— Tak pan się o mnie boi?

— Nie — ale ja się pani boję!

Powiedział to bezwiednie i przeraził się. Był zbyt śmiałym. Mógł obrazić tę dziewczynę. Zapo-
mniał się...

Lecz zbudził go z tej uludy radosny śmiech.

— Boi się pan mnie?

— !!!

— Ach, to dobrze!... dobrze!... Wyciągnęła ręce w przestrzeń. Śmiała się do księżyca, do przestrzeni mlecznej, do swej własnej duszy.

— Pani się nie gniewa?...

— Ja?

— Tak.

— Za co?

— Za... moją śmiałość...

Przestała śmiać się i pokręciła głową.

— Ile w panu... prostoty! — wyrzekła.

Za chwilę dodała:

— Nie tylko się nie gniewam, ale dziękuję panu.

— Nie rozumiem.

— Ależ to dla mnie pochlebne taka trwoga, rozumie pan — pochlebne.

W milczeniu zaczęli iść do dworu.

I Adam odczuł, że nie rozumieją się, że stoją na dwóch krańcach bardzo, bardzo odległych. On sądził, że zniewagą dla niej będzie to odkrycie, iż dziewczyną, a więc nieświadomą, tą białą, nieświadomą będąc, mogła wzburzyć w nim pragnienie, jakie daje ciało tej, która już wie, a ona szczyliła się tem, szczyliła z zupełną abnegacją godności dziewiczej, rzucając ją z siebie, jak niepotrzebną już osłonę.

Już!...

Przeszedł po nim dreszcz.

Czy byłoby zapóźno.

Czy nie tylko nie byłaby już nieświadomą, lecz czyżby...

Mimowoli spojrzął na idącą koło niego dziewczynę. Szła równo, wolno — z opuszczoną na piersi głową.

Pasma jej włosów zasłaniały jej uszy, policzki. Tylko profil wyłaniał się z tej gęstwy, cudny, jak rzeźbiony.

I miała w tej chwili w sobie ogromny smutek, jaki wieje od pól, które, zbudzone wczesną wiosną, zazieleniły się niebacznie i po których przeciągnął — mróz.

Wstąpili na stopnie ganku, nie mówiąc ani słowa, i weszli do środka domu.

W sieni nie było światła, tylko smugi księżycowego blasku płynęły przez kolorowe szyby.

Zatrzymali się na środku. Wiśka była ukryta w cieniu. — Zdawało się Adamowi, iż chce coś przemówić, waha się — wreszcie bez słowa — uściśnawszy mu rękę, zwraca się ku swoim pokojom.

Ręka, którą Adam trzymał przez chwilę w swych dłoniach, była gorąca i sucha.

— Niech pani śpi spokojnie!... — wyrzekł przyciszonym głosem.

— Tak, tak...

— I... proszę nie czytać.

— Wcale?...

— Nie — tylko...

Z niezrównanym spokojem Wiśka podchwyciła:

— Chodzi panu o książki Toczyskiego?

— Może!

Wzruszyła ramionami.

— Panie kochany! wyrzekła dobitnie i skandując — mnie już nic nie zepsuje!

Zdawało mu się, że go ktoś pchnął sztyltem w piersi.

— Nie... nie... — wyrwało mu się gorączkowe zaprzeczenie.

— Tak! tak! — Powiedziała to panu już nieraz. Przeszłam szkołę. Pan chciałbyś mnie widzieć dziewczęciem z pod wiejskiej strzechy, klasycznym dziewczęciem z jasną

kosą à la Przybylski... lub aniołem z palmą w ręku lub leliją. Ça vous fait horreur... ale to już niemożliwe...
Siekła go, jak różgą, temi słowami, w których aż drżało od ironii.

— I co więcej, chciałbyś pan, żebym była obłudna.
— Ja?

— Tak. Wolałbyś pan, ażebym grała przed panem rolę anioła, i wtedy rozpylałbyś się z sentymentów i zachwyty. — Panu trzeba widocznie dla dopełnienia wsi — sielskości... anielskości. A tu wpadłeś pan en plein w coś przeciwnego. Żałuję... ale lelije pod tym dachem nie kwitną!...

Adam stał milczący i przybity. Z tej ciemni chłostał go głos Wiśki i dął mu ranę, która zaczynała się w jego sercu otwierać. Lecz nie chciał jej przeskadzać. Wolał, aby się wypowiedziała, niż zamknęła w milczeniu.

— I oto... idę na me pokoje! — zakończyła z emfazą — i czytać będę... bo... czytać muszę!

— Niech pani sobie przypomni... Pani mnie te książki czytać zakazała!...

Nastąpiła chwila milczenia. Wreszcie Wiśka rzuciła:

— Tak... to był odruch, bezwiedny!

— To było to, co jeszcze w pani najlepszego pozostało.

— Nie, to było głupie...

— Więc teraz?

— Ach, Boże! ja mam książki — rzecz martwą — czy ja wiem, co się na drugim końcu domu dzieje...

— O!...

Fala krwi uderzyła Adamowi do głowy.

Haśka! nic innego, tylko baronówna sądziła, że on i Haśka...

Ależ to ohydne!

Nie znalazł słów. Wstydził się za nią, za siebie. Było mu straszno, boleśnie niewypowiedzianie. — I bez jednego słowa otworzył drzwi od sieni — wyszedł w topiel księżycową i szedł tak przed siebie, łaknąc, lami, ścieżką, brudą — aż biel jasna rozplywać się zaczęła, nikać, jakby przestrzeń bezkresna chłonęła ją w siebie...

I w oddali — tam, gdzie stał rząd czarnych topoli, zaróżowił się wązki pasek rubinowego, bladego światła.

Pochłódło, ścierniskiem powiało — jakby coś pełzło nagle zbudzone.

To wstawał nad równią — świt.

VII.

Zeszli się znów przy obiedzie. Adam szedł tam zgnębiony i smutny. Pragnął ją ujrzeć — i nie krył przed sobą, że już to pragnienie stało się jakby największą siłą jego myśli. Równocześnie jednak ciężko mu było spojrzeć w oczy dziewczyny, która zdarła z siebie utrudę czystości myśli.

Stała przy stole z szeroko otwartymi oczami, jakby była trochę niepewna.

Jednego w niej nie było tylko.

Wstydu.

I tego to zawstyżenia oczekiwał jeszcze Adam, pragnął je ujrzeć, wywołać.

A tu — nic, nic.

Tylko te szeroko, ciekawie rozwarte oczy.

Więc jedno w nim zbudziło się pragnienie.

Aby — o tem nie mówiła, aby milczała.

Lecz: to nie sądzone mu było.

Zaraz usiadła i z poza bukietu astrów zajaśniały te dwa kły wśród wstążki ust. I potem — pytanie:

— Pan coś do mnie czuje?

Nie odpowiedział.

— Pan jakby się na mnie gniewał?

Milczał.

— Niech się pan gniewa, ale nie na mnie, na mój los!

Wzruszył ramionami.

— Wiecznie to samo.

— Tak, tak. Przyczyny, panie drogi. Obciążenie dziedziczne. Wy, lekarze, mówicie — dziedziczny artretyzm, tuberkuły, rachitis czy jak tam — a czemu nie wmyślicie się w dziedziczność duchową. Co?

— Łatwo w ten sposób wszystko upozorować.

Zuchwale podniosła głowę.

— E!... niełatwo.

Zamilkli oboje. Podrażnienie aż biło od nich. — Wiśka nie spuszczała go z oka, on czuł ten wzrok na sobie i było mu strasznie.

Nagle Wiśka odsunęła gwałtownie krzesło i oparła obie ręce o stół.

— Lepiej by pan mnie pocałował — wyrzekła ponuro.

Chciał jej powiedzieć, że to, co ona ma za gniew z jego strony, to jest właśnie żal — żal — ale coś mu ścisnęło gardło — nie umiał się wypowiedzieć, nie mógł. Zdawało się, że ona czeka na to jego „dobre słowo“ — że się prosi o nie.

Milczenie było długie i ciężkie. Od strony kuchni dolatywały jakieś krzyki, przeciągłe śmiechy.

I nagle podniosła się Wiśka od stołu i cicho, spokojnie, ale sztywno przeszła obok ciągle milczącego Adama. Otworzyła drzwi i znikła w głębi domu.

Adam powstał także od stołu. Wiedział, czuł, że Wiśka nie wróci. — Lecz iść za nią nie mógł, nie chciał. Rozumiał, że jej nic nie powie — bo zanadto dużo skomplikowanych uczuć przepelnia mu serce. Nic powierzchownego zająć nie mogło pomiędzy nimi. To już było za głębokie, co się snuć zaczynało.

Wyszedł na dziedziniec.

Mgła aż zalała ziemię — szara, nieprzenikniona. Żółte liście leciały razem z mżącą siatką deszczu ciemnego i zimnego.

Modrzewie jedne zachowały swą zieleni letnią. Brzozy dziwne były — brązowe, drżące, tuliły u swych stóp boże drzewka o czerwonych, spalonych podszyściach.

Na progu kucharki stał Tarajewicz, Haśka — czeladź kucharka — furman — pastuch, i jedząc pampuchy z serem, które im ociekały tłuszczem po palcach, patrzyli za oddalającym się ku oficynkom Rydzikiem.

Ten włókł się zgarbiony. Ręce w kułak na piersiach zwinął i tak szedł bez czapki w deszcz, w mgłę.

Przed progiem kuchni leżał roztrzaskany garnek, a w nim resztki kawy rozbetowywał deszcz i trochę mokło bułki.

Adam do kuchni podszedł.

— Co to było? — spytał.

— A no — odparł Tarajewicz — pan Rydzik przyszedł, ochlał się kawy z bułką, potem cisnął garnkiem o ziemię i powiedział „już więcej jadł nie będę“.

— I poszedł.

— Sprawiedliwie, tak było.

— Rozbił garnek i powiedział, co więcej jeść nie będą...

Zachichotali wszyscy.

— A jakże... do południa! — syknęła Haśka.

— Trza dobrze pampuchy schować — śmiał się furman.

— O jej!...

Adam odwrócił się i wśladał za Rydzikiem poszedł. — Choroba pogarszała się. Charłactwo rakowate pojawiało się coraz silniej. Już nogi były złowroźnie opuchnięte i siły Rydzika zmniejszały się z coraz większą szybkością. Adam rano pisał do profesora, iż zaniechał płukań, gdyż chory przestał znosić sondę w żołądku. — Zastosowywał belladonnę, morfinę, lecz jeszcze w małych ilościach.

Tymczasem, u wrót — śmierć czuwała. Adam dognał Rydzika już w sionce. Zamajaczyła przed nim tragicznie ta twarz napiętnowana charakterystyczną, żółtoszarą cerą.

— Dlaczego pan pił kawę? — zapytał, lecz głos brzmiał mu bez przekonania — próżnią.

Rydzik spojrzał nań mętными oczami. Coś jakby szło się w źrenicach — ni to łzy.

— Ostatnie... — wyszeptał — ostatnie...

— Co? jak?

— Jedzenie — już więcej jadł nie będę.

Powoli do izdebki się wsunął i na swoje wspaniałe empire legowisko runął.

— Czas na mnie...

Te słowa rzuciły zaciskające się jakimś stężalym ruchem usta.

Czas na niego!

Gdzie? dokąd? — z czem ma iść?

Gdzie się spieszy...

Czy wie — czy przeczuwa... czy już przemodlił, przemyślał, przewidział w noc bezsenne?

— Ach, jakąż to bezkresną równią przed nim się otwiera — i dzwon jakiś go wzywa — dzwon czy jęk — czy może cisza, ulga zupełna.

Czas na niego!

To wielkie i żadne słowo. Czas już rzucić to marne i wzniosłe, to podłe i święte, to ukochane i nienawistne, to wszystko my, to straszne i słabe — groźne i przytulne...

Czas ostać bez tego...

I gdzie?

I po co?...

On wie może — on czuje prostą duszą — instynktownie znalazł linię — wyciąga się już bezsilny i mówi, że czas...

A może nie wie nic, nic — i tylko czując, że spełnić się musi, łudzi się do ostatka, łudzi się, niby spiesząc, niby wiedząc.

Adam się nad nim pochylił.

— Zmierzę temperaturę.

Lecz Rydzik usunął rękę lekarza.

— Nie, nie... potrza. Mówię, że już czas, i że to było ostatnie.

Nagle porwały go krwawe wymioty. Adam krzątał się koło niego. — Drżącymi rękami szukał w podręcznej apteczce opium, aby czynności żołądka zatamować.

— Na co to!... na co? — myślał rozpaczliwie, kiedy rzeczywiście już czas.

Ułożył chorego, który zdawał się doznawać pewnej ulgi, i wyszedł do kuchni, rozkazując przynieść lodu. — Wiedział, iż szampańskie wino byłoby w tym wypadku wskazane. I nie rozumiał, dlaczego, ale coś go dąwiło. Nie mógł zażądać sprowadzenia tego wina z miasteczka, jeśli nie było go w piwnicy. Lękał się, że Terajewicz wybuchnie oburzeniem na takie wymysły. Chętnie byłby sam to wino zapłacił, lecz należało posyłać, i wtedy grube instynkta zawiści żołądkowej rozegrałyby się w takt jęków konającego.

Przyszła mu na myśl Wiśka, lecz i tu potknął się o chłód i nienawiść. Uczuł się nagle otoczony wrogami, on i ten półtrup, który mu jakby u rąk wisi. — Gdy wracał do oficynki, ujrzał, że Wiśka stoi na ganku. Przed nią chłopak kuchenny odziany był jak do drogi. Ona podawała mu jakąś paczkę jakby książek i mówiła coś półgłosem. Adam nagle powziął postanowienie posłania po butelkę szampana do miasta. Wyrwał z notesu kartkę i napisał szybko markę wina. Dołączywszy pieniądze, czekał za węglem na chłopca, który już na drogę się kierował.

— Mały! — zawołał — a pójdz no tu...

Chłopak się zatrzymał.

— Czego?

— Przyniesiesz mi to z miasta.
— Nie idę do miasta — idę do pana Toczyskiego od panny...

— A...
Chłopak oddalił się. Adam uczył jakby pchnięcie w serce. Wiśka znów zawiązała nić z Toczyskim. Uśpione budziło się! Straszne... straszne...

I nie mógł nic — tak samo, jak nie mógł nic porządzić tam — u łoża śmierci. I tu i tam rozkład, zgnilizna. Rydzik leżał nieruchomy, jakby zrezygnowany. Adam pierwszy raz widział go tak cichego, tak dziwnie jakoś ukojonego.

— Czy was mniej boli?
Otworzył oczy, które zaczynały jakoś jaśnieć mimo szkliska łez.

— Ale... psia jucha — boli ścierwo, tylko już skoro tak ma być — to niech będzie.

I znów z całą rezygnacją oczy przymknął, a po wargach coś jakby przelatywało, jakby pacierze, jakby westchnienia.

Wreszcie zdawało się, że zasnął.

Adam zasnął się w kąt — twarz w rękach ukrył i siedział tak — pragnąc zginać, przestać istnieć.

Kochał ją — czuł, wiedział, rozumiał. To była miłość. Lecz nic w niej nie było egoizmu. Nic dla siebie — nic. Wszystko najlepsze dla niej. Całe piękno, dobro — czystość życiowa — jej — jej pod nogi, jak skarby uśpionej królowie. A tymczasem musi stać na boku i patrzeć, jak z ciemnej otchłani wypetza to, co najpotworniejsze, i wyciąga po nią swe długie — okrutne macki.

Szarawy pył jakby zapadał powoli. Jesienny koniec ohydnego dnia, martwy, bolesny, wierzący się pod samo serce. — Rozściela się to po podłodze, pełza aż pod stopy Adama. Kurczy się w nim wszystko. Uciec by rad z życia, bo nadto boli, gdy się tak bezczelnie rozwija.

Nagle — z ust zaciśniętych Rydzika pada ostry, dziwny głos.

— A ona niech mi zaraz przyjedzie!... Taki to rozkaz praw — rozkaz męzowski — zbudzonej władzy.

Tragedya się rozpoczyna z całym majestatem. Komedyje życiowe rozbałamuczonych istnień musiały ustać. — Czuć to było w tym głosie.

Ona — to, jego żona, powinna, musi być przy łóżku konającego męża.

Mniejsza, że ona rasowa, ma cienkie kończyny charakteru, pojęcie o pięknie i wylamany charakter — a on cuchnie, klnie i duszę swą nosi za pazuchą prosto, nie licząc, z jakich fiber się składa.

To wszystko mniejsza — but przechodzony czy amerykański Azalea Flowers...

Ona tu musi być!...

— Tak, tak, musi — odpowiada, jak echo, Adam...

Lecz jak? pisać samemu? — Gdzie? — Profesor ma adres. Tarajewicza prosić można także. Najprościej jednak przez — tamtą.

I Adam dostrzega nagle ścieżkę, która go doprowadzi do Wiśki.

Musi zrozumieć — odczuć — musi.

Kiedy jej to powie. Dziś? — nie. Jutro — poszuka sposobności. Dziś oboje mają pomiędzy sobą tyle zła — tyle bólu. Trzeba, koniecznie — trzeba.

I Adam nieledwie wmawia w siebie, że musi to zrobić, a serce młode aż rwie się w nim i pragnie, i modli się, aby to się stało.

dyle VIII. dyle

Gdy wstał świt, Adam podniósł ociężałą głowę. Przesiedział całą noc skurczony, na skrzynce pod piecem. — Nocna lampa, starą modą, w słoiku tliła się jeszcze. — Od parku ciągnął znów groźny wicher i bił w szyby. — Ranione drzewa zjadale dopominały się o swoje i wyły w jesienną szarugę, wstrząsając gałęzmi. — Chłód wypetzał z ziemi i warzył liście i osiadał na dyniach, które jaskrawo dźwigały się z ziemi.

Rydzik leżał nieruchomy, siny — sztywny. Tylko po tych ustach biegały jakieś dreszcze, jakieś szepty.

Coś — niby tajemna rozmowa.

Z kim?

O czym?...

Jak wiele miał teraz tajemniczego w sobie ten człowiek, który zdawał się mieć tak mało komplikacji wtedy, gdy istniał jeszcze szeroko i głośno! — Wchodząc w mistyczny krąg — rozpałał w sobie lampę świątynną, do koła której snuł się już cały świat.

Cały inny świat!

Adam postanowił cały dzień spędzić przy cho-

rym. — Pojawienie się w jadalni było mu nieznośne. Pragnął spotkać Wiśkę, lecz nie w codziennem środowisku. Posądzenie jej krążyło dokoła wśród ścian dworu.

Adam chciał nad nią, nad sobą przestrzeni, nieba. — Może i jej dusza krystaliczną jasność odczuje.

I cały dzień przeszedł powoli — smutno — w ciszy zupełnej. Adam rąbał lód na drobne kawałeczki — płukał i na łyżeczce wsuwał go w usta Rydzika. Ten — kilkakrotnie spojrzał mu prosto w oczy. Było w tem spojrzeniu tak jasne przypomnienie, że Adam mimowoli odpowiedział:

— Tak, tak — pamiętam!

Nad wieczorem Rydzik zasnął — szary, straszny. Adam poszedł do dworu i napisał list do profesora, domagając się przyjazdu baronowej. Pisząc, nadśluchiwał, czy nie pojawi się jaki szmer wewnątrz domu. Lecz cisza była zupełna. — I serce Adama zaczęło łopotać młodo, miłośnie, niespokojnie...

Wyszedł wreszcie i zaczął iść w stronę lasu. Wiścher ustał. Sosny stały na piasku, jak z brązu wykute. Na pastwiskach perz czerwieniał podpalony ręką pastuchów. — Niewyraźnie księżyc na nowiu delikatnie się znaczył. — Adam szedł w stronę polanki szmaragdowej jeszcze i dziwnie zielonej. Delikatnie się znaczyła na końcu drogi. Adam zeszedł w mchy i kroków jego nie było słychać zupełnie. Gdy las zrzedł i polanka rozwinęła się trochę jakby błękitną mgłą zaciągniętą, Adam stanął, jak wryty. Dwie śliczne, smukłe sarny wyszły z gąszczu i stały nieruchome, zapatrzone w dal. — Z głębi lasu tymczasem dolatywał chrapliwy, beśny prawie ryk jelenia. Sarny słuchały jakby niepewne, wahające tego nawoływania, wabienia tej pieśni potężnej, która na ich część grała.

Nagle — porwały się i pobiegły obie ku zaroślom — jakby ciągnięte dziwną, niepojętą władzą. W tej chwili przemknęło się Adamowi jasno, okrutnie wyobrażenie Wiśki, biegnącej ślepo w ciemnię wabiących ją zdarzeń. I zdało mu się, że to wyobrażenie przenosi się na halucynację wzroku, bo oto ona ostrożnie, delikatnie wynurza się z lasu i odrywa od kolumnady pni drzewnych.

Smukła, strojna w szary kostium jest widocznie na zasadzce, a może tylko udaje. — Kolto ma przewieszzone niedbale przez ramię, twarz zwróconą w dal

ciągnącej się w głąb lasu drogi. Adam doznaje wrażenia, że Wiśka tu stoi, oczekuje na coś — może na kogoś. Ta myśl sprawia mu ból tak dotkliwy, iż postanawia zbliżyć się do niej, narazić się na wszystko, aby to uczucie przerwać.

Lecz z głębi — tam od drogi cichy jakby gwizd chromatyczną gammą przecina powietrze.

Jeleń umilkł — teraz słychać ten łagodny wabiący gwizd.

Wiśka wysunęła się jeszcze — i nieruchoma na zieleni łaki, cała szara, smukła, nasłuchuje.

Jak te sarny przed chwilą.

Nasłuchuje, waha się...

Gwizd — znów gwizd.

Adam patrzy, tchu mu brak.

Chce poskoczyć, zawołać — nie idź!... Jeśli chcesz, u stóp ci się położyć.

Lecz ona — skręca się na miejscu i tak, jak tamte dwie, jak one, smukła i wabna — wbiega w las, w świątynię drzew.

Tylko wrzosa rudawe na skraju lasu się chwieją, trącone jej stopami.

Tylko zapadła za nią i za sarnami jakby zasłona złotych liści, które padają wolno z drzew na mchy, na krzaki powiedle, na wrzosa zczerniałe.

Więc widuje się z nim potajemnie? Widuje się, nie śmiejąc wprowadzać go już po dawnemu pod dach, gdzie i on przebywał!

Dlaczego to czyni? Dlaczego się krępuje? Większego bólu mu sprawić nie może. — A kto wie! zapragnęła się nagle wydać lepszą, niż jest w rzeczywistości? — Ach! to jeszcze ohydniejsze. Niechby już została taką, jak przedtem, jak dawniej, gdy nie kryła się ze swem zbliżeniem się z Toczyńskim. Wolał to — wolał po stokroć.

Wraca do domu, a na niego pada mrok i smutek, dawniej mu nieznany.

To nie zazdrość wszakże. Bo to, co z jej istoty zostaje udziałem Toczyńskiego, jest dla Adama podrzędne. Lecz, że to podrzędne kała właśnie i niszczy to głównie, to, co później na resztę życia pozostaje kobiecie wszystkim — to Adamowi serce orze tępem ostrzem bólu.

Jak matka! jak matka!...

Nie wini jej, nie wini nikogo. Tylko cierpi młodzięńczo i pięknie. Cierpi duszą całą, która mu się w serce wciska. To dwoje — dusza i serce.

I takie biedne, takie strasznie zbolełe.

Kilka dni znów przechodzi samotnie, monotonnie. Adam nie może, nie jest w stanie spojrzeć znów w oczy Wiśce. — Czuje za nią coraz większy wstyd i traci pragnienie zejścia się z nią znowu. Wieczorem późno przekradł się do dworu, zebrał konieczne rzeczy i przeniósł się do oficynki. Usprawiedliwia swój postępek czuwaniem nad umierającym.

— Dla niego także nic nie mogę... — myśli rozpaczliwie, patrząc na coraz silniejsze napady Rydzika.

— Tylko on odchodzi, ona będzie się jeszcze wlokła długie życie... tak tak!

I ogarnia go szalone rozrzewnienie.

— Biedna, biedna...

Chciał dodać po dziecięcemu „moja“ — ale się opamiętał. Skąd? dlaczego?

Lecz — gdy nocą przyległ na skrzyni Rydzika i z ciemni, z nad łóżka w świetle lampeczki pobielawać zaczęła trójkątna twarz kobieca, podjął się, ręce złożył przy ustach trochę drżących od wzruszenia.

— Dlaczego nie może być... moją? — zaczął się zastanawiać — może być serdecznie moją w myśli, w obrazie duchowym, w tej Wiśce istotnej, nieszczęsnej, zbrukanej powierzchownie. Będę o niej myślał, otulał ją swą miłością, serdecznym pragnieniem. Może tam coś do niej przywionie i choć na chwilę jej duszę rozjaśni. Taka może być moja... to przecież możliwe!...

Taki był w tej chwili szczerzy, prosty — taki ładnie młody — pomimo, iż ciało jego nie miało już w sobie dziewczęcości dziecka. Lecz duch przewionął po nad tem wszystkim nieskalany widocznie, skoro Adam mógł jeszcze tak myśleć, tulić ręce do ust drżących, słać tęskne oczy w stronę, gdzie spała młoda dziewczyna, płonąca żarem i niczem niestrzeżona.

I będę ją tak kochał całe życie...

To jeszcze mu przesuwają się przez myśl, takie postanowienie serdeczne.

Ona tam śpi pod atlasem kołdry — śpi w rozrzuconej gęstwie czarnych włosów i nie wie nic, nic.

Tylko jarzębina szuści po szybach, lecz ona nie strzeże nawet snów dziewczyny.

A sny to niespokojne, straszne, złe. Pot zrosił czoło i pierś Wiśki. — Nic nie pomoże korna, serdeczna i szczerza myśl, dążąca ku niej z oficyn.

Nic nie pomoże. Taka myśl, to jakby mgła padająca na płonący step.

Nim płomieni dotknie — zniknie strawiona żarem.

Tak — tak!

Nadeszła odpowiedź od profesora. Niewiadomo, gdzie bawi obecnie baronowa. Była w Wiedniu, gdzie leczono ją na uiratę tuszy, pojechała, lecz dokąd, niewiadomo. Profesor dziwił się, iż Adam zwraca się do niego z tem zapytaniem, mając pod bokiem córkę baronowej.

Adam postanowił zwrócić się raczej do Tarajewicza, niż do Wiśki. Owiadnęła nim bowiem chęć pozostawania jak najdalej od baronówny. — Im dalszy będę od niej, tem bliższy — myślał. Delikatniej drogą zdawać mi się będzie...

Zresztą, inaczej być nie może.

Chwilami bowiem — zdawało mu się, że ta Wiśka, żywa, silna, działająca w swej sferze — może sprawić krzywdę tej Wiśce słabej, bezsilnej, którą on wymarzać sobie zaczynał i otulał swą serdecznością.

Lecz Tarajewicz na zapytanie Adama oburknął się prawie brutalnie:

— Nie wiem, a zresztą na co tu jasnie pani? po co właściwie? Czy tak, czy tak, ta nędza zdechnie. A jasnie panią ściągać tu i narażać, Bóg wie, po co. Ani będzie za to wdzięczna ani kontenta. Pochować go bez niej potrafia. A zresztą, niewiadomo, gdzie jest... gdzieś... po świecie.

Tarajewicz ręką machnął, jakby liście jesienne po przestrzemi rozganiał.

Adam powrócił do izdebki Rydzika i zaraz u progu spotkał oczy umierającego, oczy przypominające mu ostatnie wymówione słowa:

— A ona niech tu będzie!...

Widoczne było, iż silna wola panuje tu szaloną potęgą nad zastygającym ciałem.

Woń gnilna unosiła się dokoła pomimo najusilniejszego wietrzenia i dezynfekcyi. Chory przeżywał tylko lód, lecz kilkakrotnie zwracał szare miazgi. Powoli zani-

kały w nim czynności organiczne. Adam zrozumiał, iż rak przeżera się do aorty. Dziś, jutro miało skończyć się wszystko.

Adam zrozumiał, iż niema czasu do stracenia. — Zaządał kogoś do pomocy koło chorego. Narzuciła się Haśka. Sekundę, jak błyskawicą, mignęła w Adamie chęć odrzucenia jej pomocy ze względu na podejrzenia Wiśki. Lecz zaraz odepchnął tę myśl od siebie.

Jak można nawet — jak można... wszak to tamta Wiśka przypuszcza, ta jego nie ma podobnych myśli. Za czysta, za święta, a jemu chodzi o tę drugą.

— Siedź tu... mów do dziewczki, która kokieteryjnie ściga z głowy żółtą chustkę — siedź tu i podawaj mu po odrobinie lodu do ust.

Haśka z instynktem kobiety, chcąc zwabić jakkolwiek mężczyznę, ujmując dość zgrabnie tyżeczkę i pochyla się nad chorym.

— A nie wstrząśnij go!... proszę cię!

Oczy dziewczki spotkały jego proszące źrenice. Chłoch był w ślepiach Haśki na dnie. — Jaki mi czuły doktor!... jak się to rozpada!...

Zesnurowała usta, przybrała skromną minę.

— Dobrze... — wyszeptwała.

Adam chwilę zastanowił się, wreszcie, nie patrząc na Haśkę, zapytał:

— Panna baronówna w domu?

Haśka się schmurzyła.

— Nie wiem! — odparła dość czelnie — panna od świtu poluje — może nie wróciła.

— Gdzie poluje?

— W Janowicach, razem z panami.

Adam wdział palto, czapkę i szparko przed dom wyszedł. — Koło stajen kręcił się furman.

— Daleko stąd do Janowic?

— Niby do Leśniczówki?

— Tam, gdzie polują.

— A no — w Leśniczówce. Koło trzy, cztery kilometry.

— Zaprzęgaj, jedziemy!

— Zawiozłem pannę rano...

— Mniejsza z tem, konie nie popadają.

Szybko zaprzęgać we dwóch zaczęli. Adama ogarnęła gorączka. Drżał cały. Teraz nim aż coś rzucało,

aby zobaczyć się z Wiśką. I pragnął i lękał się. — Wołał jednak, tak w lesie — wśród ludzi, niż sam na sam.

— Jedźmy!

Jechali tą samą drogą, na której Adam dostrzegł kilka dni temu sarny i Wiśkę. Dzień był jasny i krystaliczny. Wcześniej jeszcze było i mgła się włożyła po łączce, która zdawała się mieć w sobie zieleni zaczarowaną.

W miarę jak wjeżdżali w las, silnie rozrośnięty miejscami, czasem znów wycięty i jedynie nasiennikami porośły — Adama przejmowało jakieś uczucie nieokreślone. Coś z lęku, coś z szacunku, coś ze smutku, że dzieje się tyle objawów życia, na które on wszakże musi pozostać obojętny. Z daleka słychać było jakiś łomot i krzyki głosów niesfornych, zbiorowych.

— Ha!... ha!...

— Naganka — wyrzekł furman.

Adam zatrzymał lejce.

— Zaczekaj — wolę dojść — czy prosto!

— Tak — o!... kot! kot!

Aż wstał z uciechy, widząc zmykającego zająca. Długo chwiała się po nim jeszcze krzaki i drżały wrzosi.

— Poniosło!...

Adam wysiadł i zaczął iść drogą. Za nim rżały konie, dzwoniąc trzaskami.

— Czekać tu na mnie. Zaraz wrócę!

Za zakręcie drogi dostrzegł nagle leśniczkówkę, zbiór budynków miniaturowych, stawianych z drzewa. Na placu przed domem, dokoła którego czerwieniały georginie — ścięte gładko pnie drzewa formowały stoły. — Poukładane na nich tarcice dziewczki nakrywały obrusami i stawiały talerze. — Stara, siwa leśniczyna wynosiła właśnie z sieni ogromne półmiski, pokryte cienko krawaną szynką i ozorem.

Adam uchylił czapki.

— Chciałbym pomówić z panną baronówną.

— A!... jasnie panna w lesie, ale zaraz tu przyjadą. Biorą właśnie ostatni miot w tej stronie... Wróć na śniadanie.

Niedaleko nakrytych stołów ustawiono na dwóch kozłach drągi silne do zawieszenia zabitej zwierzyny. Właśnie zajechał wóz i kilku chłopów zeskokczyło, zwałając cielska okrwawione, bezwładne, tragiczne.

Bestyalstwo tryumfujących budzi się w zetknięciu

żywych ze świeżemi trupami. Śmiech dziwny kurczowo wykrzywia usta chłopów.

— Nie będziesz ty kurek dusił — mówią do lisa.

Liczą zające, rechocząc głośno. Mały podrostek bąbrze się we wnętrznościach rogacza i wypycha je przez ranę do brzucha. Nozdrza rozwierają się dziecku, pochylonemu z lubością nad tą pracą. Wreszcie rzędem, estetycznie, według reguł zawieszono jeszcze ciepłe zwierzęta. Krew czarna, gęsta pada kroplami na jasny piasek. Jedna z dziewczek zerwała długie sploty nasturcyi i przyodzabiła niemi żerdź.

Adam obrócił się i zaczął iść w głąb lasu, skąd nadlatywał coraz silniej wrzask naganki.

I nagle ujrzał Wiškę.

Jechała na drabiniastym wozie, z którego wyjęto jedną drabkę. Myśliwi usiedli rzędem, spuszczać nogi ku ziemi.

Ona, jedna kobieta pomiędzy rzędem mężczyzn, wносиła delikatny odcień piękna w to rozbisurmanione, brzydkie grono.

Jakiś wyraz nie kulturalny, coś potracającego o epokę jaskiniową wybiegło na twarze tych ludzi. Grube ubrania, przeważnie brązowe, lica jakby spalone wichrem, zimnem i namiętnością, oczy połyskujące zawiścią i chęcią mordy, wszystko to składało się na szpetną całość.

Stercząca w górę broń — zbitocone obuwie nie dawało nikomu z tych ludzi wdzięku. Nogi były obute w zbyt wielkie i ordynarne buty, na głowach wciśnięte były śmieszne tyrolskie kapelusiki. Z pod nich wysuwały się zbyt duże twarze.

Siedzący obok Wiški — Toczyski przedstawiał się najfatalniej. Zgrabiął — posiniał. Na bakier wsadzony kapelusik mchowego koloru był nad wyraz komiczny. Zakręcone piórko komizm ten potęgowało. Przytulony prawie do ramienia Wiški mówił coś do niej posiniałymi ustami. Ona nie słuchała — zapatrzona przed siebie. Na marmurowo białej twarzy czerniały plamy oczów. — Adama uderzyło przedewszystkiem to, iż Wiška nie zdawała się bynajmniej podniecona ogólnym nastrojem. Wyglądała raczej na znudzoną.

Dojrzała go — zmrużyła oczy — i zdawała się wahać przez chwilę.

On kapelusza uchylił i stanął nad drogą. Serce mu topotało w piersiach, jak ptak spłoszony.

Gdy wóz nadjechał, Wiška odezwała się głośno:

— Pan do mnie?

Zatrzymała wóz i zeskoczyła na ziemię.

— Chodźmy!

Poszła przodem w gąszcz leśną. Nie obejrzała się za nikim ze swych towarzyszy. Przedzierała się śmiało przez krzaki. Gałęzie cierniowe czeptały się jej krótkiej spódniczki i odstaniały bufiaste spodnie, przytrzymujące angielskie wetniane pończochy. Wysokie, brązowego koloru buciki, tonęły we mchu, jak w bagnisku. Purpurowe kamienuchy osiadły brzeg jej sukni.

Adam postępował za nią zmieszany, zdławiony. Nie przypuszczał, że tak prędko się to stanie.

Gdy byli wreszcie w środku gąszczu i wozy turkotały w oddali, spojrzała mu prosto w oczy, wyciągnęła ręce i przez zęby rzuciła jedno słowo:

— Nareszcie!

Był to war, ukrop, coś, co wiruje, kotłuje myśli pod czaszką, dech zapiera.

Czekała tak z rękami wyciągniętymi. Lecz nim aż coś szarpnęło z trwogi przed tą dziewczicą o spalonych wargach i pociemniałych oczach.

Prędko, chcąc zerwać czar, wyrzekł:

— Gdzie jest teraz matka pani?

Wyciągnięte ręce opadły. — Jakby leciuchny, biały obłok przesunął się po żrenicach.

— Ach!... więc to po to?

— Gdzie jest matka pani?

— Po co panu moja matka?

Głos brzmiał twardo, źle. Adam to odczuł, lecz coraz więcej cofał się w siebie.

— Ojcym pani umiera.

— Cóż stąd?

— Chce widzieć żonę.

Zaakcentował silnie to słowo.

— Nie zobaczy.

— Musi.

— Śmieszne...

— Żle...

Zaczęli się mierzyć oczami. Lecz znów w Adamie przeważała litość.

— Pani wie, co jest śmierć?

Pani wie, jakie to bolesne, gdy pokrzywdzony umarł i krzywdy mu uczynionej nic już naprawić nie może?

— To są sentymenty.

— Może — ale są, więc — się z nimi liczyć musimy.

Wiśka przygryzła wargi i nerwowo zapinała i rozpiniała zaklepek.

— Nie jestem egoistką... wolę — cierpieć! —

Nic nie zdoła oddać tonu, z jakim wypowiedziane było to słowo.

— Raz ostatni pytam, gdzie matka pani?

— A ja raz ostatni odmawiam odpowiedzi.

Ręce ku niej teraz wyciągnął.

— Nie dla mnie, dla siebie to zrób...

— Powiedziałam — wolę... cierpieć.

— Dlaczego nie chcesz zrozumieć, ile szczęścia w dobroci?

— Śmieszne!... śmieszne!... śmieszne!...

— Nie, nie.

— Zresztą pan nie masz prawa o tem mówić. Pan sam jesteś zły... Tak, tak. Zmuszasz mnie do czynienia wielu rzeczy, które wiem, że robić nie powinienam.

Gorącym tchem wiało od niej, oczy jej znów ciemniały.

Jego ścisnął za serce szalony ból.

— Gdzie matka pani?

Zastawiał się tem, jak tarczą.

Nie odpowiedziała nic. Marszczyła brwi.

— Nic mi więcej nie powiesz?... — spytała wreszcie niskim, chrapliwym głosem.

W ziemię patrzył.

— Nic.

Jak błyskawica, porwała się i biedz w zarośla zaczęła.

— Wiśka!...

— Idź precz... nie chcę cię znać!

Łamała z pasyą krzaki — szarpała ciernie rękami. Wreszcie znikła w gąszczu.

Adam powoli powrócił na miejsce, gdzie pozostawił konie. Zaroilo się tam od ludzi. Obdarty, ledwo odziany oddział podrostków, stanowiących naganek. Ten i ów wyciągnął z torby kawałki chleba. Milku rozpałało ogień, aby piec kartofle.

Adam wsiadł do wózka prawie nieprzytomny.

— Co to wszystko ma znaczyć? — myślał, dysząc ciężko.

Nagle zaszumiało w krzakach i drogę zabiegła Wiśka.

— Stój! — krzyknęła na furmana.

Była bez dubeltówki i ręce miała pokrwawione. Wskoczyła do wózka i usiadła obok Adama.

— Jedź!...

— Konie porwały się szybko, i czując, że wracają do stajni, biedz szparko zaczęły.

Adam nie odzywał się wcale. Patrzył na jej ręce pokrwawione, czuł, że ramię jej opiera się o jego ramię. — Coś go dławilo. Chciał porwać te ręce i krew z nich zcałować. Nagle, wyjechali na polankę. Sarny cię che wabienie, ryk jelenia przypomniły mu wszystko.

— Teraz za mną... o! jakaż to nędza! — myślał, łamiąc się rozpaczliwie.

— Ja sama do matki napiszę... — rozległ się niespodziewanie szept obok niego.

Nie wiedział, dlaczego nie uczuł na to zwycięstwo żadnej radości. — Podniecona oporem ustępowała. To było widoczne. Duszy swej ani na chwilę w ten postęp nie kładła. — W imieniu konającego działał przeciw. Nie wolno mu było być dumnym. Musiał brać, co mu dawano.

Cicho odparł:

— Dziękuję!

Odczuła w nim, że ją przenikł. Odsunęła się trochę. Przestała go palić swem ramieniem.

Jechali milcząc, oboje znękani i zmęczeni swoją obecnością. — Zbyt była silną na razie.

Gdy zajechali przed dom — wypadła z oficyny Haśka.

— Niech pan doktor się śpieszy... to jakoś tak dziwnie leży — boję się...

Adam zwrócił się do Wiśki:

— Niech pani telegrafuje... to konieczne.

Wiśka spochmurniała znowu — usta jej wykrzywił niepoczciwy grymas.

— Zobacz! — wyrzekła, obrzucając chłodnym spojrzeniem Haśkę i Adama.

Cicho, cichutko — po łąkach białe mgły się rozsnuły. Nic — tylko białe mgły. Z brzegu widać sylwetki drzew, a dalej wszystko białe, tonące jakby w obłoku.

Taka dziwna noc.

Księżyc wysoko także biały — nie srebrny. — Na równiach tryska purpurą albo mleczną biel ściele.

Adam stoi koło łóżka Rydzika. Ten zapada w półsen, graniczący już z utratą przytomności. Chwilami podnosi z ciężkością powieki, jakby jeszcze chciał przebić mrok. — I trudno mu, nie może.

Dwukrotnie tężyły mu mięśnie szyi — bełkotać coś zaczynał, jakby się mocował z czemś potwornym, niewidzialnym — i ustępował... milkł.

Adam blady, zdenerwowany — cały zamieniony w uczucie, pochyla się, niesie pozorną ulgę. Na nic nauka. Bezwładny jest, smutny tragicznie, jak zawsze, gdy to potężne szczydziło z wysiłków, przez naukę czynionych.

— Znów śmierć!... i nic... nic...

Za nim Haśka siedzi na kuferku i czyni wysiłki, aby nie zasnąć.

Adam podnosi oczy i spotyka się z bladą twarzą trojękatą za szybą obrazu.

— Gdzieś ty — myśli — czy ci przeczucie kobiece nic w tej chwili nie mówi?

Dziw — dziw...

Oto za szybą okienka ślania się druga taka twarz blada, trójkątna, obramiona pasmem czarnych włosów. Niewyraźne to — ale jest rzeczywiste, żywe...

Haśka równocześnie zjawisko dostrzega.

— Jaśnie panna... — mówi szeptem.

W Adamie aż targnęło się wszystko.

Przyszła!... przyszła pod okno, zbudzona litością nad umierającym. A więc sumienie, sumienie i... przebaczenie!...

Wybiega czempredzej z chaty. Pragnie pochwycić Wiśkę za ręce — wprowadzić ją w tryumfie — pochylić nad konającym. Jakaż słodka rozkosz rozwieje się z tej chwili!

Wiśka przed nim ucieka. Biegnie ku parkowi w mgłę. Drogie, drogie stworzenie wstydzi się jasnych odruchów duszy. Ale on ją dogna i powie:

— Taką cię widzieć pragnę... taką...

Stała wreszcie i czeka na niego.

— Chodź pani, chodź... on jeszcze przytomny. —

Ona nie idzie. Oparła się o rozwalony płot, owinięta w fałdy szala. — Włosy ma rozpuszczone. Białe światło kładzie po nich śnieżne puchy.

— Dlaczego się pani opiera? Dlaczego ucieka? Ja panią przeniknąłem, rozumiałem, co się w pani dzieje — to najpiękniejszy odruch pani serca...

— Więc niech idzie precz!

Niech natychmiast idzie precz!

— Lecz kto? kto?...

— Ona... ta... ach!... mówisz, żeś mnie zrozumiał, dlaczego więc...

— Och!...

Adam porwał się mimowoli za głowę. Spadek był zanadto silny. Wiśkę przygnały pod okno oficynki niepocziwe myśli, podejrzenia. Teraz każe gnać Haśkę, a on sądził, że budzi się w niej dobroć, że budzi się w niej kobieta.

Ona go nie pojmuje — szybko, gwizdząco prawie wyrzuca wyrazy:

— Można mi było tego oszczędzić... i mnie... i sobie... Takie coś, taka...

Gryzie wargi do krwi — ogarnia ją szal. Adam patrzy przerażony. Nie miał pojęcia o takim rozpętaniu namiętności tych najniższych. I ogarnia go przesmutna rozpacz, bo czuje, że wszystko, co chciałby uczynić w kierunku wyższym, rozbija się o ten wał, utworzony ze steku najgorszych warstw, jakie ludzką istotę składają.

— Nic na to nie poradzę!... nic!... — mówi, patrząc na nią zrozpaczonemi oczami.

— Poradzisz, poradzisz... nie drażń mnie więcej, bo się potem za siebie i za ciebie wstydzę...

— Wiśka! Wiśka!...

— Ech! co? co? Wiśka... chodźmy!

Porwała go za ręce, wpila mu w dłonie swe długie wyszlifowane paznokcie.

— Było ze mną nie zaczynać! — rzuciła przez zaciśnięte zęby.

— Chodźmy!

Pobiegła naprzód do oficynki. On szedł za nią zgębiony, zawstydzony. — Nie w takim usposobieniu pragnął ją przyprowadzić do łóżka umierającego.

— Wynoś się stąd — wyrzekła krótko do Haški, wchodząc do izby.

— Ktoś nam jest potrzebny...

— Obudź furmana, każ mu tu zaraz przyjść, słyszysz!...

Haška nienawistnie, po kobiecemu spojrzała na tę drugą kobietę, rugując ją ze stanowiska. Wstyd i zmieszanie Adama wzmogło się. Nagle Rydzik otworzył oczy. Dostrzegł Wiškę — lecz zamroczony już umysł nie umiał rozróżnić córki od matki. Wpatrzył się w straszny, tragiczny sposób. Przeszył ją niemal tem spojrzeniem. Oparła się o ścianę zmienioną, drżącą.

— Czego on chce?... czego on chce?... — szeptała.

— To obrachunek — odparł bezwiednie Adam. Stał przy niej i podtrzymywał ją, bo staniała się bezsilna.

— Jak on patrzy... jak on strasznie patrzy... Wlepiła przecież w niego źrenice, jakby urzeczone tragiczną potęgą jego wzroku.

— Ja mu przecież nic nie zrobiłam...

— Jesteś tego pewna?

— Nie, nie. To on mnie!...

I podrzucona siłą nerwów — rzuciła się od ściany.

— Puśćcie mnie stąd!

Adam starał się ją zatrzymać.

— Podaj mu pani rękę!

— Nic! nic!

— Już patrzy łagodniej, prosi o coś oczami!

— Puśćcie mnie stąd!!!

Owinęła się włosami, jak welonem, i rzuciła się we drzwi. Za chwilę słychać było łomot drzwi w sionce i uciхло wszystko, razem z biegiem jej kroków.

Adam pozostał sam na sam z umierającym, którego oczy stawały się powoli szklane i rozpaczliwie smutne.

X.

Adam powrócił z cmentarza. Rano upadł śnieg i teraz topniał powoli, dręcząc po macoszemu resztki drżących i biednych kwiatków, tulących się w zmarzle i pozostałkie masy bukszpanu.

Adam miał całą duszę pełną goryczy. Ten pogrzeb

męża pani baronowej był tragicznie oschły, nędzny, po-tworny.

Wiały mu dwie chorągwie — jeden ksiądz zawodził cicho, jakby się wstydził, jakby niechętnie spełniał tę ostatnią posługę, choć zmarły pogodził się z Bogiem...

Tak, tak się stało.

I Adam, siedząc teraz w swoim pokoju, widzi jasno, jak było, jak stało się to, że on właśnie w tej zgodzie pośredniczył.

Bo, gdy pozostał tak sam owej pamiętnej nocy z konającym — zwała się na niego ta góra niepewności, która go przy każdym skonie przytaczała i brała za bary. Tak się to uтарыło — to niby poznanie nicości wszystkiego.

Niby przez te skalpele, tę bezbronną martwość trupią, tę martwość ćwiertowanych wołów lub krajanych rzep, buraków...

Nicość, nicość...

To było konieczne, razem z doktoratem, to być musiało.

Lecz coś nurtuje, coś, w te chwile przedzgonne, gdy jeszcze bezwładność trupa nie występuje na plan pierwszy...

I ta myśl, czy mam prawo odbierać ostatnią pomoc, do której duch się garnie? Czy mam prawo nieweczyć to, około czego wita się nic życia? Ja? dlatego, że wiem, ile łokci mają kiszek i jak się płaczą nerwy w tym ciebie?

Kto wie, jak rozpacznie w tej chwili pragnie ten milczący posłyszeć dzwonek, który mu zapowie Pana Boga...

Taki cichy, zbliżający się, jakby gwiazda — dzwonek. I za nim stula... łagodne „Absolvo te...” i dobre słowa.

— „Mój synu... czekają tam na cie...”

Na niego, nędzarza, o duszy obitej szczęściem życiowym, zranionej do głębi tak, że już miejsca niema na więcej ukiuć, na niego, na którego już nikt nie czeka i czekać nie chce...

— A przecież na niego czekają!...

Jaka błogość, jaka radość świata w mroku i pustce.

.....

I dlatego wczesnym rankiem, gdy po odejściu Wiški

na progu oficynki pojawił się zaspany furman, Adam zwrócił się ku niemu:

— Jedźcie po księdza!... — wyrzekł krótko.

A gdy furman czapkę z głowy bezwiednie zsunął, dodał:

— Spieszcie się!...

Furman odszedł cichy i nagle skruszony.

To wielkie słowo padło.

— Po księdza!... będą go dysponować.

A do wezgłowia umierającego przystąpił Adam i wyrzekł wyraźnie:

— Pośląłem po księdza!...

Oczy Rydzika otwarły się i wzniosły się ku górze. Była w nich tak wielka potęga wdzięczności, iż Adam zrozumiał, że ten z oddali tętniący dzwonek wypłoszy nawet pragnienie ujrzenia tej twarzy trójkątnej i rąk białych, gestem posiadania złożonych.

Teraz już po wszystkim. Niema Rydzika, jego klątw — garnków z kapustą — jego istoty, z którą niewiadomo, co zrobić, gdzie podziąć, aby była na swoim miejscu. Podziała się jednak jakoś...

Adam powoli pakuje swoje drobiazgi. Dopiero teraz ocknął się i czuje, że jest tu czasowy i zbyteczny. Tak go ta choroba, ta śmierć schwyciła, że nie czuł, czym jest w tym światku, który do niedawna jeszcze nie istniał dla niego. Wiśki od owej nocy nie widział. Całe dnie spędzał u Rydzika, ona się tam nie pojawiała więcej. Widział tylko światło w oknach jej pokoju. Światło nie gaśło noc całą. Lecz coś tak przeogromnego stało pomiędzy nimi — ta śmierć — rzecz powszednia, codzienna, zwykła — a przecież porażająca swą potęgą i objawieniem swej głębi — że to, co ich wiązało — nikło i schodzić się zdawało na plan drugi.

Teraz jednak, gdy wszystko powracało do tak zwanego „normalnego“ trybu, to drobniejsze brało górę. Życie tryumfowało, mszcząc się za to, iż przez chwilę musiało milczeć zwyciężone. I oto z mgieł i chaosu Adam zaczynał dochodzić do świadomości, iż kocha Wişkę, kocha w jakiś dziwny sposób. Żal, litość, serdeczność, wzmożona do potęgi. Nie wie, czy ta, którą kocha, jest piękna i powabna, nie wie, czy bije od jej ciała prąd, przenikający go do głębi — nie jest harfą nerwów, trącaną zmysłowym powiewem.

Rozserdeczniło się w nim uczucie dla niej aż do tego, aż do najtajemniejszych fibr i drży, i łka i prosi się o nią, aby tulić — aby chronić...

Zmierzcha się.

Na dziedzińcu, zda się jeszcze, są ślady od wozu, na którym wieźli Rydzikowy trup do kościoła.

Tymi samymi śladami powiozą i Adama jutro na kolej — powiozą het...

Zdaleka widać park. Złoty, żółty i brązowy. Zda się, przeszedł po nim pożar. I milczy teraz zacięty w swej nienawiści — tryumfujący, że ten, który sprawiał mu rany i darł jego pnie rozpustą kul — odszedł już precz z raną, która zeżarła mu serce — na nic, na szczer!...

Do okna podszedł Tarajewicz.

— Pan doktor jutro jedzie?

— Tak!

Okno uchylone, ciepło dziś niespodzianie, gdy słońce przebiło zimną biel chmur — i teraz nawet, choć już błękit topnieje na opał, jeszcze powietrze nie mrozi.

— Pan doktor się też u nas naużywał — mówi Tarajewicz, opierając się o okno.

— Nie po to tu przyjechałem.

— Tak, ale musiało się panu doktorowi przykrzeć. Teraz, jak się wyrwie, to sobie użyje.

Rozpustnie mruży oczy.

— Miasteczko? co? kobiety?...

Adam nie odpowiada nic, układa książki. Tak, tak — miasteczko... kobiety...

Widzi je obsypane pudrem, spryskane zapachami, włóczące się w jasności sklepowych światel, lub ledwo odziane z tym grymasem, znanym mu tak dobrze, kryjącym w sobie ciągły jakiś ból — jakąś nieustającą chorobę.

Kobietka!...

Wszak i ona jest taką kobietką — ta blada Wiśka, którą on kocha i która jutro, pojutrze, słyszeć o nim nie będzie. I ona ma już ten grymas wyczekującej w cierpieniu na spełnienie swego przeznaczenia, i ona...

Kobietki!...

Jakież to straszne, tragiczne szyderstwo. Tarajewicz czuje, że trafił w złą chwilę.

— Pan doktor coś nie tego... no — to zmęczenie.

— Tak.

— A przecież, jak dobrze, że pani baronowa nie przyjechała... co?

— Nie wiem.

Tarajewicz odchodzi z wolna, myśląc, że on wie, iż jest dobrze. Kto wie, co Rydzik mógłby babie naopowiadać przed śmiercią. Strasznie ich szpiegował — wiecznie go mieli na karku. Wiedział dużo, za dużo.

Teraz mordę stulił — śmieje się Tarajewicz.

Leciuchno drzewa parku mu wtórują.

— Teraz trzeba się do tej szkapę zabrać, — postanawia Tarajewicz.

Tam, pod brzoza — po siwą sierścią porosłej skórze Babci przeleciał dreszcz. Pochyliła łeb.

I — czeka na śmieć.

Bo ten, który ją chronił...

— Stulił mordę...

Och!... jak!...

.....
Już wszystko ułożone, nawet paski na pledzie ściągnięte.

Jakaś gorączka kierowała tem zbieraniem ubogich drobiazgów. To widoczne.

Teraz — Adam siedzi w kącie pokoju, czując przed sobą straszną, bezmierną pustkę. Taca z kolacją stoi nietknięta. Na komodzie pali się świeca, która rozjaśniła tylko nieduży kąt pokoju. Trzeba stąd iść precz, bez możliwości powrotu — a zostawić tu tyle, że nawet nie spodziało się, iż można mieć poza sobą tyle do zostawienia.

W tej jednej bowiem zaczyna się teraz koncentrować dla niego wszystko. To, co chciał oddać z siebie najlepszemu tysiącom, teraz by jej jednej złożył w ofierze. Wiśka, to synteza całej ludzkości. Kiedyś koledzy, drwiąc z rozczulenia jego na punkcie altruizmu — mówili mu, iż przyjdzie chwila, w której jedna istota skryształizuje w sobie wszystkie jego myśli i pragnienia. Rwał się, przeczył — to niemożliwe!... Dziś — przyszło to na niego, a on, chcąc dać z siebie to najlepsze, musi milczeć, musi odejść...

— Pójdę do ogółu!... — myśli — czyniąc coś dla niego i ją obejmę tym czynem. Może siła mej woli na odległość coś dla niej zdziała!

Okno było wciąż otwarte i cisza panowała tak wielka

jakby w opuszczonej świątyni, którą nawet, nocne ptaki nie nalatują.

— Jaka załoba!... — przemknęło przez umysł Adama.

I Rydzik mu się przesunął. Jeżeli... jeżeli się nie wszystko skończyło...

— Jeżeli...

Jakiż on mądry teraz, jak w jednej chwili posiadał tę świadomość, której żaden z żyjących najmądrzejszych nie posiadał nigdy.

W jednej chwili...

Takich głupi, biedny chłop.

A tu całe życie strawione na dociekaniu tego, co przecież musi być ogromnie proste, ogromnie jasne...

.....
Zaszemrało nagle u drzwi.

W pierś Adama jakby ktoś uderzył. Przeczuli ją — tam, poza drzwiami, wahającą się, pomieszaną.

Chciał wstać, drzwi otworzyć — wyjść na jej spotkanie, ale lękał się poruszyć. Z zapartym oddechem — czekał.

Weszła.

Gdyby Adam nie był prostym, nieskomplikowanym chłopcem — od razu uderzyłby go jej strój.

Była w klasycznej bieli, w długiej cienkiej welnie i w pianie koronek. Włosy, związane purpurową wstążeczką, spływały na plecy. Z pod brzegów sukni wysuwały się czerwone, złotem haftowane pantofle.

Oczy błyszczały nienaturalnym blaskiem. Zdawała się wychudłą i wyższą. Trzymała w ręku świecę, którą zgasiła, wchodząc do pokoju. Postawiła lichter na konsolce i podeszła do stołu. Oparła się na nim ciężko, jakby wyczerpana. Chwilę tak stała — wreszcie osunęła się na fotel.

— Co będzie z nami? — rzuciła krótkim, urywanym głosem.

Adam powstał, lecz nie podszedł ku niej. Zaskoczyło go tak nagle. Był już prawie zrezygnowany i nie spodziewał się niczego więcej.

Ona patrzyła na niego przez chwilę pałającymi oczyma.

— Więc, dla ciebie to wszystko, co się stało, jest niczem? — spytała, a głos jej drżał. — Czy sądzisz, że ja tak łatwo czynię tego rodzaju ustępstwa, że jestem

jedną z tych waszych flirtów kołtuńskich, mieszczańskich?

Coś jakby ją zdławiło. Wyglądała nieprzytomnie. Chciał ją błagać, aby się uspokoiła, aby odeszła stąd — nie mówiła tych rzeczy banalnych, szargających jego uczucie po jakiejś utartej ścieżce powszednich zgrzytliwych flirtów — lecz lękał się rozdrażnić ją więcej i posłyszeć to, czego słyszeć się lękał.

Zresztą, tu nie szło o to, co ona mówiła, tu szło o zuchwałość samego faktu, o to wtargnięcie do niego, nocną porą, o to ślepe zdanie się na los, na fatalność, na to, co on z nią uczynić zechce.

I trzeba było nie chcieć — nie chcieć za jakąkolwiek cenę.

Tymczasem — Wiśka przez długą chwilę oddychała ciężko. Ta cisza przesycala się jej wielką namiętnością. Była nieskończenie piękna. Długie paznokcie nadawały jej rękom kształt pazurów gryfa. Brakowało jej tylko skrzydeł — pochylenie głowy na wysokim tle fotelu dopełniało złudzenia.

— Dlaczego mnie nie chcesz?...

Jakie to było straszne, jakie to było tragicznie bezcelne, jakie to było przechodzące wszystko, co wymarzyć można.

Adam aż przymknął oczy, tak go ten cios dotknął. Lecz równocześnie przemknęło mu przez ten pocziwy, dziecięcy umysł, że on ją znieważa — że Wiśka ma na myśli małżeństwo.

I smutnym odpowiada głosem:

— Cóżbym ci dał w tem małżeństwie, Wiśka, cóżbym ci dał?

— W małżeństwie...

— Nie, nie... nie jestem tak dalece bezinteresowna. Nie chcę cię wiązać i wlec się za tobą. Ja nie znam siebie, ja nie wiem, do czego jestem jeszcze zdolna. Wiem to tylko, że wtłoczone mam w siebie straszne instynkt... patrzyłam na straszne rzeczy.

To wszystko mam w sobie i wypluję może podłymi czynami. Jakże więc być żoną? jak?

Łamie ręce, drży cała.

Adam przypada do niej, klęka, za ręce ją chwyta.

— Nie mów tak, nie mów tak. Serce, uczucie cię osłoni...

— Serce? nie wiem nic o niem. Matka jedynie

może w córce je zbudzić. Moja matka się o to nie troszczyła...

Podniosła się z krzesła wyniosła, smukła — ręce w górę rozwiała.

— Przekłeta jestem! Parya!... — odepchnięta... nikt mnie znać nie chciał... świat się mnie wyparł... nie na żonę... nie...

W Adamie serce rwie się na strzępy. Objął ją — tuli się do jej kolan.

— Nie mów tak... Ja cię kocham... ufam ci... potoczmy się... będzie, co być ma.

— Nie! nie!... ja wiem, że może być źle — takie jest marne, głupie przysłowie o jabłku. I choć ty wierzyć mi będziesz, ja sama się podniecę — zasugeruję... Tak! tak! — i potem co? Z jakim Toczyskim, z jakim Rydzikiem — po kątach... jak... jak...

Straszny, nieludzki płacz zdławił jej ostatnie słowa.

Jako kochanka... dobrze. Nic nie przysięgam, nic nie biorę na siebie. Gdy zdradzę, gdy pójdę utartą dla mnie ścieżką — to nie będziesz mieć prawa... A potem ludzie — ludzie. Cóż to? nie widzisz? Ja tylko mogę przestawać z mężczyznami — wszystkie kobiety uciekają odemnie. To jej córka! I pomyśl... byłbyś mężem tej jej córki!... Każdy powie. — Taka sama!... Ach! podłe, podłe!

Rwała na sobie podzież.

Pochyliła się ku niemu.

Włosy jej znów opadły na jego głowę — odurzająca woń owiała go. Pod ciemnym płaszczem zbliżała się ku niemu blada twarz, rozchylone usta.

— Jako kochanka...

Na czoło mu spadły jej łzy. Ostatnie, gorące.

I to wystarczyło.

Odsunął płaszcz włosów.

— Jako żona!

Nie. Zanadto uczciwa... Jako kochanka!

Zanadtom uczciwy — nie!...

Pochwycili się za ręce. Siła z nich biła. Oczy im płonęły naprzeciw siebie. Słychać było tylko wśród nocej ciszy, jak dyszeli oboje ciężko.

— Idź stąd... — szeptał mężczyzna.

— Nie... nie...

Pozostawało jemu uciec, lecz instynktem czuł, że to będzie zbyt wielką dla niej obelgą.

Po raz pierwszy — on — na wskrós uczciwy,
w kłamstwie dostrzegł możliwość wyjścia.

— Nie pojedę jutro... we dnie mówić będziemy!

Teraz, idź stąd! ja tego żądać!...

Wyprostowała się — otarła włosami łzy i patrzeć
mu zaczęła prosto w oczy.

— Nie umiesz nawet kłamać — wyrzekła niskim,
zmienionym głosem — a może, gdybyś się ze mną
ożenił, miałbyś ciągle z kłamstwem do czynienia.

Poprawiła na sobie ubranie i skierowała się ku
wyjściu.

— Pamiętaj! — wyrzekła, stojąc już na progu — że
tej nocy z nas dwojga uczciwszą i szerszą byłam ja,
nie — ty! —

Wyszła.

Gdy drzwi się zamknęły — Adam mimowoli wy-
ciągnął ręce w jej stronę. Ale ona nie wróciła, i Adam,
upadłszy twarzą do ziemi, jakby ślady jej stóp całować
zaczął.

.....

Zaszumiały drzewa parku cicho — niewyraźnie,
i szum ten przebiegł równią w mgłę białej skąpaną.

Tam, gdzie stoją krzyże smukłe nakształt szarych
aniołów o rozpostartych wąskich skrzydłach...

Tam, gdzie nagle rząd topol wytryska i bramuje
jakiś niewidzialny grób nierówną, ostrą kratą...

Tam, gdzie panuje w przestworzu wieczysta za-
gadka i zlewa się falami z rozwiązaniem przesmutnych
pytań...

Tam, gdzie dola jednostki tonie w doli wszech-
istnienia i zatracą swój ból, aby wspólną mękę na siebie
przyjąć...

Tam płynie szum wichru i łkanie dwojga młodych,
którzy popadli w błędne koło i dusze w niem swoje
topią.

.....

On — przedziwny romantyk, mający wytłóma-
czenie wszystkich błędów dla drugich — dla siebie ostry,
jak kat.

Ona — kasztelanka, smukła — w jesienne barwy
strojna, dziewica rozwiana Fra Filippo Lippi — z duszą
sponiewieraną przedwcześnie, ze zwątpieniem zupełnem

w cudowne źrenice, ze zwątpieniem w siebie, w uczci-
wość, we wszystko, w Cud!

.....

Po równi białej falami, delikatnie, jak żałobna pieśń
wizyi, które napróżno biją o witraże cichych kaplic, płyną
łkania. Jakie one biedne, tragiczne, beznadziejne... Ludzkie
łkania...

Modlitwy niewysłuchane...

Rozwiewne.

Jak mgły!...

CZĘŚĆ CZWARTA.

I.

- Pan ustąpi swego pokoju?
- Dobrze, panie dyrektorze.
- To będzie już raz ostatni.
- Ależ...
- Wypadek nadzwyczajny. Pomieścić musimy.
- W tej chwili — już jestem gotów.
- Niechże pan weźmie choć pled ze sobą.
- Mam palto.
- Tak, ale pacjentka może tu zabawić parę dni...

więc...

- To przyśle Necia. Chodźmy.

W palcie watowanym, narzuconem na nocną koszulę, w filcowych pantoflach — idzie Adam szybko kurytarzem malowanym olejno. — Za nim postępuje kocim, zwinny krok dr. Strawicz, trzymając w ręku lichtarz z zapaloną świecą.

Długie cienie — załamane towarzyszą im. Dochodzą do balustrady wschodów.

- Czy mam iść przyjąć pacjentkę?

- Proszę! choć może ja...

Adam patrzy na pobladłą twarz dyrektora, nie lubiącego, gdy go „wyciągają z łóżka“.

- Niech pan dyrektor idzie, ja sam to załatwię!

- Rzeczywiście, umieram ze snu.

Oddaje Adamowi świecę. Na dole w kancelaryi słychać jakiś szmer.

- Czy jest na dole?

- Tak!

- Co to?

— Nie wiem — zdaje się sarcoma. Nie czytałem jeszcze listu.

Adam naciąga palto, zapina je i schodzi na dół. Wielkie lustra, porozmieszczane na przestankach, odbijają jego postać. Rok minął od chwili jego wyjazdu z domu baronowej. Wyrósł, wyciągnął się — dziecinny wyraz twarzy znikł i oczy mu zapadły.

Szedł cicho, lękając się obudzić te śpiące nędze, którymi całe sanatorium zawsze przepełnione było.

— Chwila złudzenia... snu... niech śpią. Na pierwszym piętrze przystanął. Zdawało mu się, że „numer 16“ — świeżo operowany — jęczy. Lecz było to złudzenie. Notariusz z małego miasteczka, któremu profesor kilkanaście godzin temu rozcinał tak sprawnie brzuch i porządkował poskręcane jelita — zachowywał się cichutko w swym żelaznym łóżku, zaścielonem ze szpitalną, smutną czyśnością.

— Kogóż tam znów na dole zastanę? — myśli Adam, schodząc dalej — jakież nowe nieszczęście wyrwało się z ogólnych galer i idzie tu zbuntowane po ulgę... Kto ona?

Otwiera drzwi kancelaryi, pretensjonalnie umeblowanej. Mebelki filigranowe, porzucane na nich pluszowe kwadraki, kilka sztychów banalnych, na których kobiety i kwiaty, kwiaty i kobiety — dywan zielony w duże róże.

Przy mdłym świetle abażurkiem przysłoniętej świecy jakaś postać raczej leży w fotelu. Fałdy rotundy opadły dokoła.

— Wreszcie! — mówi ostrym, zmęczonym głosem. Adam podchodzi bliżej — widzi delikatną twarz porcelanki saskiej — złote, sztucznie dokolorowane włosy wiją się nad czołem.

— Spodziewaliśmy się przybycia pani dopiero za trzy dni.

— Proszę mnie zaprowadzić — i pozwolić się położyć. Zmyliłam pociągi — jadę z dworca, umieram ze znużenia...

- Służę pani!

Ujął ją w pól i prowadzi na górę. Ogromna doza kobiecości wieje w szmerze jej sukien, w bieli woskowej jej rąk. Jest sama jedna, zjawia się tak wyczerpana, chora... Adam widzi, jak na jej rzęsach drżą żyły. Podobno to śpiewaczka z operetki. Jedzie z Zakopanego. Przebyła jedną operację...

Och, słodka dziewczyno, Gejszo o złocistym wachlarzu, Fatinico strojna w jaskrawe paciorki — czy to ty się wleczesz wśród ścian sanatorium, dzwoniąc brelokami u twych porte bonheur'ów?...

Ostatni akt... ostatni to akt, Heleno, żono Mene-laja — może jutro, może za dni parę odpoczniesz.

Bez zmiany płyną tak dni, płyną tak noce Adamowi w tem sanatorium. Wróciwszy ze wsi, chciał się jąć nauki, nie szło mu. Za mało miał siły, aby porwać się z przeciwnością za bary. Przeszedł przez tak niezwykle chwile, taki pożar przesunął się po jego ścieżce, iż nieprzygotowanym będąc — wyczerpał się na razie. A wyczerpało go nietyle samo przejście, ile raczej rozpamiętywanie i ciągłe przeżywanie tego, co minęło. Żył nią ciągle, tą kobietą o trójkątnej twarzy i ciemnych plamach oczu. Była koło niego wraz ze swymi dwoma cieniami, równie, jak one, niepochwytne i tajemnicze. Bo na pozór zdawać się mogło, że odkryła swą głębię, że z brutalną szczerością ujawniła to, co było jej treścią — a przecież Adam czuł, wiedział — że ona mu pozostała niepojęta i że nic o niej nie wie właściwie. Bo przecież poza tą, która z taką siłą leciała ku zadowoleniu szarpiących ją zmysłów — była jeszcze ta druga, ta z dwoma cieniami, dochodząca w swej rozpacz do samego skraju, godząca na siebie samą, na to właśnie narzędzie rozkoszy — aby je unicestwić i zniknąć w tej formie swego bytu.

— Dlaczego szło mi o szablon, dlaczego koniecznie małżeństwo — myśli często Adam. — Byłbym ją tak kochał, tak uczył kochać — że stałaby się żoną, nie wiedząc nawet, nie czując przymusu. I byłbym ją ocalił!...

Dreszcz go przeszywa — dreszcz trwogi.

— Kto wie, co się z nią dzieje! A jeśli to najstraszniejsze, jeśli znów... nie zawsze los postawi mnie na jej drodze, jak wówczas. Kto ją ocali?

Myśli o jej chęci samobójczej — lecz równocześnie obok niego przesuwają się jakieś pojęcie, że to nie jest tem najstraszniejszym. Są jeszcze inne możliwości potworne...

Gorsze niż śmierć!

Gorsze — gorsze.

Jakże się tu uczyć, jakże? — Przyjął miejsce w prywatnym Domu Zdrowia, jako asystent. Niema jeszcze do tego prawa, ale profesorowie, operujący w sanatorium, nie są bardzo surowi, i przekonawszy się, że wszystko jest w porządku, nie robią mu trudności. Sanatorium jest

zawsze przepelnione, pacyenci czekają po hotelach na wolne miejsca — gnijące ciała ludzkie jest bowiem najpewniejszą lokatą. Adam jest sam — wraz z wiecznie znużonym dyrektorem, który robi wrażenie człowieka, żyjącego ponad zakreśloną mu linię. Czuwanie nad pacjentami, nad ich gorączką, opatrunkami, przygotowywanie sali operacyjnej, wygotowywanie kilku kompletów narzędzi, asystowanie przy operacjach, podnoszenie na duchu chorych — tysiączne szczegóły wiecznej walki z bezustannie kołącą śmiercią — z początku absorbują zupełnie Adama. — Klientela sanatorium różni się najzupełniej od tej sfery, która zapełnia szpitalne sale. Adam wchodzi pomiędzy ludzi, którzy mają za co chorować.

Niemniej przecież jednakowo gniją, rozpadają się na strzępy i jednakim głosem jęczą wśród nocy. Chloroformowani ryczą z równą rozpaczą bezsilną — a tylko w nocie bezsenne tamci częściej wołają:

— O Jezul... o Maryol!...

Powoli przecież z tych cierpień ogólnych wyłania się ból serdeczny i niepokój jego własny, i zaczyna być już nie w nim, lecz obok niego tak, że staje się jego nieodłącznym towarzyszem. I rzecz dziwna, w każdej chwili — przy każdym cierpieniu, zwłaszcza kobiety, mdlejącej mu w ręku w przeddzień operacji, w każdym jęku cichym — przedłużającym się łkaniem — Adama trąca o wspomnienie Wiśki.

I gdy pochyla się do opatrunku, gdy taką chorą koi spojrzeniem, gdy tym, którym chloroform wzbронiony, zaciska krępujące je do stołu operacyjnego rzemienie — wciąż coś o struny jego duszy trąca i jakby on jej oddawał te przedzgonne usługi, czy jakby ona stała tuż blisko i współczuła z nim samym...

Nie wie już nic, nie może pojąć, jaki to ma związek — a przecież ten związek jest, jest bezsprzecznie.

Ten mój ból, ten ich ból spływają w jedno — myśl.

I zaraz wyłania się dalej.

Jej tak samo, jak im, nic pomódz nie mogą... nie... chcą, szarpia z siebie całą wolą, wszystką nerwową siłą i nic... Tu ciało rozpada się w zgniliznę, tam dusza, jej dusza. I ja nic nie mogę!

Bo — przyszło na niego to najstraszniejsze — to, które razem z siwymi włosami na lekarzy nachodzi.

Po tysiącach wysiłków, tysiącach prób, w czasie których nerwy jak siatka drżą wytężeniem, nadzieją, niepokojem, w których zużywa się rozpęd młodzieńczy i przeznaczona na całe życie siła — przychodzi taka chwila...

I staje oko w oko.

Lekarz opuszcza ręce

I mówi...

— Nic nie mogę!

Mówi cicho do siebie — w duszę swoją.

Lecz — mówi.

— Nic nie mogę!

To już jest — straszne, takie przejrzenie prawdy, takie starcie się zupełne, takie przyznanie się do przegranej.

— Nic nie mogę!

A przed nim i za nim bieży ciągle fala chorych i jęczy — prosi — domaga się, rozkazuje.

— A on nic nie może!

O straszne chwile ciszy, gdy z wytężeniem przytulone do ścian postacie śledzą biegnące po papierze pióro. Recepta... „rp.“ nowa recepta! Teraz ta prawdziwa, ta uzdrawiająca... I już wstępuje nowa nadzieja, byle tylko ta recepta...

Doktor pisze...

A sam do siebie mówi z bezbrzeżną melancholią.

— Ja nic, nic nie mogę!

Z Adama starła się nagle ta siła młodzieńcza i stanął na progu świątyni Śmierci — bezsilny i nieuzbrojony. Nie siłą bowiem i rozpędem przepojony był cały — lecz — Miłosierdziem.

Błękitne anioły współczucia utkały jego duszę.

A szedł w królestwo śmierci. I ręce miał pełne kwiatów litości a nie stalowych błysków.

Drżał zapinając rzemienie, krzyk operowanego przenikał go do głębi.

— „Oswoisz się“ — mówili mu koledzy.

Miał oswoić się — popadał w coraz większą tklliwość.

Bo to był „dobry“ — tylko „dobry“ chłopiec.

Nic więcej.

Bartnikiem mu być, pomiędzy pszczołami, wśród szarych ulów w cichym, bardzo cichym sadzie.

Z miodnych łąk dolatuje brzęk, z kwietnych łąk dolatuje szum.

On siedziałby cichy i jasny, i patrzył, jak biegną złotym pyłem obsypane pszczoły i nikną, nikną.

Rolnikiem mu być i o złotem południu iść w łany żyta, srebrną morą się mieniące. — I gnać w rozwarłe nozdrza chlebną woń, a w siebie rozkoszny poszmer kłaniających mu się w pas kłosów.

Nauczycielem mu być pokornym i pracowitym, który wczesnym, różowym rankiem o drgającym złotem powietrza do róż swoich się garnie, do róż, których krzaki wyprosił po świetle i pod oknem mu kwitną w noc księżycową, rozwijając delikatne liście.

Wszystkiem tem mu być, tylko nie lekarzem, i nie rozkochanym w Wiśkach.

Dziś wycinano nerkę i skrobano kość, jutro od świtu sala operacyjna, czysta, biała, jak sypialnia pensjonarek — zajęta.

O dziewiątej wycinanie raka w piersi tej bladej nauczycielce, która ciągle się modli i obrazek przywieziony ze sobą do ust ciśnie; o jedenastej łamanie nogi źle zrosniętej młodzikiem chłopcu; o pierwszej trepanacya czaszki...

To dosyć. Więcej czasu nie starczy. Dnie krótkie. Inni niech czekają swej kolei. Adam karnecik zamknął i czysty fartuch wdział szybko.

To białe ubranie, ten kaftanik, zapięty aż pod szyję, nadawał mu jakieś bardzo młodzieńcze piętno. — Coś się jednak w jego twarzy zmieniło. Nie było to dziecięce w kącikach ust, które mimo wszystko się tam czało.

Staje na stanowisku ktoś, co także sam przeszedł ból. Nie fizyczny, ale ból także, od którego kurczy się i mdleje serce. I dziwne mu to chwilami. Przecież ostatecznie niby się tak mu przez życie tylko przemknęło, a tak się wżarło podle, nieludzko.

Ach! jak podle.

Właściciel sanatorium bardzo z asystentą rad.

I operatorowie chwalą go. Kompletu narzędzi, jak lalki. — Chorzy chcą go mieć przy sobie do ostatniej chwili, wdzięczny wzrok go ściga.

— Nic dziwnego, kobiety — mówi jeden, drugi — ale mężczyźni.

— Czem ich zyskuje?

A on tylko ma dla nich wielką dobroć i czuje z nimi razem.

Nawet taki biedny jakiś posesor, co się przywłókt ze swego kąta i przywiódł ze sobą nieodłącznego żyda. Tego żyda uwiązał za palec na noc i każe mu spać na sofie. Ciągnie za sznurek, żyd się zrywa. Otwarli posesorowi brzuch — popili się z żydem wieczorem po operacji. Adam całe noce czuwał później nad nieprzytomnym i miał dla niego pełno dobrych słów i tkliwości.

— To bydlę... — mówił profesor.

— Nie — to chory — odpowiadał Adam.

Bo on odczuł, że „chory“, to cały osobny świat, smutny — dziwny — pełen majaczeń — szalonych zachceń — dziecięcych rojeń — śmiertelnych trwóg i tęsknot. Tam dusza na odlocie drży, jęczy, płacze.

Tam dusza na odlocie trwoży się i kaja. I ten obrachunek dni ubiegłych...

Długi — walący się ciężarem ziemi na wieko trumny.

I myśl, że się już wszystko „skończyło“. Dla jednych pustka, lodowata, głucha.

Dla drugich ołtarz kwiecisty, strojny i gwarny.

Lecz tu i tam — zakończenie.

— I — obrachunek.

To... najstraszniejsze... A najgorsze, że w tym świecie chorych jest nawet pomieszczenie na zjawiska proste i nieskomplikowane. — Prawdziwe obrazy, wiszące nad łóżkiem kucharek, z tańcem czarownic, kotłem, dyabłami w czerwonych przepaskach. — Kultura, wykwinty estetyczne — cała harfa wieków, wiedza, idee, snopami siły bijące huragany kataklizmów dziejowych — to wszystko... nic, nic.

Mały świat chorych oddzielił się niemal murem nieprzebytym i poza nim drży, jęczy, trwoży się — ma nadzieję — wąpi...

Wszystko — wszystko.

I Adam, w ten świat wszedłszy, żyje tem życiem drobnem, gdzie przecucie słońca cieszy, gdzie mucha, brzęcząc, ciągnie za sobą oko i wywołuje uśmiech, gdzie

są z drobnych dla zdrowia faktów tragiczne katastrofy a z katastrof drobne pyłki.

— Jestem, jak oni — myśli Adam, wsłuchując się w monotonny głos chorej, utyskującej na złe zestawienie obiadu.

— Barszcz... kompot ze śliwek...

Aż łzy jej z oczu płyną. Wychudzone ręce drżą. Adam myśli, że ta kobieta jest sama, że całą noc obrachowywała się ze swem życiem, że tylko jęk wichru w piecu koł jej ból i żal — i przejmują się jej bólem i żalem.

— Śliwki i barszcz...

On co innego wyczuwa w tej banalnej skardze, łagodnie, serdecznie stara się odwrócić złe myśli. Przyniósł właśnie w fartuchu małego białego kotka. Ten kotek to jego wielki sprzymierzeniec. — Pomaga mu nieraz w najcięższych chwilach. — Położony na łóżko chorego biały, cięższych chwilach. — Położony na łóżko chorego biały, puszysty, wyciąga aksamitne łapki. I wielka „tragedya“ zakończona — przecięta jakby białą nenufara, opadłego na martwiejącą toń zakłętego stawu. — Uśmiech zakwitł. Coś drobnego, pełnego wdzięku dziecięcego tuli się i wdzieje. Takie drobne małe kocię!...

Dyrektor sanatorium sztydzi z Adama i jego kota.

— Z pana dziecko! Przyznam się panu, że asystent powinien mieć więcej powagi! — Adam nic nie odpowiada. Ale — on już wyczuł, że nie na rozdawaniu trucizn i błyskaniu skalpelem zawisła siła lekarska. Coś innego. To — coś lepszego.

Czasem — gdy Adam wyjdzie z sanatorium „na świat“ i nagle go uderzy ten ogrom energii, którą ludzkość rozprasza i rozruca często bezcelowo z lekkomyślnością szaleńców — czuje się przerażony i wszystkie fibry drzeć w nim zaczynają jakby z trwogi.

— O przyszłości myślą — tłumaczy — działają w szerokim kręgu, rzucają wielki siew, ścinają zmurszały las, czynią miejsce dla nowych, świeżych sił...

I czuje się nędzny, drobny, mały ze swą łagodną mową i rękami siostry miłosierdzia.

I ogarnia go zwątpienie.

— Czy jestem potrzebny? — czy to, co robię, nie jest tylko zamęceniem przebiegu koniecznych wydarzeń? — Czy nie mając sił ani pędu do wielkiej pracy, wydatnej i płodnej w następstwa, nie powinienem raczej

usunąć się w zupełny cień, lub... zniknąć? — Przebiega go dreszcz. Pchnięciem noża przebiega mu przed oczyma wizya kobiety o dwóch cieniach, sunących wzdłuż muru, i potem huk tramwaju.

— Co to? — myśli — co to?

I przyspiesza kroku. Powraca do sanatorium, porywa fartuch, stuka do drzwi. Wszędzie spotyka go radosny uśmiech.

— A... pan asystent!

Czasem blada, bezkrwista twarz od poduszki się odrywa.

— Bez... kotka?...

I to, co wydawało mu się śmieszne, głupie i drobne, zaczyna rósć do rozmiaru rzeczy głównych. Wywołanie uśmiechu na usta drgające bólem, złagodzenie choćby chwilowe rozdzierającego jęku pokrywa ważnością swą ogrom idei, jak snopy tryskających sił i potęga przyszłości.

Och! ten świątek! ten drobny, mały świątek chorych, jak garnie ku sobie, jak chłonie — choć nic nie żąda, o nic nie prosi — tylko z poza mgły też, tylko tym cichym jękiem...

Adam już nie myśli, że jest nieużyteczny, że zginąć powinien. Nie oblicza marność swych sił, nie ma pogardy i trwogi — lecz stara się być w tym światku tem, czem mu być sędzono.

Zbliża się termin dwutygodniowego urlopu Adama.

— Pohula pan sobie trochę... — śmieje się dwunacznie dyrektor.

Adam uśmiecha się z przymusem. Ten odpoczynek ubiegłego roku przedstawia mu się, jak szereg dni nie-miłych, w czasie których jakaś kasyerka z zakładu fotograficznego czepiała mu się u ramion, proponując przechadzki po parku miejskim. Dziewczyna była na pozór miła, o dużych, błękitnych, wylektych oczach. W zbliżeniu pachniała nadto tanim Chyprem, miała dużo materjału na sentymentalną kokoikę i niewyczerpaną dozę kłamstw prawie subtelnych. — Adam czuł się nią bardzo szybko zmęczony i ogarniał go ciągły niesmak i jakaś dziwna gorycz. Anna nie kryła się nawet z tem, iż uważa ich znajomość za coś bardzo przelotnego.

— Gdy wyjdę za mąż... — powracało bezustannym refrenem na jej usta.

Rozeszli się bez porozumienia, a poprostu przestali się widywać. Adam uczuł ogromną ulgę, gdyż przez cały ten czas odpędzał od siebie myśl o Wiśce. Sądził, że mu to przyniesie pewne ukojenie. Tymczasem po radości, z jaką dusza jego wróciła do dawnych, bolesnych wspomnień, zrozumiał, iż był w błędzie.

— Więcej tego szukać nie będę — postanowił sobie.

Dlatego, gdy dyrektor podsuwał mu myśl „przehlania“ urlopu, uśmiechnął się smutno.

— Nie — pojedę raczej na wieś! — odparł.

— Wyborna myśl... pokój pana mi właśnie potrzebny.

— Właściwie jeszcze nie wiem...

Lecz dyrektor uczeplił się tej myśli, rad, iż na dwa tygodnie znów wynajmie pokój asystenta.

— Przeciwnie — jedź pan. Świeże powietrze wybornie panu robi. To nawet konieczne.

Jesteś pan blady, przenerwowany. Jako lekarz każę panu wyjechać...

Adam rozumiał wybornie pobudki tej troskliwości. Wstyd mu było za tego człowieka, który w obłudnej chęci zrobienia „pieniędzy“ — tracił miarę i takt.

— Dobrze... pojedę... — odparł.

— A kiedy?

— Pojutrze.

— Wybornie. Więc ja telegrafuję do pacjentki — ze może przyjechać.

Coś jakby bezwiednie szarpnęło się w Adamie.

— Kto to? — zapytał.

— Ktoś ze wsi...

Dyrektor patrzył uważnie na swe paznogie. Zdawał się jakby zmieszany. — Wreszcie dodał:

— Pan nie zna... a potem... to tajemnica.

— A!...

Dyrektorowi widocznie zależy na tej pacjentce — pilnuje wyjazdu Adama. Sam, wbrew zwyczajowi, przyszedł przypilnować przygotowania pokoju. — Wniesiono jakiś fotel w białym pokrowcu, anemiczną palmę, opięto firanką stolik i ustawiono na nim pożyczone przez panią dyrektorową srebrne lustro. — Pomywaczka ubrana w czysty kaftanik i fartuch miała za osobną „dopłatą“ — udawać wykwalifikowaną dozorczynię... Nad wieczorem przyniesiono niewielki bukiet żółtych nicejskich róż, które pan dyrektor ustawił własnoręcznie na biurku obok atramentu i wody kolońskiej. — Róże były smutne i zmar-

znięte. Zdawały się konać powoli i z rezygnacją. Adam patrzył na te wszystkie przygotowania z jakąś odrazą. Coś nim targało, coś niezrozumiałego. Po raz pierwszy żałował, iż pozwolił dyrektorowi rozporządzać tym pokojem. — Raczej było drzwi zamknąć... myślał, przygryzając usta. Gdy wreszcie znalazł się na dole i w sali jadalnej pił herbatę, mając przy sobie zniesioną z góry walizkę, niechęć ta wzrosła jeszcze więcej.

— Czy to egoizm? — zastanowił się — dlaczego gniewa mnie to, co wypełniałem kilkanaście razy chętnie i bez jakiegokolwiek przykrości...

Starł się więc nie myśleć więcej o tej sprawie. — Usiłował wyobrazić sobie swego wuja księdza, do którego jechał na te dwa tygodnie. Czy bardzo zmieniony? Czy to posunięcie się w lata nie przyniosło mu nowych myśli, nowych a szerszych poglądów na to, co ludzką zbrodnią i złością mieni?

Zegar w jadalni wybił dziewiątą godzinę. Chrapliwie rozległy się te dźwięki w ciszy wieczornej. Tylko zdaleka, od kuchni rozlegał się głuchy łoskot zrzucanych na stół talerzy i piskliwy głos opowiadającej coś pomocnicy kucharza. — Adam miał jechać za godzinę. Usunął się jednak wcześniej ze swego pokoju, bo pociągami o dziewiątej miała przybyć oczekiwana pacjentka. — Adam powstał od stołu i przeszedł do saloniku. Pałała się tu lampa, przysłonięta zielonym abażurem. Adam usiadł na fotelu z pasowo lakierowanej trzciny i pozostał nieruchomy. — Ogarnęła go ta zwykła u niego trwoga, która go zwykle ogarniała w chwili powrotu do „świata“. — Znów uczuje się niczem... pomyślał ze smutkiem — ogarną mnie rzeczy wielkie i przyniosą swym ogromem.

Cicho zaturkotały koła powozu przed oknami sanatorium. Dyrektor dla reklamy kazał pewną przestrzeń ulicy wyłożyć brukiem drewnianym, co wzbudziło wielką sensację w całej dzielnicy. — Czuwał widocznie gdzieś ukryty, bo Adam posłyszał, jak z góry wydawał rozkazy portyerowi i służbie. — Drzwi wejściowe otwały się i Adam posłyszał kroki kilku osób. — Szmer sukien, niedyskretny szelest jedwabiu, jakiś głos kobiecy przyciszony — mówiący coś jakby po francusku — i wreszcie umilkło wszystko. Adam siedział ciągle nieruchomy, przyciskając palcami powieki. Nikto to wszystko w pyłę, unoszącym się z katafalków, siert oblatanych srebrnych blaskiem księżycą.

Boże! Boże!... mimowoli cisnęło mu się do ust i serce mu drżało bólem dni minionych.

Jak długo tak siedział, nie wie sam. Skrzyp drzwi otwieranych od sieni budzi go. Podniósł głowę i widzi, jak dyrektor do niego plecami unosi portyerę i wprowadza kogoś do saloniku. — Widocznie chce przejść z tą osobą do kancelaryi, do której trzeba przejść przez salon. — Gdy odwróciwszy się, dostrzega Adama, jest już zapóźno. — Prostuje się i ukazuje ręką drogę.

— Przejdziemy tędy...

Po chwili wahania dodaje:

— Mój asystent.

I zaraz do Adama się zwracając:

— Sądziłem, że pan już na kolei.

Adam nie odpowiada nic, wpatrzony w idącą za dyrektorem kobietę.

Jest to wysoka, tęga dama o płowo-złotych włosach, umiejętnie uczesanych w spiętrzone nad brwiami fale. — Bogate futro nurkowe odziewa ją niemal do stóp — gro-nostajowe klapy śnieżne plamy na pierś kładą. — Wielki tok z nurków, strojny pomarańczowym rajerem, okrywa jej włosy. Jest bardzo strojna, bardzo biała, bardzo szeliszcząca, pachnąca. — Sunie zwolna przez salon, zajmując sobą wiele miejsca. Adam wpatrzony w jej twarz, w jej oczy, ma wrażenie, że tę kobietę zna oddawna, że patrzył na nią godzinami całymi, że te zbyt czarne oczy ciemniały przed nim z jakichś mgieł, z jakichś chmur w chwilach tragicznych czyjegoś istnienia.

Lecz gdzie? kiedy?

Okrągła, nalana tłuszcem twarz kobiety rysami swymi nie przypomina mu nic, a przecież targa się w nim cała jego istota i budzi, i drży każda fibra bólem nieokreślonym.

I nagle, nagle, w świetle lampy dzieje się rzecz nie-zwykła. Kobieta, przechodząc już u drzwi kancelaryi, odwraca się i obrzuca spojrzeniem Adama. Wytwornie ładnym ruchem skłania głowę, a równocześnie uśmiech, się. W kącikach jej ust przez mgnienie oka mignęło coś białego, coś dzikiego...

Uśmiech tych kobiet z równi płowych. Z parków bramowanych złotymi strzałami.

Gdzie poranione drzewa strząsają deszcz szumiących liści.

Gdzie wicher rozwiewa jęczące gałęzie jarzębin.

A szare sarny wrzosi różowe roztrącają, wpadając do alkowy lasu...

I dreszcz przebiega, dreszcz od kobiecych rozmolonych ciał tryumfalnym Hymnem wszechmocnego Piękną.

I ręce wyplątujące się z gęstwy czarnych włosów opadają skrzydłami biorących w posiadanie.

I tak już ciężąc pozostają.

Złotowłosa kobieta znikła za portyerą.

Adam stał długo wpatrzony w miejsce, z którego zeszła — niepewny, spłoszony, jak ptak z gniazda.

II.

Dwa tygodnie przewlokło się, jak ciężka jesienna chmura. — Adam wraca do miasta. Siedzi w wagonie trzeciej klasy. Żółte światło lampy świeci nad nim, a przez okna resztki dnia płyną. Adam przymknął oczy i siedzi w swym kącie nieruchomy, zastłuchany w siebie. — Ciągły niepokój go szarpie. — Zwłaszcza tam na wsi, w tej ciszy ubogiej plebanii cierpiał najwięcej, chcąc uwięzić myśli drżące i błędzące dokoła sanatorium. Starał się zająć tem, co go otaczało. Lecz — ani wuj skosniały coraz więcej w swych zapatrywaniach, ani ten lud o duszy i siroju pół-tyków miasteczkowych, ani wreszcie to otoczenie, z którego powoli ulatywała poezja prymitywnego piękna, nie były w stanie trzymać jego myśli na uwięzi. Kilkakrotnie wyzywał wuja na dysputę; ten starał się po dawnemu zawiązać z nim wymianę myśli, lecz ocieżał — zrobił się mniej jasny, zgorzkniał i na wszystko wzruszał ramionami. I chwilami nawet zdawało się Adamowi, że wuj śledzi go z pewną ironią, i ten wzrok mieszał go i denerwował. Gdy pozostał sam, biegł natychmiast myślami w miasto, jakby tam był jakiś magnes, rwący go ku sobie. Przymknawszy oczy, słyszał szelest sukien, głosy za portyerą i nagle błyskały przed nim usta uśmiechnięte, a w uśmiechu tym dwa drobne kły i wielka gąszcz złotych, dziwnych, nienaturalnych włosów.

A potem — ogarniał go niepokój straszny, niemo-

żliwy. Ten mały światek chorych, do którego wracał zawsze, jak poza murem odgródzone schronienie, rozwichrzył się nagle i zamącił. Jak? dlaczego? nie wiedział. Czuł to jednak i lękał się, a mimo to dążył całą siłą, aby czempredzej się tam dostać. Pociąg pędził z całym pośpiechem, pogwizdując wesoło. Podjeżdżał ku miastu. Białe światło elektryczne w mieszało się w podwójne oświetlenie wagonów. Adam zdjął walizkę i stał przy drzwiach, a na twarz mu wybiegły wypieki. Zdawało mu się, że tam koniecznie już coś się stało i że ta katastrofa jego dotyczy. Gdy dorożką podjeżdżał do sanatorium, uczucie to wzrosło. — Pragnął przedewszystkiem dostać się do swego pokoju i zamknąć drzwi za sobą. Myślał, że znajdzie tam uspokojenie. Gdy wbiegł jednak na wschody — zatrzymał się niezdeterminowany. — Dech mu zamarł w piersiach. Widział już drzwi swego pokoju, lecz teraz właśnie uderzyło w niego uczucie ogromnego lęku. I cicho zeszedł na dół, szukając dyrektora.

Znalazł go w salce operacyjnej, przyglądającego się rozścielaniu nowego na podłodze płótna kauczowego.

— A... pan powrócił? Właśnie miałem telegrafować, że przedłużam panu urlop o dwa tygodnie.

— Dlaczego?

— Sanatorium pełne... pokój pana jeszcze zajęty — potrzebny mi będzie na jakie dwa tygodnie.

— To drobnostka. Będę, jak dawniej, sypiał w kancelaryi.

Twaz dyrektora rozjaśniła się.

— Bardzo to poczcwiwie z pana strony. Ja już upadam ze znużenia. Zaraz panu zdam chorych. Są dwa ciężkie wypadki. Jutro mamy Rydygiera dwa razy i Marsa raz. Zaraz pan się zaprzęgnie do pracy.

— Najchętniej.

Wyszli razem. Przy wschodach zatrzymał się dyrektor. Widocznie chciał jeszcze coś powiedzieć. Wreszcie wskazał głową na górę.

— A tam... do swego pokoju... niech pan nie wchodzi. Chora nie życzy sobie nikogo z tutejszych... ma swoich lekarzy. Ja jeden tylko. Zresztą ona za dwa tygodnie opuści sanatorium. Pan rozumie?

— Tak.

W pół godziny później Adam, odziany w swój fartuch i biały kaftanik, siedł z dyrektorem wzdłuż jasnych ścian i pukał do drzwi, poza którymi był mały światek —

drobny rozmiarami a taki wielki tragicznością swą i bólem chwil przecierpianych.

Wszedł w ten krąg — lecz nie uspokoił się wcale. Uciхло w nim tylko to jakieś rwące i najgwałtowniejsze. Był jednak ciągle jakby na straży, jakby na czuwaniu. I przypominały mu się te noce dziwne, w czasie których jarzębina szumiała delikatnie po szybach dworu, a on siedział nieruchomy, podczas gdy opodał, z gąszczu włosów czarnych, bielita się dziwna twarz trójkątna.

Wiśka.

Nie odganiał już myśli od niej. Przeciwnie, wzywał się w te wspomnienia z całą siłą. Była mu teraz dziwnie jakaś bliska i oczy jej czarne, ogromne, świeciły mu ciągle z poza rozpiętej szeroko siatki ciemnych włosów. To znów złotem błyszczące pantofelki migotały z pod rąbka białej sukni. I nagle wykwiłała, jak amfora z czarnego onyksu, smukła i prześliczna na wierzchu katafalku srebrnej sterty i wyciągała w rozpyloną dal dłoń z tęsknotą przeogromną za przestworem i wolnością...

Zmieniał się obraz. Lekka i młoda obiegała trawnik, rozwiewając w strudze słonecznej zielono-złoty szal — a śmiech dzwonił, jakby harfa rozegrała się w ten dzień pogodny i ciepły. A potem park ją tulił, park wyniosły, jak ona, garnął ku sobie jej dumne ciało złocisto-białe — odziane w zieleń wełn, podnoszących królewski majestat jej ruchów.

Dokoła złociste kraty — po nad nią korony liści, u stóp paprocie i mchy, przed nią purpura ocłowych drzew.

Rajski ptak!... och!... rajski ptak!

Adam spełnia swe obowiązki gorliwie. Zapracowuje się. Nocami ciągle obchodzi chorych — patrzy, słucha pod ich drzwiami. Gdy ma przechodzić koło swego pokoju, doznaje lęku. Boi się, aby te drzwi nie otwały się nagle i ta tajemnica, tak pilnie strzeżona, nie stała się mu wiadoma. Przyspiesza kroku. Tłómaczy sobie to pewną mimowolną urazą za brak zaufania. Do tej chwili był dopuszczany do wszelkich tajemnic tego rodzaju. Podwaja więc swą gorliwość względem innych chorych, jakby czując dla nich wdzięczność za to, że mu ufają. Niemniej przeto ciągle jest niespokojny i podrażniony.

— Cóż to? — myśli — czy nerwy moje już się

rozpręgły? Stanowczo trochę zawcześnie. Nie zrobiłem przecie nic — nic.

Nagle — jednego dnia, spada na niego grom nieprzewidziany — który zdaje mu się trudny do przeniesienia.

A dzieje się to bardzo prosto — tak, jak zwykle dzieją się największe i najbardziej stanowcze fakta w naszym życiu.

Z góry — schodzi ku niemu, stojącemu na wschodach, posługaczka, przydzielona do pilnowania tajemniczej pacjentki, i podaje mu zwinięty kawałek papieru.

— To od tej pani, proszę pana doktora.

— Od której?

— Od tej z pańskiego pokoju.

— Do mnie?

— Tak — powiedziała, że do pana asystenta.

Adam papier rozwija. Czyta tylko słów kilka:

„Jestem tutaj. Chcę pana widzieć.

Wiśka“.

— Ona! ona tu!... ona!...

Posługaczka stoi i patrzy zdumiona.

— Co mam powiedzieć?

— Dobrze... przyjdę.

Dziewczyna idzie ciężko na górę. On wbiega do sali operacyjnej, która jest właśnie pusta, uprzątnięta po świeżo odbytej operacji. I nigdy chyba nie zapomni wrażenia, z jakim przepędził tych chwil kilka sam na sam ze sobą, uczepony konwulsyjnie u białej, oszklonej szafki, poza którą błyszczy się stal narzędzi.

Pod czaszką ma chwilami pustkę, to znów huczy war myśli. Ona tu — więc chora. Tajemnica — ta najstraszniejsza! Wiśka!... Tak być musiało. Zostawił ją tam samą. Więc stało się to najgorsze. I przyszła aż tu... jest obok niego!

Jakież to straszne, jakież to okropne. Ileż on cierpi! Nie miał wyobrażenia, że ludzkie serce znieść może tyle bólu.

Skrzyp drzwi. Ktoś idzie. Stoi przed nim posługacz.

— Proszę pana asystenta, przywieźli tę waryatkę ze szpitala.

— Ach... idę...

Zdaje mu się, że odrywa świeżą ranę od jakiegoś przestworu, który mu był przytuliskiem chwilowem, i nie-

sie ją pomiędzy szalejące potwory, które pazurami swych własnych cierpień drapać ją będą. — Idzie za posługaczem i gdy wchodzi do jednego z pokoi, na środku którego stoi drobna, wychudła postać kobieca — ma w oczach tyle własnego bólu, iż — zdaje się — niema tam miejsca ani na dobroć, ani na litość, ani na odbicie cudzej niedoli.

Waryatka zwraca się ku niemu i patrzy nań prosto oczyma, które raczej do ran są podobne, niż do kobiecych źrenic. I płyną z nich dwie strugi łez, nieustające, gorące, ciągłe. Ta kobieta rozplakała się kiedyś snąc tak gorzko, że utulić nie może jej ani czas, ani niczyje ludzkie słowo. — Dwie rany łez. I trochę skóry pośliskłej, zapadła linijka ust, włosy bez koloru... taka straszna nędza, takie bezgraniczne morze nieustannych cierpień, że nic nie zdoła oddać ani określić tego wyrazu, z jakim cicho, bez ruchu, waryatka patrzy na Adama.

Jakiś prąd uspokajający Adama płynie do niego ze wzroku chorej. Coś jakby przypomnienie obowiązku — powrót na ścieżkę wybraną, na ląd z fal wzburzonych i rwących. — Waryatka podsuwa się pod okno. Oczy wciąż płaczą, na usta uśmiech wykwiła.

— Niema krzateczek... mówi — niema krzateczek, dobra nasza, można będzie wyskoczyć, drugie piętorko!...

Adam już jest przy niej, już cały targnął się na myśl możliwego samobójstwa jeszcze przed tą operacją żołądkowego wrzodu, konieczną i bardzo spieszną. — Wiśka, otrzymana kartka niknie mu z pamięci. Ujmuje waryatkę pod ręką, pociąga od okna, drugą ręką przyciska dzwonek, przywołuje służbę. Chora wyczerpana osuwa mu się na ręce. — Drży cała zdenerwowana, skomli — jęczy i płacze ciągle, a gorące łzy moczą ręce Adama. — Ułożywszy ją na łóżku, Adam podaje jej trochę wody chloroformowej i korzystając ze stanu sennego, każe ją przenieść do jednego z parterowych pokoi, opróżnionego przed godziną. — Dyrektora niema, wyjechał na parę dni do Wiednia — jeden z ginekologów - profesorów ma za pół godziny odbyć operację kysty — Adam ma tylko dość czasu, aby przygotować salę, sprawdzić, czy należycie przeprowadzają dezynfekcję chorej. Zastaje pacjentkę, kobietę jeszcze młodą, lecz strasznie wynędzniałą, w stanie najwyższego lęku i rozstroju. Ciśnie do piersi przyniesiony z domu obrazek Matki Bożej i wybladłymi ustami powtarza:

— Och! Matko Boska, ratuj!...

Jest to matka kilkorga dzieci, uboga i zapracowana. — Czuć w tem oddaniu do sanatorium tragiczny wysiłek wielkiej nędzy, pragnącej ocalić życie choć kosztem wszystkiego. Kobieta nie targa się — nie protestuje — wie, że tak być musi, że napróżno nie wydaje się tyle pożyczonych pieniędzy — lecz trwoga jej tak straszna, tak rozpaczliwa, iż Adam z trudem znaleźć może słowa otuchy, pokrzepienia, pociechy.

Gdy wreszcie wychodzi od niej, na wschodach spotyka tulącego się do ściany człowieka w wyszarzałym palcie. I tu znów zaleknione oczy patrzą na niego przez łyż.

Adam odgaduje, że to „mąż“ — który cierpi, który się lęka, który może... przeczuwa.

— Panie doktorze... czy... aby...

I reszta słów ginie prawie w łkaniu. Ta biała kobieta tam na górze, tuląca w tej chwili obrazek, jak tarczę, — jest wszystkim dla niego. — Kochanką, żoną — przyjacielem, pomocnikiem, czeladnikiem, kucharką — wszystkim, co świat dać jest w stanie. I to „wszystko“ idzie pod nóż — to „wszystko“ — przymocowane rzeźmieniami, będzie krzyczeć tak strasznie, aż osłabnie, zamilknie...

— Bo jej chloroformować nie można.

— Tak, tak wiemy...

— Bo, proszę pana doktora, serce.

— Tak, tak...

Turkot na dole, profesor przyjechał. Mąż usuwa się.

— Ja poczekam u portyera — mówi zdławionym głosem.

I Adam patrzy, jak schodzi powoli zgarbiony, ciachy. — Mija się z profesorem, zajmującym wiele miejsca w swem wspaniałym futrze. Jest chwila, w której zdaje się, że tamten rzuci się do tej ręki, która przyniesie ma ból i zbawienie — i zacznie całować ją i prosić, aby stała się zbawcą — lecz profesor idzie ciężko i wyniosłe. Nie dostrzega nawet nic po drodze. Wzrok ma znużony i prawie szklany. Więc ten w zniszczonym palcie przyciska się tylko do ściany i kłania się nisko, pokornie — jak żebrzący jałmużny. — Poza profesorem idzie jego asystent, cień swego szefa. Obaj wchodzą do pokoju przylegającego do sali operacyjnej. Adam udaje się za nimi

i od tej chwili całą jego duszę, istność wchłaniania tragiczność aktu operacyjnego i jego drobiazgową ścisłość.

Nie pamięta o Wiśce, nie pamięta o sobie, gdy bierze wychudłe ciało kobiety na ręce i z łóżka kładzie je na nosze.

Nie pamięta o sobie, nie pamięta o Wiśce, gdy sprowadza te nosze po wschodach, powoli, ostrożnie, kierując posługaczami. A potem, sam zdejmując znów z nosz wpół martwą kobietę, układa ją na stole operacyjnym w jasnym świetle olbrzymiego okna i zasłania jej, jak ksiądz jałmużnik skazanemu na śmierć gilotynę, tak on szafki i szklane płyty, pełne narzędzi i przyborów.

Kurczowo chwytają go ręce wychudłe, oczy rozszerzone wpatrują się w niego, i następuje cisza śmiertelnej trwogi przed nieznaną polegą, przed owym szokiem nerwowym, który zabija moralnie i cielesnie w jednej chwili z szybkością piorunu.

A tam, na dole, Adam wyczuwa przez mury, przez oddalenie — taką drugą parę oczów, taki dech wstrzymany, ręce zaciśnięte...

To mąż, który z nateżeniem całej swej duszy przedziera się myślą i czuje nóż, czuje ból, i nic nie może, tylko szepce:

— „Matko Boska, ratuj“.

Prawie się ściemnia, gdy Adam zdołał uwolnić się ze swych obowiązków i stanąć wreszcie sam na sam ze sobą. I ogarnia go szalona trwoga. Musi tam iść, musi się z nią zobaczyć. Lecz jak? co jej powie? Jak ją przywita? I to on trwoży się, wstydzi, cierpi za tę kobietę, za tę dziewczynę, która mu w serce się wpiła.

Gdy wreszcie ujmuje za klamkę i wchodzi do pokoju, jest blady, jak płótno, a drży, jak jego chorzy, gdy wnoszą ich do operacyjnej sali. Niesie swą duszę na wielką torturę i wie, że niczem jej uspić nie będzie już w stanie, bo stało się to najgorsze — i nic faktu samego nie zatrze.

W pokoju panuje prawie zmrok.

Lampa nie zapalona. Tylko w piecu pali się czerwono płomień i płynie falą wąską krwawego światła na podłogę. Struga ta opływa stopy i nogi siedzącej przed piecem na niskim krzeselku postaci. Snopek iskierek migoce na końcu złotem haftowanego pantofelka. Biała wełniana, fałdzista szata rozsunała się dokoła po ziemi.

I tylko jeszcze występują ręce Wiśki, splecione poniżej kolan z jakimś gestem rozpaczliwym. W rękach tych Adam poznaje całą Wişkę. Blade są, wychudłe, rasowe, nerwowe.

Te ręce są ciągle zbuntowane, lecz ten bunt już łamie, a nie podnieca, — jęczy, a nie bluzga przekleństwem. — I następuje wielka cisza.

Wiśka odwróciła się ku niemu i patrzy — a on, nie widząc tych wielkich, czarnych, bezdennych źrenic, wyczuwa je i mdleje pod ich wrażeniem. — Ciemna gąszcz włosów opada z ramion na białą szatę i kryje czoło, kryje pasmami policzki, ramiona — Wiśka!

Ona — ona cała. Tylko milcząca, cicha — jakby ku ziemi przyciśnięta.

Co powie? Jakim krzykiem buntu odezwie się znów, jakim śmiechem pełnym ironii smagać będzie i siebie i swe życie?

Cisza przecież panuje. Wiśka wciąż patrzy na Adama, a on wzrok jej czuje i chłonie go w siebie teraz, jakby napój pełen gorczy. Wreszcie rozplotły się jej ręce i, jakby burzą zwarzone dwie gałęzie bluszczu marmurowego pomnika, opuściły się ku ziemi.

— Czekam tak długo! — dał się słyszeć głos z ciemni. I dziwne — głos ten w niczem nie podobny do głosu dawnej Wiśki. Cichy, matowy — prawie pokorny. Bardzo kobiecy, bardzo miękki — głos kobiet, które już z bólu jęczeć umieją...

Adamem targnął ten głos do głębi. — Zajęty byłem — tłumaczy się wdzięczny, iż pozwala mu mówić banalnie — dyrektor wyjechał...

Lecz ona przerywa mu skinieniem ręki. — Wiem, wiem... czekałam na jego wyjazd — a potem, chciałam być już silniejsza, gdy pana zobaczę.

— Pani wiedziałaś, że ja tu jestem?

— Tak. Dlatego wybrałam to sanatorium.

— !!!

— Sądziłam, że umrę. Chciałam, żebyś mi pan oczy zamknął.

— Ja wyjechałem.

— Dowiedziałam się o tem już po pana wyjeździe. I było mi wtedy strasznie. Nie miałam już nikogo. Dłońmi zakryła twarz. On stał ciągle opodal i my-

śłał, że ona przecież nie zastanowiła się, jak straszny ból mu zada, żądając w takiej chwili jego obecności. I sam nie wiedział, czy być jej wdzięczny za to bezgraniczne zaufanie, którego chciała mu dać dowód, czy powiedzieć jej, że zbyt wielki ciężar chciała mu cisnąć na duszę tem właśnie bezgranicznem zaufaniem. Lecz milczał i trawił w sobie te sprzeczne uczucia, które fermentowały w nim i przepełniały mu serce całą lawiną skębionych wrażeń.

Wreszcie Wiśka oderwała ręce od twarzy. Zasunęła się głębiej w fotel tak, że płomień kładł jej purpurowe plamy na piersi i ramiona.

— Chodź pan bliżej... usiądź przy mnie! — wyrzeka cichutko.

Wziął krzesło i usiadł przy piecu, zapatrzony w migocące złoto jej pantofelka. Przypomniawszy sobie, jak na wsi patrzył raz także długo na te złote arabeski, wysuwające się z pod białych fałd jej sukni. Lecz teraz czuł jakby lodowy wał, dzielący ich dwoje. — I zrozumiał, jak wielką ulgą było mu to, iż nie wyciągnęła do niego ręki, oszczędziła mu zbliżenia się, które strachem go i dreszczem przejmować zaczęło.

A ona znów mówiła słodkim, jakby dalekim głosem:

— Mimo wszystko, nie straciłam pana z oczu. Wiedziałam, co się z tobą działo. Och! nie wszystko. Mniej więcej. Głównie to, gdzie byłeś. Czułam, że może nadejść chwila, w której będę cię szukała wzrokiem i sercem. Chwila taka mogła być tylko... na krawędzi grobu. Urwała — wreszcie po chwili dodała:

— Nie było mi sądzone umrzeć jeszcze, ale mimo to nie mogłam oprzeć się chęci zobaczenia cię znowu. Nie wiem jednak, czy dobrze zrobiłam... — Zamilkła znów, jakby czekała, że jej coś odpowie, że pozwoli jej dalej zadość uczynić tej konieczności wypowiedziania się, jaką mają prawie wszystkie kobiety.

Lecz on milczał, a tylko w nim wzbierała chęć ukryć twarz w dłonie i wybuchnąć straszny, przegromnym jękiem. Bo była mu ona znieważonym majestatem Dziewictwa, nie przyozdobionym świętością Macierzyństwa.

Bo była mu ona ciszą pogodnych, kwiatami pokrytych cmentarzy, nagle rozszeptaną rwącym na strzępy serce głosem.

Bo była ona porankiem wiosennym, w który wdarła

się smuga chmur ohydnych, żółtych, kłębiących się brudem oparów śmietnisk ludzkich.

I była mu ona kobietą nie umiejącą już spojrzeniem swem rozwijać lilii.

A uśmiechem usypiać gołębi.

O dziewczęta Fra Filippo Lippi!... o dziewczęta smukłe i jasne, tańczące korowody, złączone wstęgą rąk... o dziewczęta!...

A przecież ona jest teraz taka inna, taka słodka, głos jej płynie bez buntu, choć postać zachowała dawne linie. Lecz głos ludzki, to muzyka duszy i ten właśnie maluje jej nastrój. Anioł duszy człowieka na rozpiętych strunach jego głosu gra pieśń, która mu drży w głębi.

Nie patrz na zmianę twarzy.

Wstuchaj się w głos! w głos!...

Lecz koło uszu Adama ten głos zmieniony Wiśki biegnie — jeszcze go nie pojął. Znadto cierpi, patrzy na nią i walczy.

I ona milknie, jakby już nie śmiała, jakby marło w niej powoli to, co się rwało ku niemu, to, co przed nim wypłakać chciała. Cisza zupełna. I tak siedzi przed sobą tych dwoje, a pomiędzy nimi jest jakiś trup, nie ich miłości, ale gorzej — bo ich serc, tego najlepszego, co było w nich, co ginie, przepada, zamiera...

Do drzwi ktoś stukła.

— Proszę pana asystenta — zdaje się, że na 18 gorączka.

— A... idę.

Zerwał się.

— Przepraszam — chorzy...

Ciemne oczy Wiśki przeprowadzają go do progu. Skurczyła się, jakby zmalęła. Twarz jej powlokła się szarością. Ciężko jej przeżyć tę chwilę. On to czuje, rozumie — ale nie jest w stanie nic więcej dla niej zrobić. I postępuje spiesźnie do progu, jakby się lękał, że ona wyciągnie ku niemu ręce i że on będzie musiał te ręce ująć.

I nagle po za sobą słyszy cichy, pokorny głos:

— Pan jeszcze do mnie przyjdzie?

— Tak, tak... jutro... nic pani nie trzeba?...

— Nic.

— Dobranoc!

Wyszedł i na korytarzu oparł się o ścianę, tak mu było strasznie słabo fizycznie z tego wysiłku, przez jaki przeszedł.

— Och, jakież to straszne!... — myślał — jakież to okropne!...

Pobiegł do chorych, pragnąc zagłuszyć w sobie wszystko, nie zastanawiać się nad niczem. Ręce miał lodowato zimne i grzać je musiał, zanim się do chorych zbliżył. — Do późnej nocy biegał, czuwając. — Nie rozbrajał się wcale. — Na chwilę spróbował zasnąć na małej kanapce w kancelaryi, lecz rzeczywistość brutalnie zwała się, jak stado rozwścieczonych zmor. Porwał się i pobiegł czuwać przy rano operowanej. — Leżała w gorączce i cicho wymawiała imiona męża i dzieci. Uśmiechała się przytem słodko. Adam usiadł w nogach łóżka na krześle i słuchał jej szeptu. Pomyślał o miłości, z jaką w tej chwili mąż tej kobiety rozmyśla o swej żonie, i ogarnęła go straszna gorycz.

— Są szczęśliwi... — łkał w głębi, przejęty zadością do tego mizernego biedaka, który mógł z całą ufnością i uczuciem zwracać się ku tej wychudłej, poranionej nędzarce, tak godnie dźwigającej majestat kobiecy.

— Są szczęśliwi...

Świt przebijał się zwolna, szary, ciężki, ołowiany. — Połyskliwa barwa szpitalna występowała ze ścian. Gorączka u chorej opadała. — Otworzyła biedne, zmęczone oczy i wpatrzyła się w Adama.

— A... to pan doktor... — wyszeptała — jaki pan dobry, że pan tu siedzi — dziękuję!

Powstał, otulił to biedne, wychudłe ciało.

— Nie, nie — wyrzekł — to ja pani dziękuję za to, że tu mogę siedzieć.

...
Ale kobieta nie zrozumiała, co przez to chciał powiedzieć.

III.

Przez następny ranek Adam snuł się kilkakrotnie dokoła drzwi pokoju zajmowanego przez Wiśkę.

— Wejść, muszę wejść — postanowił.

Lecz tchu mu brakowało. Chciał pochwycić się ba-

nalnego faktu, gdy ktoś trzeci będzie pomiędzy nimi, i wejść wtedy na krótką chwilę.

— Nie mogę inaczej — myślał — to nad moje siły.

Lecz służba wcześniej załatwiła sprzątanie, podczas wizyty zwykłego lekarza Wiśki. Adam nie mógł narzucać się swoją obecnością, i południe minęło, a Adam nie wszedł do jej pokoju.

Czuł przecież, że jest to dla niej zniewaga i że każda chwila tę zniewagę powiększa.

— Nie mogę... nie mogę...

Posłał dwukrotnie z zapytaniem, czy nic nie potrzeba. Służąca wracała z odpowiedzią przewidzianą „nic“! — I za każdym razem doznawał ulgi, jakby ominęło go coś bolesnego, coś wstrętnego, co miał wykonać.

...
Bo — niestety, nie należało się ludzi. — Zbliżenie się do Wiśki wydawało się teraz Adamowi wstrętne.

To było bardzo ludzkie — to było bardzo naturalne.

Po raz pierwszy Adam doznał tego, czem jest wstręt fizyczny z moralnym złączony. I oto — on, który sądził tak surowo tych, którzy ze wstrętem odwracają się od ludzi lub faktów, on sam musiał beczynnie asystować, jak z jego głębi dobywało się mimo jego woli uczucie straszne, wrogie, zło, dobywało się, jakby jakiś ptak drapieżny o strasznych szponach i mocarnych skrzydłach, i owładało nim z potęgą brutalną i bezwzględną. — Jak porażony, stawał co chwila, ścierając pot z czoła — przeorażony tem, co się w nim działo. Lecz bez żadnej walki poddawał się, rad prawie, że dostaje jakiś puklerz, który przygniata w nim jego ból, jego uczucie miłosne, i czyni go odpornym, zimnym, jakby tężejącym stopniowo.

— To... wstręt... — mignęło mu błyskawicą.

A potem wyraźniej:

— Mam do niej wstręt.

Gdy uczynił to odkrycie, zbiegł jak szalony ze wschodów i chwilę przebył sam w saloniku na dole.

— Wstręt... — powtarzał, trąc czoło — wstręt...

...
Dnia tego nie było żadnej operacji. Profesorowie jednak odwiedzali swych pacjentów i Adam musiał natu-

ralnie asystować przy tych wizytach. Starał się być spokojnym, jak zwykle, i zajmować tylko chorymi. Przychodziło mu to z trudnością. — Wysilek był ciężki, lecz Adam pokonywał go. I znów przeszedł koło drzwi Wiśki. Cisza panowała za niemi zupełna. Sam zdziwił się uczuciu prawie nienawistnemu, z jakim na nie spojrział. I poszedł dalej — do innych chorych.

Nad wieczorem powrócił dyrektor. Natychmiast poszedł do Wiśki. Adam dojrzał to z uczuciem ulgi. Lękał się bowiem, że nie idąc do niej, nie spełnia obowiązku lekarza względem chorego. Obecnie — dyrektor uwolnił go od tej troski.

Lecz w kwadrans później dyrektor odszukał go w laboratorium, przy analizie krwi jednego z chorych, podejrzewanych o malaryę.

— Pan odwiedził w czasie mej nieobecności pacjentkę na górze? — zapytał, nie patrząc na Adama.

Adam w pierwszej chwili zmieszał się. Czuł, iż nie może powiedzieć, że Wiśka wezwała go sama.

— Musiałem tak uczynić — odparł krótko, nie przezywając swego zajęcia.

— A... więc to dawna pana znajoma?

Adam brwi zmarszczył.

— To moja i jej rzecz, panie dyrektorze — odparł jeszcze suchszym głosem.

Dyrektor ramionami wzruszył.

— Wogóle nie wiem, czego się pan gniewa, — wyrzekł — sądziłem, że panu te panie są obce, tembardziej, że matka, przechodząc wtedy wieczorem przez salon — nie dała poznać, iż pan jest jej znajomym.

— Ja znam tylko pannę.

— A... ah... tak, to co innego. Zresztą, nie wchodzę w to. — Panna jest kapryśna i zmienna. Z początku miała być wielka tajemnica, nawet przed asystentem miejscowym, i to było wyraźnie zastrzeżone. Obecnie panna baronówna życzy sobie, ażeby pan ją odwiedzał. Zdaję więc panu najchętniej te obowiązki, tembardziej, że ja jutro wyjadę znów na parę dni do Przemyśla.

Adam szybko porwał się z miejsca. Tafelka szklana, którą lokował pod lupą, wypadła mu z ręki.

— Chciałem prosić, aby mnie pan od dozorowania nad stanem zdrowia tej pani uwolnił.

Obłeśna i trochę fałszywa twarz dyrektora zmieniła się na chłodną i nieprzystępną maskę.

— Przepraszam — wyrzekł — lekarz jest lekarzem i żadnych pobocznych względów nie ma. Tu są tylko chorzy. Pan, zdaje się, zapomniał o tem.

Powiedziawszy te słowa, dyrektor wyszedł cicho, zamykając drzwi za sobą.

Adam pozostał sam, a dokoła niego snuły się ciągle słowa:

— Tu są tylko chorzy... tylko chorzy...

Lecz to dźwięk bez echa.

Ci „chorzy“ — to byli wszyscy inni, tylko właśnie nie on a.

.....

„Zrozum mnie — pisał w godzinę później — zrozum i uwolnij, nie badaj, nie pytaj — nie mogę cię widywać. Ciebie właśnie — ciebie przede wszystkim. Dlaczego chcesz tego, kiedy to jest niepodobieństwem. Uwolnij mnie. W imię dawnych wspomnień, proszę cię, uwolnij!“

List ten posłał na górę i całą duszą pragnął jedynie milczenia. Gdyby jednak tak się stało, doznałby — zawodu. Nie rozumiał tego, a przecież tak było w rzeczywistości.

Nad wieczorem dopiero nadeszła karteczka. Kreślona nierówno, zdradzała wielką nerwowość, szarpiącą rękę, która pisała:

„Nie uwolnię. Muszę cię widzieć, pomimo, że jest to prawie prośbą o jałmużnę. — Czekam. — W.“

Mimo to, Adam nie poszedł. Wiedział, że wieczorem zaglądał na górę dyrektor. Jako lekarz więc, był uspokojony. Jako człowiek stał na rozdrożu. Wieczorem skończył skwapliwie z propozycją dyrektora, aby się przeszedł po mieście. Wyszedł już około dziesiątej i zaczął się płatać bez celu po ulicach, unikając zgiełku i wrzawy. Mimowoli zaszedł na tę ulicę, na której z pod kół tramwaju wyciągnął Wiśkę. Spojrzał w ciemną jamę zaułku, i cała scena przytulenia się jej do jego piersi, potem odtrącenia stanęła mu żywo przed oczami.

— O dwóch cieniach... — myślał — o dwóch cieniach.

Gorycz przeszła mu serce.

Zabijać się chciała... taka dumna, a dziś... I z kim? z kim? Czy to Toczyski? — pewnie on! och jakie to wstrętne...

Optynął go znów wstręt do niej, do jej matki, do tego całego gniazda, przesyconego zezwierzęceniem. — Trumna Rydzika, żałobny śpiew dyaka, wyjący rozpaczłą modlitwą po ścierniskach, i ta kobieta ze złotą fryzurą — opięta futrami o rudych połyskach...

— Obie... obie...

Zaczynał mieć w sobie ponurą zaciętość stryja. Przyczyny, początek rzeczy niknął w jego wzburzeniu.

Gdy wrócił późno — wchodząc do bramy, nie podniósł głowy i nie spojrzał na okna pokoju, zajmowanego przez Wiškę. — Wiedział, że nie śpi, że tam drżą jej oczy w bładem świetle lampki — ale nic o nich wiedzieć nie chciał.

Obie... obie... — powtarzał z goryczą.

Los złączył go prędzej z Wišką, niż mógł przypuszczać.

Rano odjechał dyrektor. Adam, który prawie był zdecydowany podziękować za miejsce, wynaleźć następcę i opuścić natychmiast sanatorium — został tym nagłym wyjazdem zaskoczony. — Zrozumiał, że dyrektor zrobił to umyślnie — przeczuwając, że Adam zechce mu uciec, i — nie wiedział, nie mógł zrozumieć, co się dzieje pomiędzy baronówną i jego asystentem, ale znał za nadto dobrze z opinii baronową i Wiškę, aby nie wyczuł jakiegoś romansu, który był mu bardzo nie na rękę. Zażałował, że Adam był wygodny i cenny. Chodziło mu bądź co bądź o zatrzymanie go nadal.

— Niech się to utrże bezemnie — myślał, jadąc na kolej — gdy mnie nie będzie, Adam musi ją odwiedzić i coś tam jakoś się ułożyć...

Adam odrazu zrozumiał dyplomację dyrektora. Postanowił jednak pod pozorem przepełnienia sanatorium i niemożności podolania samemu tej pracy — wziąć do pomocy jednego ze starszych kolegów. — Na niego zda odwiedzanie Wiški i całego drugiego piętra, pomyślał. W tym celu napisał list do jednego ze zdolniejszych i poważniejszych medyków, wysłał go, a sam zaczął odwiedzać chorych, umieszczonych na parterze i pierwszym piętrze. Prędko pochłoniął go, jak zawsze, obowiązek. Przeszedł na razie myśleć o Wiśce. U jednego z operowanych nastąpiły niespodziewane komplikacje. Wielka troska ogarnęła Adama. Szczęściem, nadszedł profesor, który wykonał ową operację. Adam dopomagał mu

w zmienianiu opatrunku. Profesor był spokojny, a nawet żartował z trwogi „dzieciaka“ — jak nazywał Adama. — Ten słysząc głos swobodny i żartobliwy, odetchnął. — Profesor odszedł, a Adam odprowadził go aż do drzwi wejściowych, słuchając szybko dawanych poleceń. Gdy wracał na górę, uczuł się nagle lekki tak, jakby zbył się jakiegoś strasznie ciężaru.

— Chwała Bogu... — powtarzał — chwala Bogu...

Nagle, na zakręcie wschodów pomiędzy parterem a pierwszym piętrzem, ujrzał postać kobiecą, idącą powoli pod górę. Była do niego odwrócona plecami i okryta długim płaszczem. — Szła z widocznym wysiłkiem, a biała suknia wlokła się za nią z pad fałdów płaszcza. Górne światło matowych szyb spadało na jej głowę pochyloną i pokrytą masą zbyt czarnych włosów.

— Wiśka! — pomyślał Adam.

Skąd wracała? — pociągnęła? — Wprawdzie tędy była droga z łazienek, ale Wiśce robiono kąpiel w pokoju, wsuwając gotową już wannę i wysuwając ją tą samą koleją. — Widoczne jednak było, że nie zważając na tak troskliwie strzeżoną tajemnicę, Wiśka dziś zeszła aż na dół i teraz wracała powoli, jakby wyczerpana lub jakby czekająca...

Pierwszą myślą Adama było cofnąć się do portiera i tam przeczekać, aż baronówna wejdzie do swego pokoju. Lecz nagle Wiśka zachwiała się — pochwyciła i puściła poręcz, poczem osunęła się na klęczkach na dywan wschodów. W jednej chwili — Adam zapomniał, kim jest ta kobieta. Miał przed sobą chorą — tylko chorą. Rzucił się ku niej, podniósł i otoczył ramieniem. Gdy podniosła ku niemu swą twarz białą, jak opłatek, i spojrzała głęboko zapadłymi i podsiniałymi oczami, Adam widział tylko wycieńczony i schorowany organizm, anemię i brak sił.

— Proszę się na mnie oprzeć — ja panią zaprowadzę.

Powoli dopomagał jej wchodzić na wschody. Pozwoliła prowadzić się, jak dziecko. Czuł, że drżała cała. Zatrzymała się chwilę i bardzo cicho wyrzekła:

— Taki mam szum w głowie...

Odparł żywo:

— To osłabienie. Dlaczego pani zeszłaś na dół i to sama?

Nie odpowiedziała mu nic. Tylko coś, jakby deli-

katny, różowy cień zaczął wysuwać się jej na lica. Lecz i to znikło. Gdy Adam wprowadził ją do pokoju, była blada i zimna. Ułożył ją na łóżku i otulił. Sięgnął do dzwonka, lecz ona zatrzymała jego rękę.

— Nie chcę nikogo... tylko pan jeden.

Zamknęła oczy i dodała szeptem:

— Och!... gdyby umrzeć!

Rano spadł śnieg i dziwny biały blask nappełniał pokoje. Przez muślin białych, świeżo wypranych firanek wpływały jakieś niejasne wspomnienia wigilii mroźnych, ranków świątecznych, pełnych życzeń — i woni sosenek. — W tym nastroju, który zawsze białe światło śniegowe ze sobą przynosi, leżała nieruchoma Wiśka — kredowo-błada, z rękami złożonymi na piersiach, gestem ostatnim, grobowym.

— Och! gdyby umrzeć...

Z pod beżmiernie długich, cienistych rzęs spływały łzy. Wolno toczyły się po zapadłej twarzy, gładkiej, przejrzystej — drżały lekko, jak rosa, na płatkach kwiatu i spadały w puch włosów.

I te łzy właśnie przypominały Adamowi, kim jest ta „chora“ — której starań odmówić nie mógł. — Jej łzy zaczęły go kłuć, jak uderzenia sztyletu. Odwrócił oczy i pragnął, aby znów ktoś wszedł po niego, aby powstał pożar — aby coś się stało nagłego, co wyrwałoby go z tej strasznej, rozpaczliwej sytuacji.

Ona zdawała się odgadywać jego myśli.

— Nie uciekaj... proszę... — wyszeptwała.

Milczał.

Podniosła się z wysiłkiem i usiadła na łóżku.

— Proszę... niech pani leży...

Przerwała mu:

— Pozwól. Jesteś wreszcie przy mnie, więc muszę ci wszystko powiedzieć...

— Nie, nie... nic wiedzieć nie chcę!

Płomień przebiegł po jego żyłach. Cofnął się przed możliwością tej spowiedzi.

Patrzyła na niego przez mgłę łez.

— Komuż powiem, jeżeli nie tobie? — wyrzekła z prostotą.

— Mnie właśnie nie powinnaś mówić!

Nie rozumiała widocznie ciągle.

— Ty jeden przecież byłeś mi prawdziwie bliski i drogi — wyrzekła.

Niezwykłość sytuacji pchnęła go w dziwną banalność uczucia.

— Daśś tego dowód! — rzucił przez zęby.

— Al...

Potała rękami czoło, które pokrywało się kropelkami potu.

— To nic nie dowodzi! — wyrzekła po chwili z widocznym wysiłkiem — dałam ci większy dowód wtedy, gdy przyszłam do ciebie i ofiarowałam ci bezinteresownie, bez zastrzeżeń moją młodość, moje życie, siebie całą...

— Nie chciałaś jednak być moją żoną.

— Tak. I zdawało mi się, że właśnie w ten sposób przekonam cię, iż nie mam żadnych chytrych myśli, że nie chcę wołać na pomoc prawa, świadków, całego aparatu, aby obwarować i pętać cię przy sobie... Jak byłoby później, gdybyśmy, ty i zwłaszcza ja, przekonali się, że możemy być naprawdę małżeństwem — to już los by pokierował... Prawdopodobnie bylibyśmy wzięli ślub... Tak sądzę. Ale narazie — — kochałam cię i nie umiałam ci dać innego dowodu miłości.

Opadła na poduszki widocznie wyczerpana.

— I bardzo za tobą tęskniłam!... — dodała ciszej, a łzy jej znowu z pod rzęs przymkniętych płynąć zaczęły.

Wydawała mu się niepojętą w tem wszystkim, co mówiła. Widocznie oddzielała swe czyny od swych uczuć i chciała, aby on je tak przyjmował. Ofiarowywała mu kwiaty swych uczuć, rezerwując sobie wolność sądu o swych czynach. — Serce łopotało w nim, jak ptak zraniony.

— Czegoż teraz chcesz odemnie? — zapytał ją twardo.

— Chcę się przed tobą uskarżyć, uzalić.

Przedemną?

— Właśnie tylko przed tobą.

Zbliżył się szybko do łóżka — pochwycił jej zimne, wystygłe ręce.

— Kobieto! — zawołał — czyś ty zupełnie z uczucia obrana? Czy ty nie rozumiesz, co się we mnie stać musiało, gdy dowiedziałem się i zrozumiałem wszystko?

Patrzyła mu prosto w oczy i odparła drżącymi ustami:

— Myślałam, że będziesz mnie żałował — że mnie przygarniesz do siebie.

Puścił jej ręce — jakiś chłód go ogarnął. To, co mówiła, zaczynało mu się wydawać cynicznym.

— Żałować cię?... ja?...

— Tak cię sądziłam... A zresztą — pomyśl. Co mnie teraz pozostaje? powiedz sam... Chyba tylko wyjazd z matką... rozumiesz — tak, jak ona — wesoła zabawa — to tu, to tam — może się ktoś złapie, a nie, to i tak życie wcale się przyjemnie przedstawia... Matka się tem zbyt nie zmartwiła. Ona nawet woli, bo tak to już... A zresztą — nie wiem — och! w głowie mi się mąci...

Wysunęła rękę, szukając jego dłoni.

— Tak cierpię, tak się tem wszystkiem męczę...

Lecz on nie ujął jej ręki. Cofnął się cały w swoje cierpienie i układał je na wyniosłości katafalku.

Milczał i patrzył, jak powoli jej ręka opadała na biel pościeli.

Wiśka otworzyła raz jeszcze oczy i spojrzała na niego dziwnie, przenikliwie.

— Nie powiesz mi nic? — spytała,

— Uspokój się i zaśnij.

— Nic więcej? — Mam iść w świat?

Nie odpowiedział jej nic.

Chwilę czekała. Wreszcie westchnęła ciężko i przycisnęła guzik dzwonka.

— Możesz odejść... — wyszeptała zmienionym głosem — zaraz przyjdzie dziewczyna.

Adam wysunął się z pokoju. Gdy zamykał drzwi, szarpnęło się w nim coś, jakby pragnął wrócić. Lecz już tam, poza progiem, czuł, że ogarnia go ta sama gorycz, żal i wstręt.

— Nie mogę! nie mogę!...

Na wschodach spotkał posługacza, szukającego go wszędzie.

Należało iść zastrzykiwać rekonwalescentom arsi-cotil — i wydać lysol. — Adam powłókł się do apteczki na wpół zdrętwiały.

IV.

Późna noc. Adam snuje się tu i ówdzie. Od kilku dni jego kolega dopomaga mu w zajęciach. Wiśka odmówiła wpuszczenia do siebie nowego asystenta. Natomiast jej zwykły lekarz odwiedza ją dwa razy dziennie.

Stan jej zdrowia nie poprawia się, i Adam dowiaduje się od gospodyni, że „ta pani odsyła jedzenie prawie nie-
tknięte!“.

— Należałoby może wezwać matkę! — mówi gospodyni — gdy jest matka, potrafi w córkę dużo rzeczy wmówić. Ta pani jest zawsze wesoła, energiczna i młoda, pani może się przy niej ożywić.

Adam nie odpowiedział nic, lecz przez umysł przeszło mu:

— Więc ma z matką iść — czy tak.

Usiłował nie myśleć o tej sprawie.

— Co mnie do tego! co mnie do tego, niech idzie z matką — trudno!...

Tego wieczora gospodyni, podając obu asystentom kolację, zawiadomiła Adama:

— Ta starsza pani nagle przyjechała.

— A!... dobrze.

— Jest na górze. Posłałam kolację na dwie osoby.

— Dobrze!

— Kto to? — zapytał Barciński, kolega Adama.

— Matka jednej pacjentki.

Tej nocy nie mógł Adam usnąć. Myśl, że baronowa jest przy córce, zaczęła go zreć jakimś dziwnym niepokojem. Gdy wiedział, że Wiśka jest sama, nie pragnął być przy niej — ale coś się w nim jakby układało do jakiegoś spokoju. Zdawało mu się chwilami, że ten stan rzeczy trwa oddawna i trwać tak będzie ciągle. Ona tam ponad nim — blisko, a mimo to oddalona nieprzebytą przestrzenią.

I dlatego Adam błądzi noc całą. Nadstuchuje poddrzwiami chorych, czasem uchyla te drzwi, dochodzi do łóżka, pochyła się, bada sen — lub z czuwającym zamienienia kilka słów cichych. I znów wychodzi, i znów błądzi po wschodach, kurytarzach, zmuszając się do ruchu, do czynności jakiejś, aby nie myśleć, nie zastanawiać się.

Dwukrotnie zachodził już do owej żony krawca, której wyzdrowienie obecnie nie ulega już wątpliwości. — Cieszy się tym razem z nią samą i jej mężem, który ciągle pokorny i grzeczny zjawia się na wschodach co rano, niosąc jakieś maluchne paczuszki, powiązane okrawkami sukna. Chora po każdej takiej „wizycie“ promienieje radością — cieszy się — pokazuje Adamowi ćwiartki powydzierane z zeszytów i zapisane niewprawnym, dziecin-nym piórem. I wszędzie „droga mamusiu — cacana ma-

musiu, jedyna mamusiu" — jak kwiaty zasypują dookoła jej wychudłe, biedne ciało...

— Gdy wrócę, gdy będę już w domu — szepcą blade usta.

Dom!...

Kilka ścian, kilka okien zasłoniętych firanką czystą i białą, drzwi dobrze zamknięte — lampa czysto oprawiona, świecąca na stole, jakieś wybladłe fotografie, podłoga pokryta ubogimi dywanikami, wazony prymulek i bożego drzewka w powiązanej sznurkami żardynierce...

I to przekonanie, że nikt obcy, nikt mający złą myśl i chęć, nie ma prawa wtargnąć tu nagle, tak, jak nie ma prawa wtargnąć tu z wyciem i świstem wichur, burza, śnieg...

Rozpostarte, niewidzialne skrzydła czuwają tu na straży. I srebrne dzwonią dziecinne głosy, srebrne dziecięce śmiechy. Czasem jęk, płacz, skarga... Lecz i to utuli cisza domowa, jak pieszcz ciepły i dobrze znany...

Dom!... dom!

Takie drobne, małe — kilka ścian, kilka okien, dobrze zamknięte drzwi, i w tem cały świat.

Dom!

To aż drży, aż tętni w słowach kobiety. Gdy wróci do domu, gdy wróci do domu...

Rozjaśnia się. Adam wchodzi do sali operacyjnej, wystygłej i martwej. Siada na krzeselku pod ścianą i tępo patrzy przed siebie. Pełny jest jeszcze tych słów owej krawcowej. Przed chwilą powiedziała mu:

— Co pan doktor chce. Wy mężczyźni to macie dla siebie cały świat.

Ale my kobiety musimy mieć dom. To dla nas wszystko. Jak która od dziecka nie wie, co to dom — rodzina — niby serce... to pójdzie na Bóg wie co... Nas, kobiety, trzyma w porządku taki dom, choćby najgorszy, najbiedniejszy...

Tak powiedziała krawcowa.

I teraz, gdy Adam siedzi w tej pustej i zimnej sali, przychodzi mu natrętnie myśl, którą chce gwałtem od siebie odegnąć.

Wiśka nie miała nigdy — domu.

Bo to, co było tam na wsi, to nie były owe ściany

przytulne i ciche, to nie były owe drzwi zamknięte, przez które nie śmie wejść ani burza, ani śnieg — ani to Złe, to Najgorsze...

Bo nie było tam owych skrzydeł, rozpostartych u wnijścia.

A skoro, „która od dziecka nie wie, co to dom, co to rodzina — co to niby Serce, to pójdzie na Bóg wie co...”

Adama przeszył dreszcz. Wstrząsnął się cały. Wstał i wyszedł z tej półciemni rzewnej i dziwnej.

— Nerwy mną szarpia... — pomyślał. Nigdy nie doznawał podobnego uczucia.

Siadając do obiadu, zastał już przy stole Barcińskiego, który był ożywiony i wesół.

— Wyobraź sobie... — wyrzekł — kogo spotkałem na wschodach. Tę... tę... no, jakże jej. Ach ta słynna baronowa z Rusi — ta, która się tak źle prowadzi. Zapomniałem nazwiska. Ta, co poszła za jakiegoś chłopca i ma taką śliczną córkę, Wiśkę. Zaledwie ją poznałem. — Przerabowała włosy, roztyła się i wygląda inaczej, ale wcale, wcale. Dawniej miała pozór czarnej charcicy, a teraz bardzo belle femme... Co ona tu robi?

Adam patrzył uparcie w talerz.

— Może kogoś odwiedzała — wybąknął.

— Nie, nie, była bez kapelusza, w szlafroku i szła, jak się dowiedziałem, do łazienek. Jeżeli będzie się opierać, ja zapisuję się na asystenta... pamiętaj!...

Śmiał się cynicznie. Rad z życia, z siebie, ze swej siły, jadł dużo i czuł potrzebę mówienia wszystkiego, co mu przez myśli się przesunęło.

— Ciekaw jestem... — podjął znowu — co słyszał z Wiśką. Czy się jeszcze trzyma. Będzie z niej to samo, co i z mamy. Temperament aż bucha. Ma po kim dzieć dziczyć.

Adam zastonił oczy. Dotkliwy ból powoli zaczynał zanurzać ostrze w jego piersi.

Barciński podsunął mu półmisek.

— Nie bierzesz risotta? Doskonałe. Z wieprzowiną... po raz pierwszy jem w ten sposób. Wracając do tych pań — czy wiesz, że to byłoby bardzo ciekawe obserwować także córkę. Bo to są okazy patologiczne. Jedna i druga — jednakowo uformowane, ułożone i jednakowo temperamentowe...

Adam porwał się od stołu.

- Co tobie?
- Ząb, ząb mnie boli.
- Wyrwij.
- Właśnie tak zrobię. Wychodzę.

— Nie zazdroścę. — Ja się przedrzamię. — Adam odział się i wybiegł na ulicę. — Słowa Barcińskiego podziałały na niego straszliwie. Zdawało mu się, że ktoś wywłóczy kogoś na plac publiczny, zdziera z niego ostatnią osłonę i chłoscze, śmiejąc się i krzycząc:

— Temperament! temperament!...

A ten chłostany jęczy i wzdycha. Takie westchnienie Adam już słyszał raz — tam, na górze u Wiśki, gdy rzucił jej słowa:

— „Dałaś dowód twego do mnie przywiązania...”

A Wiśka westchnęła.

Nad wieczorem powrócił do sanatorium.

Spotkał się z Barcińskim przy kawie.

— Wiesz, poznałem się z baronową. Stała na kurytarzu, na drugim piętrze. Gdy przechodziłem, poprosiła mnie a trochę fenacetyny. Dałem jej cofeiny. — Przedstawiłem się. Jest wściekle miła i wesół. Ma śliczne zęby, tylko trochę szyja już tego... Ale jeszcze, jeszcze. — Patrzy... no... Nie pytałem jej, co robi, ale mnie się zdaje, że ona chyba mieszka w tym pokoju, do którego mnie nie chciano wpuścić.

Tylko dlaczego teraz się nie kryje i stoi sobie swobodnie na wschodach.

To ciekawe.

Adam w tej chwili postanowił pozbyć się od jutra Barcińskiego. Czuł, że baronowa, nudząc się w sanatorium, nie odwróci się od chwilowego flirtu z tym cynicznym i przystojnym chłopcem.

— Proszę cię — wyrzekł, nie patrząc na Barcińskiego — ażebyś zechciał szanować tutejsze tajemnice. Barciński parsknął śmiechem.

— Ładne tajemnice, co po kurytarzach ludziom na szyję wiażą.

— Och!... och!... na szyję.

— A żebyś wiedział. Cóż ty myślisz, że ja się nie znam na kobiecych awansach. Nie każdy taka niuńka, jak ty. Ja żebyś był na twojem miejscu, to żyłbym tu zupełnie inaczej... — Śmiejąc się, wstał od stołu i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Adam oparł ciężko głowę na rękach splecionych.

Znów mu się zdawało, że ktoś smagany — wzdycha ciężko. W pierwszej chwili czuł tylko ból swego serca, lecz powoli rozróżniał, że jeszcze i drugi straszniejszy ból nim wstrząsa i przenika go jeszcze dotkliwiej. Ból cudzy, ból... drugiej istoty, a przecież niby jego własny. I tak bliski sercu, że rozróżnienie to jest prawie identyfikacją.

Wszakże ta druga istota, to — ona. Wiśka!

A więc tak bliska mu, że prawie jakby z nim zrosła. Więc — pomimo tego, że mówił sobie, iż mu jest daleką — że nic już go z nią nie wiąże — to przecież jest między nimi tajemna, wielka spójnia.

Pomimo wszystko!...

I znów zapada noc. Drzwi skrzypnęły. Wchodzi gospodyni. Żąda jakichś informacji co do diety niektórych pacjentów. Prawie wszyscy proszą o więcej jedzenia. Wstawia się za nimi. Adam otrząsa się całą siłą woli i wdaje się z tą kobietą w dyskusję. Tu — dorzuca na jutro winną polewkę, tam przykróca mięso, ówdzie dozwala tylko kleik.

— Pani na drugim piętrze już zaczęła jeść!... — odzywa się nagle gospodyni — wczoraj sama zażądała mięsa i polewki. Mówiłam, że gdy matka przyjedzie, wszystko będzie inaczej. Byłam tam dziś rano, lepiej już wygląda, ubrana. Matka ją uczesała — jutro mają wyjść na miasto. Nie będą jadły u nas, matka mówiła, że jeść będą w restauracji... Adam skinął ręką.

— Dobrze... już może pani odejść.

— Dobranoc panu asystentowi.

— Dobranoc.

Adam pozostał sam. Zakłębiło mu się pod czaszką. Wiśka ma jutro wyjść z matką: wraca do świata, do dawnego życia i wraca razem z matką. W zgodzie, w harmonii, uczesana, przystrojona, pójdzie obok tamtej żywiołowa i pełna temperamentu. Mężczyźni tacy jak Barcińscy, zaczną się za nią oglądać i będą mówić do siebie:

— Ma po kim dziedziczyć...

Pójdzie do restauracji na obiad, potem, wyszedłszy już zupełnie z sanatorium, mieszkać będzie w hotelach lub w „domu“, który nie jest domem a hotelem. I dusza jej będzie mieszkać także w takim hotelu i nie będzie miała dokąd się schronić, i nie będzie miała drzwi, które ją odgradzą od zła, od najgorszego — bo te drzwi

były wyrwane już w dzieciństwie tej duszy, lub nigdy ich nie było — nigdy.

I śniegi, wichry, burze, pogardy, szyderstwa, cynizmy wpadać będą, wyć, smagać, mrozić, zabijać... szarpać...

Nieszczęśliwa...

Adam podniósł głowę, ręce do piersi przycisnął.

— Nieszczęśliwa! — krzyknęło w nim, jakby straszonym głosem, jękiem z głębi jego najgłębszych uczuć. Przedarło się to jakby przez całe pokłady zimnego kamienia, który pokrył jego właściwe uczucia względem tej kobiety. Gdy miała stanąć oko w oko z rzeczywistością, i on stanął oko w oko z prawdą swej duszy.

V.

Maleńka lampeczka migoce. Obrazek Matki Bożej nad łóżkiem, do ściany lakierowanej maleńkim gwoździem przyczepiony, błyska leciuchno złotem i tłem.

W pokoiku, gdzie leży krawcowa — ciepło i cicho. Zaledwie z poza ściany, jakby ktoś trącał lekko harfą oddaloną, jakiś monotonny dolatuje jęk kobiecy. — To jest wszystko. — Krawcowa leży, nie śpi. Szeroko otwartymi oczami wpatruje się w przestrzeń. Myśli, medytuje, ile to ją roboty czeka, gdy do domu wróci. Pończochy dzieci musiały zupełnie podrzeć, rozpoczęte prasowanie prześcieradeł przerwało jej pójście na operację — trzeba będzie zakrzępnąć się koło prania, dzieci pokąpać, doprowadzić do ładu.

A dom, a podłogi, a meble. Boże miły! jak to wszystko musi bez niej wyglądać!

Dziś by ptakiem leciała do swoich, a jeszcze co najmniej dwa tygodnie musi tak leżeć bez ruchu i jeść co dwie godziny, jakby jaka dama.

Westchnęła ciężko. Ile to kosztuje! Boże!... ten męzysko duszę ściąga i na nią łoży.

Cicho drzwi się uchylają.

Wsuwa się Adam.

— Pani znów nie śpi?

Łagodna twarz chorej uśmiechem się rozjaśnia.

— Nie mogę, panie doktorze.

— Pani znów się kłopotce, pani znów myśli o... domu.

— A o czym-że mam myśleć, panie doktorze! Adam bierze krzesło i siada przy chorej. Jest tak wzburzony, tak udręczony, że chce się uspokoić przy tej prostej, serdecznej duszy. Lubi z nią rozmawiać. Jest to kobieta prymitywna, niczem nie zepsuta, mówiąca jasno, otwarcie i szczerze, a pełna tej wieczystej kobiecości, która stwarza dokoła niej jakąś jakby smugę wdzięczną i uspokajającą.

Adam odczuwa, że ta kobieta kocha dobrze i prawdziwie i jest tak samo dobrze i prawdziwie kochaną.

I jest mu tak, jakby on błądził w jakimś labiryncie i wyczerpany patrzył zdala na kogoś, kto idzie prostą i właściwą drogą.

— Pani pozwoli — posiedzę przy pani.

Kobieta aż składa ręce.

— Ach, panie doktorze! czy ja pozwolę. Ależ to pan mi wyświadcza łaskę. Taka długa noc i choć jest o czym myśleć, lecz wreszcie i te myśli trochę umęczą. Potem pan tak dobrze ze mną rozmawia, a ja... no cóż począć — jak każda baba, muszę się wygadać. Zresztą, to każdy człowiek chyba musi opowiedzieć, co mu dolegą. Czy pan wielki, czy biedak. A może i nie... Może kształceni państwo to chowają w sobie troski i kłopoty... Bo i oni mają swoje mole, co ich gryzą...

Uniosła się trochę na łóżku. Błada jej twarz, delikatnie oświetlona, miła była i pełna kobiecego wdzięku.

— Ja myślę, że mały człowiek ma małe troski, a wielki człowiek — wielkie troski. Jak pan myśli?

— Sądzę, że to zależy od wrażliwości czującego.

— No tak. I dlatego kształceni państwo czują chyba swoje troski jeszcze głębiej, niż prosty człowiek. Nas byle co pocieszy. A dla was to ciężko o pociechę. Jedna rzecz to już chyba zupełnie się jednako czuje. To — co się odnosi do swoich dzieci. Jednakże matki nad dziećmi cieszą się i płaczą. Co?

— Prawda.

— A widzi pan. To już serce prawdziwie czuje samo i nauczyć tego żadne szkoły nie potrafią... Ot ja. Kocham mój drobiazg tak, że żadna hrabina swoje więcej kochać nie może. Bo już się więcej miłości nie zmieści. Chciałabym, żeby im nie tylko dobrze i uczciwie było na świecie. I tak je już otulam sobą i tak je od małego

prowadzę w bojaźni Boga i w tem, żeby głównie mnie kochały i słuchały. A nigdy nie biję. Bo po co? Trzeba, żeby sobie w życiu matkę przypomniaty, jako bardzo dobrą i bardzo miłą, a nie jakąś tam taką, co bije.

Umilkła na chwilę — oczy jej zaszyły jakby mgłą wspomnienia.

— Bo to... — rzuciła znowu, a głos jej brzmiał trochę ciszej i smutniej — dla dziewcząt zwłaszcza to dobrze, jak sobie umieją przypomnieć matkę w jakich złych chwilach. To je strzeże czasem lepiej, niż Anioły stróże. — Dobrą matkę, pan rozumie. Jak nic nie ustrzeże, to taka myśl ustrzeże. Widzi pan... ja coś o tem wiem. Ja jestem taka bez matki, od Sióstr mnie znaleźli i oddali z policyi do Sióstr. To też dlatego dużo się złego ze mną w życiu stało.

Umilkła i cicho dodała, osunąwszy się na poduszki:

— Nie miało mnie co strzedz.

Zapanowało milczenie.

Adam patrzył na leżącą i ogarniało go wielkie zdziwienie. Jakto? więc i z tą cichą i pokorną działy się rzeczy złe? Czy i tu stały się rzeczy nieodwołalne i najgorsze? A ona westchnąwszy — mówić dalej zaczęła, patrząc ciągle szklanemi oczami w przestrzeń.

— Panowie młodzi, co za biednemi, samotnemi dziewczętami biegają, to nawet nie wiedzą, jak to trudno takiej dziewczynie przed nimi się ustrzedz... Cóż? młodość aż ciągnie. Czasem ciekawość, a czasem to jak się jest tak samą, rozpacz chwyci, i choć aby na chwilę mieć kogoś, co da dobre słowo, pogłaszcze, niby będzie blizki. Ja przynajmniej dlatego. Jak przyszła niedziela, to mało się człowiek nie skręcił. Aż wyło coś, tak było smutno... No, więc szło się tam, gdzie ktoś czekał, pogadał — i zjeść dał... Tak, tak. Zresztą o jedzenie, to już mniejsza, ale o to dobre słowo. A że panowie zawsze coś za coś — a więc trzeba było... no i tak przez to, że się miało smutek w sercu, to człowiek popadł i w hańbę i w zło.

Przycisnęła rękę do piersi i dodała z uczuciem głębokiej szczerości:

A jak Boga kocham, to nie była nieraz moja wina!

Adam słuchał mówiącej i przed oczyma jego snuł się samotny dwór na równi, opuszczony, opluty przez wszystkich, i noce długie, podczas których wicher jęczy—

i wieczory rozpaczliwe, szelestem zmarzłej jarzębiny przerywane...

A dokoła duszy młodej, dziewczęcej — nic, nic. Tragiczność pustki — zwątpienie, gorycz, niezastuzone odtrącenie, paryja bezdomna, nic więcej... nic więcej...

I pokusa narzucenia się z dobrem słowem w chwili, gdy aż coś wyje z tęsknoty za kimś żyjącym obok...

A tu — niema komu strzedz!

Nawet wspomnianej, dobrej, kochanej matki.

Nic.

— Potem to źli ludzie kamieniem ciskają! — mówi znów chora — lecz niech no oni, takie niedziele przejdą, to zrozumieją, że dziewczynie, co to jak dziecko spracowane i takie przytulne — ciężko i gorzko być tak samej jednej. — Potem — huzia na nią! Kamienie, wydrwinki...

Bóg jednak przebaczył...

Łzy jej zaszkliły oczy.

— I zesłał mi takiego męża!

Zasłoniła oczy ręką i tak pozostała.

Adam pochylił się ku niej.

— Pani mąż wiedział?

— Pewnie. Powiedziała mu wszystko.

— A on?...

— On, zrozumiał i przebaczył!

I znów milczenie.

A Adamowi zdaje się, że słyszy bicie własnego serca, tak się w nim zaczyna rozbudzać to serce, które, z chwilą ujrzenia Wiśki, zastygło w martwocie rozpaczliwej. Jakieś dzwony w oddali biją lekko na Ave. — Coś majaczy, niby świt ciepły i w budzący się ptaszęcy świergot bogaty.

— Proszę pana! — słysząc głos kobiety, głos drżący od wzruszenia i łez — czy on nie lepiej zrobił, że wszystko zrozumiał i wziął mnie na resztę życia. Wyplakałam to przed nim, wyplakałam, powiadam panu, tak, że już zdawało się, że z żalości skonam. — Bo to było najgorsze, że on myślał, gdy mnie poznał, że ja jestem uczciwa dziewczyna, i strasznie mnie pokochał. Ja wtedy dopiero zrozumiałam, w jakie ja wpadłam nieszczęście. A ja także go pokochałam. Więc nie wiedziałam, co zrobić. Chciałam ukryć przed nim, ale nie mogłam. Ja go

zanadto kochałam, aby go w czem oszukać. A potem myślę — przed kim-że się uzależ i uskarżę, jak nie przed takim, który naprawdę kocha...

Ach! teraz w Adamie budzi się cały tłum myśli. Te słowa, on je słyszał z ust — Wiśki, mówione do siebie:

— Przed kim się uskarżę, uzależ, jeśli nie przed tobą, który mnie kochasz...

Kobiety!... kobiety!...

Tysiące, miliony was, a przecież tylko jedna...

— Więc powiedziałam mu wszystko. Nie patrzyłam na niego, bo się bałam, że się zabierze i pójdzie. Ale on — och! to święty, taki dobry człowiek, on siedział i tylko długo nic nie mówił. Ja czekam... jak na śmierć, a on milczy. Więc ja do niego podchodzę, a on — panie doktorze — on płacze! Łzy mu tak po twarzy ciekły, jak groch, i mówi. — Jakaś ty musiała być biedna! — Tak powiedział i ręce do mnie wyciąga. Panie doktorze!... ja mu do nóg leczę, a on mnie chwyta i mówi — to nic, to nic... teraz cię już nie opuszczę, bo znów będziesz marnieć, niebogo, taka samiutka na świecie...

Łkanie tamuje głos chorej. Adam nie śmie jej przerwać, nie śmie nakazać jej milczenia. Rozkołysały mu się w sercu dzwony na Ave... Ten biedak prosty zrozumiał...

— I ożenił się ze mną. Ożenił!... Boże, ten dzień, jakeśmy się żenili! Deszcz, śnieg, a ja jakby na świat przysła, jakby dopiero wiedziała, co dzień, co życie. Po rękach go całuję, on się nie daje, za co? Przecież, żeby mnie rzucił, jak inni, to byłabym dalej tak leciała na marne i szukała, żeby choć na chwilę ktoś był mój, choć na niby. Ja panu doktorowi powiedziałam kiedyś, że kobieta musi mieć dom — bo inaczej, pójdzie na Bóg wie co.

Jakby zwierzęciu nie dać gniazda... kiedy je Bóg do gniazda stworzył.

Co?

Adamowi teraz jasno — ach jak jasno na duszy. Ten głos cichy, drżący, łzami wezbrany i wdzięcznością, wiedzie go na drogę prostą, na drogę prawdziwej, wielkiej miłości. Tak, tak. Należy zrozumieć, odczuć, że ten ptak wygnany szuka gniazda, że z tragiczną rozpaczą

rozbija swe skrzydła o tafle szkła, poza którymi świecą sztuczne światła, i choć wie, że to nie jest „dom“ — że to tylko „gospoda“ — upada przed progiem i zranione swe skrzydła związa w chwilowym omdleniu...

— Stworzona do gniazda, do gniazda...

Błyskawicą miga mu myśl — dawałam jej gniazdo, wtedy — chciałam się z nią ożenić.

Nie chciała!...

Lecz już biją dzwony hymnem łomaczenia.

— Dlatego, że cię kochała, lękała się — chciała się wypróbować — twoją rzeczą było otulić ją ciepłem, rozwinąć w niej serce — stworzyć jej gniazdo, nie przygodne, ale gniazdo, które byłoby jej domem... I sama byłaby się prosiła, aby w niem pozostać mogła do śmierci...

Adam powstaje z krzesła. Czuje, że chce, że musi pozostać sam i dalej badać się, dalej pozwalać rozświecać się dokoła swej duszy błękitom i jasnościami porannym.

Kobieta leży cicha i nieruchoma. — Ręce jej jakby zanurzone w drobne ćwiartki, pokreślone dziecięcym pismem, które jakby kwiaty na łóżko jej opadły.

— Droga mamusiu, jedyna mamunieczko...

Usta blade uśmiechają się, jak do przynajmniejszych wizji. Jej świat okolił ją — świat jej gniazda, jej domu...

Adam cichutko wysuwa się z pokoju.

Pozostawia tę kobietę ze swoimi.

Otwiera drzwi sali operacyjnej i tam wchodzi w samotność i cień.

Gdy się znajduje tak sam, uczucie, jakie ogarnęło go tam — u łóżka chorej, potęguje się i wzrasta. Dokoła niego ciemność zupełna, a przecież otacza go jakby błękit, pełen spokoju i słodczy. — To straszne wrażenie wstrętu, gorczy — które dławiło go aż do tej chwili, znika zupełnie. I to, co było podstawą jego istoty, ta bezmierna dobroć i odczucie cierpienia, tryumfalnie powraca, biorąc go w swoje posiadanie. Widzi się egoistą, widzi, jak swoje własne cierpienie stawiał na ołtarzu adoracji, jak myślał tylko o tem, co on przechodzi, a nie baczył, że tam, obok wije się, jak zdeptany robak, drugi ból, nad którym los pastwi się od dawnych chwil.

— Sama była, sama — oplwana, wzgardzona, odchpnięta. Zwątpiła w siebie, w życie, w dobro — we

wszystko. Musiało tak być. Nie miała domu, nie miała matki, nie miała wspomnień... nic...

I nagle ogarnął go szalony żal. Wzruszenie targnęło się w nim całym huraganem i kłębiło się burzą uczucia.

— Wiśka, moja Wiśka!...

Ręce podniósł do góry, ku niej — jak tamten, który ręce wyciągał ku tej, co mu kornie do stóp się kłoniła. Lecz to on — do jej stóp kornie się kłonił, prosząc ją o przebaczenie za to, że nie zrozumiał, za to, że chciał ją, tuląc się do niego — odepchnąć i rzucić w świat, aby zmarmiała, jak ptak, jak taki ptak bez gniazda... bez domu.

— Wiśka! moja Wiśka!...

Stworzy jej ten dom — cichy — biedny. Cztery ściany — drzwi dobrze zamknięte i — stanie sam u tych drzwi na straży, jakby z skrzydłami rozpostartymi; tak bronić będzie ją od tego, co jest złe, co czyha na samotne i bezbronne.

— I ja zrozumiałem, i ja...—woła w ciemni. A do koła dzwony biją na Ave.

Tryumfalne dobroci najwyższej dzwony.

I białe Cherubiny wieją skrzydłami, jakby palmy srebrne rozkołysały się w słoneczny dzień Zmartwychwstania.

Rozgorzało serce dobrego człowieka i świeci, jak wielkie, niezgaszone niczem słońce.

I oświeśla szeroką, prostą drogę.

Drogę prawdziwej, wielkiej miłości.

VI.

Nadszedł dzień. Powoli pełza, powoli wstaje. Nie błękitem, nie jasnością. Szary, niewyraźny.

W sanatorium budzi się życie. Znowu dwie operacje. — Dyrektor powrócił. Adam słyszał, jak szedł do swoich pokoi. — Mówił przytłumionym głosem. Ale już powstawali wszyscy. Służba się kręci, chodzi po chorych — nosi wodę, śniadanie. Tym, którzy wracają do życia, spieszą powitać dzień.

Adam wpada znowu w wir codziennych zajęć. Barciński odchodzi — więc jest trochę do załatwienia z chorymi. Następnie należy zdać relację dyrektorowi, przygotować salę i towarzyszyć dyrektorowi podczas jego wi-

zyt u chorych. Ta codzienność poszarza trochę błękit i jasność, które owiały duszę Adama tej nocy. Przytem jakiś lęk, jakaś niepewność zaczyna go ogarniać. — Jak ją zobaczyć — myśli, jak z nią mówić?

Kilkakrotnie pragnął choćby snuć się pod jej drzwiami, lecz nie śmie. Wstrzymuje się u stóp wschodów. Gdyby była sama — kto wie — wbiegłby i wyciągnął ku niej ręce, nie mówiąc ani słowa. Tak byłoby najprościej. Ona odczułaby także, że on wreszcie rozumiał i przychodzi zabrać ją na resztę życia wraz z jej bólem, cierpieniem i łzami. Lecz Wiśka nie jest sama. Tam jest jej matka, a ta kobieta mimo wszystko dla Adama pozostaje niezrozumianą. Dla niej niema w jego sercu nic. I ona teraz, jak nieprzebyta przeszkoda, stoi pomiędzy nim i Wiśką.

O godzinie jedenastej przed sanatorium zajeżdża fiakier na „gumach“. — Sprowadzony przez posługacza, czeka rozwalony na koźle. Ten fiakier ma w sobie bezczelność zwykłego woźnicy paniczów i kokotek. Adam, przechodząc mimo okna, widzi czekającą przed domem dorożkę.

— Dla kogo to? — pyta portyera.

— Dla tych pań z drugiego piętra.

— A!...

Adam zwraca się ku wschodom i chce iść do sali operacyjnej. Boli go dziwnie myśleć, że Wiśka jechać będzie tą kokocką dorożką w towarzystwie swej matki po mieście.

— Moja wina — myśli — gdybym wtedy ją wysłuchał, nie odrzucił...

I nagle postanawia napisać do niej, że pragnie ją widzieć zaraz choć na chwilę jedną.

Wyciąga z poza fartucha swój notatnik, wyrzuca kartkę i wsparty na poręcz — pisze:

„Muszę cię widzieć samą, muszę koniecznie“.

Chce coś dodać, coś pochodzącego z samej głębi rozbudzonego serca, i pragnie napisać:

„Przebaczyłem!“

A ręka pisze sama:

„Przebacz!“

Wchodzi do saloniku, aby z leżącej tam zawsze teczki wziąć kopertę. Ręce mu drżą. Chciałby płakać

i śmiać się równocześnie. Zobaczy ją za chwilę — da jej dom swego serca i ukryje ją w nim na życie całe.

Dom swego serca!

Wychodzi znów na wschody, aby przez portyera wysłać list na górę. Lecz nie doszedł jeszcze do loży, kiedy jakiś szum rozlega się na wschodach.

Od góry, z wyżyny jakby jakieś ptaki spadały powoli.

Rozpostarte, zwiewne, złociste skrzydła ważą się jeszcze w powietrzu, ważą i opadają na ziemię piękne i do żeru gotowe.

I zanim Adam podniósł głowę w górę — wiedział już, że to opadają ku niemu przedziwne piękna kobiecego ciała, że to zwiewają na skrzydłach szat szumiących one obie — które mają włosy zbyt czarne, twarze trójkątne blade i dziwne, twarze lunatyczek, i ręce zgięte gestem posiadania.

Skurcz serca dopowiedział mu reszty. To szła Wiśka i jej matka.

Portyer poskoczył ku nim i zgięty w pół otwierał drzwi. Za nimi szła pokojówka, niosąc płed. Pierwsza szła baronowa, dziwnie szczerpło wyglądająca w młodem bolero ze skóry fok, przybranem gronostajami. Całe masy fijołków i róż Malmaison stroiły jej głowę. Stawiała nogi kształtnie i prosto.

Dokoła pasa dzwoniły breloki. Była dumna i pewna siebie.

Za nią, trzymając się poręczy, szła Wiśka. Odziana w długie okrycie skunksowe matki, w jej tok, strojny spięciem brylantowem i długim pękiem piór rajskego ptaka — była prawie nie do poznania, tak ten modny, przepyszny strój zmieniał ją zupełnie. Tylko bladeść jej twarzy akcentowała się jeszcze silniej i coś z głębi duszy zanadto w olbrzymich czarnych żrenicach.

Szły wolno i szum jedwabnych spódnic miał coraz więcej podobieństwa do szumu złowrogiego łał, które ludzkie dobro zagarniać pragną.

Adam przez jedno mgnienie oka chciał uciec, ukryć się gdzieś przed tem spotkaniem. Jedno spojrzenie wystarczyło, aby zrozumiał, że ta Wiśka, która szła ku niemu, powiewając płomieniem rajera, to nie ta kobieta splakana i zdrećzona, którą chciał porwać w swe objęcia i do domu swego serca wprowadzić. Tak była wyniosła, strojna, dumna — tak stała od niego daleko, wysoko, że

cofnął się w głąb siebie i stał prawie zmartwiałym z zaciśniętym listem w ręku.

A ona — przesunęła się koło niego bez jednego gestu. Ani on, ani ona nie zamienili ukłonu. Tylko ona spojrzała mu w żrenicę jedną chwilę, a taka bezdeń smutku, taka tragedia wionęła ku niemu z tych czarnych oczu — że serce w nim zamarło.

— *Passer devant!* — odezwała się matka, usuwając się jej na drzwiach.

Wiśka przeszła i Adam, który biegł za nią wzrokiem, widział na jasnym tle przestrzeni jej pochyloną głowę, z której spływały płomienne pióra.

Widział następnie przez wielkie tafle szyb, jak obie damy wsiadły do dorożki, jak cynicznie uśmiechnięty fiakier dość poufale powitał baronową, jak otulone płedem wtuliły się w poduszki powozu.

Poczem fiakier ostrożnie, po wiedeńsku zebrał lejce, aby nie spłoszyć swych jukierów, i z głuchym turkotem całe widzenie znikło...

Adamowi zdawało się, że mu ktoś po sercu przejechał.

Do późnej nocy Adam pilnował powrotu Wiśki. Lecz baronowa z córką nie wracały.

— Poszły do teatru, wrócą później...

Siedział w saloniku i nadśluchiwał turkotu. Ciągłe był spłoszony i strwożony. Wiedział, że Wiśka nigdy niemal nie pokazywała się publicznie z matką. To wyjście jej w dzień biały, ten strój, ta jazda na „gumach“ — były to rzeczy niezwykajne, wbrew zasadom dziewczyny.

— Baronowa nadużywa sytuacji — myślał Adam — i ogarnął go rozpaczliwy gniew, że się tak stało.

— Ile Wiśka cierpieć musi...

Wybiła dwunasta. Lampa, w której brakło nafty, gasła. Adam nie chciał poruszyć się, aby zapalić stojące na biurku świece.

— Gdzie one są w tej chwili... myślał. I noc powoli mijała.

A Wiśka nie wracała.

Na drugi dzień rano — Adam zapytał portyera, czy te damy z góry nie wróciły. Sądził, że może nadjechały

wtedy, gdy był u kogoś z pacjentów. Lecz — nie wróciły wcale. Przechodząc koło drzwi zajmowanego przez Wiśkę, dostrzegł, iż robiono w nim porządek, a rzeczy, kuferki, nesesery stały na dawnych miejscach, co go trochę uspokoiło.

— Wróć, lada chwila wróć...

Zaczął chodzić do chorych — lecz gdziekolwiek się obrócił, smutne — dziwne spojrzenie wlokło się za nim, przed nim i zaślaniało mu wszystko.

— Ach! jaka ona smutna!...

I ogarniało go szalone pragnienie, aby ten smutek wypić z jej oczu jak truciznę, która ją trawiła.

— Wezmę go w siebie, niech mnie nęka — lecz niech ona uśmiechnie się choć na chwilę jedną.

Egzaltacja go teraz rwała ku niej. Tęsknota szarpała nim szalenie.

— Ach! gdyby tylko wróciła...

Lecz Wiśka nie wracała.

Nad wieczorem nadszedł Barciński, aby zabrać swe drobiazgi i obliczyć się z dyrektorem.

Zaraz na wstępie, przywitawszy się z Adamem, śmiać się zaczął.

— Wiesz, teraz już domyślam się, kto była owa tajemnicza pacjentka na drugim piętrze.

Adamowi tchu zabrakło.

— Jeżeli się domyślasz, zachowaj ten domysł dla siebie — odparł twardo.

— Czegoż się rzucasz. Mówię to do ciebie. Trafić przecież na rynku nie będę. Ale wczoraj, gdy zobaczyłem matkę i córkę, odrazu się domyśliłem całej prawdy. — No... no... Ciekaw jestem, z kim. A szelma piękna.

Stara przewiduje chwile, kiedy dla niej samej nikt się już nie zbliży — więc dlatego zaczyna włóczyć z sobą córkę. Przypatrywaliśmy się pannie długo w restauracji. Były w Imperialu — miały stolik obok naszego. Jadły kolację. — Z niemi było dwóch facetów. Jeden jakiś przystojny obywatelczuk, coś nowego — a drugi znany wyciruch — ten tysy... no... Toczyski.

— A...

— Znasz go? Ja nie. Był z temi paniami bardzo poufale. Wiśka była trochę nieswoja, ale pod koniec kolacji ożywiła się i coś jakby śmiała się do obywatelczuka. Potem siadły na gumy i ci panowie i pojechali na spacer. Stoją w hotelu, w Imperialu.

— Skąd wiesz?

— Pytałem się, wychodząc. — Tam zamówiły apartamenty na parę dni...

Pokreślił się chwilę po pokoju i wreszcie wyrzekł:

— Pójdę do starego. Czy jest u siebie?

— Jest — w kancelarii.

Gdy Barciński wyszedł, Adam długą chwilę siedział, jak oszołomiony.

— Z Toczyskim — razem z Toczyskim... — myślał. — Co począć teraz? — Coraz bardziej oddalały się od niego. Jak jej list doręczyć? — jak się z nią zobaczyć?

Ze wschodów znoszono jakieś rzeczy. Przeczuciem wiedziony, Adam uchylił drzwi. Ujrzał ekspresów, wynoszących kuferki i drobiazgi Wiśki. Poznał jasną skórę neseserów, cyfry, pled srebrno-szary.

Zdawało mu się, że zrywa się ostatnia łącząca go z nią nitka.

— Muszę przecież z nią mówić... muszę — nie dam jej na zagładę.

Lecz gorączka go spalała. Nie miał sił. Miał ciągle w ręku list i nie posyłał go.

Kilka dni przeszło w tej niepewności i oczekiwaniu. Adam ciągle układał listy, jakie pośle do Wiśki, i gdy siadał, aby je napisać, nie mógł sformułować ani jednej litery. Kilkakrotnie wyszedł na ulicę z gorączkową myślą, że spotka baronównę i powie jej choćby słów kilka, które wszystko naprawią. Lecz gdy się zbliżał do hotelu, w którym ona wraz z matką mieszkała — cofał się i uciekał z bijącym sercem, jakby popełnił jakiś czyn zły, z którym kryć się musi.

Raz jeden zdawało mu się, że w świetle elektrycznych lamp dostrzega pióro jej kapelusza.

Doznał jakby uderzenia maczugą i oddalił się czempredzej w przeciwną stronę.

— Boję się jej teraz... — pomyślał na wpół przytomny, wlokąc się do domu.

Wreszcie zdobył się na napisanie listu.

„Wiśko — pisał pomiędzy innemi słowami — wróć do mnie, czekam na ciebie. Daruj mi, że kazałem ci czekać. Nie odrazu bowiem wydobywa się to, co jest w człowieku najlepsze. Zobacz się ze mną chwilę jedną. Powiem ci wiele i ty wypłaczesz we mnie cały ból i cierpienie swoje. Nie puszczę cię z niemi w świat. To straszni

doradcy. I zamknę cię w ramionach swoich biednych, które ci nic nie niosą — ale które są dość silne, aby uchronić cię nadal od tego, co daje zło i nieszczęście. Przyjdź — czekać cię będę tam, gdzie po raz pierwszy widziałem cię w życiu. W zaułku ciemnym i smutnym. Tam byłeś ty i dwa cienie twoje...“

List ten napisał. Zawołał posługacza i późnym wieczorem postał. Zaledwie zdołał wyrwać ze siebie to postanowienie.

A teraz — czekał.

I nigdy mu tak drogą, tak piękną, tak kochaną, i tak biedną nie była, jak w chwili tego oczekiwania.

Ach! rajski ptak z poza złotych krat — zuch dziewczyna Fra Filippo — dziewczyna o śnieżności lilii — owiana wdziękiem dziewczyna, która nie wiedziała co złe, co to najgorsze.

Ach!... kasztelanka z pod szumiących groźnie drzew, wlokąca swe zielone welny, smukła i poważna, idąca w równię, na której czuwają szare krzyże, Anioły z rozpostartymi skrzydłami.

Do prawie ciemnego pokoju wsuwa się posługacz. Wyciąga rękę. Trzyma w niej list.

— Proszę pana asystenta...

Jeszcze nie skończył, a Adam ma w swej piersi odczucie katastrofy.

— Te panie wyjechały wczoraj za granicę. Tak powiedział portyer w hotelu.

— Dobrze.

— Tu jest panowy list.

— Położ.

— Dobranoc.

Ach! dobranoc...

Adam usiadł przy stole i zacisnął rękę na liście.

I tak martwieje w ciszy i ciemni. Nie umie się zalić, nie umie cierpieć.

Ogarnął go lód, pustka. Wie, że Wiśka teraz dla niego na zawsze stracona.

Rajski ptak rozwiewa się w mgłę.

I — zapada w mrok.

A dom serca, który czekał nań, okrywa lód i cień...

KONIEC.

BIBLIOTEKA
A. G. SYRKINA
= w Wilnie =

